TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

PAŹDZIERNIK 1945

ROK 1 ZESZYT 3

TWÓRCZOŚĆ

PAŹDZIERNIK

1945

TREŚĆ ZESZYTU:

ANTONI SŁONIMSKI: DRZEWA / WIOSNA LONDYŃSKA / WIOSNA WARSZAWSKA
KSAWERY PRUSZYŃSKI: ODEJŚCIA I POWROTY
MARIA PAWLIKOWSKA: *** / ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH
STANISŁAW DYGAT: SUSANNE
KAZIMIERZ BRANDYS: DREWNIANY KOŃ
KOLUMNA POEZJI ROSYJSKIEJ
KAZIMIERZ WYKA: TRAGICZNOŚĆ, DRWINA I REALIZM
GEORG LUKACS: „CHŁOPI" BALZACA
ZDZISŁAW P. KOZŁOWSKI: PROBLEMATYKA GOSPODARKI PLANOWEJ
SPRAWY I TROSKI: PROZA AUTENTYCZNA
SPRAWOZDANIA

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA CZYTELNIK

ROK I ZESZYT 3

PAŹDZIERNIK 1945

10.000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 02646

DRZEWA

Wiedziałem zawsze — piękne są drzewa
W Fontainebleau,
Zwłaszcza pod wieczór, gdy złoto nieba
Biorą za tło.

A przecież teraz wspominać muszę
Niemal co dzień
Polnej topoli, wierzby czy gruszy
Przydrożny pień.

Uczył mnie tego, trafiał wierszami
W serce do dna,
Ten co się teraz modli za nami
Z Place de l'Alma.

Wiedziałem zawsze — piękne są drzewa
W Fontainebleau
Gdy je okryje letnia ulewa
Srebrzystą mgłą.

Lecz nie wiedziałem co najważniejsze
Ach uczeń zły. —
Francuskie drzewa, choć najpiękniejsze,
To drzewa z mgły.

A nam potrzebny las który śpiewa,
Szumiący bór,
Konar prawdziwy twardego drzewa
I mocny sznur.

WIOSNA LONDYŃSKA

Na mokrych błyśnie asfaltach
Poranek niebieską smugą...
Na miasto wyjdziesz bez palta
I w niebo popatrzysz długo.

I gdy zawieje łagodny,
Ciepły, wiosenny wiatr pierwszy,
Wiem, że poczujesz się głodny
Nowych melodyj i wierszy.

Chcesz bym rękami obiema
Uniósł cię lekko nad ziemią...
Bracie, tych słów ja już nie mam.
Wszystkie wymarły jesienią.

Lecz jeśli, bracie mój, w nocy
Budzisz się potem oblany,
Jeśli ci serce łomoce
I głową bijesz o ściany,

Jeśli myśl każda cię dręczy,
Wspomnienie bólem nabrzmiewa,
A zegar co głucho dźwięczy,
Jak dzwony cmentarne śpiewa,

Jeśli w malignie bezsennej
Wciąż jedną odbywasz drogę,
Wiedz, że tej nocy bezsennej
I ja też zasnąć nie mogę.

Gdy się ta droga zasnuwa
Mrokiem i mgłą i żałobą,
To wiedz, że nie śpię, że czuwam.
Pamiętaj, że jestem z tobą.

WIOSNA WARSZAWSKA

Wyszła dziewczyna nocą przed próg,
Owiał ją ciepły wiatr wiosny,
Włosy potargał, rzucił do nóg
Uschniętą gałązkę sosny.
Wyszła dziewczyna w wiejący mrok,
Na piersi obciąga chustkę,
I słucha wiatru, podnosząc wzrok
Na nieba bezgwiezdną pustkę.
Wyszedł robotnik cicho przed dom,
Wiatr sypnął piaskiem i kurzem.
Oczy ociera, broniąc się łzom,
I wolno wznosi ku górze.
Stoi plecami wsparty o mur
W wiatru gorących podmuchach,
Goniąc oczami gniewny pęd chmur,
Zastygł w milczeniu i słucha.
Powoli każda brama i sień
Czerni się tłumem milczącym.
I stoi w mroku przy cieniu — cień
W wiosennym wietrze gorącym.
Dziewczyna mówi: „Ty wrócisz, wiem,
W sławie i w blasku i w mocy.
To wszystko było tylko złym snem".
I usta podaje nocy.
Robotnik mówi: „Nadleć i grzmij
Ogniem, piorunem co błyska.
Choćby w me piersi i w dom mój bij!"
I gniewnie pięści zaciska.
A między tłumem przeszedł jak duch,
Szept co wtóruje tym głosom:
„Uciszcie serca, natężcie słuch
I zaufajcie niebiosom".

ODEJŚCIA I POWROTY

Manuel zasunął klapę od razu, gdy tylko czołg ruszył, bo widział jak pierwszy szwadron, który przeszedł przed nimi, podniósł za sobą niskie, zagęszczone żółto tumany kurzu. W czołgu nastał półmrok. Manuel widział wyraźniej tylko ręce, nos i podbródek kierowcy, w prawo od niego odróżniał przed sobą ciemny zarys kurzu, czuł na prawym kolanie pustą sztywność torby czekającej na łuski wystrzelanych pocisków. Gdzieś przed sobą przeczuł bardziej niż dostrzegł metalowy chwyt jarzma, którym „naprowadza się na kierunek strzału lufę karabinu maszynowego". Przypomniał sobie ostatnie dzisiejsze ranne lekcje Edwarda. Sprawdził — i doznał uczucia ulgi. Istotnie, za słabym ruchem ręki lewej cała biza przegięła się ku lewej, potem ku prawej, potem wprost. Poczuł, że nie jest zupełnie zagubiony w maszynerii Cromwella. Och, oczywiście, jest to zaledwie abecadło czołgu, umniejszał sam własne wrażenie, ale jednak był znacznie pewniejszy. Trema pozostała poza ciasnymi ścianami czołgu.

Z ruchem lewej ręki luneta podjechała jakby sama przed prawe oko Manuela. Manuel przypomniał sobie właśnie, że gumowa ochrona lunety była wczoraj cholernie zakurzona — trzeba dbać o szczegóły — sięgnął po popielatą skarpetkę, która w czołgu służyła za ścierkę „od lepszej roboty", przetarł. Poczuł na sobie w tej chwili uważny wzrok kierowcy i pomyślał co tamten o nim myśli. Jako o poszukiwaczu wrażeń? Zbieraczu guzów? Frajerze? Manuel chciał być metodyczny. Przetarłszy gumę ścierką wziął chustkę, przetarł jeszcze, kiwnął z zadowoleniem głową — pozornie dla siebie, naprawdę dla kierowcy. Nie był to tylko snobizm. Manuel chciał tym wszystkim umniejszyć jak tylko mógł ów niepokój jaki musiała mieć załoga idąc na dalekie, jak obecnie, zadanie z dwoma zupełnie sobie nowymi członkami — dowódcą Edwardem, i przednim strzelcem — Manuelem właśnie. Manuel wiedział, że te drobne psychologiczne zabiegi, podobne tym, które stosuje dentysta w stosunku do zbyt nerwowych pacjentów, dają niemniej pożądane skutki; napełniają spokojem. Manuel nauczył się już i tej prawdy, że spokój w czołgu jest tym samym czym smar w jego motorze — musi dochodzić wszędzie, musi przenikać wszystko, inaczej możliwości niebezpieczeństwa rosną niewspółmiernie szybko. Manuel powiedział sobie, że naładuje się spokojem ruchów, słów, milczenia.

Przetarłszy lunetę przytknął oko do jej gumowej ochrony. W ten sposób z ręką prawą na spuście bizy, z lewą na jej uchwycie, był naprawdę przednim strzelcem. Przez krągłe, jakby powiększające szkło celownika widział teraz przed sobą spory szmat świata, który pozostał jasny gdy nad nimi zamknęła się ciemność czołgu i był tym bardziej świecący, że mijali właśnie rżysko, za którym stali przez te dwa dni, gdzie przeszli ten nalot i spędzili noc. Od rżyska, jak przewidział, gąsienice czołgów podniosły żółty kurz i poprzez ten kurz dopiero dostrzegł Manuel posuwające się powoli grube wieżyce czołgów. Słońce poranne świeciło — niebo było blado przejrzyste — prawie jesienne. Wieże czołgów nie bały się niskiego kurzu i miały klapy otwarte i Manuel poznał w pierwszym przed sobą zaraz poruczniku Lamberta. Smukły porucznik wyglądał sam jak ludzki maszt swej radiostacji — wysoki, górujący nad czołgiem — Manuel zaraz poznał jego silny kark, czerwony od opalenia, beret założony na ukos, wysunięty podbródek, ostro zakrojony nos. Oczu nie widział ale pamiętał szaroniebieskie przymrużone oczy porucznika Lamberta. „Czy pan nie wie panie poruczniku" — pamiętał jak onegdaj po przełamaniu lodów mówił jemu, Manuelowi, ten chłopak, — „że nieraz miałem ochotę strzelić panu w łeb?" „Domyślam się," odpowiedział wtedy Manuel, „że będąc tak młody nie może pan być również i równie mądry". „Za to co pan pisał o oficerach". „Drogi panie, właśnie pan jako młody oficer, był najbardziej zainteresowany w tym aby nie było jak było". „Moja żona jest z Rosji" przerzucał się Lambert, „toteż ona pana ładnie nosi w sercu, za to co pan pisał o tym". Jeśli tylko logicznie myśli, słyszy swoją odpowiedź Manuel też zapewne nienajgorzej; przecież należałem do nielicznych Polaków londyńskich, którzy byli zwolennikami paktu, bez którego ona nigdy nie wyjechałaby z Rosji, a pan nigdy by nie był jej mężem. — Tyle razy słyszał Manuel te zarzuty i ile razy rozbrajał je tak samo, że nawet nie słuchał słów porucznika Lamberta. Teraz patrzył przez lunetę czołgu na tę jego urodną młodość. — I naraz odczuł żal. — Wojny powinni robić koślawcy, niewydarzeńcy, szmelc ludzki, nie takie śliczne chłopaki, jak sosny gonne, na których czekają w domu takie dziewczyny jak jego. — Czołg przegiął się i wstrząsnął. W kręgu lunety zachybotały drzewa szosy na Falaise.

Angielski żandarm w śnieżno białych szelkach z „MP" na opasce, w białych kamaszach, kierował ruchem jakby byli na Piccadilly. Tak, to są angielskie niezmienności, jak cup of tea, jak kominek w messie, jak głębokie fotele, jak królewski portret, jak dancing i pub. Znak widomy niewidomego Imperium usunął się przed czołgami, kiwnął energicznie prawą ręką, zakrzyczał coś — i już miał oczy zwrócone na następne w tyle wozy. Czołg zachwiał się znowu ku przodowi jak wtedy, potem ruszył jakby w dół. Celownik był teraz tak przesłonięty płowym kurzem, że nie było nawet na co patrzeć. Przez radio, dotąd milczące, zaczęły biec jakieś wołania. Manuel poprawił słuchawkę. Wołania były angielskie. Pytały się ponawiające wołania jakiegoś Harry czy słyszy i czy everything było o key. Manuel nic nie widział, tylko zaczęli coraz częściej przystawać i poprzez ciecz kurzu przebłyskiwały szkarpy domów i musieli zamknąć wentylator, bo zawiało ich słodkim, trupim zapachem. Byli zbyt blisko postoju — to

nie mógł być jeszcze front — to musiało być owe Cauvincourt na wzgórzu, z potrzaskanym kościołem wysoko, skąd żołnierze przynosili skwaśniały cider i gdzie pod gruzami leżało wielu Francuzów i Niemców. — Tak, to było Cauvincourt, bo teraz znowu wjechali silnie w dół. — Manuel przekręcił wentylator i w rzeczy samej buchnęło zaraz strugą zimnego powietrza, jak to, które znał z tych łąk gdzie nocowali po dwakroć. Wentylator nie zmylił go; ale zmyliła go za to luneta. Przez szkło lunety jak przez podłużną szparę peryskopu wyjrzała bowiem z kurzu nie zieloność łąk, ale płowość złota pszenicy. Manuel chciał przez chwilę zapytać Edwarda gdzie są. Nawet podniósł do ust mikrofon i omal nie nacisnął, kiedy się wstrzymał. Oblała go, jak ten pot, gorąca wściekłość na siebie. Czy nie on właśnie podchwytywał w poprzednich zadaniach to gadulstwo przez radio? Czy nie było wiadomo, że Niemcy słyszą ich, tak jak oni słyszeli nieraz na tej samej fali rozmowy niemieckie? Wreszcie czy sam Baca nie zapowiedział wczoraj, nie powtórzył jeszcze dzisiaj, aby ograniczyć radio do minimum? Manuel opuścił mikrofon. Czołg kołysał się, przewalał. Droga widocznie kamienista i twarda. Stawało się coraz goręcej i smary śmierdziały coraz duszniej. Wentylator z trudem wpierał w te gęste wyziewy zimne, rankiem pachnące powietrze. Czołg przestał przystawać co chwila — widocznie pułk rozwinął się już z kolumny, czy w każdym razie wyszedł z zatorów frontowego zaplecza. Kołysał się teraz dość monotonnie i miarowość tej jazdy poczęła działać tak jak gorącość, jak duszność, jak ciemność i jak ciasnota. Manuela ogarnęła senność. Senność zdawała się ogarniać także resztę załogi za nimi; nawet radio przestało się odzywać. Nic dziwnego, pomyślał Manuel i przypomniało mu się tamto znużenie, potworne znużenie po wczorajszym popołudniu, kiedy ich wozy, rozstawione w prawo od szosy, wzięły fale alianckich bombowców za wyznaczony target. Znużenie, potworne znużenie, po tych kilkudziesięciu minutach grozy. Potem, w nocy, ten nalot niemiecki i ów ranny, który przypełzł pod ich czołg w mroku. I krótki łapczywy sen nad samym ranem. — Tak. Mieli prawo popadać teraz w odrętwienie, mogła ogarnąć ich senność. Manuel pamiętał, że do linii niemieckich mają jeszcze dobrych kilka, może dziesięć mil i że pułk czołgów nie porusza się tak szybko. Był więc czas.

Ale czas się dłużył, a sen jednak nie przychodził. Przeciwsennym zastrzykiem okazał się niepokój. Drążący, zaskórny lęk. Manuel uświadomił go sobie, zlokalizował i nie taił. Nie wstydził się nawet, że go odczuwa. Jeśli *tu* jest, jeśli siedzi w tym Cromwellu *teraz*, jeśli ma ręce na karabinie maszynowym czołgu a oko na lunecie, to przecież tylko i wyłącznie dlatego, że tego chciał, że całym szeregiem własnych, pobieranych kolejno decyzji dotarł aż właśnie tu. Uświadamiał sobie po prostu ów niepokój jak lekarz uświadamia sobie chorobę — swoją własną. Nic więcej. Uświadamiał sobie jej źródła. Cokolwiek by było, Manuel nie był już nowicjuszem. To nie była pierwsza jego wyprawa, ani pierwsze jego zadanie. Słów majora na odprawie słuchał już teraz inaczej niż przedtem. Już umiał sobie przetłumaczyć ów język fachowych określeń (— rozpoznać — dotrzeć — uchwycić — kierunek na — stwierdzono broń pancerną npla) — na język ludzkiego niebezpieczeństwa. Gdy na odprawie czarny ołó-

wek majora wytyczał grubą ugiętą strzałę po płowych i zielonych plamach mapy, Manuel umiał już odczytać z długości tej strzały i z plam tej mapy czy zadanie będzie należało do łatwiejszych czy bardziej trudnych. Manuel umiał już sobie dopowiadać resztę z milczeń, z uwag ubocznych, zawahań dodatkowych, pozornie nic nie mówiących, rozkazów jakie padały potem. Wiedział, że idą dziś daleko w głąb; że mają przed sobą teren bardzo niejednolity, parę lasów, parę zwartych miejscowości, że major troszczył się z pewnym naciskiem o to, by możliwie blisko za czołgami szły recovery i sanitarki i ile będzie sanitarek, a recovery służą tak samo do wyciągania czołgów jak sanitarki do ratowania ludzi. Obcy, który przybędzie do dywizjonu bombowego, nie zawsze wie jak inaczej tłumaczy się na język niebezpieczeństwa wyprawa na Mannheim, Hamburg, Bremę czy Milano, ale ci co są w dywizjonie wiedzą. Manuel tak samo wiedział.

Od paru dni straty w pułku przestały się dla Manuela ograniczać do pewnej liczby czołgów i pewnych nazwisk ludzi. Teraz Manuel coraz częściej umiał skojarzyć nazwiska z wieczornej listy strat z jakąś twarzą, ruchami, głosem, zdaniem, uśmiechem. To wszystko nie byli *jeszcze* ludzie z nimi zżyci, zaprzyjaźniemi, jak tylko wojna zaprzyjaźnić może; ale to *już* byli ludzie z którymi obcował, których znał. Coraz rzadziej wieczorna lista strat nie zawierała dla Manuela nazwisk nie dających mu się skojarzyć z kimś żywym. Ale też w ten sposób wielka sprawa śmierci nabierała cech codzienności. — Ludzie przyzwyczaili się do niej jak do porzuconych na drodze zwłok niemieckich, jak do smrodu spod gruzów, asymilowali ją do życia żartami, omawianiem praktycznych, technicznych szczegółów. Ludzie starali się ją ustrawnić, a czas pracował na to, czas zabijał zdolności reakcji. Otóż Manuel znalazł się na pograniczu obu tych sfer i etapów. *Już* uświadomił sobie różnorodności bogate i proste owej techniki, przy pomocy której odbywa się tu nieustanne przechodzenie spoza życia w śmierć; *jeszcze* nie zdołał na to zjawisko zupełnie zobojętnieć. Być może, że im intensywniej ktoś myśli, tym do owego zobojętnienia przychodzi później. Manuel, jak lekarz badający własne choroby, wie dobrze, że właśnie ów etap pośredni jest idealnym dla bakteryj niepokoju. W poprzednim nie mają jeszcze danych aby się tak pięknie rozwinąć; w następnym natrafią na grunt zbyt zatwardziały, aby mogły tak pełnie rozkwitnąć. Manuel uśmiecha się w ciemność czołgu do nowej swojej myśli. Jakże tu jest *inaczej*. Czy kto by pomyślał, czołgu nie znając, że można w nim, podchodząc do walki, tak myśleć właśnie, analizując, dociekając, odchodząc? Przecież czołg to nowoczesność, maszyna i walka. Manuel uśmiecha się do tych dziecinnych poglądów jak sobie mały Jasio wyobraża wielki czołg! Gdyby teraz był z powrotem w piechocie i tak jak jedzie, szedł na linię, o ile mniej, wcale prawie, mógłby myśleć o rzeczach o których teraz myśli. Łykałby kurz drogi, uwierałyby go buty, pociłby się z gorąca albo marzł z zimna, ciążyłby mu plecak albo cekaem, odwodził uwagę nękający oderwanymi pociskami ogień jeszcze dalekiej artylerii, albo wielki spór na szczeblu małej drużyny, czy starszy strzelec Omieciński nie niósł magazynka o pięć minut dłużej od kaprala Główniaka? Tu jakżeż jest inaczej. Wszystkie tamte sprawy, uwagę

odwodzące, zmalały lub odeszły, świat nawet jest widoczny tylko przez jednooką lunetę i wąską szparę peryskopu. Może kierowca, radiooperator czy dowódca ma niezwolnioną uwagę; on strzelec przedni ma ją wolną w zupełności. Dopiero przed samą akcją włączy się w pracę pułku; teraz, czeka. Mógłby tak samo spać. Może myśleć. Nic bliższego, bezpośredniego, nie ściąga, jak rzemień ostry, jego myśli. Mogą odbiec daleko, rozbiec się szeroko, oddzielić się od tego wszystkiego. Zawisnąć, ogarniając na raz to co było, co jest i co zaczyna się stawać. Manuel ma bowiem świadomość, że coś zaczyna się stawać. Pewne rzeczy już właściwie zapadły z chwilą gdy przed — ileż to było? pół godziną, godziną? Nie; tylko przed minutami czterdziestoma — po *tamtej* stronie drogi na Falaise zasunął klapę czołgu za sobą. Wrażenie było pewno takie jakie ma załoga bombowca, gdy zamknięto drzwi za ostatnim członkiem załogi, gdy odrzucono schodki i pękają ostatnie nity z ziemią. Bombowiec wszedł już wtedy na tory swoich przeznaczeń. Aby doszedł do swoich losów potrzeba już tylko czasu.

Porównanie z lotnictwem przypomniało naraz Manuelowi tamte urywane dyskusje z ostatnich dni w pułku. Pułk miał kawaleryjską nazwę i kawaleryjskie tradycje. Patrzyli Manuelowi w oczy; a nam, co pan wytknie? Może stosunek do żołnierza? Manuel mógł powiedzieć, że stosunek do żołnierza, stosunek z żołnierzem jest nie tylko dobry tam gdzie armię ogarnęła rewolucyjna fraternité ludzkości, taka jaką gorzały masy jakobińskiego żołnierza, z jaką niósł swój pożar bolszewizm, z jaką toczyły swój bój przez trzy długie lata międzynarodowe barykady Hiszpanii. Bywają oddziały, które zespala to co nazywa się zżyciem. Tak było z pułkiem, w którym szukał szczęścia wojennego Manuel, pułk miał sztandar przeniesiony z Polski, jeden z nielicznych — trzech? — sztandarów pułkowych jakie poszły na Zachód po Wrześniu. Dowódcy pamiętali tamte czasy. Wachmistrze służyli po lat dwadzieścia. Manuel mógłby odrzec, że niemniej świetne były niejedne pułki wolnego kozactwa carskiej armii, i niejeden staroaustriacki Montekukulego i niejeden pruski huzarów śmierci. Tradycja może wytworzyć wielki duch pułku; ale tradycja nie wytworzy wielkiego ducha armii, nie wskóra tam gdzie się świeżego rekruta wmiesza i wrzuca, śle w bój dywizję po dywizji, armię po armii. To, że ten pułk był takim jakim był, że nie miał się co bać krytyki niczyjej, to było tylko potwierdzeniem generalnej, ale mającej wyjątki, reguły. Manuelowska przekora uderzała za to w co innego: w kawaleryjskość pułku! Nosicie — powiadał wtedy Manuel — swą kawaleryjską nazwę, macie wachmistrzów i rotmistrzów; i wszystko inne. Chcecie koniecznie być przeszłością. Tymczasem wbrew sobie jesteście przyszłością. Bezkarnie nie zamienia się konia na motor, tak samo jak w rozwoju ludzkości nie pozostawały bez głębokich społecznych skutków zamiany łuków na muszkiet, żaglowca na parostatek, ani wrzeciona na warsztat tkacki. Ułan który przestał czyścić konia, a nauczył się prowadzić motor, nie jest tym samym człowiekiem; pięciu ułanów zamkniętych w czołgu, pełniących różne funkcje i dzielących wspólne losy jest bliższych załodze bombowca niż plutonowi ułanów. Chłopak z kurnej chałupy nie stanie się innym człowiekiem

gdy go wsadzicie na konia, ale stał się innym człowiekiem, gdy go nauczyliście operować radiem i używać Morsego. Gdybyście chcieli, panowie, być konsekwentni, musielibyście siadać do waszych czołgów z kawaleryjskimi ostrogami u wysokich butów; a siadacie w szoferskich overallach, bo tak wymaga czołg, to jest życie. I to wasze obstawanie przy tej teoretycznej kawaleryjskości jest szczątkową formą tego co już w was samych życie zmiotło. Bliżej wam, powtarzam, do dywizjonu Sterlingów czy Lancasterów niż do szwadronów siwków z obrazów Kossaka. — Manuel tak mówił, i było trudno zaprzeczyć; ale teraz niemal żałuje, że to mówił. Pamięta jak dostrzegł przymglenie smutku w czyichś oczach. Oczy te szanował. Przyznawały mu milcząco rację. Były tu wyrocznią. Ale mówiły: „Może to i prawda co twierdzisz, może jest tak właśnie, może matematycznie masz rację. Ale zrozum! Dla nas ta kawaleryjska nazwa, może i ten wachmistrz i rotmistrz to bardziej pamiątki, niż dzień dzisiejszy. Ale zrozum i spamiętaj, że to nas trzyma, że to nam przypomina tamto, że to, jak ten sztandar ocalony z pożogi września i rozgromu państwa, jest dla nas, wśród nas, dotykalnym strzępem ojczyzny. Zrozumiałeś to? Więc uszanuj".

Czołgi, przystanąwszy na chwilę, ruszyły dalej. Zjeżdżały teraz niezawodnie w dół, Manuel spojrzawszy w lunetę widział teraz dość dalekie horyzonty, samotne, wyrosłe drzewa w polu, — jeszcze nie rozróżnia jakie, — jakąś farmę dużą po lewej. Jakżeż czołg nie ma pogrążać w myśleniu skoro tak jedzie aż w ciemność? Zjechali w wąską, wdrążoną w grunt drogę, i po bokach jej chwiały się uschłe, płowe osty, jak stepowe bodiaki. Kurz, wzniesiony przejazdem poprzedzającego ich czołgu osypywał je co chwilę żółtym nalotem. Manuel przejrzał raz jeszcze działanie bizy, rozpiął sobie u szyi overall i koszulę. — Ulżyło. — Czołg potoczył się dalej, jak w ciemność. W ciemności dalej toczyły się myśli. Manuel czuł, że odchodzą one jeszcze dalej, wciąż dalej od tego teraz, że na niego samego w tym rozchełstanym drelichowym overallu, z ręką prawą u spustu bizy, w ciemni Cromwella, patrzą jak na obce, dziwne zjawisko. Here you are? pytały myśli. Yes, odpowiadał strzelec przedni; and I am quite happy to be there. A wiesz co to znaczy, być tu? pytały myśli. Wiem, uśmiechał się Manuel. — Chciałem. Chcę.

Teraz myśli nie goniły pułku i nie szukały z nikim sprzeczki o konie czy motor. Manuel odrzucił głowę w tył, w siedzenie, tak że nie patrzał już nawet przez lunetę. Po co? W mroku za to wracało życie. Własne życie. Całe. Manuel nie patrzał na nie teraz jak na swoje własne, związane z fizycznym, biologicznym istnieniem człowieka, który siedzi teraz po lewej ręce kierowcy. Manuel patrzał na nie jak na czyjeś życie, które by on, Manuel, układał, lub — lepiej — pisał. Czy pisałby je tak właśnie jak było napisane dotąd, czy może inaczej, gdyby rozdziały, już zapełnione pismem, wolno mu było zmienić, poprawić czy przekreślić? Czy obecny rozdział — który jeszcze — czy prawie jeszcze — mógł zmienić — zmieniłby też? Czy gdyby... (Niepokój, w tym bezczynnym rozpamiętywaniu, wdrążał się wciąż głębiej). Czy gdyby?... Czy jeśliby teraz, w godzinę lub dwie... Za dzień lub tydzień?... bo to przecież może być — Manuel wie — przyszedł koniec całej powieści? Powieści zawierającej życie? To

właśnie życie co w tej ciemni, jak w kinie, przepływało na ekranie myślenia? Czy byłby to właśnie taki koniec jaki byłby najlepszy? Jakiego by Manuel najbliższemu z bohaterów swej powieści mógł życzyć? Nie? Tak? Manuel sobie nie życzy. Ale przyjmuje. *Il admet.* Owszem. Skoro to życie było właśnie takim jakim było, może najlepiej by było skończyć je teraz — i takim właśnie akordem.

Czy w takim razie to co dziś robi uważa Manuel za najlepsze, najważniejsze, może jedynie ważne? Czy dokonywa tym aktem jakiegoś „powrotu do szeregu" — a coś innego, co było *jego*, przekreśla? Nie. Czuje, że nie. Manuel, strzelec przedni w załodze Cromwella nie przekreśla, nie odmienia niczego z tego w co wierzył w tamtych ostatnich trzech latach walki, Manuel człowiek, Manuel pisarz. (Manuel zatrzymał wentylator czołgu: zbliża się południe i powietrze jakie teraz dolatuje, gorące powietrze z pól nie jest chłodniejsze od atmosfery czołgu. Ręką lewą poszukał manierki, pomocował się z korkiem, wypił łyk ciepławej wody o metalowym smaku, odłożył; zawsze to lepiej. Miał ochotę zagadać do dowódcy przez radio. Ale to milczenie czołgowych radiostacyj, nakazane dziś rano przed wyruszeniem na cały marsz zbliżania, paraliżowało — niepotrzebnie — i jego w mroku. W duszności na nowo przypływały myśli.

Film życia, och, jak dobrze mu znanego życia, wypełzł z powrotem na ekran myśli. Manuel patrzy na nie, prawie od początku, z dziwną melancholią. Widzi naraz jego błędy początkowe, małe i śmieszne dzisiaj, wydające się pewnie wtedy ważne i tragiczne — o, tak, jak upadki i pierwsze kroki dziecka. Jakże daleko poszedł! Jakże daleko odszedł! Manuel jest rad, że tak właśnie, po wielu potknięciach poszedł, że jego droga nie była, stamtąd, skąd wyszedł, łatwa do odnalezienia; o nie! Manuel jest rad, że odszedł tak daleko, że między tym co było, a tym czym on sam teraz jest, zaległa tak wielka droga. Że przeżyć jej już z powrotem niesposób. Jak wyjść już z czołgu. Jest wdzięczny temu wszystkiemu co mu w tym okresie — wypadki, książki, ludzie — umożliwiło to właśnie odejście. (W ciemności i czołgu, i pamięci, migają teraz słowa, zdarzenia, twarze, i gdy Manuel skłania teraz głowę, to nie tylko dlatego, że Cromwell zachwiał się na wyboju). Tak. To szukanie, długie i trudne, i to przyjście z daleka — oto rzeczy jakie podobają mu się w tym filmie. Podoba mu się trud szukania i męka myślenia. Pamięta jak w jego pokoleniu brano gotowe myśli, seryjnie obtoczone światopoglądy, masowo importowaną manufakturę, łatając co najwyżej faszyzującą kamizelkę chrześcijańsko-socjalnym pulowerem, jak brano co było na najbliższym rogu ulicy, właśnie byle wykluczyć sobie trud szukania. (Żałuje ich teraz; jacy biedni!) Oczywiście, byli za to łatwi do zrozumienia. Nie musieli się nigdy skarżyć na brak zrozumienia innych. Mówili łatwo, jak mówi się łatwo rzeczy wykute i cudze. Jemu przychodziło trudno sformułować każde swe zdanie. O, czasem, jakże trudno. Przychodziło mu z trudem sformułować własne swe życie. I to — tak teraz sądzi — było właśnie dobrze, że było tak, nie inaczej.

Ale film to nie tylko człowiek, to jeszcze i czyjeś życie. Nie wystarczy to sobie

sformułować. Trzeba wlec tę rzecz za sobą. Nie wystarczy doszedłszy do jakichś twierdzeń wcielać je na użytek własny; trzeba je dawać innym. Nie wystarczy przejść migotliwym przechodem przez pewien okres lat — ot, gdzieś z jakich jarów nad cichą rzeką Słuczą do innych jarów nad błotną rzeką Orne. — Trzeba zostawić *ślad*. Trzeba wejść w glinę dróg narodowych koleiną, trzeba przejść przez ich rżysko grubym rozkrojem lemiesza, czy — lepiej — rozmiesić je ciężkim ugniotem traktorowych gąsienic. Kiedy u innych zużyte dawno słowo mełło dla narodu omłot przeżutych myśli, trzeba szukać nowych rzeczy do podania, trzeba z rzeczy widzianych, słyszanych, zrozumianych, dopowiadać nowe, jutrzejsze. Czy nie należy odrywać starego bluszczu, choć sławą przyległ do ścian, jeśli niesie dziś tylko wilgoć, kryje zmurszenie, przesłania światło? Trzeba. Czy nie trzeba dopowiadać do końca myśli nowych, choćby cięły jak nożem? Czy trzeba unikać myślenia? Nie. Szukania? Nie. Czy Manuel unikał szukania? W ciemni Cromwella, z prawym kolanem wspartym o próżny worek parciany, czekający na łuski jeszcze niewystrzelonych pocisków, Manuel wie, że nie. Nie obruszałby się tak często, nie gniewał, ani jątrzył. Przeciwnie. Nie w tym leży troska Manuela. Leży w daremności zupełnej tych wysiłków w których męczył życie i stargał myśli.

— Manuel: „nie wjeżdżajcie w tę wyrwę! Stać." Kierowca: „możesz wyjrzeć".

Popołudniowe słońce było tak oślepiające po mroku, że Manuel widział tylko białe i pożółkłe plany domów, potem jakąś ulicę, potem kościół. Cóż to już będzie? Nazwy małych osiedli rozmieszczonych po szlaku wypadu na Jort, wypadły z pamięci. Mapnik zesunął się gdzieś na siedzenie; nie chciało się teraz wracać doń z powrotem do ciemności! Manuel stwierdził raz jeszcze, że Stuart ma tę — jedyną chyba — wyższość nad Cromwellem, że wyskakuje się czy wchodzi do niego nieporównanie łatwiej; i pożałował Stuarta. Ale co za różnica motoru, opancerzenia, uzbrojenia. I jaka linia! Wojna Cromwellami byłaby pięknym raidem — gdyby nie to, że Niemcy mają lepsze pancerze i lepsze działa swych panther i tajgrów.

Jakąkolwiek by nie była ta miejscowość, przysiadła w słońcu, pyle i opuszczeniu, Manuel wiedział, nie pytając, że tu już postój ostatni. Ostatni żandarm brytyjski — wciąż białe szelki i getry — został za tą wioską. Droga była już prosta. Nikt nie miał już jej wskazywać. Domy tu były rozbite, z powywalanymi bebechami materacy, papierów, szkła. Ściana jedna ołamała się jakby — legła gruzem poniżej — i odsłoniła jakieś wnętrze — duża, ciemna komoda, nad nią obraz w ramach. Czołg stał tak blisko, że Manuel mógł poznać okrągłą czaszkę, kałmuckie kości policzkowe i siwe, opuszczone wąsy Jerzego Clemenceau zalane sierpniowym słońcem normandzkim. Z izby wyszedł Kanadyjczyk, w rozchełstanej na piersi koszuli, ogorzały i brodaty. Zapytał rzeczowo, nie zwlekając, czy chcą sidru? Pili, gdy objaśniał niepytany, że *tamci* są za tym skłonem, mają umocnienia w lesie i trzymają twardo. Był z Montrealu i mówili po francusku.

Okazuje się, że będą tu stali jeszcze. Dragoni, czy piechota, która miała pójść

za ich wyłomem, podciąga się dopiero, czy też jakieś inne sprzęgło dzisiejszej operacji nie jest w czymś gotowe. Chwila. Słońce praży teraz, jakby za wszystkie czarne czasy w czołgu, ale milczenie południa jest jeszcze bardziej przejmujące. W załomie drogi przejdzie czasem jakiś żołnierz kanadyjski; kuraki małe, bezpańskie i głupie włażą, nie wiedzieć po co, za gąsienice czołgu. Na murze obok świerszcz strzyka, ale niesposób go wykryć. Schowany jak sniper. Myśli Manuela spływają dalej, szerokim, chłodzącym nurtem.

Nie tego mu żal co robił, ani tego że się stargał w tej walce, bardziej może niż ciało człowieka może potargać pocisk. Żal mu bezskuteczności tej walki. Prowadził ją najlepiej jak mógł, rzucił w nią wszystko co posiadał. Miał kiedyś wrażenie, że Wielki Wstrząs jaki przeszli cokolwiek odmieni. Każe zastanowić się nad tym co było złem. Każe nasterować na inne tory. Teraz z wysokości swego Cromwella mógł Manuel widzieć po latach czterech nie tylko jak daremne były jego wysiłki, ale jak niczego nie przeorał ten wstrząs. Daremność. Głucha zawistna niechęć do każdej krytycznej myśli; niewolniczy, bydlęcy kult dla najgłupszej chwalby co swojskie, ze swojską głupotą na czele. Pełne zwycięstwo klik, klanów i kast przeciw samotnej jednostce i biernej, zniechęconej, bezradnej masie. Bojaźń przed burzami jakie nadciągały nieuchronne, złość do ludzi co ani nie chcieli pleść, że burza nie nadciąga, ani nie chcieli twierdzić, że burzę potrafią wrzaskiem odpędzić.

Nie żal Manuelowi ludzi ginących w walce; żal mu ludzi ginących bezpłodnie. Wypadek. Kaźń. Pomyłka. — To są najgorsze śmierci. — I oto, gdyby teraz trzeba było zamknąć rozdziały życia, to właśnie byłoby przykre; bezpłodność. Manuel spływa myślą po smutnych szlakach historii. Manuel zna z dociekań książkowych, z archiwów bibliotecznych, z niemego chłodu lektoriów, jak bardzo byli samotni wszyscy, którzy myśleli w Polsce, jak bardzo znienawidzeni, którzy ośmielili się przestrzegać. Jest słońce Francji i silniki czołgów nie zgaszone i sieć telegraficzna od pocisków pocięta i świergot świerszczy w gruzach domów, a Manuel pamięta jak dygocącą nienawiścią był zalewany suchotniczy prorok Skarga, z jaką lubością zadeptywała czerń kontuszowców szkoły i druki ariańskie, jak sejmikowe pałkarstwa zakrzykiwały Myśl. Żeby zrozumieć historię Polski, myśli przedni strzelec w załodze czołgu, trzeba nie tylko o tym wszystkim wiedzieć. Trzeba pamiętać, że właśnie najwięksi, Kołłątaje, Staszyce, Kościuszkowie, których dziś obkadza ten, który by ich kamienował wtedy, znosili gehennę, jak w żadnym innym narodzie, o której dziś nikt już nie pamięta. Mało tego. Trzeba samemu w Polsce przeżyć część małą tego co przeżywali najwięksi. Trzeba jak oni widzieć, że trud ich myśli idzie na darmo, a plewa cudzej bezmyślności upaja ów naród. A wtedy zaczyna się rozumieć ile dopiero przejść musieli tamci, jeśli tyle potrafi przenieść w tym narodzie człowiek mały. Ale też z każdym pokoleniem rośnie nędza tego narodu. Bezkarnie nie zadeptuje się myślenia. Bezkarnie nie hołduje się miernotom. I Manuel zastanawia się przez chwilę czyja tragedia w tym narodzie była największa? Jednostek zahukiwanych i zaszczutych, czy masy obojętnej na los

zaszczuwanych, powolnej klikom i kastom, a potem za swą powolność, za tamtą obojętność, za własne nieocknienie krwawo i boleśnie płacącej.

* * *

Czas dłuży się; postój się przeciąga. W lewo od drogi, od tej wsi pustej jak kłos próżen ziarna, w prawo od niej, rozciągnęły się ciemnymi plamami na płowości pola czołgi tamtych szwadronów. Kierowca się zdrzemał. Oparł głowę na skraju, podłożywszy ramię pomiędzy żelazo i skroń. Ma jasne, ciemniejące włosy polskiego chłopa, przejaśnione siwszymi pasmami. Śpi spokojnie jakby siedział na żniwiarce, w czas żniw, w południe. Jest coś polskiego w tym śnie. Spokój, czy rezygnacja?

Manuel patrzy przed siebie. O dwieście, może trzysta jardów kończy się horyzont. Jest to pole, które łagodnym garbem podnosi się od tej wsi, po czym załamuje linią niemal prostą. Tak faluje długimi i płytkimi falami cały chlebny krajobraz Normandii. Za tamtą linią będzie znowu jakieś wgłębienie, kotlina, znowu jakieś pole, jak te, i jakieś miedze zarosłe, i domy, jak te tutaj. Tylko, że jeszcze Niemcy. Niemcy. Los... nowy rozdział. Może jeden z wielu. Może ostatni.

Na materacu wyrzuconym z domu śpi dwóch żołnierzy alianckich. Tak samo jak ten kierowca. Tak samo jak inni. Manuela teraz opuściła senność przedpołudnia. Opuściły go zwątpienia, żale, wątpliwości. Falami napływa spokój, uroczysty i smutny jak w słoneczny dzień we wsi opustoszałej wojną. W świergocie świerszcza, który zapadł w szczeliny starego muru, Manuel słyszy teraz myśl własną, która naraz układa się w rodzaj dziękczynnej modlitwy:

— Boże tych co męczyli się szukaniem, Boże tych co myśleli za innych, wiesz, że jeśli porzuciłem tamtą, trudniejszą walkę, że jeśli jestem tu w tej walce łatwiejszej, to nie dlatego bym tamtą moją uważał za złą czy błędną. Wiesz, że podjąłem ją nie dla żadnych niecnych pobudek, ale z jedną myślą o dobru moich. Jeślibyś zapytał czemu nie prowadzę jej dalej i czemu jestem tutaj właśnie, jedna będzie moja odpowiedź. Co miałem powiedzieć, rzekłem. Com miał napisać, napisałem. Rzeczy poszły poprzez mnie i pomimo mnie. Ale jeśli myśli tych naokoło mnie poszły innym szlakiem niż moje, to ich losy będą moimi losami. Albowiem, choćby sam szedł w przepaść, jest to mój naród. Nie wiem, coś mi małemu przeznaczył z niezmiernej Twej wysokości; nie wiem który rozdział mej powieści będzie rozdziałem ostatnim. Nigdyśmy jeszcze, my, ludzie, nie byli tak bardzo pyłkami marnymi jak oto; nigdy nie pochłaniała nas tak w nicość zamieć światów, jak teraz. Ale, jeśliby teraz czy potem miało się to skończyć dla mnie, to proszę, niechże pozostanie o mnie to jedno. — Myślą był im obcy, losem jednaki. — Może lepiej to, niż myślami swymi innych wtrącać w przepaść w jaką szli — i raz strąconych, gdzieś daleko, przetrwać i przeżyć.

— Manuel! jedziemy!

Radio zadźwięczało krótkim, jękliwym sygnałem. Jakby zbudzone nagle. Kierowca ocknął się z drętwoty. Przeciąga się jak parobek. Sen południowy

skończony. Motory zgłuszają świerszcza. Kanadyjczycy śpiący przed domem poruszyli się, spojrzeli i opadli.

Manuel opuszcza się do wnętrza, zamyka klapę. Jest znowu ciemność. I jakiś spokój. Czołg rusza. Obie ręce Manuela są teraz na karabinie maszynowym. Okiem patrzy w krągłe oko lunety. Czołg przed nim, zaraz za domami, zjechał w bok i Manuel teraz widzi wszystko dokładnie. Szeroki łan potratowany do cna, wielka płowa łysina pola przegięta na tamtą stronę. Horyzont blisko staje się coraz bliższy i Manuel ma celownik na linii tego horyzontu. Widzi wyraźnie niedotratowane kłosy i chwasty chwiejące się ciężko na tle nieba; widzi drogę, pylną i rozmytą, która o paręset kroków dalej przełamuje się na tamten stok. Pierwsze czołgi drugiego szwadronu już podjeżdżają pod grzbiet, już dodają gazu aby przejechać go szybko, nim się nie ocknie obserwator artyleryjski. Już są, jednym skokiem, na samej linii horyzontu; jak śmiesznie; całe, aż po wyślizgane bruzdy gąsienice, na tle nieba. Jakby tam przed nimi kończył się świat.

„Ankona" dodała gazu. Manuel ma oko na lunecie. Poprzez krzyż celowniczy i podziałkę widzi teraz jak tamte czołgi zachwiały się wieżami, masztami radiostacyj, lufami długimi dział, — i przechyliły na tamtą stronę, w dół. I w tym samym momencie „Ankona" przechyla się także. Zamiast nieba i bliskiego horyzontu ma naraz Manuel jakąś chwiejącą się panoramę z plam płowych, zielonych i sinych. Wraz z czołgiem nachyla się w dół. Naraz grube kawały gleby, czerwonawej, stwardniałej od sierpniowych spiek furczą spod gąsienicy czołgu, przekreślając swym lotem widok. Wita ich wybuch po wybuchu.

Artyleria niemiecka wstrzelana była w ten garb.

* * *

Odtąd skończyło się wszystko inne. Jest już tylko trzymany oburącz karabin maszynowy, typu Besa; prawa ręka Manuela ujęła go silniej pod kolbą; przy zamku palce są na spustach. Lewa trzyma odgięty od karabinu metalowy drążek, którym tym łatwiej „nakierować na strzał". Manuel podziwia tę łatwość i ów podziw dodaje mu pewności. Wpojony w czołg karabin maszynowy chodzi w ręku lekko, jak na zawiasach, w górę, dół, w prawo, lewo. Za nim i wraz z nim idzie posłusznie wzrok Manuela przywarty znowu, ale teraz już na stałe, do szkieł celownika. — Jak to dobrze, że prawe oko mam lepsze, znacznie lepsze od lewego, myśli z dziwną radością Manuel, i jest to właściwie jego główna myśl teraz, kiedy czołg stacza się z ostrzeliwanego grzbietu. Oko przywarte do gumowej ochrony widzi jak przez teleskop, i w miarę jak Manuel nasterowuje lufę bizy, w krąg widzenia podłazi coraz to inny wykrawek tego co jest przed nim. Manuel widzi najpierw rżysko na które wjechali: źle, jazda nietkniętą pszenicą, jak przedtem, o ileż była pewniejsza! Kopki poustawiane na skraju pola budzą nieufność czołgów. Mogą być miny; mogą snipery. Krąg celownika przesuwa się dalej — na prawo wieś w dole samym, a przed nią mgła, zieleń i nie bardzo wyraźne jeszcze: sady jakieś? Tak, sady, widać obielone wapnem pnie śliw czy jabłoni, gęste linie żywopłotów — Manuel no-

tuje sobie te gęste linie żywopłotów — potem dalej zieloność sadu — i to że sad jest rzadko rozsadzony. (Tę okoliczność notuje sobie Manuel także, lecz jako ułatwienie, nie jak tamto). Z sadem nie będzie niespodzianek. Ale zaraz potem pole wybrzusza się silnie do góry. Znowu Manuel zapisuje w pamięci liczne kopice snopów. Wydają mu się one czemuś dużo za grube i dużo za wysokie niż normalne; pamięta przecież *normalne*; to jest polskie. Kopice są tak duże i jest ich na tym nowym polu wyżej, po tamtej stronie doliny tyle, że przesłaniają lizjerę lasu. Bo po lewej, w głębi samej, jest las. LAS. Manuel pamięta go z mapy. Las ten zachodził kwadratowym klinem w ich kierunek marszowy i szedł daleko w lewo, a także w tył, na zaplecze niemieckich pozycyj i wszyscy widząc ów podługowaty las na mapie pytali czy jednocześnie z naszym uderzeniem — naszego pułku — pójdzie na ten las zachodzący tak szpetnie pod żebro — jakie inne uderzenie? Teraz Manuel nie może sobie przypomnieć jaka była odpowiedź — i czy była jakaś; ale zresztą widzi. Ich szwadron idzie właśnie lewym skrajem; jeśli dojdzie, otrze się o ten las; w lewo od ich szwadronu nie ma nikogo. —

Luneta, jak krągłe oko, wodzi się teraz po horyzoncie. Horyzont po przejściu tamtego garbu stał się od razu szeroki — w prawo od lasu znów wysoko linia pól, czasem jakieś zakrzewienia, pustka. Manuel nasterowuje teraz spółcześnie broń, celownik i oko na wszystko co mu wyrasta na drodze. Zwłaszcza na to co może stać się *celem*. Przeżywa raz jeszcze dziecinny snobizm. Oto celownik Cromwella posiada pewne pokrewieństwo z celownikami samolotów myśliwskich. Nie ma żadnych widełek, czy muszek, czy jakich tam piechocińskich pozostałości po ś. p. prababce fuzji. Po prostu, na szkle teleskopu przecinają się tworząc czarny krzyż duże linie. Na jednej z nich — pionowej — kreskowa podziałka. — I to wszystko. — Nie, nie wszystko. Z brzegu na szkle są jeszcze cyfry i litery. Po lewej i po prawej stronie. Na teraz i na całe długie godziny jakie będą, ten czarny krzyż z podziałką i te cyfry po bokach będą stały pomiędzy oczyma Manuela a światem, tym sadem, żywopłotami, polem, kopicami, lasem. Dwa rzędy cyfr. Po prawej i po lewej:

Manuel raz jeszcze — dotąd był przyzwyczajony do Stuarta — powtarza sobie ich znaczenie. Liczy: pięć, dziesięć, piętnaście Gun; cztery, osiem, dwanaście M.G. Ale pierwsza kolumna, po lewej, go nie obchodzi. To „Gun". Podziałka dla działa. MG. — to on. 4, 8, 12. Od 400 jardów wzwyż, od 800 jardów, od 1200. Jak w aparacie fotograficznym. Manuel nie będzie tym mniej strzelał ani na osiemset, ani na tysiąc dwieście jardów. Kieruje oko i celownik na sam krzyż na szkle — tam gdzie duże prostopadłe linie przecinają się pod kątem prostym i na następną kreskę. Gdy zjeżdżają, prowadzi tym skrzyżowa-

niem kolejno. Po czerwonych dachach w prawo. Po żywopłocie na wprost. Po kopicach, które, im zjeżdżają dalej, są wyżej nad nimi.

Milczące radio teraz rozgadało się gorączkowo, nerwowo. Przejęty swą funkcją Manuel wyłapuje z trudem szczątki zdań spod kamuflażu szyfrów. Jak zawsze: Kamile, Pawły, Barbary. Manuel poznaje pytający głos dowódcy i szybki, ostry, rotmistrza. Już je zna. I naraz, w to wszystko wdziera się intruz:

Katowice, Lwów, Poznań, Wilno i Baranowicze na falach Londynu...

— *Rozpoczynamy naszą audycję...*

Manuel odjął głowę od lunety. Złapał pytający wzrok kierowcy; to krótka fala odbiła się, wyjaśnia radiem Edward i przekręca. Ale krótka fala odbija się znowu, bo po chwili znowu jakiś strzęp komunikatu. Gdzieś daleko na świecie są jeszcze komunikaty, audycje, fale długie i krótkie. Wszystko takie samiuśkie jak w Londynie, słuchane sobie w mieszkaniu. Aż dziwne, że takie same. Oho...! Zdyszany znajomy akcent mówi: *Ici, Londres.* Manuel zna dobrze ten głos i wyczuwa w nim dzisiaj jakąś żwawość. Istotnie...

Ce matin, depuis l'aube, des forces américaines sous le général Patton — Patton, Patton, przecież on we Włoszech, zaczyna pracować Manuel — ont inauguré une descente sur la côte française de la Méditerranée entre Toulon et Nice, ne rencontrant qu'une faible résistance allemande. Nous répétons: Ce matin —

I Manuel rozumie. Edward, Edward, woła, podaj Dowódcy, podaj pułkowi, że Amerykanie lądują na południu Francji!... Tak, Tak? — odpowiada Edward i Manuel czuje, że uwaga tamtego, uwaga pułku i dowódcy nie myśli teraz wcale o tym kto i jak ląduje gdzieś o setki mil stąd. Wraca więc do radia. Ale radio francuskie już nie rzuca komunikatów, a tylko słowa wzruszone, uroczyste i puste, poprzez które twardym chrzęstem przebijają szyfrowe rozkazy polskie. Słowa francuskie są teraz już tylko jak muzyka i wreszcie naprawdę spływają w miękką, podnietliwą muzykę. Muzyka jest stara, ale zawsze wzrusza głęboko Manuela. Przez mrok Manuel napotyka na twarz kierowcy i widzi na jego twarzy jakieś wzruszenie nieśmiałe, i w starych oczach jakiś połysk wilgotny. W radio polskim rozkazy ucichły i Manuel słyszy tym silniej potężną pieśń zwycięstwa, tak silną jakby ją grały silniki bombowców i werble pułkowe. I naraz Manuel przysuwa skroń do lunety, nie po to aby widzieć cośkolwiek, ale po to by nie widziano jego, strzelca przedniego, oczu. I istotnie, Manuel teraz nie widzi nic. Szkło lunety jest tak zamazane i mgliste, jakby oto spadł deszcz i zmętniał obraz na szybie. Plamy zielonkawe i płowe mieszają się ze sobą, nawet czarne linie celownika, nawet podziałka, nikną w tej mgle wilgotnej na oku. Mój Boże, myśli Manuel ostatkiem sił nieuległych wzruszeniu; tak, oto jest szczęście! Być czymś w tej fali wyzwolenia jaka idzie ojczyzną wolności. Słyszeć tak w czołgu sunącym polami Francji, te święte słowa, tak samo żywe dziś jak w dniach jakobińskiego gniewu. I wargami przyciśniętymi do żelaza, Manuel powtarza te jak zwrotki litanii słowa radiem na świat huczące. Formez vos bataillons, Marchons, marchons, qu'un sang

impur — och, jakżeż to dzisiejsze to sang impur — abreuve nos sillons — och, jakież to dzisiejsze to nos sillons — kiedy czołg się polami toczy. Co za dziwne, niespodziewane wrażenie daje w dzisiejszej wojnie postęp techniki!

W tej chwili przed sam czołg wyrasta ciemna burza ziemi, wybuch bez huku i wstrząsu. (Potem cały przód Cromwella będzie ochlapany błotem, wspomina Manuel). W rzeczy samej, przed czołgiem wyrósł dół błotnisty. Ta łąka zacieka pod glebą. — Radio gada:

— Mam jeden czołg uszkodzony. Recovery! Słucham, Bernard, słucham. Proszę recovery, przysłać recovery.

Drugi pocisk pada za Cromwellem: Mówi o nim Edward. Ale Edward nie mówi wiele. Nie mogą, nie powinni *tamci* wiedzieć czy biją za długo czy za krótko; nie mogą. *Hallo, twenty four, report by signals, hallo twenty four...* nawołuje nieprzerwanie jakiś angielski sąsiad. Czołg rusza. Najeżdża na żywopłot. Ostatnia chwila odwagi i pokusy. Wypuścić serję? Gałęzie żywopłotu nachodzą na czołg, coraz bliższe, coraz wyrazistsze, jak w szkłach powiększających. Krzyż celownika i cyfry podziałki tańczą po nich. Czołg podnosi się ciężko... Opust. — Zielona trawa, białe pnie. Sad. — Manuel czuje pot ulgi.

Po lewej czołgi poszły dalej; po prawej meldunki radiowe mówią, że przeszły wieś. To wzbudza optymizm. Manuel czuje jak przy przejeździe żywopłotu zrobiło mu się naraz gorąco. Głupia rzecz, a gorąco, wstydzi się. Przez radio pół szyfrem, pół nerwami trwa rozmowa o wsi — jej kryptonim to „Buraki", że czołgi przeszły „Buraki", że nie ma tam Niemców ukrytych.

„Hallo Henryk pierwszy i drugi na naszej wysokości. Trzeci naprzód — ten sam kierunek".

Trzeci — to ich — i czołg Manuela rusza naprzód. Pole — ściernisko raczej — z kopicami pod lasem jest teraz o tyle wyżej od nich, że Manuel musi zadzierać celownik i broń ku górze. Wysoko ku górze. Sad bowiem także wspina się wyżej. Przez radio idą teraz rozkazy własne czołgu. W słuchawkach na uszach Manuela huczą teraz dochodzące z wieży dokładne rozkazy Edwarda.

— Kierowca bardziej w prawo. Objeżdżać w prawo, wyżej.

Nowy żywopłot, a raczej gęste krzaki, zasunęły się znowu przed celownik. Cała gęstwa. Manuel jest teraz pomiędzy tym głosem z tyłu a tymi gałęziami z przodu. „Kierowca, objeżdżać w pra..."

Za późno!

Czołg podniósł się znowu, jak wtedy, na tamtym żywopłocie. Gałęzie jeszcze silniej zatrzepotały po szkle. Ale zaraz w następnym mgnieniu cały czołg zachwiał się naraz w przód, i zwalił całym swoim straszliwym ciężarem naprzód. Przed celownikiem nastała ciemność. Manuel uderzył najpierw całym sobą w przód a potem naraz coś rzuciło nim plecyma o oparcie. Czołg poleciał w dół. Huk. Huk, który jest bólem jednocześnie, straszliwym bólem wszędzie. Manuel opada bezwładnie na kolbę karabinu. Jęczy: nie, *nie może* wydać dźwięku. Przez myśl przebiega pytanie: wybuch? Dół? Mina? Wstrząs odrzucił go bokiem i Manuel widzi twarz kierowcy, usta w czołgowym półmroku rozwarte,

łapiące powietrze wargami, jak karp. Brzegiem tych warg zaczyna się przesączać czerwony ściek, jakby wina czerwonego z opitych do nadmiaru ust. Ze słuchawek, które wstrząs upadku odrzucił na kark, dochodzi ostry głos Edwarda:

— Kierowca, mówiłem omijać w prawo! Nie jechać wprost! Czemuście nie słuchali? Tam z jednego czołgu już dwóch ponieśli...

W półmroku, jeszcze większym niż przedtem, Manuel dostrzega dalej twarz kierowcy, do której ten głos nie dociera jakby. Teraz Manuel widzi ją dobrze. Jest to postarzała, pomarszczona twarz, teraz w tym cieniu i bólu starsza jeszcze. Kiwa się ona z lewa na prawo, z przodu na tył, bezwiednie. Tylko te wargi, poruszane miarowo bólem, mają jakąś świadomość reakcji. Na sekundę szare oczy kierowcy natrafiają na wzrok Manuela i twarz wykrzywia się świadomie w jakiś skurcz niezrozumiały. Chciał coś powiedzieć, poprosić, wyjaśnić. Może po prostu jęknąć. Mogło to być wszystko; i nie wiadomo co to było. Manuel naraz czuje jak i do niego słowa ze słuchawek dolatują jak przez watę:

— Manuel, co z tobą?

Manuel chce odpowiedzieć. Nie może. Teraz rozumie czemu tamten ruszał wargami. To to. Ale w tej samej chwili budzi go przelotem ostre ukłucie innej myśli. Przedni strzelec jest nie tylko przednim strzelcem. Jest jeszcze zastępczo kierowcą. Siedzi najbliżej kierowcy; w razie czego. Manuel, w przebłysku, pamięta rozmowę z Dowódcą, i jak on, Manuel, tłumaczył, że przecież jeśli kierowca jest ranny to wtedy chyba i czołg już w ogóle. „Nie zawsze" odpowiadał Dowódca i istotnie, właśnie teraz tak jest. Myśl ta cuci Manuela. Powinien zepchnąć tamtego, wziąć za kierownicę. Cóż kiedy nie umie! Ale w tejże chwili najgorszej — cud. Kierowca dźwiga głowę. Ma dalej skurcz bólu na twarzy pomarszczonej i wargi poruszają się nadal rybim, bezradnym ruchem. Ale ręce są z powrotem na kierownicy i motor działa. Czołg, jak góra żelaza, drgnął.

To drgnięcie przechodzi bólem przez plecy Manuela; pierwsza, prawdziwa myśl. (Tamte były tylko odruchami). Kręgosłup! Manuel wie co to znaczy taki upadek w czołgu. Kręgosłup! Czuje naraz zimno od tej myśli, lodowate zimno schodzące z włosów, ze skroni, w dół, policzkiem, karkiem, aż za rozchełstany na piersi overall. Próbuje ostrożnie, ukradkiem jakby, poruszyć lewą nogą. O, cudo: działa. Zaskakujące odkrycie. Ostrożnie wyciąga prawą: działa. Już śmielej rusza ramionami, szerzej, szerzej. Jest ból, im bardziej ruch dosięga pleców, tym większy ból, i Manuel ma wrażenie jakby był maszyną, której cały mechanizm tam w środku potrzaskał się na kawałki od wstrząsu. Ale uczuciem górującym jest ulga: działa! Może poruszyć rękoma, nogami, poprawić się w siedzeniu, nawet przechylić w przód. Ujmuje wypadły z ręki mikrofon. „Hallo Edward, to tylko potłuczenia". I ta zadyszka. Po tych paru słowach jest jak dziecko, które ucząc się chodzić przebiegło naraz całych siedem kroków.

Czołg cofa się w tył, skręca — „teraz dopiero!" woła Edward w słuchawki — w lewo, wykręca znów ku polu. „Radio nie działa", konstatuje Edward, „zmienić bezpiecznik H. T. 2". „H. T. 2" powtarza bezwiednie Manuel i usiłuje so-

bie uświadomić to wszystko. Tak. Radio zamilkło. Czołg naraz ogłuchł. I kiedy, przy wyjeździe z jaru, w który naraz stoczyli się wtedy, ukazuje się z powrotem tamto pole, kopki i las, Manuel aż się dziwi. Oto w ów las tuż przed nimi w lewo, groźnie czerniejący tak długo, opada ogień artyleryjski, bliski, jakże bliski! Ale do czołgu nie dolecą ani odgłosy wybuchów, ani furkoty odłamków. Tylko przez peryskop i lunetę Manuel widzi jak drzewa łamią się wpół i skoszone wyskakują pod niebo nim nie zwalą się ciężko w dół. Ach tak, myśli Manuel, ach tak? Artyleria miała zająć się tym lasem, podczas gdy my?...

— Manuel, z bizy po lesie!

400 jardów, czy więcej? (Manuel czuje ból w krzyżach kiedy schyla się nad karabinem). Bierze 400. Pada seria i naraz — zacina się. Manuel zagryza wargę — chwyta z boku skośne spojrzenie kierowcy — repetuje broń tak jak to jeszcze sprawdzał rano, strzela. Biza zacina się po pierwszym strzale. „Tego tylko brakło" — myśli Manuel. Powoli, jak w filmie przesuwanym *au ralenti*, odciąga zamek — ach prawda, kciukiem nacisnąć wyłącznik, naciska. Wyszarpuje taśmę; może co w taśmie? — założy nową. Kierowca pomaga w przełożeniu nowej i ręce obu spotykają się nad zamkiem i są po chwili całe w tłustym, rozgrzanym smarze. Znowu Manuel naciska spust. Tym razem — o szczęście! — seria idzie równo. Zatrzymuje ją. Stoją na wprost ciemnego, postrzelanego lasu. Tamta zwalina gałęzi wydaje się Manuelowi podejrzana. Naciska spust. Suchy trzask. Znowu jeden strzał.

To wszystko nie jest straszne, mówi Manuel; uzbrojenie Cromwella polega na tym co ma jego wieża, ale jednak! Rano działało świetnie, ale rano nie oddawali strzału — po cóż by, w obozie? — Kierowca także nie może poradzić. Raz zacina się, raz nie. Pokrwawili sobie ręce i smar miesza się teraz z czerwoną, perlistą krwią, gryzie w zadrapania, ale nie ma rady. Za naciśnięciem spustu Manuel nie wie: pójdzie na nowo pełna, wspaniała seria, spokojem ich w czołgu napełniająca, czy takie pojedyncze trzaśnięcie. Zagadka.

Myśl Manuela tak nawracała do owej zagadki — gdzie błąd — że niemal nie zauważa jak zmienili kierunek. Omijają las. Ich czołgi już wyszły ze wsi na prawym skrzydle i teraz wszystkie walą w pole przed nimi, w górę, uchwycić nową faliznę Normandii, nowy — jak się to mówi wojskowo? — skraj horyzontu. Manuel nachyla się ku celownikowi tego zawodzącego karabinu. Pole równe — ścierń — i tu już nowy grzbiet. Krzyżują się drogi polne — nieliczne krzaki — pole.

— W lewo kierowca, w lewo. Tamte kopki!

Czołg skręcił silnie i za chwilę Manuel rozpoznaje gdzie są. Tamten las jest na lewo za nimi, a tutaj jest takie spokojne pole, kotlinka prawie, zboże zebrane i moc kopek. Moc. Po raz pierwszy są tak blisko te kopki i Manuel może stwierdzić, że istotnie są wyższe i szersze niż polskie. I naraz — „Niemcy, o Niemcy tam! Uciekają do lasu!"

Manuel widzi przez peryskop — długą, wąską szczelinę — cały wykrawek świata. Ścierniskiem pomiędzy kopkami a lasem biegną Niemcy — zielonkawe mundury — czołg nasz strzela — widać świetlne pociski! Manuel słyszy na-

raz śmiech Edwarda. Zły, spokojny śmiech. Dlaczego Edward się śmieje? Naraz olśnienie. Ach tak, przecież! Jakże mógł zapomnieć! Manuel sam nie wie czy się bardziej wstydzić, że nie zrozumiał od razu, czy cieszyć, że domyślił się na czas. Manuel już wie co się stanie. — To co się miało stać dzieje się rzeczywiście. — Zza tamtego skraju kotlinki, tuż popod tym lasem, wysuwają się naraz z przeraźliwą, fatalną powolnością kopulaste wieżyce Cromwellów. Jest aż dziwne, że tamci, biegnący, nie widzą ich jeszcze. Ale nie; widzą. Zielone stado pędzących do lasu ludzi zatrzymało się naraz — padają — i Manuel widzi jak jedni padają inaczej, a inni inaczej. „Celownik, Manuel! Masz ich!" Manuel wie, przesuwa celownik i czarny krzyż samym skrzyżowaniem jest teraz na tych ludziach przed nim. I tylko jedna myśl: zatnie się, nie zatnie się. I ulga błoga; poszło — na ten raz, równym ściegiem...

* * *

„Nie strzelaj go; niech i my mamy swojego" — woła Edward i Manuel ocyka się z obrzydzenia tamtej chwili. Teraz wie: łatwo, jak strasznie łatwo jest strzelać do człowieka kiedy ucieka przed tobą. I kiedy skrada się by z bliska rzucić granatem i kiedy pędzi na ciebie, jak ci teraz, w tym mgnieniu czasu; łatwo, jakże łatwo! (Nawet gdyby całej myśli nie zaprzątała troska o wypał karabinu. Nawet wtedy). Ale kiedy tak stają i podnoszą ręce nie można. Strasznie nie można. Manuel pamięta i nie zapomni nigdy. Uciekający, na których z dwóch stron wyszły czołgi, stający naraz i podnoszący ręce. Nie; nie podobna. Nigdy w piechocie Manuel nie strzelał do ludzi gdy podnosili ręce, ale myśli, nawet teraz, że w piechocie mógłby. Ale to co innego w piechocie, a co innego strzelać *siedząc* w czołgu. Nawet to *siedząc* ma znaczenie teraz. Strasznie jest pomyśleć, że człowiek zabija siedząc. Czołgi w polu czystym na wprost ludzi to nie jest ani wojna, ani rzeźnia nawet, to tak jakbyś z jakiejś sikawki jakimś rozczynem lizolu czy arszeniku spryskiwał mszyce. To *nie jest* wojna, to *nie jest* walka. — *Just a job.* — (Manuel jest rad, że żadnym polskim słowem nie umiał nazwać tego). *Just a job.* Celowanie z bizy jest też *just a job.* Krzyż na szkle wszystko ułatwia. (Ach, jak niespodziane zastosowania ma Krzyż!) Drążek metalowy czyni nakierowanie tak dziecinnie prostym. *An easy job. Just a job.* Byle tylko *tamci* nie utrudniali zadania. Niech uciekają, niech biegną na nas, niech się kryją — naiwni — za kopce — słomę. Głupcy. Byle nie podnosili rąk.

— *Gewehr — weg!*

To Edward, dziwną niemczyzną, woła do tego obok. Nie widzą go, bo czołg go minął. „Panie poruczniku, a żeby on nam jaja nie rzucił". „Nie, nie" — powiada Edward. „Manuel otwórz!" Manuel otwiera klapę — ma ją z lewej strony, u góry, na wskos, nad głową. Gdy odsunął, na tle nieba widzi wzniesione ręce i rękaw feldgrau. Ręce kiwają się w takt biegu; głowa ludzka. Manuel podnosi się z siedzenia — ból w krzyżu ostry i wydostaje przez otwór głowę. Niemiec biegnie u boku czołgu, patrzy się i uśmiecha, prosząco, życzliwie, ludzko, do tej twarzy ludzkiej co wyjrzała spoza blach. Na tę przymil-

ność w Manuelu tężeje wszystko. Głową robi Niemcowi ruch: — przed czołg! Nie z boku, obok; przed. So! Niemiec rozumie. Rozumie nie tylko to, że ma biec przed czołgiem. Rozumie i wiele więcej.

Manuel obsuwa się w głąb — plecy bolą znowu, długim, dojmującym bólem. „Nie wytrzymam, nie wytrzymam" — mówi Manuel; ale, aby tamtą złość spędzić i ten ból zabić, schylił oko do celownika i celownik kieruje na Niemca. Czarny krzyż na szkle tańczy teraz tamtemu po czapce, spieczonym karku, plecach. Naprawdę tańczy, bo czołg jest w ruchu i człowiek co biegnie przed nimi jest w ruchu, i czarny krzyż ześlizguje się co chwila z Niemca, co przykuwa uwagę Manuela, i odwraca uwagę od bólu w krzyżach. Wreszcie Manuel osadza środek celownika — owo skrzyżowanie prostych — wprost na plecach Niemca. — Jeśli *znowu* się zatnie, rozumuje, to zawsze, gdyby trzeba, jeden strzał odda. — Czołg jedzie, Niemiec biegnie, widać że się męczy — widać sperlony tłusto kark — kierowca pokazuje i śmieje się w mroku, — a palce prawej ręki Manuela są wciąż na „języku spustowym" — tak to się mówi? — karabinu maszynowego. I trwa to długo, długo — aż zza pleców Niemca wyrasta zakryty nimi dotąd świat. Jeńcy; nasi; czołgi. —

Wyskoczył Edward: wyszedł Lambert; Manuel poznaje paru znanych mu z twarzy kaprali. Edward pomaga mu wyjść. Manuel ma przecież aparat fotograficzny; nigdy jeszcze szwadron nie miał na raz tylu Niemców. Manuel wychodzi (nie chce powiedzieć nie), ale z trudem; kiedy chodzi czuje z tyłu szarpiący ból. Jest wpół zgięty. Kilkudziesięciu szkopów siedzi w dwuszeregu, z nogami podwiniętymi pod siebie. Karny naród. Uszeregowali się tak składnie i szybko jak dobre wojsko do jeszcze jednej wojskowej zbiórki. Kilkunastu innych stoi z podniesionymi rękoma i kolejno przechodzi przeszukiwanie. Manuel widzi grube, natrętne łapy Drozdka jak obłuskują od góry na dół smukłego, obciśniętego mundurem Niemca. Przechodzi mu przez myśl, że Drozdek był w Legion Etrangère i odwraca się na czyjś drwiący głos: „Tylko mu tam wszystkiego nie urwijcie!" Niemiec ma znieczuloną, obojętną twarz. Inni zbliżają się z pola; im dalej są tym wyżej podnoszą ręce. Żadnego oficera, stwierdza z żalem Edward. Co to za oznakę ma tamten z lewej na ramieniu? Za zniszczone czołgi? Taka tarcza jakaś żółta? Czy chcesz ten Eiserne Kreuz?

Manuel nie chce Eiserne Kreuza. Ale patrzy na komiśny, źle obrobiony krzyż ze wstążeczką o barwach czerwono-białych. Za co? pyta ktoś Niemca. Niemiec nie rozumie, ale połapuje się szybko. „Stalingrad" — odpowiada obojętnie i pcha ten krzyż do ręki. „Niech pan weźmie, panie poruczniku!" Manuel nie wziąłby i nie bierze tym więcej właśnie, że tamten pcha. *Haben Sie englische Zigaretten?* — pyta bohater stalingradzkiej odsieczy. Manuel patrzy mu w oczy. Ach, co za niezmierna obojętność. Niemiec myśli, że Manuel nie zrozumiał. *Cigarettes anglaises avez-vous?* Oto wojna — myśli Manuel; w końcu chce się tylko papierosów! Długa musiała być droga od Stalingradu nad rzeczkę Orne, ale to jest wszystko tylko kwestią drogi i czasu; prędzej, wcześniej, nieuniknione. Zaczyna się od idei i ambicji. Kończy na papierosie.

Ból w plecach odzywa się coraz częściej; lepiej już w czołgu. Czołgi nie ruszą

nim nie nadciągną dragoni; nie pozostawi się tak jeńców. Z daleka dolatują strzały; w tej kotlinie przed lasem zacisznie. Siedząc z powrotem w czołgu Manuel sprawdza raz jeszcze działanie bizy. Wszystko wydaje się w porządku; dlaczego zatem te zacinania? Co będzie jeśli...? Patrzy na zegarek: już trzecia. Już trzecia, ale jeszcze dobre dwie, trzy godziny. Dokąd mieli dojść?...

Kierowca nie opuścił czołgu i kiedy jego oczy spotykają się ze wzrokiem Manuela obaj wiedzą. Nie muszą się pytać inaczej. Tylko gdy Manuel opadł na plecy, tamten na piersi. Może ma wysięk. Pewno go ma. W górze, we wieży, Edward próbuje coś z radiem. Nie, nie działa. Cała nić łączności przerwana. Jakże to się nazywa? Reading? Manuel zbyt świeżo i dorywczo obuczał się tego wszystkiego, zbyt wiele tego jest aby pamiętał dobrze. Te plecy w dodatku zbyt bolą. Co za nieznośna ta ciągłość! I jeszcze to zacinanie się niewyjaśnione. I to że czołg jakby stracił głos i słuch. Nie ma łączności z zewnątrz. Co robić? Edward dowodzi plutonem; nie może dowodzić z tego czołgu. Przesiądzie się na inny. Manuel? Nie, Manuel woli zostać. Może dlatego, że *już* siedzi i nie wymaga to *nowego* ruchu...

Klapa zamyka się raz jeden jeszcze i znowu nastaje, jak wtedy, taka pierwsza, zupełna, ciemność. Manuel przywiera znowu okiem do jasnej plamy lunety; tędy, odkąd zaniemówiło radio, łączy się teraz ze światem. Czołg jedzie powoli; na wskos zaś mija go kolumna jeńców. To ci, odcięci przed lasem. Już biorą ich dragoni. Trochę aby zabić rwanie w plecach, Manuel liczy głowy, jak przesuwają się w szkle celownika; dłonie splecione za karkiem: jeden, siódmy, trzydziesty. Dolicza do trzydziestu siedmiu i staje się to też męczące. Kierowca prosi o coś ruchem. Nie, nie ta manierka; tamta. Pije chciwie i w półmroku Manuel widzi jego twarz, zestarzałą od bólu. Po raz drugi zbiera go lęk; co będzie jeśli tamten nawali zupełnie? On, Manuel, nie poprowadziłby także. Ale kierowca oddając manierkę uśmiecha się uspokajająco. Pewno odgadł myśli Manuela; to takie nietrudne, w czołgu. Czołg myśli i czuje załogą. Nawet wtedy gdy są niezgrani jak ci, nawet gdyby wszelkie aparatury zawiodły. W duszności, w ciemności, w łoskocie motoru idą jakieś prądy tajemne, łączące tych paru ludzi.

Kierowca jest teraz jeszcze bardziej bratnią duszą Manuela. Oni dwaj widzą wzajemnie swoje twarze — ci z wieży nie widzą ich, i oni nie widzą tych z wieży. Oni dwaj chyba najciężej przeszli tamten skok w dół. Teraz łączy ich pewne wspólnictwo win. Kierowca dwukrotnie, łamanym głosem, — on też nie może mówić — zagadywał niezgrabnie Manuela. Że to tamten jar, że nie widział. Nie można było widzieć, uspokajał Manuel; nie, nic mi nie jest, ale z wami? Kierowca wiedział, że Manuel myśli inaczej — jar *był* do ominięcia, rozkaz był wyraźny — ale rozumiał i oceniał kłamstwo. Manuel czuł, że chyba coś jest z jego, Manuela, winy w tym zacinaniu się karabinu maszynowego; kierowca brał się do broni i dowodził, po nieudanych usiłowaniach, że chyba coś z taśmą, czy jak... Manuel oceniał i to, choć nie wierzył. Musi, musi być jakiś drobny, z jego strony, błąd, jakiś ruch nieuchwytny prawie, który wykonywa raz tak a raz inaczej, na skutek czego zacięcie powstaje lub nie. Ale jaki? Ciało

Manuela, gdy teraz tak jadą wskos pól pustych, drążą naraz dwie reakcje. Jedną jest tamten ból, o którym coraz trudniej zapomnieć, w krzyżach; drugą ta myśl, która sprawia że coraz uporczywiej krąży uwaga koło zagadki owej bizy. Dlaczego? Dlaczego?

Od odjazdu z tamtego pola, wzdłuż tych kopek zboża za wielkich, i świeżych całkiem trupów niemieckich tak obficie wysączających się kwią w żółte zdeptane rżysko, Manuelowi ubył jeszcze i Edward. Na jego miejsce do ogłuchłego i zaniemiałego swą radiostacją czołgu przyszedł sierżant z tamtego czołgu po prawej — tam gdzie przeszedł Edward. Manuel go nie zna. Po odejściu Edwarda załoga czołgu jest zresztą bardziej zwarta — poza nim, Manuelem — sami podoficerowie. Mówią do siebie per Antoś, Felek, gwarą o wdziękach swoistej chropawej urody. „Wolno, Antosiek, wolniusieńko, na maluśkim gazie" płynie słuchawkami zlecenie do kierowcy. Manuel uśmiecha się. Kiedy to było? Ach tak, dwa dni temu. Na skraju tamtego lasu za St. Martin. On, Manuel, kazał jechać czołgowi „pelot" w którym był, przez las. Padały pociski, stawali się nerwowi. „Dalej, dalej", mówił Manuel. „Pan porucznik myśli, że czołg to taksówka, żeby po krzakach jeździł" — odgadywał kierowca. — Ale to było dawno. Dawno. Wszystko jest teraz dawno.

— Ale walą! — przechwytuje rozmowę z wieży.

— Żeby tylko motoru nam nie trzasnęli; już bez radia; nie byłoby nawet jak...

To są opiłki lęku. Czołg istotnie jest ślepy i niemy. Idzie tak jak idą inne czołgi plutonu — patrzy co robią inne. Nie słyszy i nie mówi. To prawda. Znad zamka bizy, którego działanie wciąż bada, Manuel patrzy przez lunetę. Pole, krzaki. Miedze. Jadą teraz znowu pod górę — lekki wskłon — Manuel odgaduje bardziej niż dostrzega, że zaraz znowu przegnie on się w dół. Próbuje odgadywać co będzie za tym nowym skrajem horyzontu — czy już jest. Nic. A może? Patrzy na zegarek. Dochodzi piąta. Myśli odruchowo: tea time. W mroku dzielą się z kierowcą manierką. W manierce jest kawa, i to nawet lepiej, cóż kiedy skwaśniała po sydrze. Ale, jakby nie było, od razu człowiekowi inaczej.

— Uważaj, Antoś, zjazd...

Przez celownik widać. Są na półkolistym wzgórzeniu, ale o kilkanaście metrów przed nimi jest linia krzaków. Może nowy rów? Jar? Dwa czołgi wparły się w coś — i cofają naraz, oba. Dlaczego tak naraz? Niestety, radio nie powie. W wieży, przez słuchawki idzie nowa rozmowa:

— Kiedy porucznik macha: „jechać!"...

— Jechać? Ano, Antoś, tak pod te krzaki. Tylko nie zaś za bardzo. Panie poruczniku? Tam jakby Niemcy uciekali... Nasz porucznik strzela.

Czołg zatrząsł się wstrząsem. Manuel wie. To działko z wieży. Jak wtedy, kiedy w tych, przed lasem, tamta rzeź... Teraz, już teraz. Manuel przywiera do karabinu maszynowego, rzęsami wparł się w szkło. Za czarnym krzyżem migają coraz bliższe gałęzie krzaków, prawie jak leszczynowe, Antoś najeżdża uważnie, powoli. Poprzez pręty leszczyny przebłyskuje łagodny stok — ścierń —

dalej, mniej wyraźnie — jakaś wtulona w grunt kępa drzew. Farma? Las? Nie widać. I naraz myśl: gdyby puścić wyłącznik?

Myśl nie ma nic wspólnego z krajobrazem do którego wolno, wolniuśko zbliża się czołg. Aby móc pociągnąć zamek ku przodowi Manuel musi nacisnąć taki nieznaczny metalowy wyłącznik. Wtedy idzie. Manuel naciskał go — ale co potem? Trzymać naciśnięty kiedy odciąga zamek? Zwolnić? Manuel naciska, trzyma naciśnięty cały czas. Odpala. Znowu jeden strzał. Ale teraz Manuel jest bliski, bliski odkrycia. (Krzaki są też coraz bliżej, musi być gorąco, wieża się trzęsie od pocisków działka, w czołgu u nich błękitno od gazów z odpaleń). Manuel nie patrzy nawet przez lunetę. Nie widzi nic co się dzieje *tam*. Ważnym dla niego jest jego broń i jej zagadka. Wolno, wolno, powtarza sam do siebie. Naciska zwalniacz. Pcha zamek do przodu. Tak! Wolno, wolno, wolno. Puszcza palec ze zwalniacza. Inaczej niż wtedy. Tak. Odciąga zamek; pocisk już w lufie. Tak. Teraz odpalić. I Manuel naraz wie, że teraz seria pójdzie niewstrzymanie, równo jak taśma, jak ścieg. Naciska języczek spustowy. Tak!

Po raz pierwszy Manuela nie boli nic, nie czuje nic, tylko pełno radosnej ulgi, jak tchu, w piersiach. Uśmiecha się do kierowcy i łowi w półmroku, w błękitnawych smugach gazów, uśmiech tamtego, rozumiejący, cieszący się wzajem. Manuel zwolnił spust, biza przestała strzelać, ale Manuel wie, że za pierwszym naciśnięciem pójdzie teraz dobrze. Kolanem wyczuwa, że torba płócienna na łuski staje się ciężka i pełna: już zdołała nabrzmieć. Nawet ta pełność podnieca. Czołg wstrząsł się nowym wystrzałem działka; i ruszył jeszcze naprzód. Przez celownik — Manuel ma teraz znowu wzrok w celowniku — widać jak rozchylają się bliskie, dotykalne gałęzie, spoza nich wyziera to pole i ludzie, ludzie w feldgrau zbiegający w dół na tamte drzewa. Są coraz dalej. Za moment będą w tych drzewach. Czołg wyjrzał za linię krzaków, odsłonił się zupełnie. Najlepszy moment — i ostatni. 400. Celownik 400.

I Manuel zaczyna prowadzić szeroko, z lewa na prawo, po linii biegnących. Nigdy żadna seria nie szła mu tak równo. Gdyby poszli bliżej czołgiem, wprost w to pole, dopadliby jeszcze! Prędzej, Manuel, prędzej. Seria wali równo, nieprzerwanie, za tamte wszystkie zawody. Jest tylko to. Tylko. Radość odzyskanej mocy. Aż...

Manuel przerywa ogień. Co się stało? Po tylu wstrząsach od strzałów działka nie zauważyłby nawet tego nowego wstrząsu. Nawet w części, w ułamku nie to, co wtedy kiedy stoczyli się w jar. Ale dlaczego naraz taka cisza? Motor stanął? Co to za ruch za nimi w wieży? Dlaczego kierowca...?

Kierowca jest najbliższy. Manuel patrzy na jedyną ludzką twarz dostępną jego oczom w ciągu tych długich godzin. Ręce kierowcy nerwowo wędrują w górę — szukają wyjścia — i naraz spotykają pytanie Manuela. Nie ma w nich już męki, jak wtedy, nie ma uśmiechu, ani potwierdzenia, ani podzięki, jest strach. Jego wargi i ręce drgają jednakim pospiesznym ruchem.

— Panie poruczniku! Wychodzić, wychodzić!

Manuel rozumie. Zresztą błękitnawe wybuchy z dna czołgu mówią więcej. W wieży ruch. Silne, jak może, pchnięcie lewej ręki. Otworzy się? Zatnie?

Ulga; otwarło się. W ten mały kwadrat nieba i światła jaki się rozwarł nad nim — nieco z lewa — wskakuje Manuel wślizgiem. Zawsze było to takie trudne, powolne — i Manuel zastanawiał się jak to będzie, jeśliby kiedy trzeba? Jakże łatwo! Wyskakując, Manuel pada, podnosi się. Stoi teraz naprzeciw czołgu, twarzą do jego boku, bokiem do krzaków, za którymi kierowca na poły w czołgu, coś woła, wyciąga rękę. Manuel podnosi ku niemu lewą rękę ruchem nad czołg. I wtedy...

Staje się to jeszcze szybciej, jeszcze nieznaczniej, niż tamto. Naraz jakaś MOC uderza czołg z przodu — tam gdzie siedzieli, tam gdzie miało przyjść opancerzenie dodatkowe z gąsienic niemieckich. (I tamten napis „Ankona"). Jednocześnie jakiś podmuch zakręca Manuelem, wywraca go na ziemię, wiatrem suchym ogłusza w usta. Manuel czuje jeszcze jak w jego bok, ramię podniesione i nogę chlasło jakby batogiem o ostrych rwących kolcach. Leży.

Pierwszym uczuciem jest nagły napływ ciepła. Jakieś ciepło, które w pierwszej sekundzie, nie wiedzieć czemu, wydaje się błogie, dobre, ale już w następnej jest żarem. Manuel rozumie, że gorąco idzie od czołgu; ale dlaczego? Dlaczego naraz czołg jest jak piec? Podnosi głowę; och! Uczuciem jakie podnosi Manuela na nogi jest przypomnienie tamtych, spalonych do połowy na węgiel, wyciąganych za karki ze spalonej maszyny. Nie, nie tak, nie tak. Manuel odbiega o kilka kroków. I przystaje nagle. Silnik mózgu poczyna działać na nowo, spokojnie, chłodno.

Czy można mieć na przestrzeni sekund myśli i obrazy, których opisanie zajmie całe minuty? Oczywiście, że można. I kiedy myśl Manuela na nowo poczyna działać, działa już metodycznie. Tylko skupienie myśli może mu pomóc. Manuel czuje, że jest ranny, ale iść *może*, Manuel rozumie, że od czołgu musi *odejść*. Ale Manuel wie, że amunicja — niebezpieczeństwo — zacznie wybuchać dopiero po kilku, kilkunastu minutach; *ma czas*. Grozi co innego. Manuel pamięta tych dwóch z czołgu podchorążego Możdżenia, którzy z palącego się już czołgu pobiegli wprost, nieprzytomni, ku Niemcom. I tamtego w lesie, co z innego płonącego czołgu skrył się wprost do wykopanej jamy; dwóch Niemców, jej „stałych lokatorów", podniosło na jego widok ręce do góry. (Ale, gdy wybiegł, strzelali). To wszystko uświadamia sobie *naraz*. Uświadamia sobie, że po godzinach w ciemni czołgu w jeździe tam i sam, wyskoczywszy, człowiek nie wie, gdzie swoi, gdzie Niemcy. Manuel staje i rozgląda się. Istotnie nie wie. W tej chwili zabolała go silniej ręka lewa. *Trzeba* iść. Dokąd! Kędy?

Pole jest istotnie dezorientujące. Jest wzniesienie, wielkie rżysko z trzech stron obramowane żywopłotami. Gdzie Niemcy? Gdzie las? Słońce? Powinno być między południem a zachodem o tej porze; a świeci teraz wprost w twarz Manuela. Musi on więc iść na lewo; tam jest zachód. Manuel patrzy na zachód i widzi puste, samotne pole, ugięte w dół na lewo. Tędy? Długa droga! Jeszcze jedno. Z prawego boku, z parcianej pochwy, Manuel odpina rewolwer. Myśli z gniewem że nie ma ładownic; ten gadatliwy leń, magazynier! („Po co panu porucznikowi? W plutonie oświaty?") Ach wy, pierniki biurowe! Potem będzie

w Londynie biegał za bohatera, magazynier. Gniew zawsze dobrze robił Manuelowi.

Patrzy w prawo. Na tej samej linii co czołg Manuela — tu, wzdłuż tych krzaków, ale o parę kroków przed nimi — stoją cztery czołgi. Nasze? Nasze. Są zwrócone frontem tak jak czołg Manuela — teraz tyłem do Manuela. Jeden z nich strzela poprzez te krzaki. Manuel ma nowe uczucie złości. Po cośmy się wysuwali tak, durnie? Było wleźć za najgęstszy krzak. Idzie. Widzi ludzi biegnących w kierunku tamtych czołgów. Są dużo przed nim. Z jego załogi? Nie dostrzeże. Pójdzie i on tam.

Zaczyna tedy iść tym ścierniskiem, pomiędzy rozrzucone z rzadka kopice. Teraz odszedł go wszelki niepokój. Od czołgu odszedł; iść może; wie gdzie swoi. Trzeba po prostu iść tym ścierniskiem. Nic więcej. Manuel czuje że staje się słaby, ale czuje też że dojść może. Nie będzie poniżenie leżał czekając czyjegoś zmiłowania. Rewolwer w ręce prawej dodaje pewności. Manuel idzie. Naraz coś z furkotem wylatuje spod nóg. Co to? Nieprawdopodobne, a jednak tak, to przysiadłe pod kopcem stadko kuropatw. Niskim lotem odfrunęły o sto kroków dalej i znowu zapadły na ścierń. Co im Manuel? Co im jakieś czołgi?

I naraz, po paru krokach, nie ma już niczego co teraz było. Nie ma wojny, nie ma czołgu, nie ma ciemności. Nie ma smrodu smarów i zacinań *bizy*, nie ma kierowcy Antosia, nie ma nawet Normandii. Jest tylko ściernisko puste po żniwach, kopce na których kłosami szeleści wiatr, letnie późne popołudnie, i spłoszone, spod nóg poderwane, szare stadka kuropatw. A może przepiórek? — zastanawia się idąc Manuel. Może przepiórek; był zawsze takim złym strzelcem. Lewa noga poczyna sztywnieć, rękaw drelicha lepi się czemuś i ciąży. Zmęczenie spokojne. Manuel idzie dalej.

Jest spokój, wielki spokój. Nie, nie ma wojny. W ogóle nie było wojny. Nie było tych pięciu lat. Jest tylko ścierń, — i taka sama ścierń była już kiedyś. I takie samo popołudnie letnie. Może to były pola Żabiej Woli, a może Sieciechowic, a może Grodowic czy Dermania? Manuel nie wie. Bywał zmęczony tak samo, ziemia rżyska była tak samo miękka; tak samo okurzone miał buty i tak samo był rad, że wraca. Miał broń u boku; inną, ale broń. W lewym ręku niósł czasem — och rzadko, jakiegoś ustrzelonego ptaka i ptak krwawił kroplami po zwisłej główce, po dziobie. Manuel nie niesie niczego w lewej ręce, ale ta lewa ręka ciąży mu jakby coś w niej niósł i jest, jak ptak ustrzelony, bezwładna. Od samego ramienia czuje teraz lepką mokrość, która powiększa się co chwila. Próbuje rękę podnieść. Nie może. Patrzy się na nią. Szary rękaw roboczy jest stargany w strzępy i tylko w przegubie dłoni opina ją ciasno. Po palcach, jak po dziobie ustrzelonego ptaka spływa ciężkimi pasmami gęsta, szybko schnąca krew. Ale Manuel patrzy na nią jakby to była istotnie krew ptaka, przepiórki jakiejś czy kaczki krzyżówki, wcale nie jego.

Czołgi ku którym idzie są daleko i Manuel czuje naraz jak między nimi a nim wyrasta taka mgła, która zaciera ich zarys i robi je jeszcze dalsze niż są. Senność zapada na niego, razem z tą mgłą, jak mrok, i Manuel mniej słyszy i słabiej widzi i to właśnie jest szczęściem najwyższym. Jest bowiem znowu

tylko to ściernisko którym idzie, i ma się pod wieczór, i na kopcach jakie mija osiada biało babie lato. I znowu nie ma Francji, ani Normandii, ani wojny: ani czołgów, ani lat emigracji, nie było nigdy Londynu, Narviku, Coëtquidanu: ale ot, takie polskie pola wczesną w słońcu jesienią. I naraz, Manuel uświadamia sobie, że *wie*. Tak, wie. — Znalazł się na przedprożu tego skąd się nie wraca, odmętu, który wcześniej czy później, w męce dłuższej czy krótszej pochłonie ich wszystkich. Manuel ma wrażenie wpółprzytomne naraz, że patrzy w głąb tego właśnie odmętu i widzi nie to co jest poza jego chłodnymi falami, lecz to co się staje gdy człowiek wkracza w ów nurt. On pierwszy wie to czego nie wiedzą żywi, co biorą ze sobą umarli. Oto wtedy, w owej chwili przedskonnej przychodzi Łaska. Manuel wie na czym polega owa Łaska, w swym zmiłowaniu zaiste bezmierna. Doznaje jej każdy żołnierz polski na obcych lądach i morzach ginący, walący się w dół z płonącym silnikiem Spitfire'a, Wellingtona, Mosquita. W owej chwili przedostatniej zamiera naraz sam ból, kończy się świadomość i pamięć. Nie ma wtedy ani pustyni libijskiej, ani lasów brzozowych Peczory, ani kazachstańskiego stepu, ani zdziwionych norweskich bladych nocy, ani białych urwisk Dovru, ani pszenicy normandzkiej, ani skał włoskich ani zmętniałej ciemno otchłani dalekich, łasych na żer ludzki, mórz. Wtedy, w owej chwili ostatniej, żołnierz ginący jest poza i ponad tym wszystkim, jest w tym co dla niego było ojczyzną, wraca cudem na ojczyzny łono. I to jest właśnie owa ostatnia, jedyna, a największa Łaska jaką Bóg ludziom tak dotkniętym jego gniewem zsyła. I to jest święta tajemnica polskich, żołnierskich śmierci. To jest ich Powrót.

Manuel jest słabszy, słabszy, nogi coraz głębiej zapadają w miękką glebę pola. Usiadłby tak pod kopką i odpoczął; ale przebłyskiem czujności wie, że tak by już został. Idzie. Ale w tej słabości ma spokój jakiego nie miał z dawna i szczęście jakiego z dawna nie doznał. Wie. Zna ową Łaskę. Teraz nie dziwi się, że wielu w walce szuka śmierci. Oni się spodziewają. Czują, że właśnie coś takiego jest i się staje. Manuel wie.

Z mgły jaka coraz gęściej nachodzi oczy, wyłania się naraz nadjeżdżający czołg. Jest strasznie nierealny.

Dobre oczy Edwarda są zdziwione i niedowierzające, kiedy Manuel uśmiecha się i zapewnia że nic, naprawdę nic mu nie jest.

(„Nowa Polska", Londyn, listopad 1944)

* * *

I

Na niebie rude żagwie —
Na wodzie złote żagle —
Gwiazda w zenicie.

W oknie — postać samotna
Którą smutek omotał...
Szlocha — widzicie?

Znikły żagwie rozwiane,
Zeszły żagle rumiane
Z falistej niwy.

Ty, coś w oknie zakrzepła,
Miej trochę dumy — nie płacz
W Czasie Wzgardliwym!

II

Spadła gwiazda przez niebo,
Z rezygnacją swą niemą,
W przebiegu krzywym...

Wśród innych gwiazd powodzi
Nie płacze, nie dochodzi
Niebiańskiej krzywdy.

Możesz się od niej uczyć,
Gdy bez buntów i uczuć
W smudze dogasa —

Gdyż nie ma w świecie miejsca
Dla płaczącego serca,
Tego pariasa...

1945

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH

Na białej poduszce, pod pledem,
kończą się smutki.
Tydzień ma całych dni siedem
i siedem nocy zbyt krótkich.

Mary senne, nostalgię kojące,
od nieczułej ważniejsze są jawy.
Gardzę wami, codzienne sprawy,
dnie tutejsze, tygodnie, miesiące.

Świat mój własny, bezsilny, bezradny,
sny jedynie ma ku pomocy.
W Labiryncie, nić Aryjadny
świeci po nocy...

W głodzie serca, wśród granic i gromów,
nieistotną żywię się manną.
Pod poduszką mam świat mój i dom mój — — —
Raj — i chustkę na łzę poranną.

Leżysz, Polsko, pod moją poduszką,
jak w dzieciństwie ukochana książka.
Pragnę czytać, czytać całą duszą.
. . . . . .

I już słowik na Bielanach zakląskał —
Już i Wisła — już krakowski klimat —
już tramwajem dzwoni Zwierzyniecka —
już dom widać, ten, z którym od dziecka
związaniśmy jak muszla i ślimak —

Potem budzik — potem światło w oczy —
Żegnać muszę odzyskany eden.
Dzień mój potrwa do dziesiątej w nocy —
tydzień ma całych dni siedem...

1944

SUSANNE

(FRAGMENT POWIEŚCI „JEZIORO BODEŃSKIE")

Z Susanne mogę się widywać tylko kiedy wachtuje wachmeister Heimer.

Susanne nie ma więcej niż 21 lat, ale to nie dziewczyna. Jest dojrzałą kobietą. Wskazują na to jej fiołkowe oczy, pozbawione niespokojnych błysków rodzącej się ciekawości przeżyć i ograniczone, spokojne ruchy, które z nieopanowanych rytmów wyzwoliły poznane tajemnice ciała. Całą postać Susanne osłania szata pobłażliwego rozsądku przetykana nitkami goryczy. Zdążyła już w swoim wieku wyjść za mąż z wielkiej miłości i zdążyła zaznać rozpaczy powolnego zniweczenia jej w pożyciu domowym. Susanne jest rozwódką. Tkwi w tym wszystkim niezgłębiony smutek przedwczesnej utraty, powaga osierocenia uczuć zanim dojrzałość może dać jakieś zadośćuczynienie. Jak dzieci opłakują śmierć rodziców, którzy i tak kiedyś by zmarli, tak opłakujemy przedwczesny zgon przeżyć. Ale Susanne nie śpiewa jeszcze swemu sercu żałobnej pieśni. Moc przeżycia nie skonała w niej ze szczętem, drzemie w letargu, czekając nowego przebudzenia. Czeka jak na ową misę, którą podają wokół stołu na uczcie. Epiktet nakazuje czekać: „Sięgasz i nabierzesz sobie skromnie; misę niosą dalej: nie zatrzymuj jej i jeśli jeszcze nie przyszła do ciebie, to nie zwracaj dalej pożądania ku niej, lecz czekaj aż nadejdzie twa kolej".

Nie od razu poznałem Susanne. Wieczorem, gdy przybyliśmy do naszego obozu, nie było jej wśród sennych postaci, które wyległy z łóżek w nadziei, że przybyłe z zewnątrz nowe zjawy rozproszą choć na moment ograniczony w zdarzeniach sen obozowego przymusu. Wyciągali chciwie ręce do obnoszonej przez przygodę misy i pragnęli czerpać z niej czym prędzej, póki zmożona jednostajnością korytarzy szkolnych nie zaśnie wraz z nimi. Ale pomna nauk Epikteta Susanne pozostała w swoim łóżku, czekając po stoicku aż kolejnym łańcuchem przypadków podsunie jej los misę zdarzenia. Kto wie, czy nie byłoby dla niej lepiej, gdyby była ukazała się wraz z innymi. Możliwe, że cała mądrość stoicka nie jest niczym innym jak szukaniem usprawiedliwienia dla własnej tchórzliwości i bezsiły życia.

Wieczoru owego nosiłem w sobie nasiona zdarzeń, ale nikt, kto mógłby je podjąć i wyhodować, nie wyszedł naprzeciw mojemu losowi, więc obumarły zanim mogły się narodzić. Owego wieczoru być może na skutek spiętrzenia nieoczekiwanych przeżyć, doznałem na moment wrażenia, którego rzadko w ży-

ciu się zaznaje: świadomość otaczającej rzeczywistości wydała mi się czymś uchwytnym, o kształtach trwałych i nieprzemijających. Poczułem na sobie moc niezrozumiałej wieczności, jej niewzruszoną statyczność, na tle której mknę, obarczony okularami czasu, niby podróżny pędzący konno przez puszczę, któremu wiekowe drzewa zlewają się w pędzie w jedno ciemne tło. Pęd ten jakby wstrzymał się na moment, ukazując zarysowujące się w ciemni niezniszczalne kształty rzeczy, okulary spadły z oczu i czas rozpłynął się w wymiarach wieczności...

Owe chwile krótkie, jak westchnienie Boga, poprzedziła niezrozumiała męka nagłego skurczenia wolnej przestrzeni do sześciostronnych wymiarów celi więziennej. Zatrzasnęły się za mną żelazne drzwi i spojrzało bezwzględne oko „judasza". Efekt pełen dramatycznej paniki sekund, niesprawiedliwie strywializowany przez literaturę i kino. Dźwiękowej sekundzie trzasku drzwi celi akompaniuje równy w długości trwania akord wewnętrznego krzyku, złożony z panicznych nut rozpaczy, protestu i zdumienia, które mkną ku głębiom szaleństwa. Na samej granicy powstrzymuje je wpadające nagle i otrzeźwiające prostotą pytanie: dlaczego to się stało? Pytanie jest proste, ale odpowiedź na nie trudna. Trzeba spoglądać wstecz, chwytać różne porwane wstrząsem nici, rekonstruować minione fragmenty przeżyć i ta praca umysłu tak absorbuje, że w tym czasie świadomość staje się niemal niepomną rzeczywistości, a kiedy powraca do niej, bakterie przyzwyczajenia rozpoczynają już w organizmie swoje powolne działanie. Gdy zdołałem się już więc pogodzić z losem, pojąc się pociechą, że bądź co bądź, mimo iż odgraniczony murami, znajduję się wśród swoich i oddycham tym samym co oni powietrzem, począł się czaić ku mnie nowy niepokój: tutaj los mój wobec bliskości własnego życia był tylko jakimś prowizorycznym przestawieniem, przewekslowaniem wagonu na ślepy tor, w obrębie rodzimej stacji kolejowej, ale cóż będzie, jeśli, jak chodzą słuchy, wywiozą nas gdzieś dalej, w obcy kraj? Myśl ta przejmowała mnie strachem i rozpaczą. Obawiałem się tych obcych torów, po których zacznie się toczyć kolej mojego życia, na których, być może, nie napotkam żadnej węzłowej stacji z ojczyzną moich ustalonych przeżyć i pędzić będę znikąd i donikąd jak pociąg widmo, nieoznaczony w żadnym rejestrze i nieprzewidziany w żadnym rozkładzie jazdy. Pisałem naglące listy (skrzynką pocztową był mi termos, przesyłany w dozwolonych koszykach z jedzeniem, które potem odsyłałem), aby robiono starania o zwolnienie mnie, nie ze względu na to, że jestem uwięziony, ale w obawie przed wywiezieniem. Ześrodkowałem na tej obawie całą moją świadomość, że aż separowało to mnie od rzeczywistości więziennej i, być może dzięki temu, znosiłem ją lepiej niż inni.

I gdy pewnego razu zawołano nas do kancelarii więziennej gdzie urzędnik gestapo oznajmił nam, że następnego dnia będziemy przewiezieni do Konstancji nad jeziorem Bodeńskim, po błysku najsprzeczniejszych uczuć doznałem radosnego podniecenia. Odsłoniła się nagle kotara, dzieląca mnie od chłopięcych marzeń o przygodach, podróżach i nieznanych krajach, o nowych ludziach i okolicznościach, które dają człowiekowi możność przedzierzgania się w nową

postać i odpoczywania od właściwego swego oblicza. Ta nagła zmiana uczuć nie wydaje mi się dziś niczym dziwnym.

Arystoteles niesłusznie gromi Eurypidesa, że ten niekonsekwentnie zbudował postać Ifigenii w „Ifigenii w Aulidzie", która, błagająca na początku tragedii o litość, niepodobna jest do późniejszej, idącej dobrowolnie z bohaterstwem i pełną świadomością poświęcenia na ofiarę. Należy się obawiać, że ów wielki mąż, zbyt wysoko wzlatując na skrzydłach boskiej logiki, zatracał czasem horyzonty ludzkiej duszy! Prawdą jest, że Ifigenia w pierwszej części tragedii buntuje się przeciw nonsensowi składania swojego młodego życia w ofierze bogom, że błaga o litość, wzrusza, chwyta się wszelkich sposobów, by uniknąć przeznaczonego losu. Ale gdy wszystko zawodzi, kiedy nawet Achilles, który tak się zarzekał, że do tego nie dopuści, oznajmia, że sytuacja jest diablo trudna i tylko nie chcąc, by go miano za papinka, podtrzymuje miękko swoją poprzednią postawę, dając delikatnie lecz wyraźnie do zrozumienia, że najlepszym (dla niego! pewnie!) wyjściem z zawiłej sytuacji byłoby jednak poddać się woli ojca,— gdy Ifigenia widzi, że nic już jej nie uratuje przed złożeniem swego młodego ciała w ofierze bogom, wówczas nie pozostaje jej nic innego, jak obranie sobie najwłaściwszej i najdogodniejszej drogi do stosu ofiarnego. Iść w strachu, w dalszym ciągu wzbudzając litość i wzruszając, nie warto, bo już i tak nic nie pomoże, a przy tym młodej i pięknej córce wodza byłoby w tym nie do twarzy. Wywołuje więc w sobie, jako samoobronę przed szpetotą ostatecznego popadnięcia w grozę i załamanie duchowe, kontruczucie bohaterstwa i poświęcenia i wstępuje na stos z podniesionym czołem i świętym przekonaniem, że ostatecznie ona zwyciężyła los, a nie los ją. Tak, nie mogąc już ratować swego ciała, ratuje przynajmniej ducha.

W ten sam zapewne sposób ja, nie widząc możności uniknięcia swego losu, znalazłem w sobie najdogodniejszy sposób zniesienia go i mogłem święcie wierzyć, że los ów jest przeze mnie pokonany.

Miarowo rozszerzał się horyzont ściśnięty do więziennej celi. Kancelarie i pokoje urzędu więziennego, do których przywoływano nas dla spełnienia różnych formalności, posiadały pluszowe kanapy, ścienne zegary, kalendarze z kolorowymi paniami pod parasolem, palmy w wielkich donicach przy oknie, drewniane posadzki i drzwi, które zamykały się i otwierały na klamkę, stosownie do woli i potrzeb działających osób. Te rekwizyty obmurowanych przestrzeni, służących dogadzaniu ludzkim potrzebom, a nie karalnemu ograniczaniu, rozkurczały ściśniętą sześciostronnie świadomość, która wybiegała poza nie, w labirynty ulic, po których biegają ludzie, (w razie deszczu pod parasolami i w nieprzemakalnych płaszczach, chroniących ich ciała przed wilgocią) ginąc czasem w otworach budynków, aby zaczerpnąć z ich urządzeń łazienkowych, salonowych, jadalnych i estetycznych głębokiego oddechu materialnych i idealnych potrzeb i ukazując się znowu na zewnątrz, stosownie do swych zamierzeń i woli. Wizja ludzi, kursujących labiryntami ulic wzbudziła znów tęsknotę ruchu, zahamowanego przez statyczność idei celi więziennej, niby świąteczny pierog, nadzianej człowiekiem. Była to kinematograficzna tęsknota przesuwania się obra-

zów z całkowitą aprobatą wymagań teorii względności, tj. obojętnością wobec okoliczności, czy obrazy same przesuwają się w istocie, czy też przesuwanie ich jest złudzeniem wobec własnego przesuwania. Ta tęsknota szybko została zrealizowana. Posadzono nas w zielonym policyjnym aucie, na siedzeniach podobnych do ogrodowych ławek i ruszyliśmy na stację rozdzielczą w Grochowie, aby tam, wolni od niebezpieczeństwa chaosu dworca kolejowego, wsiąść do specjalnie przygotowanego dla nas pulmanowskiego wagonu III klasy. Tymczasem przed moimi oczami przesuwa się Warszawa. Pora przedwieczorna, deszcz mży, ulice niezrozumiale puste o tak wczesnej jeszcze godzinie. Nie wiadomo, czy ludzie kryją się przed grozą łapanek, czy też uprząta ich sprzed moich oczu wyzierająca ponad czas ciekawość obcego miasta. To jest obce miasto, choć dziwnie znajome. Wspomnienia rzeczy doznawanych w dzieciństwie czy też oglądanych tylko fotografii. Fotografie są zamglone starością. Ulice są zamazane deszczem. Miasto żyje innym czasem niż ludzie. Chwile, z których składa się czas miasta nie giną z oczu na taśmie przemijania jak chwile ludzkie, ale narastają jedna po drugiej. Nie, ja to miasto znam: tu się urodziłem i tu żyłem. Tylko, że teraz coś się pokręciło. Narastające chwile przemieszały się i poukładały w złej kolejności. Jest coś, co przeczy zdrowemu rozsądkowi: nie wyjechałem stąd jeszcze, a już miesiąc mnie tu nie ma. A teraz wyjeżdżam stąd. Wyjeżdżam skądś, gdzie wcale nie jestem. To, że przejeżdżam tymi ulicami jest tylko jakimś niedopatrzeniem czasowo-przestrzennym, doganianiem zdarzeń dawno dokonanych. Plac Teatralny. Leżąc na wielkiej kanapie w stołowym pokoju oglądam czerwony album, na którym wypisane jest złotymi literami: Album Warszawy. Fotografia jest zła. Teatr Wielki wygląda jak jakieś ruiny. Z tramwaju wyprzężono konia. Zegar na ratuszu wskazuje ósmą, ale nie widać ludzi, którzy by spieszyli do teatru. Ale, ale. Przecież to jest ta wojna, a nie tamta! Ta? To znaczy która? Rosyjsko-japońska? Nie, a może prusko-francuska? Czy też po prostu wojna napoleońska? Ależ nie, to jest ta wojna! Która? No, ta, wrześniowa. Przepraszam, nie znam. Przewracam kartkę. Plac Zamkowy z widokiem na most Kierbedzia.

Warszawo! ach, któryż to raz
Od murów twoich biegłem precz —
W oddali nikł Zygmunta miecz,
Zamek królewski, Nowy Zjazd...

Nagle, niby w orkiestrze, gdzie puzonista przewracając stronicę natrafia na zamieszaną kartkę z innego utworu i z rozpędem bierze nutę, którą widzi przed oczyma, wpadając niespodziewanym fortissimem w spokojne piano reszty orkiestry, wyrywa się ze mnie spazmatyczny krzyk żalu i milknie. Auto posuwa się szybko w kierunku Grochowa, jest już daleko za mostem Kierbedzia. Okrzyk pozostaje w tyle, dzieli go teraz ode mnie mgła unosząca się nad Wisłą. Puzonista dostrzegł omyłkę, odnajduje właściwą kartkę i powraca w zmąconą przez siebie harmonię.

Deszcz mży. Na zachodzie lekko się przejaśnia; w każdym razie różowy odblask chmur wskazuje, że gdzieś tam zachodzi słońce. Stoimy przed wagonem na stacji rozdzielczej. Dokoła szeroki horyzont; naturalnie wytwory przyrody: drzewa, pola, łąki pomieszane z pogubionymi częściami miasta, które jakby uciekają ku zachodowi; wysoki komin fabryczny, wieża kościoła wśród drzew, zwrotnice i sygnały kolejowe. Wszystko zaplątane i zamaskowane niewolą prawa perspektywy. Z biedą można by teraz uciec, ale nie pozwala na to brak jakiejkolwiek racji wewnętrznej. Nie może się nic odmienić: gdziekolwiek i jakkolwiek daleko się ruszysz, zawsze będzie cię więzić koło horyzontu i zawsze będziesz w złotym środku tego koła. Perspektywa może się odkształcić, ale nie uwolnisz się z niej. Poza koło horyzontu nie ma ucieczki. Wszystko jest uwięzione w kole horyzontu, nie ma ucieczki, trzeba wsiadać do wagonu.

Pociąg rusza, deszcz przestaje mżyć, sytuacja zasadniczo się odmienia. Pęka nagle brzemię niewoli. Znosi się z zasadniczą ideą wagonu kolejowego w biegu, ideą uwięzienia. W tej chwili każdy z nas nie jest bardziej ograniczony w ruchach i woli niż przeciętny pasażer kolejowy. Na czas podróży fakt uwięzienia staje się formalnością bez znaczenia. Ludzie wyciągają z walizek paczki z jedzeniem, zajadają kanapki, popijają herbatą z cytryną, nalewając ją z butelek po winie do szklanek z grubego szkła z napisem „Odol". Skandowany odgłos kolejowo-podróżny, gul-gul-gul nalewanej herbaty z trzęsącej się butelki do trzęsącej się szklanki. Ktoś odświeża sobie twarz wodą kolońską. Zapach miesza się z zapachem dymu. Koła dudnią, ręce w rękawiczkach poprawiają walizki, ściemnia się. Ludzie chowają paczki i walizki, wyciągają jaśki i poduszki, niektórzy nakładają nocne pantofle. Gaśnie światło, zapala się niebieska lampka, milkną rozmowy, ciała trzęsą się jak galareta. Wyjaśniło się niebo i świecą gwiazdy, miga daleko zapalone w chacie światło. Szary dym lokomotywy mgli gwiazdy. Gwiżdże pociąg.

Potem Wrocław, Drezno, Monachium. Przedziera się mapa i ukazuje zamiast kresek i kolorów żywe krajobrazy. Punkciki otoczone kółkiem rozrastają się w domy i ulice. Więc jednak! Więc jednak to nie tylko na mapie, no, no.

Nazwy mijanych miejscowości niosą omszały zapach z piwnicy dawnych zdarzeń. Elektorowie sascy i Lola Montez. Dwory, nadworna muzyka i nadworni kapelmistrze, Wolfgang Amadeusz. Nocne serenady dźwięcznych podwerców i karety zaprzężone w wiele koni. Peruki i koronki, huk armat hałaśliwego Napoleona. Spojrzenie, twarz ukazująca się przelotnie w mroku zza firanki w barokowym oknie; przebiegły dyplomata czy skryta kochanka? Przy tym, jak wszędzie, dużo Polaków i dużo Polski. Ból i cierpienie wolnej duszy ograniczanej i więzionej przez materię. Beznadziejna i zwycięska klęska, walka o wyższą rację ducha. Dezaprobata spraw doczesnych póki służą ograniczaniu wolnościowych funkcji ducha. Rozwłóczone po wszystkich krajach przez pielgrzymów, którzy dla prawdy duszy pozwalają katować i rozrywać własne ciało. Memento mori. Daremnie! Za dużo na świecie huku i za dużo dyplomatów spoglądających chytrze, w mroku zbrodniczego egoizmu zza firanek macchiavelicznych okien. „Dziady drezdeńskie" i „Pan Tadeusz", Grottger

i wiele, wiele polskich dusz, studentów, tułaczy, wygnańców, pokutujących wśród obcych murów za grzechy świata.

Bezbrzeżny horyzont geograficznych objawień, pełen podarków wysypujących się z worka historii, zaczyna się znów ścieśniać. Wyrastają przed oknami wagonu zielone ściany, pociąg popada raz po raz w ciemności tunelu, nazwy miejscowości zaczynają się na Hoch a kończą na au. To wąwóz, to wzgórze. Prostota szyn kolejowych gnie się w łuki. Pociąg kołuje i kręci serpentynami, jakby chciał zagubić ślad przed kimś goniącym i ze strachu straszliwie gwiżdże. Zielone ściany rozrastają się, nadymają, pęcznieją skałami i pękają w szczeliny i wąwozy, rozszarpują się wierzchołki iglastych drzew. Mży deszcz, chmury przelatują nisko, wieje nudą deszczowych wakacyj w Jaremczu.

Ogarnia senne znużenie spowodowane dwoma nieprzespanymi nocami. Oczekiwanie, że lada moment wrogie horyzontowi zgarbienia geologiczne wygładzą się w hen — przestrzenny rozmiar jeziora, odpędza sen. Trzy niegdyś pełne chwały i blasku państwa: Bawaria, Wirtembergia i Badenia, dziś prowincje w służbie szatana, czołgają się w tym samym co i my kierunku, by napić się wody z jeziora Bodeńskiego i głowa przy głowie, cichym szeptem, by nie usłyszał ich strzegący szaleniec ze swastyką, pogwarzyć tęsknie o dawnych dniach. Jednak prawdopodobieństwo ukazania się jeziora jest bardzo nikłe w ramach takiego geologicznego nastroju. Za trzy kwadranse powinniśmy być w Lindau, gdzie przesiądziemy się na statek, pociąg nie jest spóźniony, a tymczasem wszędzie dokoła panuje napięta atmosfera zielono-skalno-mrocznego tłoku, ścisku, rozpaczliwego rozpychania się łokciami i wspinania na palce, aby zaczerpnąć choć w górze trochę przestrzeni. Myśl, że gdzieś obok tuż miałaby być swobodnie i nieograniczenie rozparta przestrzeń jeziora, wzbudza uczucie pełnego oburzenia protestu przeciw geologicznym niesprawiedliwościom. Pojęcie przestrzenności i gładkości nie mieści się w tej atmosferze ściśnienia. Wydaje się, że gdyby miało do czegoś takiego dojść, odbyłoby się to wbrew wszelkim prawom naturalnym i przeciwko właściwościom asymilacyjnym umysłu ludzkiego, który musiałby katastrofalnie eksplodując, utracić moc czynnego działania, niby człowiek tracący wzrok przy nagłym wyjściu na słońce po długotrwałym przebywaniu w ciemności. Już sam wyraz: statek, pojęcie czegoś przesuwającego się bez terenowych przeszkód i w dowolnym kierunku jest w tych okolicznościach czymś niemal nieprzyzwoitym, niby beztroska piosenka śpiewana w ciszy klasztornego ogrodu, wzbudza skojarzenie elementów nieproporcjonalnych, jak sosna zamiast kitki przy kapeluszu myśliwskim, albo wieżowy zegar na breloku w kieszonce kamizelki. Na Boga, maszynista musiał się pomylić, kierownik ruchu na którejś stacji nie dopatrzył należycie kierunku i wysłał pociąg w okolice odmienne od ostatecznego celu podróży. Tutaj nie ma żadnych możliwości na jezioro, ani nic podobnie gładkiego i rozległego. Ach, senność, senność ogarnia. Może dlatego droga tutaj jest tak długa, wiedzie przez dwie nieprzespane noce, aby gwałt kontrastu, którego ofiarą padłby podróżny, mógł się dokonać poza jego świadomością, osłoniętą snem? Ludzie drzemią, kiwają bladymi i zmiętymi twarzami, niby człowiek uporczywie cze-

muś zaprzeczający. Od czasu do czasu rozwiera się raptownie jakieś oko, spogląda przez moment z nieprzytomnym wyrazem bezrozumnego zdumienia, potem jakby z dezaprobatą otaczającej rzeczywistości, bladej i zmiętoszonej, czym prędzej się zamyka. Postanawiam za wszelką cenę czuwać, aby podejrzeć w jaki to karkołomny sposób odkształcenie ścieśni się w rozprzestrzenienie, ale ciągle nie bardzo wierzę, żeby to mogło istotnie nastąpić. Lecz co to? Nagle pociąg przyspiesza biegu. Jak dotąd sapał, męczył się i wił, usiłując niezdarnie wdrapywać się pod górę, tak nagle rzuca się z westchnieniem ulgi w opadające łagodnie zbocze i rzeźko podzwaniając kołami pędzi radośnie przed siebie, niby starzec ku wspomnieniom młodości. Miarowo poczynają opadać wzdęcia terenu, zarastają blizny szczelin i wąwozów, goją się liszaje skał, zielona nić trawy zszywa poszarpane iglastymi drzewami zbocza i znów przed oknami wagonu wyrastają zielone ściany. Przestaje mżyć. Chmury unoszą się i rozciągają, przechodząc z szarości w świeżą biel. Jakiś swawolny promień słońca przebił cienką warstwę chmur i otoczył medalionem światła samotną kozę oraz parę gałązek krzaka. Zielone ściany robią się coraz niklejsze, wątleją i wydłużają się. Ponad nimi rozciąga się swobodny okrąg nieba. Jeszcze nie można dojrzeć co jest za nimi, ale czuje się doskonale, że może być tylko jakaś przestrzeń. Lżej się robi na sercu, ścieśnienie jest już tylko przeszłością. Z prawej strony zielona ściana tak się obniża, że można zobaczyć rozległy krajobraz nieokreślony w rodzaju, bo przydymiony światłem przedwieczornym; jakiś obszerny mglisty dywan, podszyty smugami bronzowymi, zgniło-zielonymi i sinymi, zlewający się z niebem czarnym pasmem, co do którego spierają się przebudzeni i nienaturalnie nagle ożywieni podróżni, czy jest to Szwarcwald czy Tyrol? W powietrzu czuć świeży, wilgotny chłód. Zakręt. Już, teraz otworzy się przed nami jezioro. Nic podobnego. Znów zielone ściany. Za następnym zakrętem nagły szklisty błysk. Jest. Nie, to tylko kałuża deszczu. Ogarnia zniecierpliwienie. Jezioro, przed chwilą tak niemożliwe i niesłychane, staje się niecierpiącą zwłoki koniecznością. Nastąpiło to mocą stanów przejściowych, łączących ze sobą wszelkie niepodobieństwa, skrajności i sprzeczności. Nagle, nie spostrzegłem nawet jak i kiedy się to stało, jedziemy wzdłuż wybetonowanego kanału, na którym kołyszą się barki, po jego drugiej stronie wyrastają domki z ogródkami, okolone drucianą siatką, mijamy jakieś koszary, jakiś gmach urzędowy, nie zatrzymując się przejeżdżamy stację, na peronie której stoi uczeń w okularach, zawiadowca stacji i pani, strofująca dziewczynkę z lalką; na koniec zatrzymujemy się nad samiuteńkim jeziorem na betonowym molo, przy stacji wyglądającej jak zakłady kąpielowe, która jest jednocześnie stacją kolejową żeglugi. Ludzie rozpychają się przy oknach i spoglądają niemo w wodną przestrzeń, zamkniętą na dalekim horyzoncie monumentalną siną sylwetką alpejskiego łańcucha gór. Ten łańcuch górski nie ma nic wspólnego z przebytą niedawno atmosferą ścieśnienia, jest rozległy i przestrzenny jak jezioro i jak ono, rozprężając umysły, pobudza je do tęsknoty za nieograniczonością. Tymczasem każą nam wysiąść z pociągu i przesiąść się na statek. Woda chlupoce o zbutwiałe belki, chyboce się mostek. Wzrok raz po raz zawrotnie

przecina w najrozmaitszych kierunkach niebo, ciemno-wodną kulę, na dnie której poruszamy się jak muchy załapane w szklankę. Senne znużenie zamazujące rzeczywistość, miesza się z wewnętrznym ożywieniem. Oślepia nagle krwawo-pomarańczowy blask słońca, który osłaniają tuż nad horyzontem rozpierzchłe chmury, kładąc wzdłuż jeziora złoty chodnik, pocentkowany ciemnymi smugami marszczącej się powierzchni wody. Wieczór, w przeciwieństwie do dnia, pokrywającego naturę jednym tonem światła, rozgranicza kolory, wyodrębniając i uwypuklając każdy: granatowy masyw północy, różową biel zaśnieżonych szczytów alpejskich i wszystkie możliwe barwy na niebie i wodzie. Kolory świata poukładane są obok siebie niby w prospekcie fabryki farb. Cała kula, czarnoksięska, usprawiedliwiona mocą stanów przejściowych, znów zaczyna umykać rzeczywistości. Zawieszona wysoko, wysoko nad poziomem morza, zawiera w sobie treść wszelkich krajobrazów ziemskich, naturalnych i sztucznych, ale idąc jakby poza ziemię, w innym wymiarze tworzy krainę baśni, w której wszystko może się wydarzyć. Chciałoby się za wszelką cenę zebrać i uporządkować myśli, ale to nie jest możliwe. Ściśnięte do granic możliwości, a potem rozprężone nagle, wylatują z głowy, zabierając ze sobą pamięć i świadomość zdarzeń. Statek płynie, ciało omdlewa sennym znużeniem, wewnętrzne ożywienie wzrasta. Zahamowana czynność myślowa wzmaga działanie zmysłów, przez które przebiegają bezpośrednio wrażenia świata z całego życia. Nie myślę, więc nie jestem. Jest tylko to, co się wkoło mnie roztacza. Ach, nie, nie! Nie myślę, dlatego tysiąckrotnie bardziej jestem. Tylko ja jestem, wszystko wokoło jest moim odbiciem. Coraz ocierają się o duszę krajobrazy od dawna znane, ale nigdy niezrealizowane wymiarami świata. To obudzone wspomnienia rzeczy widzianych w dzieciństwie, gdy patrząc nie pomaga się sobie myślą, gdy wszystko jest światem niesklasyfikowanym geograficznie ani zakwalifikowanym geologicznie — przewalającą się rzeką wszelkich możliwości. Okręty spływają do pomostu w Sopotach z mgieł północy, zatrzymują się abym mógł na nie popatrzeć i płyną dalej, aż do horyzontu, pomazanego czarnym i granatowym atramentem. Tam morze się kończy, ale płyną dalej. Widać jeszcze światła, płyną w powietrze, żeglują w przestrzeni, zawieszonej w niebie. Ach, popłynąć kiedyś wraz z nimi i dowiedzieć się ‚gdzie ta przestrzeń jest zawieszona. Już wiem teraz. Moje okręty pływają w tej oto czarnoksięskiej kuli. Budzi mnie z zamroczenia nagły ruch, płyniemy wzdłuż jakichś ogrodów. Wszystko wokoło pokrywa mrok. Usiłuję uchwycić rzeczywistość, ale co właściwie jest rzeczywistością? Chyba ten mokry powiew i świadomość, że skądś dokądś jadę. Ale skąd i dokąd? Niby wiem, ale jakoś mnie to nie dotyczy, jest dalekim wspomnieniem. Wszystko jest wspomnieniem. To co się w tej chwili snuje, też jest wspomnieniem. Nie ma nawet żadnej teraźniejszości, z której można by wspominać. I teraźniejszość jest wspomnieniem i wspomnieniem jest to, co za chwilę się stanie. Statek przybija do mola. Wysiadamy nakryci płachtą z gwiazd. Z nadbrzeżnej kawiarni, ledwie oświetlonej, dochodzą dźwięki muzyki. Daleki zegar bije godzinę. Coś za chwilę musi się stać, coś musi się stać. Jeszcze nie, ale za małą chwilkę. Trzeba jeszcze przebyć jakiś ułamek czasu,

trzeba jeszcze wydobyć na jaw parę wspomnień, a potem nastąpi olśnienie, zdarzenie, które przekreśli wszystko co było, co będzie, a pozostawi wieczną teraźniejszość. Mkniemy autem wśród ciemnych ulic, coraz bliżej, coraz bliżej. Wysiadamy. Wchodzimy do gmachu szkoły. Już, już. Przebiegam korytarze, witają nas chłopcy i dziewczęta, angielscy i francuscy. Zaraz rzeczywistość się zawali i okaże się, że wszystko co dotychczas było, było złudą i okaże się coś nowego, nowy „ja" wszelakich możliwości. Zaraz, zaraz coś się stanie... Ale nie stało się nic, ani tego wieczoru, ani żadnego innego. Poszedłem po prostu spać, bardzo zmęczony. A gdy na drugi dzień obudziłem się, kula czarnoksięska musiała pęknąć w czasie mojego snu, bo nie było nic prócz świadomości ograniczenia, pokrewnego warszawskiemu, może tyle, że nieco rozleglejszego.

Susanne nie ma więcej niż 21 lat, ale nie można się w niej doszukać niczego z dziedziny płochości dziewczęcej, która mogłaby upoważniać do łatwego nawiązania znajomości. Tutaj można podejść do każdego do kogo się chce, pozdrowić grzecznie, spytać skąd pochodzi, jakie losy go przywiodły; jest to naturalne a nawet właściwe, nie ma w tym żadnej agresji ani zuchwałości, do każdego zbliżenia upoważnia międzynarodowe koleżeństwo niewoli. Ale do Susanne nie można. Właściwie inni mogą, tylko specjalnie ja nie mogę. Podoba mi się tak bardzo, że obawiam się, że w moim zbliżeniu musiałoby być coś jaskrawo odbiegającego od koleżeństwa, co mogłoby ją obrazić. Susanne pewnie to odczuwa, bo chodzi zawsze z książką, którą się skrywa przede mną, ilekroć przechodzę. Przechodzę często i zupełnie mimochodem. Ludzie przechodzący tutaj obok siebie niekoniecznie pozdrawiają się albo uśmiechają się do siebie, ale w każdym razie nawiązują między sobą obojętny kontakt mijania. My oboje mijamy się tak, jakby nikogo nie było, jakby szło się samemu pustym korytarzem. Czasem robię się zuchwały. Przy obiedzie staję w kolejce po zupę umyślnie za Susanne i rozmawiam nienaturalnie głośno i dowcipnie z sąsiadem, innym razem, przy zmywaniu talerzy, trącam ją niby niechcący łokciem i mówię najbardziej zdawkowo jak mogę: pardon. Pewnego dnia zdobywam się na niesłychaną bezczelność i po kolacji, gdy policja zwraca mniejszą uwagę na przestrzeganie pory spacerowej, przysiadam na brzeżku ławki, na której siedzi Susanne z książką. Pogwizduję cicho i trzymam ręce w kieszeni. Choć nie patrzę na Susanne, czuję doskonale, że zatrzymała się przy jakimś wyrazie i tylko udaje, że czyta dalej. Jestem zły na siebie i nie mam wątpliwości, że Susanne uważa mnie za natrętnego zuchwalca, ale wstać teraz byłoby jakąś nieprzyzwoitą manifestacją. Męczymy się oboje, ale widocznie ją więzi też ta sytuacja, bo nie odchodzi. Zerkam na nią spod oka: jest cała czerwona i nieruchomo wpatruje się w jeden punkt na stronicy książki. Odczytuję tytuł — Schopenhauer: „Les fondements de la morale". Nie wiem nic o Schopenhauerze, ale to nazwisko kojarzy mi się z jakąś beznadziejnością duszy. Ogarnia mnie senny smętek. Mam ochotę przeprosić Susanne, ale choć wiem, że wewnętrznie przyjęłaby to jako coś naturalnego, jej zewnętrzność, nieskontaktowana z moją, musiałaby to zakwalifikować jako wybryk wariata. Trwamy tak w nieznośnym napięciu ducha i nonszalancji ciał. Policjant, który zazwyczaj przynajmniej dla za-

chowania pozoru zwraca nieprzekonywującym tonem uwagę, że jest spacer dla kobiet, teraz przechodzi raz po raz obok nas z założonymi z tyłu rękami i przygląda się nam obojętnie. Z okna na pierwszym piętrze wychyla się Roullot, gwałtownie gestykuluje i krzyczy na mnie po nazwisku: „Eee, chodź szybko, jest list do ciebie". Oddycham z ulgą, zrywam się i biegnę do gmachu. Wiem, że Roullot łże. Nawet go nie szukam, ale tym razem jestem mu wdzięczny. Błąkam się bezmyślnie po korytarzach, natykam się na Vilberta, który stojąc w oknie z twarzą poddaną zachodzącemu słońcu, robi głębokie wdechy i wydechy. Staję obok i zapytuję o Schopenhauera, oczywiście w taki sposób, jakbym sam wszystko wiedział, ale był ciekaw jego zdania. Vilbert zaczyna mówić, z początku słucham i rozumiem, później wszystko mi się mgli w głowie i marzę, żeby przestał i żebym mógł odejść, ale Vilbert nie przestaje i nie ma żadnej nadziei, żeby przestał. Na koniec przerywam, grzecznie przepraszając, że muszę się w ważnej sprawie oddalić i odchodzę, zostawiając Vilberta, który powraca do swoich wdechów i wydechów. Wyglądam przez to samo okno, z którego wołał mnie Roullot. Susanne czyta w niezmienionej pozycji obrócona do mnie plecami. Wpatruję się w nią bezczelnie i prowokacyjnie. Stąd wolno mi się zachowywać, jak mi się podoba. Susanne ani drgnie, ale jej plecy wyrażają pewien niepokój. Widać, że czuje mój wzrok i że znów zatrzymała się na jakimś wyrazie. Gwiżdżę głośno Marsyliankę. Plecy zdradzają skłonność do paniki. Jestem ogromnie z siebie zadowolony, uważam, że po kompromitacji z ławką znów całkowicie dominuję. Ktoś się do mnie odzywa. Mac Kinley zaczepia mnie, że podobno miałem bardzo interesującą dyskusję z Vilbertem o Schopenhauerze i że on, Mac Kinley, cieszy się bardzo, że jest jeszcze ktoś w obozie z kim można inteligentnie porozmawiać. Jeśli chodzi o jego stanowisko, w sprawie Schopenhauera, to... Zaczyna wypowiadać swoje stanowisko, odwracam się ku niemu i teraz stoję plecami do okna, z początku słucham i rozumiem, potem wszystko mąci mi się w głowie, ale co najgorsze, czuję najwyraźniej na swoich plecach wzrok Susanne. Robię gwałtowne wysiłki, żeby niespodziewanie się obrócić, ale nie mogę się odważyć, zresztą wiąże mnie ze sobą Mac Kinley, gdyż skoro nie słucham co mówi, muszę przynajmniej patrzeć mu w oczy i kiwać głową. Jestem zły na Mac Kinleya, Schopenhauera i Susanne, palą mnie plecy. Na koniec przerywam, grzecznie przepraszając, że muszę się w ważnej sprawie oddalić i odchodzę, zostawiając Mac Kinleya przy oknie. Schodzę na dół. Tymczasem spacer skończył się i policjant zgania wszystkich do gmachu. Korytarzem naprzeciwko mnie idzie Susanne. Widzę, że usiłuje, nie okazując pośpiechu, dojść do drzwi swojego pokoju zanim ją minę. Przyspieszam kroku i zrównuję się z nią akurat koło drzwi. Chwyta za klamkę tak gwałtownie, że książka wypada jej z ręki. Plask o podłogę. Krótka chwila, w której czas zatrzymuje się i ogląda za nami z zaciekawieniem, po czym powoli schylam się i powoli podnoszę książkę. Nie patrzę na Susanne ani ona nie patrzy na mnie. Oboje patrzymy na książkę.

— O! — mówię — Schopenhauer. My Polacy nie uznajemy filozofii pesymizmu. Jestem zachwycony świetnością mego powiedzenia i czuję wdzięczność

dla Vilberta i Mac Kinley'a, że mi przynajmniej o tym pesymizmie powiedzieli.

Susanne podnosi na mnie fiołkowe oczy i uśmiecha się.

— Polacy, Polacy — powtarza — więc pan jest rzeczywiście Polakiem. Mówiono mi o tym. (Więc rozmawiała o mnie). Cieszę się, że poznaję wreszcie prawdziwego Polaka. Tyle się ostatnio o Polsce mówi, a ja nic dotychczas o niej nie wiem.

— Będzie się mówiło niezadługo więcej niż świat sobie wyobraża — rzucam patetycznym głosem. Nadaję sobie idiotyczną postawę polskiego patrioty na wygnaniu z książki podrzędnego pisarza francuskiego, który pisze o Polsce, nie będąc pewnym czy to nie to samo co Bułgaria. Ale cokolwiek się mówi nie ma znaczenia, bo jedynym właściwym w tej chwili tematem byłoby wyjaśnienie sprawy patrzenia sobie w plecy.

Od drzwi przesuwamy się do okna.

Mówimy o różnych rzeczach naraz. Skaczemy z tematu na temat. Wojna, sztuka, Niemcy, poezja, Francja. To lubię, tamtego nie. Tamto mi się podoba, to nie. We wszystkim się zgadzamy, na wszystko mamy ten sam punkt widzenia. Oboje mamy uświadomienie wartości rzeczy wiecznych, czego brak wszystkim pozostałym ludziom na świecie. Nie potępiamy ich; współczujemy. Wzdychamy: biedny, biedny świat. Susanne znów zapytuje o Polskę. Mówię nie bardzo z sensem, ale ładnie. Przede wszystkim powinna poznać polską poezję. Jak to zrobić? Bardzo po prostu. Spotkamy się jutro, będę jej czytał i tłumaczył. Okazuje żywą radość, ja jestem trochę zły: zdaje się interesować bardziej Polską niż mną. Spostrzegamy, że już nikogo nie ma na korytarzu, światła pogaszone. Ach, zagadaliśmy się! *A demain!*

A demain!

Na drugi dzień idę na spotkanie z grubymi tomami trzech wieszczów. Książki te zabrał ze sobą mój dziad, gdy uciekał do Francji po powstaniu, z nimi wyruszał w 14 roku na wojnę mój stryj, a teraz przed wywiezieniem, przysłała mi je rodzina do więzienia. Zresztą nie sądziłem, abym miał do nich zaglądać. Ceniłem je raczej jako sztafetową pałeczkę w rodzinnym biegu polskości z przeszkodami. Uważałem, że trzech wieszczów znam wystarczająco ze szkoły i ze słyszenia. Byli dla mnie jak owe szable uczestnika bojów o niepodległość, zawieszone na krzyż na ścianie pod obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, które pozostają pełne chwały i blasku, choć wzwyczajone oczy nie odróżniają już ich z ogólnej atmosfery pokoju.

Susanne czeka na mnie na końcu korytarza, który tworzy w tym miejscu rodzaj trójgraniastej oszklonej alkowy. Siadamy na ławeczce, czuję się niepewnie. Mam nieodparte przekonanie, że nie jestem w stanie wzbudzić w Susanne jakiegokolwiek zainteresowania jako mężczyzna. Jest za poważna i zbyt serio traktuje życie. Żeby to wiedzieć, wystarczy parę słów z nią zamienić. Schopenhauera czyta. Jestem dla niej co najmniej jakimś egzotycznym eksponatem, jak murzyn na wystawie kolonialnej. Poniża mnie uczucie, że tak bardzo mi się podoba. Staram się nie okazywać tego, udaję, że ona dla mnie też jest tylko egzotycznym eksponatem, ale nie mogę opanować nieuzasadnionego podejrze-

nia, że wie o mnie wszystko, widzi jak na dłoni całą moją leniwą pustkę i niezdecydowanie. Zna każdy szczegół mojego niezdarnego zmagania z życiem i ma powody do lekceważenia mnie, jak prawie wszystkie podobające mi się kobiety poważniej myślące, szczególnie panna Z., do której tak niefortunnie się zalecałem. Tymczasem zapytuję o Francję i wyrażam żal i zdumienie z powodu katastrofy. Susanne jeszcze bardziej poważnieje i okrywa twarz woalem dostojnego smutku. Jest wielką prawdziwą patriotką, jej patriotyzm zasadza się na nienawiści do Niemców i wspomnieniach chwały 14 roku. Ach, jakie mi to bliskie. Jestem niemal zły na nią za te słowa, bo zwiększa to jej urok, czyniąc ją jeszcze bardziej niedostępną. Cierpi bardzo i wierzy, że to tylko jakieś straszne nieporozumienie i że wszystko się dobrze skończy. *C'est pas fini* — mówi, a ja podrywam się i purpurowieję. Tak, tak i ja w to wierzę, kocham Francję, jest moją drugą ojczyzną. Przez chwilę staję się patriotą francuskim niemniej zaciętym od niej, ale przypominam sobie, że moją racją wobec niej jest polskość, więc się hamuję. Susanne opowiada o swoim życiu w Paryżu. Studiowała literaturę i nie rozumie jak można tracić czas na błahostki życia, gdy tyle skarbów zawiera w sobie świat ducha. (O, gdybym mógł się podobać takiej kobiecie, jakżebym zyskał na pewności siebie). Cytuje nazwiska, dzieła, wspomina coś o Mussecie, niespodziewanie zaczynamy mówić o miłości, ostrożnie i ogólnie, nie angażując się osobiście, traktując to jako pewne zagadnienie psychologiczne. Wypowiadam się w ten sposób, jakbym posiadał na ten temat rozległą, nieodparcie pewną wiedzę i głębokie doświadczenie, którego nie użytkowuję w życiu, bo poznałem aż nadto wiele. Następuje chwila milczenia, którą przerywam:

— Tak, tak, miłość to dziwna rzecz.

Gryzę się w język i jestem przerażony banalnością i głupotą tego powiedzenia, ale Susanne je przyjmuje jako odkrywczą i zdumiewająco prostą prawdę. Znów chwila ciszy. Susanne wzdycha, potem, jakby chcąc opędzić się od czegoś, mówi szybko:

— No, a teraz niech mi pan opowie coś o Polsce, której tak jestem ciekawa.

— O Polsce, no cóż...

Gubię wzrok w perspektywie korytarza, zamyślam się, jak gdybym nagle przeniósł się tysiące kilometrów na wschód i głosem cichym, miarowo wzmacnianym, zaczynam mówić. Przedstawiam kraj pełen romantycznej fantazji, miłości i poświęcenia, wiary w piękno i wolność, walki ze złem i szpetotą świata, kraj rozległych krajobrazów i rozległych przestrzeni duszy. W tym wszystkim dyskretnie ukazuję siebie jako nieodrodnego syna swej ojczyzny i jestem wzruszony i zachwycony swoją bohaterską i romantyczną sylwetką Polaka i jestem przekonany, że i Susanne musi być zachwycona. Odczuwam pewne skrupuły, że takimi sposobami posługuję się dla płochych zalotów, ale usprawiedliwiam się, że to bądź co bądź propaganda, że cel uświęca środki, a gdy na zakończenie mówię: „Polskiej prawdy nie zmoże pruska buta ani żadne inne zło na świecie. Zawsze na wierzch wypłynie" — to przecież naprawdę mocno w to wierzę, może tyle, że prościej, nie w takich konopnickich słowach.

Gdy odwracam się do Susanne, widzę jak wielkie wywarło to na niej wrażenie. Spogląda na mnie rozpłomienionymi oczyma, z odrzuconą w tył głową. Czuję się może trochę nieswojo, może wywołałem trochę za wielkie wrażenie, chciałbym coś nie coś wycofać, wszystko mknie w jakieś zbyt wysokie jak na mnie rejony, robi się za poważne i za wzniosłe.

— Polska, piękna Polska, jakbym chciała poznać ten kraj, zbliżyć się jakoś do niego.

Milcząc biorę Mickiewicza i bez wstępów zaczynam czytać po polsku pierwszy wiersz na jaki natrafiam, potem tłumaczę:

Tu me repousses?
Ai-je déjà perdu ton coeur?

Odczuwam niemy zachwyt Susanne, ale ja sam zachwycam się bodaj dużo więcej. Zaczynam tłumaczyć szybko i niedbale, czym prędzej chcę już czytać następny wiersz:

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznanym oku dawnej znajomości pytał...

Skąd mi tak serce zaczyna nagle skakać do gardła?

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę...

Przewracam szybko kartki, skaczę z wiersza na wiersz, ogarnia mnie jakaś gorączka. Wszystko znane i swoje. Ten wiersz lubiła deklamować moja babka, tamten ojciec czytał raz głośno przy stole, a ten znów ja sam deklamowałem na akademii szkolnej. Czemu tak dawno nie zaglądałem do tych ksiąg? Teraz to wszystko, pokryte zasłoną przyzwyczajenia, odkrywa się w nowych barwach, a niesie ze sobą stary zapach.

Susanne chwyta polskie wyrazy, pyta o ich znaczenie, usiłuje należycie je wymówić, notuje treść niektórych wierszy:

Loin de mes yeux...
J'obéirai de suite,
Loin de mon coeur...
Mon coeur obéira.
Loin de mon souvenir —
Non, un tel ordre ma memoire ni la tienne
Ne sauraient obéir.

Powtarza parę razy zachwycona i mówi: Jak to możliwe, że nie znaliśmy tego wszystkiego dotychczas? Ale ja mało zwracam uwagi na Susanne. Prawie, że nie jestem świadomy jej obecności.

Connais-tu le pays où fleurit l'oranger?

Przewracam kartki, biegam po książce, jak po domu dzieciństwa, który znów odwiedzam po latach...

O matko Polko!

Czuję, jak przebiega przeze mnie lodowaty dreszcz. Tu się dzieje coś innego, znaczniejszego. Zaczynam doznawać wzruszenia, którego natury nie mogę opanować ani pojąć.

O matko Polko, gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy genijuszu świetność...

Odsuwam się trochę w kąt, schylam głowę i czytam po cichu:

. . . . . .

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy.

— Jezus Maria! Matko Polko! Matko Polko!
— Matko Polko!
Co ja tu robię rozparty beztrosko nad jeziorem Bodeńskim, rozweselając się błahymi zalotami, podczas gdy tam...

....jak dawniej, jak nieraz...

To samo duszne i cierpliwe milczenie, te same niewzruszone twarze za tymi samymi kratami, wieczne cierpienie, wieczne wyczekiwanie i wieczna wiara...
— *Alors?* — pyta nieśmiało Susanne. Czuje, że się coś stało, czego nie rozumie. O, nie, nie. Tego wiersza nie będę tłumaczył. Nic do tego jakiejś francuzicy.
Chcę, żeby poszła, chcę być sam.
Cichym głosem przepraszam, że muszę się oddalić, ale... ale...
Susanne przerywa mi.
— Nie, nie potrzeba tłumaczeń. Nie rozumiem co tu nastąpiło, ale rozumiem pana, o, rozumiem pana.
Jej twarz, oczy, cała postać wyrażają jakieś wyższe zrozumienie, dyskrecję niemal narzucającą się, drży wzruszeniem i czułością.
Kłaniam się i szybko oddalam.
O, wiem, że ten efekt był bardzo udany. Bardzo udany, choć wcale niezamierzony i wolałbym, żeby go nie było.
Uciekam na górę na kryte schody, którymi nikt nie chodzi i czytam, czytam nie pamiętając o świecie, a gdy w końcu trzeźwieję i patrzę na zegarek, widzę, że już dawno minęła pora obiadu.
Schodzę na dół, idę do naszego pokoju. Jestem głodny i czuję się głupio. Wycieńczony nagłym wzruszeniem patrzę teraz krytycznie na to całe zajście. Jestem zły na Mickiewicza i zły na Polskę, że tak niespodziewanie wtargnęła w moje zaloty. Wstyd mi przed Susanne. Ostatecznie kiedy zgrywam komedię, mogę panować nad sytuacją i choć głupio przed samym sobą wyglądam, poświęcam to dla efektu i wiem, że głupio wyglądam. Ale takie wychodzenie

z siebie, kiedy się siebie traci z oczu i nie można już panować nad sytuacją, to zupełnie nie do zniesienia.

Zjadam z walizki parę sucharków i kawałek kiełbasy i kładę się spać.

Pod wieczór schodzę na dół i szukam Susanne. Stoi w oknie alkowy i wygląda przez okno. Podchodzę z miną winowajcy i staję obok niej. Nie patrzy na mnie, tylko po chwili mówi cicho:

— Przez cały ten czas zdawało mi się, że jest pan tu przy mnie.

Ojej! Coś się tu dzieje czego wcale nie chcę, ani nie przewidziałem. Coś za daleko się posuwa. Coś dokonuje się dookoła mnie, ale bez mojego współudziału. Czuję się zażenowany a jednocześnie jest dziwnie przyjemnie. Wychylamy się głęboko w okno jednocześnie, przechylamy ku sobie twarze i nawet nie wiem jak i kiedy zbliżam się szybko i mocno i długo całuję Susanne w usta. Jestem przerażony a Susanne szepce:

— *Je vous aime!*

Nie wiem, czy bardziej dziwię się temu oświadczeniu, czy też temu, że mówi mi „vous". Wiem dobrze, że każda pocałowana kobieta natychmiast przechodzi na „ty". Jestem oszołomiony i trochę oburzony na to wszystko razem.

I to oświadczenie i to „vous" brzmi nieodparcie poważnie. Tutaj nie ma żartów. Chciałbym zacząć krzyczeć i protestować, że to nieporozumienie, że to wcale nie ja i to wszystko razem nie ma nic ze mną wspólnego, że z tym romantycznym Polakiem tak tylko żartowałem, a tamto potem to była moja osobista sprawa, najbardziej osobista jaka może być, że nie miała prawa na to patrzeć, ani przejmować się tym, ani nawet, a może przede wszystkim, okazywać zrozumienia i dyskrecji. Ale jednocześnie jest mi tak przyjemnie, czuję się tak błogo, trzymając ją za rękę. Słońce ogromne, czerwone styka się z kominem dalekiego domu, patrzą na nas milcząco białe kwiaty, wino pnie się dokoła okna, do końca wieczoru nie rzekliśmy więcej słowa, ani ona ani ja.

Obudziwszy się na drugi dzień pomyślałem o Susanne: więc stało się czego chciałem, ale czego najmniej oczekiwałem — ta kobieta mnie kocha. Mogę odzyskać pewność siebie. Owszem, czuję ją, ale widzę z boku, że mi w niej trochę nie do twarzy. We wszystkim mi nie do twarzy, bo to jakaś dziwna maskarada, przebrałem się w strój Polaka z 31 r. i dla mojego stroju zyskuję powodzenie. Ale czy cały ten obóz nie jest balem maskowym? To, co się tu dzieje, nie ma nic wspólnego z codziennym życiem. Można wszystko robić, co się chce, nic nie obowiązuje, nic nie wykracza poza tę jedną noc balu, można się ubrać w dowolny kostium, nikt nie ma prawa mieć na drugi dzień pretensji, że mnie nie rozpoznał. Ach, Susanne, słodka Susanne! Może i ja ją kocham? Susanne nie zjawia się na śniadanie. Spotykam ją potem w tej samej alkowie, siadamy na ławce. Biorę ją za rękę i... rozlega się straszliwy krzyk, rwetes, gwałt, nie wiem co się dzieje, dopiero po chwili widzę nad sobą czerwoną z gniewu twarz leutnanta policji, który wymachuje rękami i czymś grozi. Uchodzę, usiłując zachować możliwie jak najwięcej godności. Po chwili wołają mnie na wachstube, gdzie przez tłumacza (Olek Lampion) zostaje mi oznajmione, że nie przestrzegam przepisów obozowych, które zabraniają styczności mężczyzn i kobiet i że

jeżeli powtórzy się to, zostanę zamknięty do więzienia. Wychodzę wściekły, zawstydzony i z czułością myślę o Susanne. Piszę do niej list:

„...oto mój los. Towarzystwo moje naraża panią tylko na wstyd. Proszę mi wybaczyć. Nigdy o pani nie zapomnę".

Posyłam przez małego marynarza Cliffa Wrighta wraz z butelką wody kolońskiej Pulsa, którą Ludka przysłała mi do więzienia. Po chwili Cliff przynosi odpowiedź:

„...Ach, gdy zobaczyłam na tej butelce napis „Varsovie", myślałam, że się rozpłaczę ze wzruszenia. Nic i nigdy (nigdy podkreślone) nie zdoła przezwyciężyć mojego uczucia dla pana, jak żadna zła siła nie przezwycięży żywota świetlanej Polski..."

Nic i *nigdy* przez chwilę mnie niepokoi, ale cała heca zaczyna mnie bawić. Atmosfera z komedii Moliera: Arnolf i Horacy lub coś w tym rodzaju i jakaś dziewiętnastowieczna stylowość w tej korespondencji z używaniem formy pan i pani.

Przez dwa dni nie rusza się Susanne ze swego pokoju. Umieram z tęsknoty. Nareszcie trzeciego dnia pokazuje się, ściskamy sobie rękę w przejściu, potem spotykamy się przy zmywaniu talerzy, wreszcie zaczynamy lekceważyć przestrogę leutnanta i spotykamy się coraz częściej i jawniej, ustawiając na straży małego Cliffa.

Leutnant zjawiał się w obozie tylko czasami. Władzę sprawują na zmianę wachmeister Heimer i wachmeister Schröder. Heimer jest mały, gruby, czerwony na twarzy. Schröder szczupły, wysoki, spokojny i nie podnoszący nigdy głosu. Natykamy się na Heimera, krzyczy, wymyśla i wskazuje ręką, żebym się oddalił, odchodzi, wracając widzi nas znowu, grozi ręką, śmieje się. Innym razem natykamy się na Schrödera, kłania się i prosi mnie na stronę.

— Bardzo pana proszę — mówi — o nieutrudnianie mi pracy. Rozkaz jest rozkaz. Co do pana mam szczególnie ścisłe polecenia. Byłbym niepocieszony, gdybym musiał złożyć o panu raport leutnantowi.

Pewnego razu przylatuje do nas Heimer i krzyczy:

— Uciekajcie, idzie leutnant.

Sytuacja jest wyjaśniona: kiedy straż trzyma wachmeister Heimer, możemy swobodnie się spotykać.

DREWNIANY KOŃ

(FRAGMENTY POWIEŚCI SATYRYCZNEJ)

I. ZAUŁEK

Miasto, w którym się urodziłem, nie było wielkie. Należało do rzędu tych ładnych miast prowincjonalnych, które w sercach stołecznych dandysów wzbudzają fałszywą tęsknotę za spokojną starością. Znałem je dobrze. Jakkolwiek było niewielkie, potrafiłem w nim zmieścić całe moje życie, co w gruncie dałoby się wyjaśnić tym, że życie, które pędzę, należy do wielkości równie mało rozległych, jak miasto, w którym przyszedłem na świat. Rzadko wyruszałem poza nie. Były tam miejsca tak dobrze znane, jak meble w dziecinnym pokoju. Był park pogrążony w zieleni i ławeczka koło klombu z fontanną, gdzie zapewne, gdy umrę, będzie się pojawiać moje smutne widmo. Prosty, szeroki bulwar w środku miasta prowadził do teatru z niejaką dumą. Ten bulwar wyróżniał się elegancją i oportunizmem. Często zmieniał swą nazwę. Za mojej pamięci nosił kolejno imiona czterech wielkich ludzi i porzucał je zależnie od okoliczności bez rumieńca wstydu. Teatr był zwykle nieczynny i poprzestawał na swych białych kolumnach oraz attyce z napisem „Ars", który młodzież naszego miasta odczytywała odwrotnie z upodobaniem niesłabnącym w ciągu długich pokoleń. Było to zjawisko trwałe i oderwane od wszelkich wstrząsów dziejowych.

W teatrze odbywały się uroczyste obchody pamiętnych rocznic, podczas których przedstawiciele praworządnych związków wygłaszali mowy na cześć jednego z wielkich ludzi, którego imię nosił aktualnie bulwar. Uroczystość kończyła się serdeczną owacją pod adresem najbardziej lubianej osoby w mieście. Był nią mój wuj, pułkownik Bolski, dawny oficer w obcej służbie, uznany przez opinię naszego miasta za syna wojny i ojczyzny. Ten mały, czerstwy staruszek z siwymi bokobrodami wylewał w przeszłości swą krew za sprawy wcale sprzeczne z tą, w imię której wylatywał teraz pod plafon teatru, skąd Apollo i dziewięć Muz patrzało na zebranych. Rzecz jednak traktowano dobrodusznie i mało kto o tym pamiętał. Ten irracjonalny objaw popularności odbywał się corocznie i wuj mój, wyrzucany do góry przez grupę członków Towarzystwa Cyklistów, którego był prezesem, wymierzał szybkie ukłony w punkcie szczytowym wzlotu, podczas gdy jego bokobrody rozwiewały się jak skrzydła umieszczone w niewłaściwym miejscu.

Prócz bulwaru, parku i teatru miasto posiadało szereg obiektów zaszczytnych i pięknych: stare kościoły, ratusz i nowiutkie gmachy urzędów, muzeum regionalne, cyklodrom oraz hotel, w którym przed wiekiem zdobywca Europy wziął gorącą kąpiel. Za miastem przepływała rzeka szeroka i spławna, o ładnym niskim brzegu. Ku niej miasto zwróciło najbardziej dyskretny profil: niewielką grupę białych domków, obrzeżonych zielenią, jak garść muszli wyrzuconych na murawę. Była to siedziba patrycjatu, tu rodzono się i umierano w sposób najbardziej kosztowny. Również ja przyszedłem tu na świat.

Wszystko przemawiało za tym, że spędzę spokojne życie bez wstrząśnień i nie ujrzę rzeczy, których nie pragnąłem oglądać. Fakt, że stało się inaczej, przekracza moją możność zrozumienia. Urodzono mnie w czasie fatalnym i pozostawiono samemu sobie w trudnym położeniu człowieka, który ma się przesiąść na wzburzonym morzu z jednej łodzi w drugą. Utkwiłem rozkraczony i bezradny. Łodzie porywały mnie w dwie sprzeczne strony; miałem uwięzione nogi. Żyć na przełomie dwóch epok nie jest rzeczą miłą.

Powiadam, że miałem wszelkie dane, aby nie oglądać rzeczy, których nie pragnąłem widzieć. Nie jest to przenośnia; mówiąc to mam na myśli obiekty uchwytne. Pewne dzielnice w naszym mieście istniały poza obrębem mego środowiska i ani mój ojciec, ani pułkownik Bolski, nikt wreszcie, kto zamieniał z nimi uścisk dłoni na bulwarze w czasie niedzielnych przechadzek, nie starał się odwiedzać tych zakątków, gdzie ożywiona wytwórczość przedmiotów pierwszej potrzeby nie szła w parze z elegancją istnienia. Były to znojne peryferje, osiadłe na zapleczu miasta, przegrodzone od rzeki bulwarem, parkiem i teatrem oraz tym wszystkim, z czego wyrosły pokolenia szanujące życie i notariat: mój ojciec, moi dziadkowie, wreszcie ja — posępny epilog w dziejach wartości trwałych.

Miejsce, w które popchnęły mnie losy wojny, znajdowało się na końcu miasta najbardziej odległym od rzeki, a najbliższym szosy wybitej w krótkim okresie wolności. Szosę tę zaczęto budować niezwłocznie po odzyskaniu wyzwolenia, a ukończono ją tuż przed powtórną jego utratą. Tak więc ów skąpy okres wykorzystano z ogólnym pożytkiem. Była to dzielnica przemysłu i rzemiosła. Tych kilka ulic, pełnych zgiełku i pyłu, tworzyło wylot miasta w rozległe, sfalowane strony, skąd w ciche noce słychać było szczekanie psów. Tam rozkładały się wsie na dostatniej, pulchnej ziemi. Czasem przyjazny wiatr przynosił mi jej oddech. To była dobra ziemia. Tutaj przybywali z niej ludzie po uprząż, siewnik, organki i odzież. Ta część miasta ozdabiała ich życie. Łatwo było tu nabyć mocne buty lub psa wraz z łańcuchem. Widywałem nieraz wiejską kuźnię, przytuloną do fabryki lemoniad oraz wytwórnie bryczek, gdzie na podwórzach stały pojazdy z wygiętymi dyszlami. Tu również było siedlisko ulicznych grajków. Flet, mandolina czy puzon, pasza lub nowe resory kosztowały w tych stronach niedrogo. W tej dzielnicy dziwacznego przemysłu znajdował się ów dom, w którym osiadłem na męski czas mego życia.

Stał w kwadracie murów, który był niegdyś zaułkiem. Otoczenie, w jakim się wznosił mogłoby się wydać opłakane, w czasach, gdy opłakiwano niedole

tak małe. Ale, o ile pamiętam, mieszkańcy nie uskarżali się na nie; przeciwnie — z tym co we mnie wzbudzało grozę, tutaj wiązano nadzieję pomocy. Ruiny, rumowiska, przełazy w rozwalonych murach chwalono sobie na wzajem, jak polisy ubezpieczające przed złym zrządzeniem, w które się nie wierzy. Powiadam: „w które się nie wierzy", bo choć mówiono: „Jeśliby co, to w pole", lecz któż liczył się z tym poważnie! Strach nie posiadł tu władzy zupełnej, działał niejawnie, w skrytości. Odkładano go sobie na potem, zbywano byle jak na czas nieokreślony. Nie było tu pogotowia złych przeczuć o chwili, która nadchodzi, ani złowrogiej wyobraźni o chwili, która trwa. Nikt nie wierzył w zły los, prócz właściciela domu. I właśnie jego spotkało najgorsze.

Zaułek był niegdyś ślepy, lecz dom, który go zamykał, zwaliły pierwsze pociski. Bezbronny wyłom odsłonił pole. Tędy nieprzyjaciel wdzierał się do miasta. Pole graniczyło z szosą; szosą płynęła żywność. Furmanki turkotały na wybojach, woźnice krzyczeli podpici, koniki szły w rzemiennych szelkach, co wyjaśniało wątpliwości, po której stronie rzeki ciągnęła się szosa, bo tylko po jej zachodniej stronie używano szelek. Szczegół ten znakomicie orientował w kierunku; rzeka była granicą obyczajów w gatunku uprzęży. Za szosą świat rozlewał się szeroko, jak morze wolne od grobli i śluz. Dachy zapadłych zagród sterczały niby statki wywrócone dnem. Ziemia. Daleko wzgórza marszczyły ciemne brwi.

Przed wojną, naprzeciw domu, w którym zamieszkałem, wznosił się potężny blok pracowników miejskich, zwalony w pierwszych dniach bitwy o miasto. Wszyscy mieszkańcy stracili w nim życie, co poderwało byt szewca i stało się przyczyną upadku jego żony. Lecz to ostatnie było raczej skutkiem jego słabości niż nędzy. Po zburzonej posesji pozostał wysoki nasyp ze zróżowiałych cegieł, belek i żelastwa. Dzieci bawiły się tu w bandytów lub w wojnę. Widziałem nieraz jak wyciągały z gruzów szczątek portiery lub obicia, a kiedyś — portret łysego mężczyzny z wąsami i z perłą w krawacie. Wkrótce jednak i gruzy przestały wydawać plon, jak ziemia, której nadużyto. Był to masyw umarły — belki walały się jak ścięte pnie, poblakłe cegły miały wygląd skał w zachodzie słońca; lecz razem wziąwszy, sprawa niewesoła. Z dawnego życia, pracy i dramatu, które przeminęły, powstało zatem nowe dobro: wielkość bezładna, nieuporządkowana i zawiła. Zawiłość ta, ze swą obfitością załomów, szczelin i skrytek budziła nadzieję ucieczki przed złem. Na tę resztę po ludzkim istnieniu patrzano praktycznie, uważając ją za właściwość terenu, jak krzaki i kamienie na pobliskim polu. Przybysze z obcych dzielnic cmokali z zazdrością na widok tych dostatków; cudze dobro poruszało ich niepokój; popadali w niespokojną zadumę na myśl o swych dzielnicach pozbawionych rumowisk i pól.

Od strony miasta dostępu do zaułka broniły schodki, oślizgłe i strome. Schodki te były wyjedzone i starte tak skrzętnie, że z biegiem czasu utworzyły pochyłość jednostajną, o niebezpiecznym spadku. Zimą młodzież odbywała tu sannę i zjazdy na spodniach. Działo się to bez wstrząsów i tylko mędrzec umiałby rozstrzygnąć, co było tu przyczyną, a co konsekwencją: czy sporty ze schodków uczyniły równię, czy wytworzona równia dała asumpt sportom.

Z tych przyczyn w zaułku panowała cisza. Ruch kołowy nie znajdował tu wpustu: nikt nie wjeżdżał od pola, i nikt nie mógłby wjechać od strony miasta przez schodki. Czasem jakieś zbłąkane auto przystawało bezradnie w poszukiwaniu drogi. Żołnierze wychylali głowy, wskazując z dołu palcem w stronę szosy i krzycząc coś w rozzłoszczonym dialekcie. Ale droga do szosy nie biegła przez zaułek. Bo jakaż droga mogłaby biec tędy, gdzie tylko czasem psy przemykały się chyłkiem, polem skracając przejście. I wówczas dzieci z zaułka rzucały w nie kamieniami, używając w potrzebie także cegieł z gruzów po egzystencji pracowników miejskich. Było to swoiste krążenie dóbr.

Tak więc z paru przypadków i katastrof, z elementów wygasłych i martwych powstała lekkomyślna fikcja bezpieczeństwa i spokoju. Była to niesprawdzona legenda przyszłości, w którą wierzyli wszyscy mieszkańcy zaułka. Kamienne schodki broniły wejścia od strony lewej, pole stanowiło obszerny wylot w stronę prawą, a usypiska gruzów naprzeciw, teren wojennych igraszek dzieci, ofiarowały mieszkańcom osłonę przed podobnymi igraszkami dorosłych. Powiadano: „Gruzy to najlepszy schron" i ktokolwiek to mówił, czynił przy tym gest człowieka zabezpieczonego. Byłem niedowiarkiem i nie wierzyłem w to, ale mówiłem także: „Gruzy to najlepszy schron" i nonszalancko machałem ręką. Ulegałem bowiem atmosferze, a nadto nie pragnąłem niszczyć złudzeń tych paru sąsiadów, których fatalny los przywiódł za mój próg. Choć, prawdę rzekłszy, mówiono o tym rzadko. Obronność zaułka była przedmiotem dumy, ale dumy cichej. Między sobą chwalono ją powściągliwie, a cudza zazdrość budziła lęk przed urzeczeniem. Raz podsłuchałem przypadkiem, jak gość ze śródmieścia komplementował szewca z powodu bliskości pola. Szewc miał minę spłoszoną i słuchał z niepokojem rolnika, któremu mieszczuch wychwala obfity urodzaj.

Ale na polu daleko było do urodzaju. Leżało odłogiem, nie zielone, wyschłe, łysiejące, podobne do wytartej poły, którą miasto, osiadłe między rzeką a szosą, odgarnęło na bok. Po niedawnej bitwie widniały w nim leje od pocisków i rowy strzeleckie, a żołnierze obydwóch wojsk spoczywali tu długo, pojednani spokojnym rozejmem kamienistej ziemi. Przed wojną próbowano tu budować; blisko szosy widać było głębokie fudamenty, porosłe zielskiem. Kto, pragnąc skrócić drogę, szedł tędy po ciemku do miasta, wpadał w nie, łamiąc nogi. Nocą często było słychać przekleństwa tych nieszczęśliwców. Jesienią urządzono tu śmietnisko. Jeńcy w żółtawych bluzach palili na nim szmaty; nieraz północny wiatr przynosił mi przed okna jakąś zwęgloną garść; wirowała w powietrzu niby czarny śnieg. Lubiłem patrzeć na ognisko. Płomień pełgał płasko przy ziemi, czasem tylko silniejszy poryw wiatru wyrywał z niego jakiś groźny gest; wtedy wrony, które krążyły nad polem, uciekały z krzykiem. Jeńcy stali zbici w nieruchomej grupce, jak żałobnicy podczas requiem nad mogiłą, dym rozczapierzał się wśród krzaków i szukał sobie krętych dróg, niechętnie mieszając się z niebem, szarym i ciężkim jak proch.

Lubiłem to oglądać. Cóż więcej mógłbym zobaczyć w smutnym skrawku istnienia, który obejmowało moje okno? Raz zdarzyło się, że kiedy stałem za

firanką, patrząc na jeńców, dym i palenisko, przy schodkach uliczna orkiestra rozpoczęła koncert. Muzykanci zgrabiali od wiatru zbili się w grupkę równie ciasną, jak jeńcy przy ognisku. Orkiestra składała się ze skrzypiec, waltorni i bębna oraz muskularnej postaci w toczku, której niewieści ubiór sprawiał wrażenie kłamliwe. Dwa zespoły nie dzieliło więcej niż sto kroków; ja stałem na połowie drogi mając ich po prawej i po lewej ręce. Widziałem, że oczy żołnierzy patrzą spod futrzanych czapek ku tamtym. Wiatr chuchnął dym w zaułek, wrony wyroiły się w czarnym, krzykliwym kłębie wysoko nad dachami w momencie, gdy waltornista dał znak zmarzniętym skrzypkom.

Pierwsze niedbałe takty wymknęły się im przypadkiem, jak drobiazg upuszczony z rąk. Zwrotka po zwrotce chromała wbrew wiatrowi, skroś dymu, ku żołnierzom w płowych płaszczach. I właśnie wówczas dosięgła mnie ta chwila, mnie, który stałem pośrodku. Dotknęło mi serca coś, czego nie było w ich melodii ani w ich brzydocie. Byle rytm, byle dym, stadko wron i żołnierze-przybłędy — to wszystko, co miałem w oczach — i jeszcze jakiś wiatr co stękał po kątach. A jednak ta chwila napięła się jak cięciwa w wytężonym łuku — związała w jedno ich po obydwóch krańcach i mnie, który zastygłem pośrodku, i ptaki krążące nad ogniskiem, i ognisko samo. Była to chwila nieruchoma i rozległa, sięgała wszerz i wzwyż, za szosę i pod niebo, wyzdobiła się w sprawę wzniosłą i nadrzędną; uległem jej, ogarnęła mi serce, moje serce, którego potrafiłem bronić. Otworzyła mi je na swój użytek, odgrzebała w nim wszystko umarłe: zielony park i klomb z fontanną, dziewczęta, które toczyły przed sobą żółte drewniane koła, bulwar i kolumnadę teatru, pod którą mój skrzydlaty wuj wylatywał w górę jak ptak ponad białe czapki cyklistów, chudy, wysoki dom obrośnięty bluszczem, gdzie mieszkała starość mojej babki.

I wszystko naraz stało się dobrem wspólnym i znów ożyło we mnie wśród dymu, wiatru, ptactwa i brzękliwych synkop. Czułem w piersi jakiś radosny przybór, opadłe wody cicho wzbierały w mym wnętrzu, odnajdując stare, wyschnięte łożyska. Osuwałem się w nie coraz głębiej i zanim waltornista odstawił od wzdętych policzków swoją krętą trąbę — raz jeszcze, w ostatnim rozbłysku, już sięgając dna, zdążyłem ujrzeć tamtą rzecz, maleńki początek, własne ziarno, kiedyś zapadłe w grunt, od którego dawno odgiąłem gałęzie. Ta wielka chwila nie trwała sekundy. Przeleciała przeze mnie jak pocisk, wyrwała mi z zawiasów jakieś tęgie drzwi, w których sam zasunąłem był rygle. Ocknąłem się. Ujrzałem przed sobą moje własne pięści, wparte w okiennice, podwójny znak rozpaczy, którą jeszcze czułem. Coś chciałem w nich zatrzymać, czegoś nie chciałem wypuścić; otworzyłem je powoli, palec za palcem, i podsunąłem je pod oczy; moje otwarte ręce, z których wypadła piękna chwila.

To stało się tak szybko. Warkot motoru dał mi znać, że jeńców odwożą ku szosie, wiatr rozwlekał resztki paleniska, ptaki kreśliły coraz niższe i ciaśniejsze koła. Lecz były to już akty zwięzłe i samotne, zjawiska niesolidarne ze mną i między sobą. Straciliśmy nasz krótki wspólny los. To stało się zbyt nagle. Muzyka ucichła. Ostatni pasaż skrzypiec opuszczał nas powoli, jak smukła łódź, w której dobrze było razem płynąć. Po słodkich, topielczych snach ujrzałem się rzucony

na twardą mieliznę, która nie była mą ziemią ojczystą. Jakieś potężne wiosło, co zamieszało mi rzeczy w ciepły, kolisty nurt, wyjęto przedwcześnie. Samochód drapał się przez krzaki, tracąc równowagę po dołach i wybojach, jeńcy machali rękami chłopcom, którzy krzyczeli „hurra", czułem się elementem niewystarczającym, teraźniejszość ruszyła przed siebie cichym, skrytym duktem, jak pociąg zatrzymany w polu.

To była teraźniejszość, którą sam wybrałem. Co dzień oglądałem ją zza firanki. Co rano ulegałem złudzeniu, że oto budzę się w nieznanym hoteliku i na palcach zbliżałem się do okna, aby obejrzeć zaułek jak obce, brzydkie miasto, w którym mój ojciec nie zatrzymywał się nawet przejazdem. Patrzałem na czarny zębaty wykres dachów i myśl, że żaden z nich nigdy nie ochrania od wiatru i chłodu głowy strzyżonej w zakładzie „Leonard" napawała mnie wesołą goryczą. W firmie „Leonard" bowiem, na jednej z przecznic bulwaru, strzygło się głowy noszone z godnością. Chude dłonie fryzjerów ugniatały tę godność od kilku pokoleń, wcierając w nią likwor z lawendy oraz pomadę „Charmant", tak, że z biegiem lat ulepił się patrycjalny typ czaszki o rzadkim poroście i bladym naskórku, znużony, obły kształt, który ja sam dźwigałem na barkach.

A więc gdy rankiem z pośpiechem wyskakiwałem z łóżka i biegłem, aby rozsunąć zasłony, obcość zaułka zdumiewała mnie. Nie byłem dzieckiem tych stron. Może sny przenosiły mą głowę co noc w sfery nasiąkłe lawendą, bo długo stałem osłupiały na widok tego, z czym pogodziłem się przed nocą. Były to chwile małoduszne i tchórzliwe, sam przecież wybrałem moją teraźniejszość; zatem, by wytrzeźwić się ze snów, rozpoczynałem ją co dnia od wyrzucenia prawej nogi w powietrze sposobem Müllera i skurczenia ramion w kształt skrzydeł. Lubiłem te ćwiczenia cielesne, które ożywiały duszę; oddychając więc głęboko z rękami opartymi na biodrach, wchłaniałem do wnętrza moją porcję świata: zaułek, szosę, pole, węgliste chmury i dachy. Powoli kręciłem głową, nie wyrażając niechęci; ruchem tym bowiem usprawniałem kręgi i mięśnie szyi.

Rzecz w tym, że nie byłem dzieckiem tych zakątków. Staranność mego wychowania i obyczaje środowiska, w którym przyszedłem na świat, trzymała mnie od nich z dala. Urodziłem się w dzielnicy białych domów, okolonych zielenią, których okna i werandy zwracały się ku rzece o łagodnych brzegach i kolorowym przystaniom wioślarzy. Tam była moja ziemia ojczysta, chroniona sztachetami, po których pięło się wino, tam ujrzałem światło dzienne pewnego letniego poranku, gdy młodziutkie słońce topiło promienie w sadzawce naszego ogrodu. Byłem bardzo eleganckim dzieckiem. Ile że kształt mojej czaszki rychło się ulał w ową namaszczoną formę czaszek moich przodków, uznano mnie za prawy owoc rodu. Zanim zdążyłem z grubsza poznać zasady istnienia, które miałem pędzić, ujrzałem się pod opieką francuskiej guwernantki. Ta wytrawna dręczycielka dzieci zabraniała mi prawidłowo wymawiać głoskę „r" w celu konserwacji akcentu, wskutek czego zacząłem unikać pewnych słów i do dziś o rosole wolę mówić „bulion", a na dźwięk imienia Barbara czuję występny dreszcz. Moja znajomość macierzystej mowy była tym bardziej ułomna, że nie

pozwolono mi używać licznych słów ze względów wykwintu, a inne kazano mi wymawiać szeptem, sznurując spółgłoski, niby wyrazy współczucia w domu świeżej żałoby. Długo nie wiedziałem co to jest podwórze, „klozét" był dla mnie dźwiękiem martwym, a zwykłą lampę z zielonym abażurem kazano mi nazywać „amplą", przestawieniem dwóch głosek podnosząc szlachetność tego sprzętu. Byłem więc wobec własnego narodu zaledwie życzliwym cudzoziemcem. Zwolna ustalał się w mej duszy podział świata na notariat i rzeczy poza jego kręgiem, a wykwint mojego istnienia wydawał mi się sprawą prostą.

Był to wykwint wszechstronny. Ubierano mnie bowiem tak pięknie, że wpadłem w zgubny zachwyt nad sobą, co stępiło mój umysł. Pamiętam, kiedy prowadzono mnie aleją do pobliskiego parku, przechodnie oglądali się za mną mówiąc: „cóż za piękne dziecko", w co uwierzyłem tak gruntownie, że gdy po latach zdarzy mi się napotkać w lustrze moją gderliwą twarz malkontenta z przedziałkiem pośrodku głowy, zawsze ogarnia mnie zdumienie na widok niepomyślnych skutków mojego rozwoju. Były to ciepłe jasne przedpołudnia. Francuska bona prowadziła mnie za rękę, gdyż byłem gruby na skutek przekarmienia i poruszałem się z trudem. Ja z kolei ciągnąłem za sobą kosztownego konia na kółkach, maści karej, z siwym ogonem, i grzywą, przybranego w uprząż z dzwoneczkami. Konia tego kazano mi nazywać Hektorem, co spełniałem obojętnie, nie wgłębiając się w powody tej nazwy. Jeśli byłem wówczas pięknym dzieckiem, moja opiekunka szykowną guwernantką, to Hektor był najelegantszym koniem, jakiego zdarzyło mi się spotkać w mym życiu, w którym spotkałem tyle koni, ile zazwyczaj w życiu spotkać można.

Stanowiliśmy więc wykwintną, lecz ponurą grupę. Hektor był koniem nieżywym i służył do zabawy. Ponieważ nie wolno mi się było oddalać, zabawa polegała na tym, że godzinami siedziałem nieruchomo w siodle mego konia, a moja nadzorczyni w równomiernych odstępach dotykała ręką mych pleców, aby sprawdzić czy nie jestem zgrzany. Nie wierzyłem w tę zabawę. Obce dzieci patrzały na mnie z litością, lecz nie widziałem tego, i, prawdę mówiąc, mej trudnej pozycji nie uważałem za upośledzenie. Zdawało mi się, że trwając bez ruchu w twardym siodle, spełniam odwieczny cel mej kasty, o którym w gruncie wiedziałem nie więcej niż mój drewniany koń. Czasem jednak złaziłem na ziemię, aby odpocząć, moja guwernantka jednak nie pochwalała tych wytchnień, sądząc zapewne, że jestem nie dość unieruchomiony. Wdrapywałem się więc z powrotem na siodło Hektora i ze zwieszonymi nogami patrzałem tępo w czerwony klomb z wodotryskiem o kształcie łabędzia. Nieraz wszakże i ją ogarniało zwątpienie i jakiś cień współczucia na widok tej zabawy, bo namawiała mnie, abym przynaglał mego konia. Godziłem się na to i podskakując w siodle, krzyczałem znużonym głosem: „hop, hop!", po czym opadałem w poprzednią skamieniałość, a moja opiekunka wycierała mi chustką spocone łopatki.

Trwało to długo; słońce nad klombem sięgało szczytu i muskało już wierzchołki drzew, gdy jeszcze można było oglądać moją posępną twarz nad srebrną grzywą Hektora. Dorośli zatrzymywali się przede mną zdumieni mym bezruchem, mówiąc: „Jakież piękne i grzeczne dziecko!", czego wysłuchiwałem z re-

zerwą, nie tracąc spokoju dynasty. Kiedy zbliżały się obce dzieci, również wiedziałem jak się zachować. Schodziłem wówczas z siodła i powoli zsuwając obcasy, odmownie uchylałem czapeczki: „Nie wolno mi się z tobą bawić, chłopczyku, bo pewnie nie jesteś grzeczny". Słowa te wymawiałem równo, uprzejmie, bez żalu czy pychy, patrząc ponad ramieniem petenta w czerwony klomb z fontanną. W tym „pewnie nie jesteś grzeczny" mieściła się prawnicza oględność mego ojca i jego nieufność do istnień wyrosłych poza kręgiem notariatu; on to bowiem nauczył mnie tej formułki. Wygłaszałem ją grzecznie i martwo, w lewej ręce trzymając bacik i uzdę, prawą podnosząc czapeczkę. Wkrótce znienawidziły mnie dzieci w całym parku i zaczęły na mnie wołać: „Dupa dęta od rejenta". W tym zgrzebnym dwuwierszu rozumiałem tylko ostatni wyraz.

Oto moje dzieciństwo. Kto by wszakże mniemał, że wbrew mej woli hodowano we mnie potwora za pomocą okrutnego systemu, którego padałem ofiarą, wysnułby wniosek mylny. Ów system miał we mnie posłusznego wyznawcę, uznawałem go za tradycję objawioną mej sferze. Albowiem byłem wówczas człowiekiem dobrej i rozsądnej woli i nigdy w żadnej duszy nie dokonało się zapewne tak łatwe pojednanie z cierpieniem, jak w mojej, gdy z wysokości Hektora oglądałem świat, który rozkładał się u mych stóp na żwirowanej ziemi, pod słońcem zawisłym w konarach drzew, jak milczący zegar. Byłem prawym synem swego rodu i przekonanie, że środowisko, w którym przyszedłem na świat, jest jedyną komórką uznaną przez Boga na ziemi, przyszło na świat wraz ze mną; zastałem je w sobie gotowe i zupełne, jak patrycjalny kształt mej czaszki. Mogłem był zostać Mojżeszem notariatu, gdyby słabość mojej natury nie uczyniła mnie tym, kim jestem. Lecz wtedy, w owe zielone poranki i złote południa, byłem zgoła inny. Moja twarz, której zachowawczość budziła zdumienie, nie wyrażała nic prócz kurczowej wiary, lekko skąpanej w znużeniu. Gdy z krzaków za moimi plecami chłopcy strzelali kawałkami żwiru w mą odsłoniętą szyję, wytrzymywałem to z godnością, najmniejszym drgnieniem nie zdradzając bólu, który był dotkliwy. Uczono mnie bowiem gardzić odruchami tłumu, co przychodziło mi z taką łatwością, jak gdyby pogarda wzrastała szybciej od reszty mej duszy.

Niech nikt nie sądzi, że pragnę potępić te dni, z których wyrosłem. Przenigdy. Kocham je z głębi serca, żywię się ich urokiem, tęsknię za nimi mocno; tak mocno można tęsknić tylko za tym, co czas zabiera z nas samych. Ale w tych czułych dniach na żwirowanych alejkach urodził się mój lęk przed światem, który do dziś noszę w sercu. Strzelano do mnie kawałkami żwiru. Czułem za plecami niechęć i nieufność jak wrogi odmęt, który napełniał mnie trwogą. Prawda, miałem tym gardzić. Gardziłem więc, kurczowo uczepiony grzywy Hektora, która pachniała klejem i farbą. Mój świat był nieprawdziwy, jak koń, na którym siedziałem w smutnym galopie, któremu nie ufałem nawet ja. Gardziłem odziedziczoną częścią mojej duszy; tradycje, pojęcia i zasady spełniały za mnie tę pogardę, notarialne komórki mego wnętrza marszczyły się z niesmakiem, lecz głębiej — głębiej pod ściśniętym sercem wykrzywiało się w spazmatycznym lęku coś, w czym dziś poznaję siebie. Siedziałem tam blady

i skurczony, z przerzedzonym rozdziałkiem wzdłuż czaszki, której urody nie pochwalam i bałem się trwogą moich lat dojrzałych.

Obawa kataklizmu i zagrożenie światem były pierwszym czuciem mej duszy. Urodziłem się wśród ludzi sytych i bezpiecznych, uczono mnie gestów mej sfery, które polegały na owej sztywnej powolności właściwej synom dostatku i spokoju.Moje plecy wylęgły się z pleców, które czuły za sobą miękkie, puszyste oparcie, mój kark był przeznaczony do wysokich i ciasnych kołnierzy, które poddzierały podbródki i nosy w kierunku nieba, co stwarzało niesłuszne wrażenie obcowania z wiecznością ich właścicieli. Odziedziczyłem wszystkie cechy mego klanu i byłbym rozpoczął ów powolny żywot, który przenosił mych przodków z białych domków nad rzeką pod złocone płyty ciosowych pomników na niedalekim cmentarzu, ogrodzonym parkanem z czarnych, rozetowych sztachet. Byłbym zakończył ów powolny żywot śmiercią wiadomą i znaną od pokoleń, zaprzężoną w dwie pary siwych, fryzowanych koni, które wiodły za sobą wygodny, ozdobny karawan ze zręczną trumną, okrytą wieńcami przyjaciół, których nie posiadam.

Lecz stało się inaczej. Los rzucił mnie w przeciwną stronę miasta, w którym żyłem i wybrał mi istnienie półtajne i burzliwe, mimo odmiennych pozorów, a śmierć, która mnie czeka, pełna mrocznych przypadków, kryje w sobie możliwości niezmierne, liczne i tak rozmaite, że nieraz chylę czoło w podziwie przed zawiłością rzeczy prostych. Można się w tym dopatrzeć winy mego czasu. Istotnie. Jest to czas śmiercionośny, epoka straszliwa, ale jak mówię, przeczucie jej nosiłem w mym dziecinnym sercu.

Lęk mojego serca! Gdybym mógł wierzyć w wędrówkę istnień, gdybym podzielił nierozsądną wiarę mojej babki i uznał w starym kocie Konstantym wcielenie jej męża, rejenta, umiałbym wytłumaczyć ową trwogę drżącą pod lewym skrzydłem mej dziecinnej duszy. Byłby to dawny skurcz spłoszonego serca, które żyło wcześniej, niż moje ciało i było mną przede mną samym. Byłby to przekaz ponad pamięcią, bratni uścisk dłoni przy rozstaniu, ostatni podarunek na nieznaną drogę, którym obdarza się u kresu kogoś, kto czyni pierwszy krok. Otrzymałbym mój lęk od mojej duszy, która wygasła, niby pałeczkę w sztafecie od wyczerpanego towarzysza.

Ale rzecz w tym, że nie mogę poprzeć w sobie tej poetycznej wiary. Uczono mnie zasad przyzwoitych i rozsądnych. Moja babka była osobą o umyśle zmąconym — wiedziałem o tym. Wiara jej kłóciła się z przyzwoitością pojęć notariatu, który uznawał wyłącznie wiarę i wiedzę uznaną. Przyzwoitość. Było to słowe ogromne i potężne, które, kto wie, czy nie było pierwszym słowem, jakie nauczono mnie rozumieć. Czyhało na mnie w każdej myśli i dźwięku, w geście, w poruszeniu, czujne i wszechobecne. Był to Duch Święty mojej warstwy. Uwierzyłem w niego tym żarliwiej, że jego opieka nie wydawała mi się szczelna i całkowicie bezpieczna; oto istota wiary. Nie wierzyłem bowiem w przyzwoitość świata, mój Duch Święty był mocą ograniczoną i działał w szczupłym kręgu. Miałem swoich pogan. Przeczuwałem dzień kary i pewny przeznaczenia Noego zbudowałbym arkę, gdyby moi wychowawcy nie sta-

wiali mi przeszkód. Lecz długo jeszcze marzyłem o wzburzonych żywiołach, po których chciałem płynąć w wysokiej, ciemnej łodzi pod rozgniewanym niebiem. Dzieciństwo spędziłem wśród zamiarów biblijnych, lecz znikąd nie doznałem poparcia.

Tam więc, w zielonych alejkach, gdzie fontanna powiewała swym srebrnym pióropuszem, wśród małych wodzów i niedorosłych wojsk, gdzie wydano mi milczącą wojnę, gdy nieruchomo galopowałem w mym siodle, po raz pierwszy zmierzyłem wzrok ze wzrokiem przeciwnika. Ujrzałem wówczas, jak spoglądają ludzkie oczy, gdy pragną wypatrzeć cudzą słabość. Było to spojrzenie bystre, nieufne i wzgardliwe. Świat zarzucał je na mnie, jak wędę. Pod koszulką moje serce wybijało dziedziczny rytm trwogi. Nieznacznie otwierałem usta i łapałem wargami łyk powietrza, jak tłusty karpik osłupiały przed haczykiem z przynętą. Tak jest, to byłem ja. Skamieniały, ze wzrokiem utkwionym w czerwonych grządkach klombu, wznosiłem się w mym siodle, jak pomnik własnego dramatu. Bo był to dramat prawdziwy, wierny bliźniak mej duszy, nieodłączny jak cień — ciemny, krzywy towarzysz na mojej trudnej drodze. Dziś wlałem się w jego kształt, nabrałem jego gestów, jestem nim od czaszki do stóp — wylękły, zgarbiony, nieufny, rozpostarłem się nad własnym początkiem — małą figurką w parkowym pejzażu, którą byłem niegdyś. Lęk stał się moją miazgą, zostałem ulepiony z najgorszych wyobrażeń o świecie, nieufna limfa opływa moje ciało. Pamiętam, jak strach wzbierał we mnie nocami, gdy ciemność patrzała na mnie tym samym złym spojrzeniem, które wysyłał mi słoneczny dzień. Byłem mały, i siedząc w poduszkach, wygrażałem pięścią w tę stronę, skąd szydził ze mnie mój świat. Ale daremnie. Noc była silna, mrok miał oczy równie niechętne jak słoneczny dzień. Padałem pokonany i ofiarowywałem duszę nieprzychylnym snom. Budziłem się ze zgrozą, aby po chwili znów zasnąć. Sny, moje własne sny, nie miały dla mnie miłosierdzia. Gdzież tedy miałem szukać ocalenia?

Oto moje dzieciństwo. Oto moja twarz, którą dawno nosiłem w sercu, jak nieuchronną przyszłość. Stało się wszystko, co stać się musiało. W zielonym parku zapadł pierwszy o mnie sąd, pierwszy śmiech rozległ się za mymi plecami i dotąd brzmi mi w uszach. Spojrzenie mego świata! Jak często spotykam ten wzrok. Do dziś galopuję w miejscu na nieprawdziwym koniku i ziemia umyka mi spod stóp, w oczach mam klomb i fontannę, dziewczęta z żółtymi kołami, okrąglak i kiosk. Dziwna, dziwna tajemnico. Jakżeby to być mogło, że wparłem się w nieobrotną oś, gdy reszta przewala się z hukiem wokół mojej głowy? Nie posuwam się na krok. Odmawiam i uchylam czapeczki. Mój świat i ja trwamy na niezmienionych pozycjach.

II. BAL

Wieczorem, kiedy kamienica i zaułek oddawały się w opiekę ciemności, gdy opuszczałem zasłonę w oknie i zapalałem lampkę, mój świat kurczył się w czterech ścianach i miałem go niemal w ręku. Czułem się wówczas mądry jak

szpak. Lubiłem stąpać po dywanie w miękkich pantoflach i wałęsać się wśród sprzętów, ostrożnie, bez szelestu, muskając w przejściu palcem ich brzegi. Było to bezpieczne zajęcie. Jakiś odgłos za oknem zatrzymywał mnie nieraz na moment krótki lub długi. Czekałem aż minie. W tych chwilach byłem przywiązany do ciszy i odczuwałem ją przestrzennie. Każdy dźwięk wydawał mi się wówczas przeszkodą w znaczeniu rzeczowym. Kiedy zatrzaskiwano bramę, wrastałem w dywan, jak gdyby ją zamknięto tuż przed moim nosem. Na odgłos śmiechu lub krzyku podnosiłem wysoko nogę w obawie, aby nie przydeptać czegoś na posadzce. Czasem auto warknęło po szosie. Słysząc wysiłek motoru tuliłem łokcie do boków. Szosa była wąska. Ryk silnika rozrastał się w moją stronę. Napinał się boleśnie. Kurczyłem ramiona. Była w tym głosie nieartykułowana rozpacz, którą odczuwałem jako nadużycie w stosunku do mnie, szosy i maszyny. Ale w chwili, gdy jęk motoru sprzęgał się z przekątną, po której biegł mój słuch i czujność, zatracała się jego skarga i wzbijał się tuż koło mego ucha w czysty wesoły dźwięk, podobny do brzmienia mego zegara, kiedy wydzwania godzinę. Potem cichło wszystko. Prostowałem plecy i podejmowałem przechadzkę wśród mebli. Głosy i poruszenia przetaczały się na zewnątrz mego świata. Moja przestrzeń była szczelna. Dotykałem sprzętów, wyścielań i obrazów ruchem, jakim się sprawdza zamki i zasuwy. Byłem dobrze strzeżony. Wodziłem dłonią po ich brzegach, gładziłem ich płaszczyzny. Każda nierówność, załom lub wypukłość wiązała się z rzeszą widm w mojej pamięci. Ileż wygasłych słów. Ileż rozwianych kształtów. Ręce, które umarły, opierały się niegdyś w tym wytartym miejscu. Meble były stare. Liczyłem pokolenia rąk, które ich mogły dotykać i pragnąłem stworzyć wokół tych znajomych przedmiotów niewidzialny świat gestów i głosów. Myślałem z uśmiechem, że moje słowa i dotknięcia zamkną zapewne ten korowód.

Na tę myśl ogarnia mnie lęk przed niepamięcią, stokroć gorszy od śmiertelnych obaw. Odczuwam go wciąż. Pragnąłbym niezupełnej, niedokładnej śmierci, która pozwoliłaby mi pozostać przez jakiś czas choćby w łańcuchu żywych i umarłych. Lecz jakiż zostawię ślad na ziemi? Czyim myślom przekażę wspomnienia? Nie sięgnąwszy lat czterdziestu, poznałem samotność starców. Kim będę za lat dziesięć? Ach, ktokolwiek przeczyta te słowa niech zapamięta, że za życia trzeba dbać o swych spadkobierców i od młodości się troszczyć o przyszłe dziedzictwo po sobie. Nie troszczyłem się o nie. Ów krzepki prąd, który mnoży i skuwa istnienia w szeregi i cykle, nie wniknął dotąd w moje życie. Zignorowano mnie. Nie jest miło być ignorowanym w sprawach znacznej wagi.

Jeśli więc wierzyłem niegdyś w Boską opiekę nad sobą, to dziś podtrzymuję tę wiarę jedynie przekonaniem o przymierzu z dobrym losem środowiska, z którego wyszedłem. Zdany na własną opatrzność, pocieszam się myślą, że w trudnych momentach mego życia obudzi się we mnie jakiś instynkt notarialnej krwi, odruch tradycji czy wreszcie bezwiedne przypomnienie znajomości świata, którą mój ojciec i moi dziadkowie posiedli z tak pogodnym i popłatnym trudem. To ich dłonie przecież opierały się na poręczach mojego fotela, ich palce odwracały kartki książek na mym biurku, ich czoła odbijały się w lustrze, w którym dziś

oglądam swą twarz. Są zapewne koło mnie, krążą blisko, umarłe, białe, wiotkie, bezszelestne, może chronią mnie przed czymś, może wspierają kiedy nie wiem o tym?

Kto by się uśmiechnął z mej naiwnej wiary, temu powiem, że nie była to wiara bezwzględna, ile raczej pragnienie, które zwykle wyraża się w słowach: „Ach, gdyby to być mogło!" Tak, gdyby to być mogło, czułbym się bezpieczny. Wokół starej komody, czy mahoniowego krzesła z wyblakłym oparciem wywoływałem legendy i tradycje w tym samym celu, w jakim uczeni i artyści ożywiają siłą swego daru pomniki przeszłości albo pola bitew. Aby utwierdzić wiarę w niezniszczalność życia i w wieczność rzeczy minionych. Wykonywałem więc w stosunku do siebie zabiegi dobrych synów gasnącego narodu. Empirowy zegar z orłem, który niegdyś wybijał godziny przyjęć mego ojca, był moim dzwonem Zygmunta. Zwalisty kredens, w którym szereg pokoleń chowało sztućce i zapasy, mieścił w sobie sumę wyobrażeń równie przenoszącą mój umysł, jak Hradczyn umysł Czechów. Przeto wzorem ludów, którym nie zawsze sprzyjał los, skłaniałem się do kultu duchów zagasłej przeszłości. I podobnie jak owe ludy czyniłem to z dwóch pobudek. Z tęsknoty i dla pożytku. W mojej psychice bowiem zawsze posiadałem cechy narodu o chwiejnych granicach.

Tym tłumaczę uczucie zagrożenia światem, które nie opuszczało mnie nigdy i moją do niego nieufność, która wzrastała, im ciaśniej mnie osaczał. Ustępowałem mu, bo byłem chytry. Rok za rokiem cofałem się na coraz węższą przestrzeń, czując, że na ostatnim jej skrawku jeszcze potrafię się bronić. Wiedziałem dobrze, że przysłowiowy kozi róg będzie moim schronieniem, że przyjdą dni, kiedy silniejsi ode mnie schowają głowy w ramiona, aby nie widzieć i nie być widzianym. Miałem niegdyś znajomych i krewnych. Rok po roku zrywałem te związki. Dopiąłem tego, że nie poznawano mnie na ulicy. Starałem się przemykać się chyłkiem, w kapeluszu wciśniętym na oczy i ilekroć mijał mnie obojętnie ktoś, kto powinien był mnie poznać, chichotałem pod nosem z radości. To było sprytne. Oszukiwałem świat. Dziwną koleją zdarzeń wymarli moi krewni. Prócz dwóch kuzynów mej matki, którzy mieszkali w innych stronach kraju, nie miałem nikogo z bliskich. Wkrótce też utraciłem obydwóch mych wujów. Stało się to przypadkiem. Pewnego dnia doszła mnie wieść o śmierci mego wuja, który mieszkał w P. i o powołaniu drugiego, który osiedlił się w M., na urząd burmistrza w tym mieście. Wysłałem oba listy, lecz w roztargnieniu pomyliłem koperty. Wdowa po wuju w P. otrzymała moje radosne gratulacje z powodu zaszczytnego przeniesienia jej męża, który na kilka dni przedtem rozstał się ze światem, a nowomianowany burmistrz miasta M. odczytał kondolencję z powodu swej śmierci, w której wzywałem jego zacną żonę, aby pamiętała w swej trosce o sobie i o życiu, które ma przed sobą. Obydwa listy uznano za rozmyślną złośliwość, lub odruch szaleńca. Wujenka w P. i burmistrz odwrócili się ode mnie. Zostałem sam.

Mój świat stał się żywiołem bezimiennym i przestałem rozróżniać w nim twarze. Z wyjątkiem jednego imienia i oczu, które zapadły mi w serce zbęd-

nym zrządzeniem przypadku. Mam na myśli Urszulkę. Był to nieobronny punkt mego systemu. Okoliczności związane z tym uczuciem napełniają mnie troską i kiedy myślę o nim, ogarnia mnie podejrzenie, czy nie jestem mężczyzną z rodzaju „lampartów". Słowem tym określano w moim środowisku ludzi miłujących własne namiętności. W istocie — kochałem tę namiętność. Przejmowała mnie lękiem, czyniłem z niej sobie wyrzuty, ale kochałem ją, jak zapewne Achilles kochał swoją piętę. Cóż bowiem silniejszego w naturze, niż przywiązanie do własnych słabości?

Podczas, gdy cofałem się przed światem na coraz ciaśniejsze pozycje, meble i sprzęty wśród których pędziłem życie odbywały podobną drogę. Ich świat kurczył się również. Za życia mych rodziców rozpierały się w dwóch piętrach zasobnego domu. Mieścił się w nich wówczas potężny odłam realności, niełatwy do ogarnięcia myślą. Były starsze i większe ode mnie, kazano mi je szanować. Kiedy po śmierci ojca skupiły się w trzech pokojach, ja o tym czasie przystępowałem do studiów. Cierpieliśmy wspólnie, choć z odmiennych przyczyn. Świat szerszy od moich doświadczeń stanął wtedy przede mną otworem. Poczułem się otoczony i bezbronny wobec swobody, w którą mnie zanurzono zbyt raptownie; trudno mi było uwierzyć w prostoduszność tego dobrodziejstwa. Zacząłem się strzec. Już wtedy lubiłem kłaść pasjanse przy biurku, którego szuflady pachniały cygarami ojca. W trzech niewielkich pokojach tłoczył się świat mojej przeszłości — jedyny, któremu ufałem.

Długo broniłem się z tej pozycji. Nieraz dziwiło mnie, że rzeczy niegdyś ogromne mogły się zmieścić w tak małej przestrzeni i chodziłem po pokojach, aby sprawdzić, czy nie brak jakiego przedmiotu. Ale były wszystkie. W tej ciasnej amfiladzie moje dzieciństwo wydawało mi się pomniejszone, i nie tak wykwintne. Meble zbrzydły, i co dziwne, również ja zacząłem w tym czasie tracić mą urodę. Mieliśmy więc wspólny okres przekwitania, a kiedy wydarzenia wojny kazały mi opuścić moją amfiladę, z radością powitałem brzydotę zaułka. Obdrapany dom, rumowiska, swąd od strony pola — była jakaś ulga w nowej degradacji. Nie czułem rozpaczy, patrząc po raz pierwszy przez okno w szare niebo nad uliczką. „Jesteśmy więc między swymi, brzydale!" — powiedziałem głośno i odwróciwszy się w stronę biurka, z którego odpadała politura, pogłaskałem je dłonią. Już wtedy często mówiłem do siebie. Zapewne skutek samotności.

Nowe mieszkanie składało się z korytarza i pokoju z obszerną wnęką, w której ustawiłem biblioteczkę oraz łóżko. Była też kuchnia i łazienka. Okno ukazywało skrawek nieba; rozdarte dachy i rozwalone kominy wycinały w nim zębate wzory. Było to skąpe pomieszczenie. Musiałem się wyrzec wielu rzeczy, aby roztasować w nim mą przeszłość. Skoncentrowałem ją w zwięzły podręcznik przedmiotów niezbędnych. Epokę zmieściłem w paru kątach; nie przyszło mi to bez trudu. Wyrzekłem się fortepianu, na którym moja matka wygrywała walce i florenckich kopii zbyt wielkich na ściany mojego pokoju. Kredens ustawiłem w kuchni, ponieważ nikt nie chciał go kupić. Wyrzekłem się również bieliźniarki, z której ujrzałem niegdyś podwójne życie mego ojca, co nie oznacza, iż był to jej przymiot niezmienny, jak widok Salaminy z ruin Akropolu. Zwy-

czajnie, stała w dziecinnym pokoju, wolna od tajemnic, wzrostem i przeznaczeniem pokrewna wszystkim sprzętom swojego gotunku. Nie, to moje życie, to mój los posiadał tę dziwną własność, że świat przybierał wobec mnie pozycję odtylną, ukazując mi od zarania mych lat ukrytą prawdę swych zjawisk. A tak pragnąłem, aby był dobry i prosty... Rozstawszy się z bieliźniarką, zachowałem wszakże okrągły stolik, który niegdyś stał koło niej i oddał mi bezcenną usługę w tym dniu strasznego olśnienia, kiedy liczyłem lat sześć.

Miało to miejsce na balu, który odbywał się w naszym domu. Tego dnia wcześnie położono mnie spać. Przez szybkę w drzwiach mego pokoju przenikało światło z gabinetu, przeznaczonego na schronienie dla zmęczonych tancerzy. Byłem pozostawiony sam sobie i leżąc pod kołdrą, słuchałem ciągle zmieniających się głosów za moimi drzwiami. Przybliżały się czasem i mogłem wtedy w nich odróżnić jakiś znajomy dźwięk; albo cichły w dalszych pokojach i wtenczas machałem ręką w takt muzyki, która rozbrzmiewała z salonu, zamienionego w salę tańca. Kiedy podczas kujawiaka szyby w moich drzwiach drżały od tupotu lakierków — czułem się bardziej rozsądny niż goście mych rodziców. Ale było mi dobrze. Moją guwernantkę zaproszono na bal, spałem więc sam w pokoju i potrafiłem wykorzystać tę moją samotność, wymyślając ciekawe zabawy. Były to zabawy mimiczne. W lekko rozświetlonym mroku obdarzałem gestami znajome głosy tancerzy. Słysząc gruby śmiech za drzwiami, wiedziałem, że śmieje się dyrektor banku, którego nie lubiłem, gdyż szczypał mnie w ucho. Przystawiałem wtedy palce obu rąk do nosa i czyniąc obrzydliwe miny, syciłem się własną pogardą. Dyrektor nie mógł tego widzieć, moja zemsta nie sprawiała mu bólu, ale czasem lubimy okazywać sami sobie dosadny obraz własnych uczuć. Natomiast, gdy rozlegał się głos małżonki prezesa sądu, przesyłałem w stronę drzwi królewskie uśmiechy i czyniłem dłonią łaskawy, głaszczący gest, jak gdyby ta siwa matrona czuwała na czworakach obok mego łóżka. Lubiłem ją, gdyż w przeciwieństwie do dyrektora posiadała delikatność wyrażeń i bardzo miękkie ręce. Umiałem być bezstronny.

Podczas mojej zabawy bal wpadał w coraz szybsze wiry; słyszałem brzęk kieliszków i szelest sukien, gwar w dalszych salonach wzrastał i mogłem w nim rozpoznać aksamitne okrzyki dependenta mego ojca, który pełnił tego wieczoru funkcję wodzireja. Czasem skrzypek odłączał się od kapeli i wędrując po pokojach wypłaszał z gabinetu znużonych tancerzy. Wtedy mijała mi złość do dyrektora banku i płakałem ze wzruszenia prawdziwymi łzami. Muzyka odradzała we mnie tkliwość, którą tłumił świat. Byłem szczęśliwy z tych łez i odczuwałem ich czyste dobro.

Usnąłbym w końcu, ale gdy w pewnej chwili zaległo milczenie — nadstawiłem uszu. Z salonu rozległy się dźwięki fortepianu. Poznałem rękę mojej matki. Był to walczyk, który grała często. Wtórował jej męski głos. „Gdym po raz pierwszy ujrzał ją..." To dependent miał swój wielki dzień. Za drzwiami panowała cisza, widać goście zebrali się w salonie. Słuchałem otulony kołdrą, kiwałem głową w znany rytm piosenki, która tego wieczoru wydawała mi się obca i odświętna, podobnie jak moja matka w sukni ze złotych dżetów.

Nagle zamarłem. Tuż obok, pod mymi drzwiami zabrzmiał znajomy szept. Ogarnięty przeczuciem równie strasznym jak niezrozumiałym, usiadłem na łóżku. Był to głos mego ojca. Słyszałem bicie własnego serca i szmer posadzki w przyległym pokoju. „Gdym po raz drugi ujrzał ją, rzuciła mi gałązkę róż" — śpiewał dependent w salonie. Nie słuchałem dłużej. Nie wiedząc, co czynię, zarzuciłem kołdrę na ramiona i dotknąłem stopami dywanu. Tak, to mój ojciec mówił coś spiesznym szeptem; głos jego był przytłumiony, czułem w nim niepojęty dla mnie wysiłek, nie rozróżniając słów. Postanowiłem działać. Zza drzwi dobiegło mnie zduszone westchnienie, jakby ktoś nie mógł unieść wielkiego ciężaru. Jakież ciężary mógł dźwigać mój ojciec? Drżąc na całym ciele i plącząc się w kołdrze, którą wlokłem za sobą w obawie przeziębienia, przysunąłem krzesło do stolika, stolik do bieliźniarki i w chwilę potem byłem na nim. „Wówczas wyznałem miłość swą, lecz wszystko przeminęło już" — narzekał tenor dependenta. Uniósłszy się na łokciach, podciągnąłem nogi. Po drugiej stronie szyby w drzwiach rozkładał się pode mną gabinet zamieniony w foyer. W wazonach stały kwiaty, na tacach kieliszki, ciężki żyrandol osłonięty był fiołkowym tiulem. Pod żyrandolem ujrzałem mego ojca, który w lewej dłoni z odgiętym małym i serdecznym palcem trzymał czarkę napełnioną złotym płynem, prawą zaś przyciskał do piersi moją guwernantkę. Jej białe ramię odcinało się na czarnym wyłogu fraka. Siedząc pod sufitem, mrugałem oczami, niepewny treści tego układu. Zęby mi szczękały mimo okrycia, jak gdyby mój organizm szybciej zrozumiał katastrofę od mego umysłu. Wytrzeszczałem osłupiałe oczy w przegiętą postać mego ojca, jego ostrą blond bródkę, którą zdawał się mierzyć w szyję mojej opiekunki. Zwiesiwszy zmarznięte nogi, wpatrywałem się w grupę u mych stóp, która wywracała prawa mych wyobrażeń. Moje pojęcia waliły się. W owej chwili, na szczycie bieliźniarki, przestałem wierzyć we własny obraz świata. W bolesnym sklepieniu piersi biło moje oszukane serce. Nie pojmowałem celu tej zmowy za mymi plecami. Cóż działo się tam, w salonie, gdzie była moja matka? Po policzkach płynęły mi łzy. Walczyk wbiegał w trzecią zwrotkę. „Gdym po raz trzeci ujrzał ją, tra lala — trala la — tra lala" — akompaniował fortepian. Zdążyłem jeszcze spostrzec, że skrzydła fraka mego ojca kołyszą się i drżą jak gdyby zamierzał poderwać się do lotu i pofrunąć ku gwiazdom, unosząc ze sobą w objęciach ciało mojej guwernantki. Przypomniałem sobie podróże na miotłach i ogarnął mnie dreszcz. Otworzyłem usta, aby krzyknąć i wówczas to wydarł się z mego gardła dziwny ton, który miał na zawsze stać się głosem mojej zgrozy. Był to rozpaczliwy jęk, podobny do beczenia owcy, której strzygą wełnę, krzyk zwierzątka rzuconego na łaskę żywiołu. „Aaaa — aaa..." Zadrgał, zatoczył się na moment w mej krtani, przygłuszony natychmiast oklaskami z salonu. Wetknąłem pięści w usta. Dependent zakończył piosenkę. Mój ojciec pozostał sam pod żyrandolem, trzymając w palcach kieliszek. Wydawał się zamyślony.

Długo siedziałem na szafie, w kołdrze zaciągniętej pod brodę, czując ból na widok oszustwa, którego sensu nie byłem w stanie pojąć. Czyż zawsze z chwilą, gdy układano mnie do snu, życie, świat i jego związki zaczynały się toczyć

w opacznych obrotach? Może właśnie w snach widywałem prawdziwy ich obraz? W szóstym roku życia nie każdemu wiadomo, że namiętność wykrzywia obraz świata. Nie wiedziałem co to jest namiętność. Nie znałem nawet tego słowa; czyż mogłem się więc domyślić, że rządziła mym ojcem i podsunęła mu ów gest ramienia i talii równie sprzeczny z jego rygorem, jak bluźnierstwo z tekstami dogmatów?

Kiedy nazajutrz obudziłem się z katarem, gorączka nie wyrwała mi zwierzenia. Umiałem pilnować swych spraw. Był to bojowy chrzest mej przebiegłości. Pojąłem w rozbłysku instynktów, że udana wiara jest bronią rozumu i przymknąłem w duszy lewe oko z wyrazem sceptycznym, podczas gdy prawe patrzało uważnie. Zacząłem żyć w milczącej obłudzie i znajdowałem w niej rozkosz. Tak, tak, to była obłuda. Wychodziłem do gości jak znużony aktor. Deklamowałem wierszyki i kłaniałem się grzecznie, powstrzymując na ustach uśmiech ironicznej wiedzy. Żonie prezesa sądu mówiłem nadal: ciociu, ale gdy odwracała się do mnie plecami, patrzałem na nią spode łba. Przestałem jej wierzyć. O mych uczuciach do dyrektora banku nie trzeba, sądzę, mówić. Skrzętnie zachowując pozory, nie spuszczałem go z oka. Wiedząc, że widok, który ujrzałem z szafy był tylko próbką wielkiej gry, starałem się trzymać pod swym wzrokiem zespół. Wszakże niewidzialność owej gry, z której mnie wyłączono, pchała mnie do niesłusznych posądzeń: wpadałem w urojenia, zdawało mi się, że za mymi plecami dyrektor z sędziną bawią się w berka. Śledziłem ich ponuro. Niepewność zabijała mnie; umieli zacierać ślady.

Ale pilnując — sam musiałem się strzec. Dla niepoznaki otaczałem się zabawkami i gdy sądzono, że ustawiam klocki — ja głowiłem się nad celem ważniejszej gry, której byłem ofiarą. Rozrzucałem ołowianych żołnierzy w byle jakim szyku, aby pod pokrywką tej zabawy móc bezpiecznie myśleć o zasadzce świata. Nieraz długie godziny spędzałem z głową opartą na dłoni, przebrany w strój strażaka. Niegdyś bowiem lubiłem bawić się w pożar. Podtrzymywałem więc nadal to mniemanie i w posrebrzanym kasku dumałem, zasłaniając ręką oczy, jak mój dziadek przy pożegnaniu Cesarza. Rozrywki przestały dla mnie istnieć, gdyż przeniknąłem ich cel: chciano za ich pomocą zaprószyć mi oczy. Lecz mądrzejszy od ludu, nie wołałem igrzysk, żądając tylko prawdy. Do dziś jeszcze jej czekam.

III. KRZYK

Czuję się źle. Niełatwo mi pisać. Chętnie odłożyłbym pióro, ale jest we mnie jakiś głuchy upór, który wyrywa mi z dna słowo po słowie, jak złe zielsko dawno wkorzenione w grunt. Przymus mądrzejszy niż rozsądek popycha moją rękę. A nadto odczuwam ciekawość. Pragnę, aby z tych kartek wyjrzały ku mnie zdarzenia, ludzie i słowa — wszystko co włóczy się po mnie pogmatwane w strzępach; w niepewnej głębi szukam brodu. Chcę spotkać siebie na tych stronach; wiem, że jest jeden bród, i ten prowadzi do prawdy o mnie samym. Nie znam jej jeszcze, stąpam ostrożnie, rozwlekam kroki, cofam się nieraz

i oglądam wstecz. Kreślę sto słów o sobie, zanim wydrę z myśli jedno o tym co się działo. Bo nade wszystko ta sprawa jest moja. Związki z samym sobą stanowią o sprawach człowieka, lecz jakże często nieporozumienie jest tych związków treścią. Czasem łatwiej fałszerza przyprzeć do muru, niż siebie. W wypadkach, które opisuję, los mnie obdarzył rolą tajemniczą. Byłem ich mimowolnym i pośrednim sprawcą, a jednak raczej świadkiem niż ich uczestnikiem. Wiedza, która mi z nich została, jest pełna przeczuć i mglista. Obawiam się jej jak cierpkiego świtu po mamiącym śnie. Lecz kiedy czytam tō, co napisałem dotąd, ogarnia mnie pasja. Jest tu kłamstwo, którego natury nie potrafię pojąć. Wykręcam się sianem przed prawdą, której nie znam. Okłamuję siebie, lecz czyż wiem kim jest ten, którego okłamuję?

Tkwi pewna rzecz w człowieku straszniejsza od innych: pełna wyobraźni sympatia dla siebie, własny przychylny obraz, który się nosi pod sercem; serdeczny zalążek potworności. Oto czego się lękam. Ileż tu nabajałem o sobie jedynie po to, aby się sobą nacieszyć! Jakże byłem mądry, przemyślny, cóż za rozkoszny cudak, jakaż ironia, jakaż pogarda, co mówię — jakaż szlachetna osobliwość duszy; stare meble, obicia vieux rose, mahonie, brązy, samotność.

Nieraz, gdy zegar z orłem wydzwania godzinę i ostatni brzęk milknie tak nagle, jakby cisza pokoju miała dławiącą gęstość, odczuwam strach o własne życie. Wydaje mi się wówczas, że szykuję sobie zgubę w ów chytry sposób, z którego byłem tak dumny. Straszny lęk skamienia mi serce. Pomyłka? Oszustwo? Tak jest: pomyłka i oszustwo. Złorzeczę chwili, w której ujrzałem siebie, jakim nigdy nie powinienem się widzieć; kto wszakże oznaczy mi tę chwilę? „Wiem, że jesteś urwis" — mówiła moja babka. Już wtedy w to nie wierzyłem. Nie czułem się urwisem. Uczono mnie, że jestem rozsądny, chorowity, wrażliwy; polubiłem się za to. Czyż mogłem przypuszczać, że z cząstki mej duszy chciano stworzyć całego człowieka? Kim byłbym dziś, gdybym uwierzył wówczas w jej słowa, kiedy bezwiednie starała się zburzyć moje gnuśne pojęcia o sobie: „Znam cię. Jesteś wielki urwis". Ale wiedziałem przecież, że umysł jej był przyćmiony.

Gdy dręczą mnie podobne myśli, daję im wolny przystęp: zgroza, zdumienie, rozpacz, zwołane na raz, hulają wówczas w mej znękanej głowie. Jest to zabawa okropna: wywracam całą przeszłość na straszliwe nice, miażdżę wspomnienia, wymiatam je z pamięci i usiłuję przeniknąć wyobraźnią wszystko, coby być mogło, a co się nie stało. Wszystko, prócz tego co było naprawdę. Moja twarz, postać, gesty, jawią mi się w tych chwilach fałszywe, wymuszone, obrzydłe, widzę swój wzrok i uśmiech, niby układną daninę, świadczoną ze wstrętnym umizgiem komuś, kim mi się stać kazano. Bo zapewne stałem się istotnie z krwi, z kości i z myśli ulubionym kształtem mej sfery. Wychowanie jest siłą potężną. Cząstka, którą notariat upatrzył sobie we mnie, zamieszkała w mej duszy, ogarnęła ją i kazała mi powtórnie się stworzyć na swe podobieństwo. Cóż więc przetrwało ze mnie — ze mnie, jakim stworzył mnie Bóg?

Tego właśnie szukam. Kilka wydarzeń zatrzęsło moim życiem, dotąd huczy w mej pamięci ich echo, jak wiatr po pustej komorze. Ta jesień była wichrzy-

sta, poufałe gwizdy przeszywały zaułek na wskróś, a czarne lepkie liście sypały się przez wyłom od szosy, jak niegdyś pociski. Bywały ciepłe dni, jak wówczas, gdy przyszła Urszulka, ale i wtedy chłód czaił się pod niebem, które było szkliste i przy ziemi zbitej twardym wiatrem. Dobrze było dbać o gardło i piersi, jak właściciel domu, który nie rozstawał się z wełnianym szalem nawet w dni słoneczne. Tylko lekkomyślni włóczyli się w rozpiętym płaszczu, z odsłoniętą głową, narażając zdrowie. O zachodzie spadały zwykle pierwsze krople deszczu, który nie milkł przed nocą.

Tak było tego dnia. Siedziałem jeszcze przy stole nad niedopitą kawą i czułem, że za mymi plecami niebo spieszniej niż zwykle powleka się ciemnością. Była to sprawa chmur, które zwoływał wiatr. Odwróciłem głowę, aby zobaczyć jak różowe szczątki cegieł poblakną i zszarzeją w gruzach. Słyszałem równy oddech Urszulki, która zasnęła w fotelu nieopodal biurka. Wydawała się maleńka, skulony ciepły kształcik, podkurczyła pięty, jeden trzewik walał się po dywanie; spała jak dziecko, z pięściami koło uszu. Potrafiła zasnąć wpół słowa i układała się gdzie bądź; jak ptak pod byle liściem. Otuliłem ją kocem. Wiatr szastał się po szybach i dzwonił piaskiem po rynnie.

Może byłbym zasnął, ale w pewnej chwili drgnąłem, jakby czyjaś ręka spoczęła na moim ramieniu: o cal, o dłoń koło mnie rozległ się szelest. Stół przylegał do ściany, za którą mieszkał mój sąsiad. Była cienka, dotykałem jej niemal. Siedzieliśmy więc obok siebie, nasze głowy opierały się pewno w tym samym miejscu o tę samą cegłę. Nie słyszałem, gdy wracał. Bałem się poruszyć, lecz nie mniej bałem się, że coś zagłuszy jego poruszenia. Czy wiedział, że jestem tak blisko? Czułem przez ścianę jego oddech, trudny i ciężki, jak gdyby wzburzony, lecz nie byłem pewny, czy to wiatr nie wkradł się do pustych cegieł, aby mnie oszukać. Pulsy waliły mi w skroniach, ostrożnie przycisnąłem ręce do piersi; tamten oddech udzielił jej swego wzburzenia. Trwało to długo. Wciąż czułem go o szerokość dłoni. Słyszałem skrzypienie, koło mego ucha zaszeleściła ręka, jakby szukając czegoś po ścianie. Zdjął mnie strach, że Urszulka się obudzi i będę musiał wydać z siebie głos, wstać, poruszyć się. Czego chce ten człowiek? Niepokój kładł mi do głowy wciąż jedno tępe pytanie. Zakaszlał. Potem wydało mi się, że słyszę westchnienie, ale w tej chwili wiatr zgrzytnął po szybie i zatrzasnął bramę, a z dołu, spod okna rozległ się jazgot, jakby ktoś blaszaną kołatką uderzał o mur: to oderwany szyld ślusarza rozpoczynał taniec na swym jednym gwoździu. Gdy uciszyło się, doznałem ulgi. Od ściany oddalały się kroki. Byłem wolny. Podniosłem rękę do czoła, gdyż czułem zmęczenie. Urszulka poruszyła się we śnie. Za oknem zamżyło cichutko, szum zbierał się wysoko, jeszcze nie sięgając ziemi. Wstałem. Obydwie ręce oparłem na stole i wysunąłem głowę naprzód, słuchając. Wyszedł. Czekałem kroków po schodach. Lecz nie. W chwili gdy ostre strugi deszczu zasiekły po okapach, usłyszałem pukanie do drzwi.

Gdy wszedł, Urszulki nie było już w pokoju; zbudził ją pewnie obcy głos, pled został na dywanie. Wchodząc, przystanął w progu i zapukał w futrynę drzwi, które były szeroko otwarte. W tym geście była fałszywa elegancja, więc

uśmiechnąłem się w duchu, ale potem ogarnęło mnie zdziwienie, bo nie czynił tego nigdy przedtem. Skąd wiedział, że nie byłem sam? Czyżby i on słuchał przez ścianę?

— No...? sarknął jak zwykle, rozejrzawszy się po pokoju.

Zdawało mi się, że patrzy na mnie ze złością, nie znajdując w nim nikogo.

— No cóż, deszcz... — rzekłem grzecznie, wskazując ręką okno. Było zalane warkoczami ulewy; po tamtej stronie świat giął się i krzywił. — Pogoda zdradliwa, nieprawdaż? Niebezpieczna pora — dodałem z naciskiem, który samego mnie zdumiał. Usilnie patrzałem mu w oczy, tak jak się patrzy w niebo: czy na pogodę, czy na deszcz.

Spojrzał na mnie z niechęcią, jakbym powiedział zły żart. Tym razem wszakże nie dałem się zbić z tropu.

— Zanadto sąsiad ufa słońcu — ciągnąłem, grożąc mu figlarnie palcem — widziałem, widziałem, bez kapelusza, w paltociku rozpiętym. Czy nie obawia się doktór skutków takich spacerów? — Diabeł mnie ciągnął za język i rozdziawiał mi usta w dwuznaczny uśmieszek.

— Co pan może wiedzieć... — żachnął się wzgardliwie.

Umilkłem. Istotnie, czy mogłem o nim coś wiedzieć, było mi wstyd za te niezgrabne spytki. Blaszany szyld na dole znów zgrzytnął o mur. Ale wiatr ścichał.

— Doktór wcześniej, niż zwykle... — chciałem odwrócić jego uwagę od zmiętego pledu. Usiadł w fotelu, w którym przed chwilą spała Urszulka.

— A no tak. Deszcz... — bąknął w roztargnieniu, patrząc w dywan.

— Prawda, prawda — podjąłem żywo — deszcz, wiatr, smutno. Tęsknota. Natura czasem wylewa za nas łzy...

Ale mi przerwał:

— Co za łzy, co za tęsknota. O czym pan plecie, terefere. I pan wciąż sam, pusto, co? — Trzymał w dwóch palcach trzewiczek Urszulki, przypatrując mu się z uwagą.

Przełknąłem to. Widziałem jak ręka mu drżała. Dławił w sobie coś tym szyderstwem. Ten człowiek jest w czyjejś mocy — pomyślałem nagle i myśl ta zdumiała mnie głęboko swą niedorzecznością. Przypomniał mi się jego okrutny gest, kiedy opierał nogę na występie muru. Miał wówczas twarz zwróconą w kierunku mych okien i jego noga zdawała się ugniatać mi pierś, choć nie jest mym zwyczajem leżeć na występach muru. Lecz czułem jego dręczącą władzę wszędzie; czy był daleko, czy blisko. Jestem w mocy tego człowieka — uświadomiłem sobie i wniosek ten pokrzepił mnie jak trafna diagnoza choroby. Ale w następnej chwili spotkałem jego spojrzenie tak pomieszane i nieśmiałe, jak u chłopca, który obawia się chłosty. Byłem wstrząśnięty. Kto tu oszalał? Podawał mi trzewik ukradkowym ruchem, tkał mi go w dłoń jak wariat. Cofałem ręce w popłochu. Chciałem uciec, bo zdawało mi się, że poruszył ustami i zabełkotał coś bez związku, patrząc ponad moje ramię. Targnąłem się w tył. Za moimi plecami stała Urszulka, o której zapomniałem. Mgliste podejrzenie zasadzki musnęło mi serce.

Dobrze pamiętam ten moment. On stał z pochyloną głową, czekając na mój

pierwszy gest. Pięści oparte miał jeszcze na poręczach fotela; mogłoby się wydać, że szykuje się do skoku. Na czoło opadł mu czarny kosmyk i zakrył lewą brew. Wyglądał jak straceniec na sekundę przed przełożeniem nogi za barierę mostu. Słyszałem chrzęst sprężyn w zegarze i cykanie wahadeł. Patrzałem na nich bystro. Stare przeczucie niepoczciwej zmowy za mymi plecami znów ożyło mi w piersi. Przenosiłem nieufny wzrok z Urszulki, która zdawała się unikać mych oczu, na doktora, jak niegdyś z prezesowej na dyrektora banku. Węszyłem sekret i podwójny sens zawarty w tej chwili. Gra? Spisek? Wreszcie wysunąłem rękę i uczyniłem ów ruch, który miał ich zbliżyć.

— Oto mój miły sąsiad, pozwól. Jak widzisz, nie stronię od ludzi.

— Dziękuję — usłyszałem szept doktora, który pochylał się do jej ręki.

— Ale czy jest za co? — roześmiała się Urszulka, zerkając ku mnie z boku.

— Och, oczywiście, nie ma za co! — potwierdziłem spiesznie. — Niewątpliwie, nie ma za co dziękować, doktorze. Przecież spodziewaliśmy się pana... — i umilkłem z otwartymi ustami.

Oboje patrzyli na mnie, czekając z niepokojem na moje dalsze słowa. Nagła tęsknota za samotnością przeszyła mnie szybciej niż myśl. Ten wieczór zaczynał się źle.

— Proszę — powiedział doktór i wyciągnął do mnie rękę. Częstował mnie papierosem, wiedząc, że nie palę. Stał plecami do okna, nie widziałem jego oczu. Mrok nas rozdzielał jak mgła. Było parno.

— Co? Nie, dziękuję. Zapalę lampę — wyjąkałem zasłaniając się dłonią.

— Ach, lampę? — zdziwił się złośliwie. — Ciekawe, ciekawe. A ile lamp wypala pan dziennie, drogi przyjacielu?

Odeszła mi ochota do świata. Nie zrozumiałem tego żartu. Słyszałem chichot Urszulki, dotknęło mnie to jak zdrada.

— Jak to, ile dziennie? — powtórzyłem zdumiony. — Co pan ma na myśli, doktorze? Ile dziennie? Kiedy pan porzuci kpiny? — Zaczynała ogarniać mnie pasja i szukałem obrony, ale rozdrażnienie i przestrach warzyły mi myśli.

— No, no, niech pan się nie obraża — mruknął pojednawczo. — Więc zapalimy lampę, czy pani pozwoli? — Źle maskowana chęć popisu dźwięczała w jego głosie.

Porałem się ze światłem. Zapałki gasły i łamały mi się w ręku. Chciałem spojrzeć na zegar: jak długo jeszcze? Ognie biły mi na twarz, nieznośny zgiełk przelatywał w skroniach; po ciemku kłuło się coś we mnie ukradkiem, mdląca słabość czaiła się w piersiach. Już wtedy czułem się chory. Jak gdyby wiatr, który ucichł na zewnątrz, wdarł się do moich kości. Słyszałem dyszący szum własnego tętna; przetaczał się po mnie od czaszki do stóp.

— Otóż to, otóż to! — zawołał doktór, kiedy zbliżałem się z lampą. — Światło. Oto czego nam trzeba. Świetnie się pan spisał, ho, ho, światło! — Klepał mnie po ramieniu, zbyt silnie, abym mógł odczuć z tego przyjemność.

— Tak, ciemność mnie męczy — zgodziła się Urszulka muzykalnie.

Spojrzałem na nią spode łba. Jedno drgnienie w jej głosie powiedziało mi wszystko co miało nastąpić. Ten dzień był przeklęty. Podnosiła rękę do włosów

ruchem, który znałem: chciała odsłonić ucho, to ucho, z którego była dumna. Malarz, równie bezczelny jak jego martwe natury, wyraził się raz o nim, że jest podobne do ostrygi prześwietlonej słońcem o zenicie; porównanie to sprawiło rozkosz mojej nienawiści do tego człowieka.

Ustawiłem lampę. Dałem im czego chcieli. Ręce mi się trzęsły i kiedy nasadzałem klosz, szkło zadzwoniło o mosiądz. Przeraziłem się, czy na mnie nie krzykną i szybko przytknąłem dłoń, aby zdusić jęczący dźwięk. Ale uszło mi to. Przysunąłem im światło i sam zostałem w cieniu.

— Ciemność mnie męczy — ciągnęła Urszulka — i obezwładnia. Boję się wtedy mówić głośno, żeby czego nie spłoszyć, albo czego nie skusić. Kiedy byłam mała, uczyli mnie modlić się po ciemku. Zawsze w łóżku przed snem zmawiam trzy Zdrowaś-Marie. Dopiero wtedy czuję się bezpieczna. Zabawne, prawda? — mrużyła oczy pod światło i układała wargi w zdziwione kółeczko, jakby chcąc doktorowi pokazać próbkę swojego dzieciństwa. Doktór nie tylko zgadzał się, że jest to zabawne, ale ponadto szastał nogami koło fotela w tajemniczy sposób. Rozumieli się. Siedziałem jak wyrzutek na małym krzesełku poza kręgiem lampy. Dreszcze zamiast myśli lęgły mi się w mózgu. Patrzyli na siebie wykonując dziwne gesty. Nie poznawałem ich obojga. W ich oczach czaiła się łapczywa wymowność. Sznurowali do siebie usta z żarłoczną pochwalnością i zanim jedno kończyło zdanie, drugie potakiwało w skocznych, krągłych rzutach ręki, głowy lub tułowia. Zwłaszcza doktór celował w tych lansadach.

Mówił zapewne rzeczy osobliwe. Ale nie słyszałem zdań. Widziałem tylko, jak przekrzywia gładką, czarną czaszkę w przymilnym uśmiechu. Gorączka wdławiała wszystko w moje wnętrze: doktór był we mnie, siedział w moim brzuchu i głową rył mi mózg. Każde zdanie huczało we mnie jak w wąwozie. Głosy i słowa, niby ciężkie kamienie przewalały mi się pod potylicą. Czułem się opuszczony przez wszystko i samotny wśród ścian, które postawiły czyjeś chwiejne ręce. Wszystko co się działo koło mnie zdałem na cudzą wolę. Siedząc na krześle z dala od lampy wyrzekłem się jakiejś opieki nad sobą. Ale wyrzekłem się nieszczerze, bo chciałem, żeby trwała. Lecz nic nie mogłem uczynić. Niczemu nie mogłem przeszkodzić. Podskakiwali w fotelach, szczerzyli do siebie zęby, a ja musiałem na to patrzeć. Niczemu nie mogłem przeszkodzić. Słyszałem: „Czy da pani wiarę, że i ja niegdyś wierzyłem w modlitwę?" Słyszałem to. Ale któż wyrzekł: „Wiara?" To słowo było ostre jak krzemień, wpadło gdzieś we mnie, aż odbiło się od dna i wwierciło się głęboko w kość za uchem. Ten kto to mówił nie powinien był celować w tę bolesną kość. Czy nie było nikogo, kto by mi oczy zakrył dłonią. Byle jaką dłonią, prócz mojej, której nie mogłem dźwignąć na cal. Ale nie, nie było nikogo; musiałem patrzeć; czułem w grdyce jakiś naglący dygot, który trzeba było czym prędzej wyrzucić z siebie. Śmiałem się. To był mój śmiech. Ruszał się we mnie i sadził w susach od przepony do gardła. Chciałem go zatrzymać; wsadzałem w usta wielki palec i dusiłem się. Ale i tak byłem na jego łasce. Już wówczas zaczęła się moja choroba. Trudno mi było trzymać się we władzy.

Czy oni wiedzieli o tym? Nie. Siedziałem od nich o krok. Ale nie patrzyli na mnie. Nie widzieli jak rosłem czaszką do sufitu, jak puchłem i wylewałem się z krzesła, nie słyszeli huku swych słów we mnie. Byli zajęci sobą. Czy dobrze pamiętam, że mówili o modlitwie? Zdaje się, że mówili właśnie o tym. Modlitwa! Musiałem się z tego uśmiechnąć — to była rzecz obca gorączce. Musiałem się zdziwić. Modlitwa? Czułem się panem licznych istnień, które szeptały we mnie. Tak, była mi wówczas obca, jak obca jest zapewne Bogu. Nie trzeba mi było modlitwy. „Pax, pax vobiscum", mówił lekarz i machał ręką w moją stronę, nie patrząc jednak na mnie. Zaczął się śmiać i znów ogarnął mnie lęk, że ten jego śmiech nie wyjdzie mi na dobre. Bo wciąż siedział we mnie. To było nawet dziwne: wciąż siedział we mnie, śmiał się, a mnie zdawało się, że wewnątrz jestem sam. Ale wszystko się mogło wówczas we mnie zmieścić.

A jednak widziałem przecież pewne rzeczy. Pamiętam, spostrzegłem jak Urszulka szukając zapałek pozwoliła, żeby blask lampy padł na jej rękę. Szukała ich dosyć długo, aby doktór ocenił tę rękę. Zależało jej na tym. Niektóre rzeczy widziałem dokładnie. Wysuwała ją naprzód, jak zabiegliwa matka córkę na wydaniu. Znów zachciało mi się śmiać. Wiedziałem przecież, że nie znajdą tych zapałek. Schowałem je do kieszeni, przygotowując światło. Niektóre fakty pamiętałem dobrze. Więc lewą ręką dotknąłem marynarki i czułem je przez kieszeń, a dużym palcem prawej zatykałem gardło. I rzecz niepojęta: zacząłem trzeźwieć.

Doktór odsłonił klosz i nachylił ku niej płomień, wykonując przy tym niezmierną ilość złożonych ruchów. Patrzałem. Cień jego palców zakrył ścianę, a głowa oczepiła się sufitu, niby łeb wielkiego owada. Zrozumiałem, że muszę czuwać. Mój niepokój zaczął trzeźwieć wraz ze mną. Ujrzałem jego i siebie w świetle lampy. Dzielił nas jeden krok. Znów zatargał mną strach: czy dobrze się stało, że spuściłem go z oka? Co mówił, co robił przez ten czas, kiedy nie mogłem słyszeć ani patrzeć? Wytężyłem słuch, lecz znów wydało mi się tylko, że rozumiem. Bo rozumiałem w sposób nieużyteczny. Tekst brzmiał mi w uszach, ale nie trafiał tam, gdzie byłem naprawdę. Tylko tyle, że on, doktór, był już poza mną, że widziałem go przed sobą; wyniósł się ze mnie, miałem go pod ręką; ale jeszcze nie usadowiłem się na jego miejscu. Wiedziałem jednak, że coś się stanie tego dnia, nie wątpiłem o tym. Czaiło się w tym pokoju, między nami trojgiem. Lękałem się z tym zostać sam. Zdawało mi się w pewnej chwili, że milczą. Ich dłonie spotkały się na moment, rozżarzone światłem. W tej chwili milczenia znów poczułem się źle. Niepokój natarł na mnie z dołu zimną i gorącą falą. Rozsadzał mi bębenki miarowym groźnym przypływem. Ale był to niepokój przytomny. Słyszałem każdy szmer. Z zewnątrz, od posadzki rosło coś w moją stronę i przygważdżało mi stopy. Czułem pod sobą mętny ferment, moja krew chwytała ostrzegawcze drganie. Rosło. Rodziło się. Chciałem ucho przyłożyć do ziemi. Powoli wstałem z krzesła.

— Powiada pani: modlitwa — dogonił mnie jego głos. — Pax, pax vobiscum, dzieciom wolno się modlić, składać ręce w ciemności do kogoś, kto czuwa nocą. Im jeszcze wolno się modlić. Ale my?

Więc dobrze. Słyszałem. Mogłem już rozumieć. Stanąłem przy oknie. Wysunąłem rękę przez zasłonę. Chłodny słony powiew liznął ją przyjaźnie. Było już po deszczu. Wiatr wymiatał pułap i darł chmury na szarpie. Niebo było jaśniejsze od ziemi. Ziemia była czarna. Oparłem czoło o rąbek szyby i zamknąłem oczy. O, gdyby móc zanurzyć głowę w chmurach i podać skronie studzącym prądom. Rynny szemrały w dole, kurek zawodził na dachu. Któż jeszcze czuwa nocą?

— Ale my? — powtórzył doktór.

Powoli przestawał mnie drażnić. Tak, a my? — spytałem się w duchu. Stałem do nich plecami. Niebo, chmury, wiatr — przy każdym zdaniu stawiały swą wielką odpowiedź. Byle szmer brzmiał jak prawda.

— Mówimy: modlitwa. Nie jesteśmy dziećmi, ha, ha, czy nie czas pomyśleć o czymś poważniejszym? Ornaty, ołtarze, kadzidła, mszalne wina, pokuty i hostie, no, nie chwalę bluźnierców, ale czy nie za wiele? Słowo daję — zabawki, cacka, jasełka. Jesteśmy dorośli, potrafimy rozsądnie żyć, zabijać, budować i niszczyć. Niech się pani nie dziwi, słowo honoru, mówię poważnie. Powiada pani: cierpienie? Ech, ech! Za stary ze mnie ptak, za stary ptak, żebym uwierzył. Modlitwa z cierpienia to ładnie brzmi, modlą się, bo cierpią, ech! Baj baju. Nie dla mnie.

Na dole brzęknęła szyba i rozległ się jakiś głos. Ktoś mówił, ktoś się poruszał. Blacha pod oknem otarła się dwa razy o mur. Tam i sam. Słyszałem jak doktór głęboko w płuca wciąga dym. Palił.

— Czy pani wie — cedził uroczyście — jaki jest największy grzech ludzki, tutaj, na ziemi?

Odwróciłem głowę i ujrzałem go jak zataczał ręką krąg. Zdawało mi się, że zwracając się do niej kieruje te słowa do mnie. Spotkałem na chwilę jego wzrok.

— Ach nie? Więc pani nie wie, w porządku, zaraz, zaraz. A czy pani wie — szeptał wyrozumiale — czy pani wie — co to jest lenistwo? Otóż droga pani, lenistwo jest tym grzechem największym na ziemi. Wszystko złe płynie z lenistwa. I modlitwa płynie z lenistwa. Nie, nie, nie — machał ręką przecząco, nie dając jej przerwać — niech pani tego nie mówi, niech pani w to nie wierzy! Nie cierpienie, nie cierpienie! Cierpienie, droga pani, powiedziałbym to chętnie temu panu, który stoi przy oknie, cierpienie jest jedno w człowieku. Tylko ono się liczy — dodał cicho, tym razem patrząc otwarcie w moją stronę.

— Jakież to? — odezwałem się po pauzie, widząc, że chce, abym słuchał.

— Jakie? — uśmiechnął się złośliwie i wysłał ku mnie swój śmieszek jak zatrutą mgłę. — I pan o to pyta, przyjacielu? Pan, pan? — Właśnie pan? — wstał z fotela i pomijając przestraszoną Urszulkę, mówił już tylko do mnie. — Poczucie niemocy, hańba, klęska poniesiona od siebie samego, hańba, wstyd! To, to, to — wytykał mi palcem, trzęsąc głową jak rozzłoszczony kogut — właśnie to! Nie pomoże na to święta msza.

Czekałem przez moment, czy mu nie odpowiem. Ale byłem znużony. Zresztą nie zależało mu na tym. Milczeliśmy. Cisza rozściela czasem podstępne mielizny.

— Nie pomoże na to święta msza... — powtórzył jakby cytując cudze zdanie. — Trzeba walczyć o władzę nad sobą. To trudne, ale nie można się bać. U nich — ciągnął wskazując znajomym gestem posadzkę — nie zalęgła się nawet myśl, aby wszcząć tę walkę. Rojowisko wiercone przez strach. Nie wybawi ich święta msza. Przypomina pan sobie klucze do Cycerona? Streszczenie łacińskich tekstów? Oto ich modlitwa — lenistwo, wyłganie się z obowiązku. Odpisują gotowe, rano i wieczór, odpisują gotowe to, co powinni zrobić własnym trudem. Czy można to znosić? Eh! — machnął ręką i przerwał. Był także zmęczony.

— A Bóg? — spytała Urszulka, przenosząc wylękniony wzrok ze mnie na doktora.

— Bóg jest cechą człowieka — wytłumaczył zwięźle, jakby informując o czynnościach dwunastnicy. — Właściwością ludzkiej natury, nic więcej.

— Czy być może? — zdziwiła się Urszulka. — Więc nie wierzy pan w zbawienie?

— Człowiek sam się zbawia — odburknął doktór i dodał gasząc papierosa — bez Boga.

O moment za późno otworzyłem usta, aby zaprzeczyć. Już wtedy odczułem groźny dźwięk tych słów. Jeszcze mi tętni w uszach ich sroga nauka. Tak, otworzyłem usta, aby ją zakrzyczeć, lecz inne usta wydały za mnie głos. Porwaliśmy się z miejsc. Podniosłem ręce do skroni. Widziałem jak doktór wolno dźwiga w górę zaciśniętą pięść; pod naszymi nogami ludzki głos trzykrotnie krzyknął: „Na pomoc". Czy słyszałem brzęk rozwalanych szyb? Tak, szkło rozbijało się o bruk w kruchym drobnym dzwonieniu. Głuchy huk podbił w górę porzucone przeze mnie krzesło, wysadził je od dołu — zawahało się po trzykroć zanim upadło na wznak. Głos wylał się w zaułek i krzyczał po bruku. Nieruchomy mrok brał go w opiekę, więc istniał ciągle i nie mógł się zatrzymać jak rzecz w próżni pozbawionej tarcia. Na pomoc! Na pomoc! Wziąłem do ręki lampę i spojrzałem na doktora. Dziś trudno mi osądzić, co wtedy chciałem uczynić. Lecz nie uczyniłem nic, bo w krótkiej chwili ciszy usłyszeliśmy wszyscy troje pospieszne kroki na schodach, zgiełk i łomotanie do drzwi. Z lampą koło głowy ruszyłem naprzód i wpuściłem do siebie człowieka, który się bał i szukał schronienia przed strachem. Bałby się stokroć więcej, gdyby już wówczas wiedział, że strach przeszkadza umierać, lecz nie przeszkadza śmierci.

ALEKSANDER PUSZKIN

Przeł. A. Waryk

* * *

Pierzcha lotnych obłoków gromada niesforna.
O najsmutniejsza gwiazdo, o gwiazdo wieczorna!
Osrebrzyłaś promieniem równinę jesienną
I czarnych skał wierzchołki i zatokę senną.
Lubię z wyżyn niebieskich twoje światło nikłe,
Co zbudziło me dumy od dawna zamilkłe.
Pomnę kiedyś planeto znajoma wschodziła
Nad krajem, gdzie zalega cisza sercu miła,
Gdzie wystrzeliły smukłe topole w dolinach,
Gdzie cyprys ciemny drzemie i mirt się przegina,
I słodko szumią fali południowej piany.
Tam ja niekiedy w górach, sercem zadumany,
Ponad morzem leniwe wlokłem rozmarzenie,
Kiedy na strzechy nocne opadały cienie
I dziewczę wśród rówieśnic we mgle cię szukało
I swoim cię imieniem głośno nazywało.

* * *

O powiernico urody zamierzchłej,
Wróżko swawoli wesołej, żałosnej —
Znałem ja ciebie we dniach mojej wiosny
Zanim sny pierwsze i uciechy pierzchły.

Czekałem ciebie; o godzinie szarej
Jawiłaś mi się starowinką trzpiotką,
Kaftan i wielkie miałaś okulary,
I potrząsałaś ochoczo grzechotką.

Kołyskę lekko trącając, tak chętnie
Tyś młody słuch mój piosenką głaskała
I śród pieluszek zostawiłaś fletnię,
Którą twa dobra dłoń zaczarowała.

Snem lekkim zbiegła dzieciństwa godzina,
Kochałaś chłopca w jego próżnym smutku,
Wśród muz dostojnych on ciebie wspominał,
Aż nawiedziłaś go znów po cichutku . . .

Lecz twoja postać, twoja-li to szata?
Jakaż go miła przemiana zaskoczy!
Jakaż się w uśmiech twój iskierka wplata!
Jakąż iskierką wabią twoje oczy!

Strój, co spowijał cię falą zawrotną,
Ledwie mógł ująć twoją kibić lotną,
Wieniec obciskał rozkoszną fryzurę,
Z upiętych loków perfuma pachniała,
Łabędzia pierś pod żółtym pereł sznurem
I rumieniła się i lekko drżała.

JEWGIENIJ BORATYNSKIJ

WODOSPAD

O szum, o szum potoku siny
Poczęty na urwistym szczycie!
Nie milknij, łącz przeciągłe wycie
Z przeciągłym echem wśród doliny.
Słyszę: świst dziki Akwilonu
Kołysze jodły pień skrzypiący,
I z nawałnicą skowyczącą
Ryk buntowniczy skojarzony.
Czemu wsłuchuję się w twe brzmienie
Z oczekiwaniem nierozumnym?
Czemu drży pierś od wzruszeń tłumnych,
Jakim to drży proroczym drżeniem?
Ponad dymiącym twym parowem
Jakby oczarowany stoję,

Rzekłbym, rozumiem sercem twoją
Nieartykułowaną mowę.
O szum, o szum potoku siny.
Poczęty na urwistym szczycie!
Nie milknij, łącz przeciągłe wycie
Z przeciągłym echem wśród doliny.

* * *

Na cóż wy dni? Nie zmieni już istoty
Swych zjawisk — smutny świat.
Wiadome nam, i tylko ich powroty
Bieg wróży przyszłych lat.

Nie darmoś ty miotała się i wrzała
Z rozkwitem śpiesząc tak,
Szalona duszo! Wpierw nim się poczęło ciało
Wzniosłaś zwycięski znak.

I dawno już podksiężycowych wrażeń
Zamknąwszy krąg,
W powiewie sennych mar, powracających marzeń
Drzemiesz; a ziemski wzrok

Bezmyślnie wciąż patrzy jak świt noc zmienia
I dzień bez celu trwa,
Jak wsiąka zmierzch bezpłodny w nocne cienie,
Wieniec pustego dnia!

* * *

Twój pocałunek, darowany ustom
Moim, wciąż jeszcze trwa w mojej pamięci,
W rozgwarze dnia, w milczeniu nocy pustym
Wciąż czuję jego na ustach muśnięcie.

Choć sen zagasi wzrok zasłoną ciemną,
Śnisz się, wspomnienia rozkoszą mnie poją.
I urok znikł. I zamiast szczęścia — ze mną
Jest tylko miłość, tylko niemoc moja.

FIODOR TIUTCZEW

* * *

Jak nad gorącym popieliskiem
Spala się zwitek w dymu mgle,
A ogień słowa, wiersze żre,
Skrytym objąwszy je uściskiem:

Tak smętnie żywot mój się tli,
Dymem odchodzą wszystkie doby,
Tak gasną zwolna wśród żałoby
Tych jednostajnych moich dni.

O, nieba! Gdybyż się choć raz
Ten płomień rozrósł wedle woli
I bez mąk dalszych i niedoli
Gdybym rozbłysnął w krąg i zgasł!

WŁADIMIR BIENIEDIKTOW

SKARGA DNIA

Już promienie zabłyszczały,
Noc odchodzi niby cień.
Dzień wzlatuje — anioł biały.
Jakiż smutny dzisiaj dzień!

Mówi: „Czasem tak się smęcę,
Nockę bowiem kocham, lecz
Próżno do niej ściągam ręce,
Noc ode mnie biegnie precz.
I dziś także, gdy o wschodzie
Ledwie mi podała dłoń,
Różem płonie na jagodzie
I w rumianą zbiega toń.
Płynie chmurek tabor długi,
Tuman ciągnie się jak tren,
Łożem były mgliste smugi,
Mgła tuliła nocy sen.
Mnie marzenie goni za nią:
Lekko jej wzlatywał krok

Nad obłoków pyszną granią,
Nad niezmiętych mgiełek lok!
Po cóż dla mnie na roztoczy
Lazurowej świeci Feb?
Kiedy mnie samotność mroczy
Pośród promienistych nieb.
Król samotny do królowej
Wciąż wyciągam ramion krąg,
Odkąd wyszedł świat godowy
Z wszystkowładnych bożych rąk".

Ach, nie tęsknij, dniu uroczy,
Znajdziesz, znajdziesz twoją noc
I z milczeniem jej warkoczy
Splecіesz twą promienną moc —
Uczt gdy ludzkich minie trwoga
I uwiędnie wieniec lat,
I na piersi kiedy Boga
Umęczony spocznie świat.

MICHAIŁ LERMONTOW

OJCZYZNA

Miłością, jakże dziwną, ojczyznę kocham swoją!
Rozsądek zimny nie zmieni jej w niczem.
Ni sława, krwią kupiona w boju,
Ni pokój z pełnym dumnej ufności obliczem,
Ni podania przeszłości, pełne wieków cienia
Nie budzą we mnie radosnego rozmarzenia.

Kocham — lecz za co kocham ją, sam nie wiem? —
Jej stepów chłodne milczące zadumy,
Bezbrzeżnych lasów jej rozkołysane szumy,
Jej wielkich rzek podobne do morza wylewy...
Lubię na wozie trząść się, wieś mijając w biegu
I mrok nocny powolnym przenikając wzrokiem
Widzieć wzdłuż drogi polnej, marząc o noclegu,
W dalekich smutnych siołach drżące światła okien;
Lubię ścierniska dymek siwy
I tabor w stepie nocujący —

Na wzgórzu pośród żółtej niwy
Ujrzeć dwie brzozy bielejące.
Z radością wielu nieznajomą,
Patrzę na gumno pełne plonu
I na zagrodę krytą słomą
I okiennicę jej rzeźbione;
I w święta dzień, zmierzchem rosistym,
Jam do północy patrzeć gotów
Na tan z przytupywaniem, świstem,
Pod brzęk i gwar pijanych chłopów.

* * *

Gdy morzem sypkich zbóż faluje złota niwa,
I szumi ciemny las od wiatru lekkich tchnień,
I w sadzie kryje się czerwona, lśniąca śliwa
Pod szmaragdowy liść, w rzeźwiący jego cień;

Gdy cały w kroplach ros, pachnących i perlistych,
W wieczornym blasku zórz, lub kiedy ranek lśni,
Spopod zielonych krzów konwalii kwiat srebrzysty
Swe pozdrowienie śle, kiwając główką mi;

Gdy kryształowy zdrój, wędrując przez parowy,
I pogrążając myśl w przedziwnym jakimś śnie,
Szczebioce mi, tajemnej sagi słowy,
O dziwach stron, skąd on, szemrzący, mknie —

Ach, wtedy w duszy mej ucicha bunt i trwoga,
Wygładza się zmarszczkami zryta skroń,
I czuję w ręku swym ziemskiego szczęścia dłoń,
I tam, w niebiosach, widzę — Boga.

ŻAGIEL

Bieleje żagiel w modrej toni
Samotny wśród bezdroży fal,
Kogo w ojczystej żegnał stronie?
Po cóż w nieznaną zmierza dal?

Igrają fale, wicher świszcze,
I skrzypi maszt i maszt się gnie...
O nie! nie szuka szczęścia ziszczeń
I nie ze szczęścia z wiatrem mknie.

Promienne słońce nad nim w górze,
Pod nim jaśnieją nurty mórz,
A on, buntownik, szuka burzy,
Jak gdyby spokój był wśród burz.

CHMURKA

Nocowała chmurka złotowłosa
Na górskiego szczytu twardym łonie,
Rankiem w dal pomknęła, ku swej stronie,
W lazurowych ginąc gdzieś niebiosach.

Lecz pozostał łzawy ślad w szczelinie
Wiekowego szczytu. Opuszczony,
Stoi hen. Zadumał się stęskniony
I cichutko płacze na wyżynie.

AFANASIJ FET

MOTYL

Tak jest, bo tylko w powietrznym konturze
Powiewność ma.
Aksamit mój i żywy lot ku górze —
To skrzydła dwa.

Nie pytaj mnie, skąd lecę, dokąd lecę,
Skąd jestem tuż?
Przez chwilę tak na lekkim kwiatku świecę,
Dyszę wśród róż.

Na długoż tak bez celu, bez prawidła
Spadam na kwiat?
Już-już — jak iskra w locie błysną skrzydła
I w świat, i w świat!

*
* * *

Idący naprzód choć leniwo
Naprzeciw własnej swej jesieni,
Gdy młodość zoczysz urodziwą,
Radością serce twe się mieni.

Tak czasem latem, gdy już jadą
Ostrożnie na dół żółte snopy,
I kiedy sierpy kłosy kładą,
W zatokach ściernisk wznosząc kopy,

Stopą powojów rwąc koronki,
Odkrywasz, że pod nimi rośnie
Czerwony łepek — to poziomka
Większa i słodsza niż o wiośnie.

*
* *

Nie zasnę. Palę świecę. I po cóż czytanie?
Bezładnym rojem przemkną czarnych liter znaki,
Bo białe jasne światło swoim migotaniem
Sprowadzi widm kłamliwych błyszczące orszaki.

Za co? Com zrobił tobie? Jakie moje grzechy?
Czyli mój zamiar sam już godzien potępienia,
Że oczy twego widma tak gorzkie uśmiechy
Rzucają mi — i takie kamienne spojrzenia?

Michaił Lermontow

* *
*

Rozczochrały się sosen kudłate gałęzie od burzy,
Rozszlochała jesienna się noc lodowymi kroplami,
Ani ognia na ziemi, ni gwiazd w owdowiałym lazurze,
Wszystko zerwać chce wiatr, wszystko zmyć chce ulewa strugami.

Nie ma nic. I nikogo. Nawet z zimnej pościeli sen uszedł,
Tylko zegar szyderczo i szorstko odmierza godziny.
Od mgławego świecznika swobodną oderwijże duszę!
Czy cię brzemię wyroczne i ciężkie ku ziemi przygina?

Czarodziejko życzliwa, wejdź w mrok ten, uśmiechnij się jeszcze,
Życie całe w tę chwilę przeleję, tą chwilą odmierzę,
I gdy słuch twojej mowy wonnymi dźwiękami upieszczę,
Nie przytwierdzę godzinom i nocnym ich łzom nie uwierzę.

* * *

Jeśli tylko twój uśmiech ułowię,
Lub napotkam wzrok pełen radości —
To miłości pieśń śpiewam nie tobie,
Ale twej niepojętej piękności.

Mówią ludzie, że śpiewak z poranku
Rad jest trelem miłosnym i dzwonnym
Różę sławić i czcić bez ustanku
Nad kołyską jej kwietną i wonną.

Ale milczy wyniosła w czystości
Róża, młoda władczyni ogrodu,
Bowiem tylko pieśń żąda piękności,
Pieśni nawet nie pragnie uroda.

FIODOR SOŁOGUB

* * *

Przejrzysty mrok rzeźwiącym chłodem dysze,
W krąg wodna toń, lecz niedaleki brzeg,
Pluskanie fal leciutko łódź kołysze
I pławik mój, co przy niej lekko legł.

Ja jestem tym, co ryby nocą łowi
W jeziorze pełnią prześwietlonym wskroś;
To dla mnie łka, nie wiedzieć czego, słowik:
Czy budzi go ten blask, czy inny Ktoś?

Spoglądam w krąg: wesoło błyszczą tonie,
I wodzie, mnie, i pełni spoza drzew,
Swój uśmiech wszystko śle i czarem wionie.
A gdyby tak w tej ciszy zacząć śpiew?

WŁADIMIR SOŁOWJOW

OKO WIECZNOŚCI

Jedna nad białą ziemią gwiazda
Tylko się pali
I wzywa nas dla długiej jazdy
Ku sobie — w dali.

Po cóż? Gdy w oku znaleźć cuda możesz
Znieruchomiałem,
Całego życia tajemnicze morze,
Niebiosa całe.

I oko to, tak bliskie że świtanie
Bije od niego,
Że sam się piękny i bezmierny staniesz
Władco wszystkiego.

MICHAIŁ KUZMIN

Z „PIEŚNI ALEKSANDRYJSKICH"

I

Niby pieśń matki
ponad kolebką dziecka,
jak echo górskie
rankiem pastuszą trąbką wywołane,
i niby przypływ daleki
niewidzianego dawno ojczystego morza
dźwięczy mi imię twoje
błogosławione po trzykroć,
O, Aleksandrio!

Jak urywany szept
miłosnych wyznań pod dębami,
jak tajemniczy szmer
cienistych świętych gajów,
jak wielkiej Cybeli bębenek,
do dalekiego grzmotu i do gołębi gruchania podobny,
dźwięczy mi imię twoje
po trzykroć mądre,
O, Aleksandrio!

Jak trąby przedbitewny śpiew,
jak orłów nad przepaścią krzyki,
jak skrzydeł szum lecącej Nike,
dźwięczy mi imię twe
wielkie po trzykroć,
O, Aleksandrio!

II

Kiedy mówią mi „Aleksandria",
widzę białe ściany domostwa,
ogródek mały z grządką lewkonii,
blade słońce jesiennego wieczoru
i słyszę dźwięk dalekich fletni.

Kiedy mówią mi „Aleksandria",
widzę gwiazdy nad ściszonym miastem,
w ciemnych dzielnicach pijanych marynarzy,
tancerkę, która tańczy „ossę",
i tamburyna słyszę dźwięk i krzyki kłótni.

Kiedy mówią mi „Aleksandria",
widzę blado-szkarłatny zachód nad zielonym morzem,
kosmate migocące gwiazdy
i jasne szare oczy pod gęstymi brwiami,
choć widzę je nawet wtedy,
gdy nie mówią mi „Aleksandria".

III

Wiosną topola zmienia liść,
wiosną powraca znów Adonis
z cesarstwa martwych...
a ty dokąd odjeżdżasz, radości moja, na wiosnę?

Wiosną wszyscy pojadą, aby kołysać się na morzu,
lub jeździć w sadach zamiejskich
na bystrych koniach,
a z kimże mnie kołysać się na lekkiej łodzi?

Wiosną wszyscy wdzieją odświętne stroje,
parami pójdą w kwietne pola
zbierać fiołki,
a mnie czyż każesz siedzieć w domu?

* * *

O jakże mi opisać w zdaniu prostym
spacer, Chablis i przypieczone tosty,
dojrzałych wisien agatowy słód.
Daleki wschód, o jakże rad by ostygł
żar ciał wśród fal, w wilgoci chłodnej wód.

Wykrój twych ust, tak chytrze mnie wabiący,
gwar miłych głupstw, w komedii pstrej dzwoniący,
lub Marivaux kapryśne pióro to,
twój nos „pierrot" i wzrok upajający
mącą mi myśl, jak „Śluby Figaro".

Drobiazgów duch, wspaniały i powietrzny,
łagodny puch miłości w noc bezwietrzną,
wesoła lekkość mych beztroskich lat!
Ach, jakżem rad, od cudów twych bezpieczny,
wesołych ziem kiedy zakwita kwiat.

ALEKSANDER BŁOK

TANIEC ŚMIERCI

Jak trudno jest trupowi niesłychanie
Żywego wciąż udawać pośród ludzi!
Lecz trzeba wciskać się w socjetę, łudzić
I dla kariery kości kryć szczękanie...

Śpią żywi. Martwy z swej mogiły wstaje,
Do sądu idzie, do urzędu, banku...
Im bielsza noc, złość się czarniejsza staje,
Z triumfem skrzypią pióra bez ustanku.

Trup nad raportem cały dzień się głowi.
Urzędowanie kończy się. I oto
Do ucha szepce trup senatorowi,
Ruszając tylkiem, sprośne anegdoty.

Już wieczór. Drobny deszcz zaszargał błotem
Przechodniów, domy, całą bzdurę w końcu...
A trupa stąd do innej znów szpetoty
Taksówki wiezie pudło zgrzytające.

Do sali ludnej z kolumnami wielu
Umarły śpieszy, w piękny frak przybrany.
Uśmiechem go łaskawym tam obdzielą
Kretynka pani z skretyniałym panem.

Już nie ma sił po nudzie dnia w urzędzie,
Zgrzytanie kości muzyka zagłuszy...
Przyjaciół dłonie mocno ściskać będzie —
Ach, żywym, żywym zdać się ludziom musi!

I przy kolumnie wzrokiem jeno spotka
Swą towarzyszkę — jak i on nieżywą.
Poprzez rozmowę, salonowe plotki
Usłyszysz takie słowa ich prawdziwe:

„Znużony bracie, straszno mi w tej sali."
„Znużona siostro, jakże zimno w grobie.
Już północ." „Północ. Lecz nie zapraszałeś
N. N. do walca, choć się kocha w tobie..."

A tam N. N. spojrzenie śle namiętne
Ach, za nim, za nim — tętni krew wzruszeniem...
Na jej twarzyczce, nieskalanie pięknej,
Miłości nierozumne zachwycenie...

Trup szepce jej nic nie znaczące słowa,
Dla żywych tak zniewalające zdania,
I widzi trup ramiona jej różowe,
I widzi, jak na ramię głowę skłania...

I ostry jad światowej zwykłej złości
Roztacza z złością nawet tu nieznaną...
— Jak mądry! Jaki we mnie zakochany!
W jej uszach dźwięk brzmi dziwny, niesłyszany:
To kości tłuką się o kości.

FABRYKA

W sąsiednim domu okna żółte.
Tam wieczorami — wieczorami —
Zgrzytają zamyślone furty,
Ludzie zbliżają się do bramy.

Na głucho są zawarte wrota,
A gdzieś pod ścianą — gdzieś pod ścianą
Ktoś nieruchomy, czarny ktoś tam
Przelicza w ciszy zbuntowanych.

Wiem wszystko, słyszę stąd, z balkonu,
Jak nawołuje głosem grzmiącym,
By ugiął karki utrudzone
Tam w dole tłum wyczekujący.

Wejdą, rozpełzną się za furtą,
Na plecy każdy brzemię zwali.
I śmiać się będą w oknach żółtych,
Że tych nędzarzy oszukali.

Z „JAMBÓW"

Gdym spotkał cię, twój słyszał głos,
Byłem cierpiący, z duszą rdzawą,
Siostro, sądzona mi przez los,
Świat cały zdawał się Warszawą!

Pomnę: „poetą" byłem w dzień
(wolnego życia upiór!), nocą —
Nad czarną Wisłą — czarny cień...
Tak smutno, zimno i sieroco!

O, jeśli tak z pamięci swej
Wykreślić tylko miałbym prawo
Surową nędzę nudy złej
I smutku twego, o Warszawo!

I tylko przytwierdzałaś mi
Swą, siostro, wzburzającą trwogą,
O tym, że świat — domostwem Boga,
O ogniu i o chłodzie mgły.

* * *

Fujarka pieśń na moście dzwoni,
I w kwieciu już jabłonie,
I anioł gwiazdę wzniósł nad skronie —
Zielona gwiazda płonie.

I dziwnie z mostu głowę skłonić,
Spoglądać w takie tonie
I wzwyż, gdzie gwiazda płonie.

Fujarka śpiewa: gwiazda błyska,
Pędź stada na pastwiska...
Pod mostem woda śpiewa, pryska:
Patrz, jakie nurty bystre,
Na zawsze troski odpędź wszystkie,
Głębiny tak przejrzystej
Przenigdy dotąd nie widziałeś...
I ciszy takiej uroczystej
Przenigdy nie słyszałeś...

Patrz, jakie pędzą nurty bystre,
Czy kiedy takie sny widziałeś?...

* * *

O, jakże żyć szaleńczo chcę!
Unieśmiertelnić — istność rzeczy,
To, co bez twarzy — uczłowieczyć,
Marzeniu — ciało dać i krew.

Niech życia sen okrutny gniecie,
Niechaj utracę dech w tym śnie,
Wesoły chłopak kiedyś przecie
W przyszłości może wspomni mnie:

Darujmy mu ponurość — czy to
Ukryty motor jego sił?
Dziecięciem dobra, światła, świtem,
Triumfem on wolności był.

ANNA ACHMATOWA

* * *

Drzemiąc, znów ujrzałam z bliska
nasz ostatni, gwiezdny raj,
miasto czystych wodotrysków,
złoty nasz Bachczyseraj.

Tam za różnobarwnym płotem,
u milczącej wody warg,
wspominaliśmy z ochotą
dawny, carskosielski park.

Nagle — orła Katarzyny
rozpoznaliśmy — to ty!
spadasz znów na dno doliny
z pysznych i brązowych drzwi.

Dłużej by w pamięci uchu
pożegnalny dźwięczał śpiew,
smagła jesień za pazuchą
niesie żółte liście z drzew.

One stopnie schodów skryły,
gdzie żegnałam cię w ów dzień,
gdy w cesarstwo cieni, miły,
odchodziłeś, sam jak cień.

* * *

Przyszłam tutaj próżnująca:
Jedno licho, gdzie się nudzić!
Młyn na wzgórku drzemie w słońcu.
Wiek tu można ust nie trudzić.

Nad powoju kwieciem mdławem
Leciuteńko pszczoła pływa.
Wołam nimfę tu, nad stawem,
Ale nimfa — już nieżywa.

Zaciągnęło drobną rzęsą
Staw bagnisty, coraz płytszy.
Gdzie osiny liściem trzęsą,
Młody księżyc ostro błyszczy.

Każda rzecz dziś zda się nowa.
W lekkiej mgle topole drzemią,
Milczę. Milczę wciąż — gotowa
Stać się znowu tobą — ziemio.

* * *

A wy, o przyjaciele z poboru ostatniego,
By pamięć waszą czcić, mnie życiem darzy czas,
Ja nie chcę stać jak głaz w kształt drzewa płaczącego,
Lecz krzyknąć prosto w świat imiona wszystkich was.

Ach, cóż tam imion dźwięk! — Zamykam mszał w okładce,
I wszyscy — klękać tu, w purpury blasku! Tak!
Rzędami, równo, w krok, wychodzą leningradcy
Z żywymi martwi. Nie! Dla chwały — martwych brak.

OSIP MANDIELSZTAM

ZE ZBIORU „TRISTIA"

I

Pozłocistą się strugą miód płynny z butelki przesączał,
Tak ciągliwie i długo, aż pani powiedzieć zdążyła:
Tu, w tej smutnej Taurydzie, gdzie losy zagnały nas w końcu,
Nie tęsknimy zupełnie — i oczy ku polom zwróciła.

II

Wszędzie obrzęd Bachusa, jak gdyby na świecie zostali
Tylko stróże i psy. Można iść — i nie spostrzec nikogo.
Niby beczki z ciężarem spokojne się dni przetaczały,
Jakieś głosy w szałasie dalekim: rozeznać, odkrzyknąć nie mogę.

III

Po herbacie wyszliśmy do brązem lśniącego się sadu,
Niby rzęsy na oknach zwisają wieczorne zasłony,
Pośród bieli kolumnad patrzyliśmy w gąszcz winogradu,
Kędy w szkliwie powietrza nurzają się senne gór skłony.

IV

I wyrzekłem: winnica jak bitwa roztacza się dawna,
Gdzie rycerze kudłaci zmagają się w krętych szeregach.
W kamienistej Taurydzie nauka Hellady przesławna —
Rdzawy zagon szlachetny złociste obszary zalega.

V

Tak, a w białej komnacie, jak prządka rozsiadła się cisza,
Pachnie octem, farbami i moszczem gronowym z piwnicy.
W greckim domu — pamiętasz — dla wszystkich niewiasta najmilsza,
Nie Helena — a inna — jak długo plątała swe nici.

VI

Złote runo stracone, gdzieś jest, złote runo, gdzie jesteś —
Całą drogę szumiały dalekie i ciężkie bałwany,
I, pozbywszy okrętu, gdy w morzach się żagle rozpierzchły,
Odyseusz powrócił, przestrzenią i czasem owiany.

MARYNA CWIETAJEWA

EPITAPHIUM

Oto idziesz, podobny do mnie,
W ziemię utkwiony masz wzrok:
Ja też opuszczałam go skromnie,
Przechodniu! Wstrzymaj swój krok.

Przeczytaj, gdzie pnie się ożyna
I jaskru porasta kwiat,
Że miałam na imię Maryna,
I tyle to żyłam lat.

Zerwij badyla pęd młody
I owoc poziomki — też.
Ponad cmentarne jagody
Słodszych nie znajdzie nikt, wierz.

I nie bój się, że to mogiła,
Że, gniewna, mogę z niej wstać:
Ja sama zbytniom lubiła
Śmiech, gdy nie wolno się śmiać.

I krew mi pod skórą krążyła,
I włos mój zwijał się w lok...
Jam również, przechodniu, była,
Przechodniu! Wstrzymaj swój krok.

Tyś cały w jasności, jak w zorzy,
Promień ozłocił ci włos,
I niech cię zbytnio nie trwoży
Mój z ziemi idący głos.

* * *

Po pagórkach krągłych i obłych,
Pod promieniem — silnym i pylnym,
Pantofelkiem — cichym, nieśmiałym —
W ślad za płaszczem — zdartym, nicwartym.

Po ugorach — chciwych i rdzawych,
Pod promieniem — ssącym, gorącym,
Pantofelkiem — cichym, nieśmiałym —
W ślad za płaszczem — tropem i tropem.

Po odmętach — srogich i wzdętych,
Pod promieniem — gniewnym i dawnym,
Pantofelkiem — cichym, nieśmiałym —
W ślad za płaszczem — łżącym i łżącym.

BORIS PASTERNAK

* * *

Ty w wietrze okiść kołyszącym,
Czy ptakom już nie pora?
Namokła wróblem ćwierkającym
Gałązko bzu liliowa!

U kropel ciężar spinek lśniących,
I sad oślepia ranem,
Milionem modrych łez wiszących
Spryskany, okapany.

Moją tęsknotą wyniańczony,
Od ciebie w cierni splotach,
Ożył, w dzisiejszą noc ockniony,
Zapachniał, zamamrotał.

Przez całą noc szamotał oknem,
Rwał okiennice huraganem,
I nagle wiew goryczy mokrej
Wilgocią przebiegł po ubraniu.

Tych przezwisk, czasów cudnej treści
Wieściami obudzony,
Obiega sad po dniu dzisiejszym
Oczami anemonów.

BALLADA

Dygoce garaż autobazy.
Już — już jak kość zabłyśnie kościół.
Nad parkiem pada deszcz topazów,
Kotłuje się zórz ślepych kocioł.
W ogrodzie — dym, na trotuarze —
Tłum wyległ, w tłumie — brzęk pszczół, rozciął
Ktoś chmur rozpiętość, strzępy aryj,
Dniepr nieruchomy, brzeg w ciemności.

„Już jest" — śród wiązów płynie zrazu,
Naraz nabiera znów ciężkości,
Jakby dopiąwszy wyższej fazy,
Matiola, zapach bezsenności,
„Już jest" — za parą szepce para.
„Już jest" — pnie szepcą z wysokości.
Potopy zórz i burz pożary,
Dniepr nieruchomy, brzeg w ciemności.

Ton jeden, drugi, pasaż — razem
W kul mleczną glorię, aż zagości
Szopena pogrzebowa fraza
Jak chory orzeł, ptak wieczności.
A pod nim czady araukaryj,
Lecz głuchy, jakby rad z własności,
Do dołu przetrząsnąwszy jary,
Dniepr nieruchomy, brzeg w ciemności.

Lot orła — to jak ciąg obrazów,
Pokusa w nim południa gości,

Wszystkie modlitwy i ekstazy
Za silną płeć i słabą. Prościej:
Lot — to podanie o Ikarze.
Lecz popiół pełznie z spadzistości,
I głuchy, jak skazaniec w Karze,
Dniepr nieruchomy, brzeg w ciemności.

Ballada ta dla ciebie, Harry.
Mej wyobraźni dowolności
Nie tknęły wierszy tego daru:
Widziałem to w rzeczywistości.
Spamiętam, nie roztrwonię: żary,
Matioli nocną burzę, kościół,
Koncert i park na stoku jaru,
Dniepr nieruchomy, brzeg w ciemności.

DROZDY

Na sennym, pośród pól przystanku,
W zaciekłej, obiadowej porze,
Poświerki nucą bez ustanku
W zaroślach, tuż przy samym torze.

Bezkreśny i jak pożądanie
Gorący, prosty przestwór polny.
Liliowy las na drugim planie,
Obłoku siwy lok swawolny.

Na leśnej drodze drzewa, z bliska,
W zaczepkach czułych z orczykowym.
W przydrożnych dołach karczowiska
Fiołki, śnieg, wraz z iłem płowym.

Zapewne, kiedy noc już zblednie,
I piją drozdy z wgłębień owych,
By za to słuch rozdzwonić we dnie,
Przez żar i lód swych stóp wierszowych.

To zgłoska długa — krótka za nią,
To warem wre, to śnieżną pianą,
Ot co wyprawiać mogą krtanią,
Tych kałuż blaskiem cynkowaną.

Na kępach mają swój zaścianek:
Tłumione szepty zza komina,
I podglądanie zza firanek,
I całodzienna paplanina.

W rozwartych nawściąż ich mieszkaniach
Z zagadek strój spadł tajemniczy.
Im bór sędziwy czas wydzwania,
Gałęzi szum kwadranse liczy.

Taki to drozdów kąt, cienisty,
Przybrany jeno w liść i w korę.
Taki być winien byt artysty,
I ja z nich również przykład biorę.

SOSNY

Wśród traw, gdzie kwiat bodziszka płonie,
Gdzie rumian i gdzie wrzos liliowy,
Leżymy sobie, splótłszy dłonie,
Pod zadartymi w niebo głowy.

Gąszcz traw poręby tej sosnowej
Tak chroni, jak zarośla łozy.
Spojrzenia zamieniwszy, znowu
Zmieniamy miejsca swe i pozy.

I, nieśmiertelni poprzez mgnienie,
Do grona sosen zaliczeni,
Od śmierci, chorób, epidemii
Czujemy się oswobodzeni.

Rozmyślnie ruchy jednakiemi,
Zgęstniały błękit zajączkami
Skroś liście kładzie się na ziemi
I nam rękawy ubrań plami.

Wypoczywamy z leśną ciszą,
Przy gramoleniu się mrówczyny,
Usypiającą wonią dysząc
Sosnowej mirry i cytryny.

I tak potężne są w błękicie
Rozpędy smukłych pni sosnowych,
I my tak długo, w tym zachwycie,
Nie wyjmujemy rąk spod głowy.

I tak szerokie w krąg przestworze,
I tak nas tutaj nic nie drażni,
Że gdzieś, za pniami tymi, morze
Migoce w mojej wyobraźni.

Tam fale, wyższe niż te sęki,
I z głazów waląc się w rozbiegu,
Na żwir krewetek miecą pęki
Z głębiny dna zamąconego.

A wieczorami, holowana,
Na korkach zwolna zorza płynie,
I mieni się łyskliwym tranem,
Rozlanym lekko na bursztynie.

Zapada zmierzch, i na przemiany
Ślad wszelki grzebie księżyc młody,
Pod białą magią śnieżnej piany,
Pod czarną magią cichej wody.

A morze szumi wzwyż falami,
I na pławiku grupa gości
Przed słupem stoi z afiszami,
Nieczytelnymi z odległości.

PAWEŁ ANTOKOLSKIJ

ZMIERZCH TRAGEDII

Nad skrzypiec i świec dygotaniem,
Nad zgonów śpiewaniem, nad szklanką sklerozy,
Nad chrzęstem iskrzącym się mrozu —
Nieznanych ust ciche szeptanie.
W pancerzu z raniących błyskawic,
Pod własną potęgą schylona,
Na scenę tragedia wychodzi i barwi
Legendą nam drogę i zbliża się do nas;

Najprostsza jak rozkwit i młoda na wieki,
Śmie strugać przed nami wariata,
Lecz bije w jej korne powieki
Reflektor... Lecz z dala dolata
Już gorycz spalenizn i wzlotu swoboda
W zieloną wyż nieba na ptaku stalowym.
I oto się stała czymś nowym
I dziką pieśń śpiewa nam młoda.
I wicher na liście rzucony
Nam szumi o innym wszechświecie płomiennym,
Gdzie za posiadanie Heleny
Pod murem trojańskim czerwonym
Tak samo gliniaste okopy rudziały,
Jak czołgi katapult rząd zgrzytał w obłędzie
I chude rumaki ku ziemi schylały
Szyje łabędzie.

NIKOŁAJ TICHONOW

BALLADA O GWOŹDZIACH

Spokojnie dopalił i popiół strząsnął,
Spokojnie starł uśmiech spod wąsów.
„Równaj front. Baczność, żołnierze."
Suchymi kroki komendant zmierza.
I słowa równają się, rośnie głos:
„O ósmej na morze. Kurs — na ost.
— Kto żonę ma, dzieci, rodzinę —
Napiszcie, że nie wrócimy.
— Będzie kręgielnia, gorące granie."
I starszy odrzekł: „rozkaz, kapitanie."
A najzuchwalszy z nich, najmłodszy
Na słońce nad wodą zwrócił oczy:
„Nie wszystko jedno" — powiedział — „gdzie?
Nawet spokojniej leżeć na dnie."
Rankiem stuknęła wiadomość prosta:
Spełniony rozkaz. Nikt żywy nie został.
Gwoździe z tych ludzi robić możecie:
Mocniejszych gwoździ nie byłoby w świecie.

BALLADA O URLOPNIKU

Batalionowy ręką znużoną
Miął suchy, powiędły liść.
„Chcesz iść pożegnać się z żoną,
Mówisz — umiera dziś?

Nie mogę cię zwolnić — wytrwaj,
Bez ciebie mniej o karabin i grot,
Dzisiaj w nocy ostatnia bitwa,
Więc ruszaj — na lewo zwrot."

Kulomiot charczał, chrypł, tatakał
I z flanków bił dziki wrzask,
Śmiały batalion szedł do ataku
Już jedenasty raz...

Stu dwudziestu rzędem leży
Pod liśćmi porannych lip,
Do rąk zmęczonych żołnierzy
Przylgnął tytoń, lepki od krwi.

Płoną na twarzy batalionowego
Czerwone plamy, jak skrzep,
Ale do trupa każdego —
— Dziękuję ci, bracie, — rzekł.

I rękę ostrą, kościstą —
Widzieli strzelcy przez dym —
Rękę każdemu uścisnął,
Dziękując za służbę im.

I choć do odwrotu wzywał
W obcym języku głos trąb,
Na baczność przylgnęły, jak żywe
Do szwów palce rąk.

„Słuchaj, Iwanie Denisow,
Choć już nie służysz mi dziś,
Lecz rozkaz jam przecie napisał —
Możesz do domu iść."

Umilkli wszyscy pod wałem,
Wicher jak psina drżał...
Stu dziewiętnastu w szeregu trwało,
A sto dwudziesty wstał.

Kruk się zerwał i dziobem kłuł,
Krzycząc jak człowiek,
Jak przez mgłę oczy patrzyły w dół
Spod spuszczonych powiek.

Konie zadrżały, zarżały na straży,
Jakby je z gór pognał wiatr,
I nikt się oczu wznieść nie odważył,
By spojrzeć uparcie mu w ślad.

Ów już daleko szedł ku Wschodowi,
Bez śladu pozostał szlak...
Rzekł batalionowy, dotknąwszy głowy:
„Jam, zdaje się, ranny." Tak.

STIEPAN SZCZIPACZOW

* * *

Nieszczęście, krzywda były tu bezdenne,
Szlak niewesoły, zdeptany przez ból
W kraju, gdzie polskie madonny kamienne
Z niemowlętami w ręku strzegły pól.

Patrzały w przestwór sielskich pól rodzinnych,
Gdzie się za sochą szczupłe skiby rwą,
Jedyne w Polsce matki, którym nigdy
Nieszczęście oczu nie mąciło łzą.

UKŁAD KOLUMNY POEZJI ROSYJSKIEJ

SEWERYN POLLAK i MIECZYSŁAW JASTRUN

PRZEKŁADY

PAWEŁ HERTZ:

W. Sołowiow: „Oko wieczności"; M. Kuzmin: Z „Pieśni Aleksandryjskich" *(III)*, *** *(„O jakże mi opisać")*; A. Achmatowa: *** *(„Drzemiąc, znów ujrzałam")*.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ:

B. Bieniediktow: „Skarga dnia"; A. Fet: „Motyl", *** *(„Idący naprzód")*, *** *(„Nie zasnę")*.

MIECZYSŁAW JASTRUN:

E. Boratynskij: „Wodospad", *** *(„Na cóż mi dni"?)*, *** *(„Twój pocałunek")*; M. Lermontow: „Ojczyzna"; B. Pasternak: *** *(„Ty w wietrze")*.

GABRIEL KARSKI:

E. Tiutczew: *** *(„Jak nad gorącym popieliskiem")*.

EUGENIUSZ MORSKI:

M. Lermontow: „Żagiel".

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW:

M. Lermontow: *** *(„Gdy morzem sypkich zbóż")*, „Chmurka"; F. Sołogub: *** *(„Przejrzysty mrok")*; A. Achmatowa: *** *(„A wy, o przyjaciele")*, *** *(„Przyszłam tutaj próżnująca")*; M. Cwietajewa: „Epitaphium"; B. Pasternak: „Drozdy", „Sosny".

SEWERYN POLLAK:

M. Lermontow: *** *(„Rozczochrały się sosen")*, *** *(„Jeśli uśmiech twój")*; M. Kuzmin: Z „Pieśni aleksandryjskich" *(Wstęp. I—II)*; A. Błok: „Taniec śmierci", „Fabryka", Z „Jambów" *(„Gdym spotkał cię", „Fujarka pieśń na moście dzwoni", „O jakże żyć")*; O. Mandielsztam: „Ze zbioru „Tristria"; M. Cwietajewa: *** *(„Po pagórkach")*; B. Pasternak: „Ballada"; S. Szczipaczow: *(„Nieszczęście, krzywda")*.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK:

P. Antokolskij: „Zmierzch tragedii".

STANISŁAW RYSZARD STANDE:

N. Tichonow: „Ballada o gwoździach", „Ballada o urlopniku".

ADAM WAŻYK:

A. Puszkin: *** *(„Pierzcha lotnych obłoków gromada")*, *** *(„O powiernico urody")*.

TRAGICZNOŚĆ, DRWINA I REALIZM

I

W uwagach, jakie nastąpią, pragnę zaproponować interpretację wspólną sprzecznych objawów, które bezpośrednio przed wojną zachodziły w ostatniej generacji literackiej Polski międzywojennej. Generacji, którą formalnie i trochę złośliwie można by nazwać pokoleniem dopuszczonych (i niedopuszczonych) kandydatów do nagrody młodych. Mówiąc datami — rocznik 1910 i jego okolice.

Chociaż uwagi będą dotyczyć spraw, które się dokonały w obrębie tego tylko pokolenia, ich waga jest szersza, aniżeliby wskazywała sama podstawa zjawiska. Przede wszystkim przewlekłe lata wojny spowodowały, że ci, którzy jeszcze wczoraj byli w fazie pierwszych zapowiedzi i dokonań, niespodziewanie ujrzeli się na miejscu bodaj najbardziej odpowiedzialnym. Złożył się na to ten fakt uboczny, że z pisarzy całkowicie dojrzałych, wyżej pięćdziesiątki, mało kto w kraju dotrzymał kroku wydarzeniom. Wolno zaś wątpić o tych, co poza krajem, i im dłużej poza krajem, czy kiedykolwiek w ten rytm zdołają się włączyć. Złożył się również i fakt drugi. Bywa w takim położeniu, iż najmłodsi przede wszystkim dotrzymują kroku nowym potrzebom i nowym sytuacjom ideowym, że oni wywalczają je wprost. W chwili ataku na pozycję przodowniczą nikt ze skamandrytów nie przekroczył lat dwudziestu pięciu, Lechoń w dzień zawieszenia broni miał ich osiemnaście. Lukę tę wywołały lata okupacji, wytrącając z doświadczeń pokolenia najmłodszego okres pierwszego, bojowego wrastania w atmosferę literacką. My, z okolic 1910, weszliśmy w życie niepodległe jak skrzypek, któremu wprawdzie ręka zesztywniała trochę, ale grać nie zapomniał. Najmłodsi grać muszą, ale w ciągu gry dopiero będą się uczyć wielu prawideł podstawowych.

Streśćmy sytuację: jest całkiem wyjątkowa. Nie była taką ani w początkach pozytywizmu, ani modernizmu, ani u wstępu do pierwszej niepodległości. Dojrzali i najstarsi bardziej odeszli w cień, aniżeli dzieje się to w normalnej ewolucji literackiej. Najmłodsi, ci co wywalczać powinni, bardziej są spóźnieni, niż bywało. Może to tylko spóźnienie na starcie? Oby... Pokoleniu średniemu przypadła rola podwójna: siebie kontynuować i wywalczać pozycje dla najmłod-

szych. Sobie wyznaczać trasę i następcom torować drogę. Zaszczepienie nowych idei nie dokona się dzisiaj w formie sporu pokoleń. Dokona się w kształcie wspólnej operacji.

I stąd pewien rozrachunek wewnętrzny tego pokolenia staje się próbą rozrachunku nie tylko dla niego, lecz bodaj przede wszystkim dla następców. Szczere zaś omówienie tego problemu tym jest konieczniejsze, że w latach przedwojennych przy kilku latach różnicy wieku zachodziły ważkie różnice w postawie duchowej. Nie twierdzę, jakoby związane wyłącznie z tą różnicą wieku; wiążą się one przede wszystkim z pewną interpretacją socjologiczną, którą spróbuję podać, interpretacją, jaka dopiero przez porównanie z wiekiem jej uczestników narzuci swoje prawdopodobieństwo. Zapowiedzmy najprościej: ludzie rocznika 1910 byli w swoim czasie katastrofistami; ludzie rocznika 1905 i bardziej wstecz, nie byli nimi, choć przeżywali tę samą sytuację; pisarze rocznika 1915 i bliżej nam, tylko jako sztuczną i pielęgnowaną wysypkę przechodzili katastrofizm.

To jedna sprawa. Druga rzecz jest ta, że, jak ujrzymy, podskórna ewolucja prądów bynajmniej w latach wojennego milczenia nie uległa przerwie. Tragiczność i drwina działały również, kiedy nie były widoczne. Realizm czeka.

II

W charakterze literackim omawianego pokolenia istnieje niewątpliwe rozszczepienie i dwoistość. Najlepiej będzie ją oznaczyć pewnymi nazwiskami, a później pojęciami ogólnymi. Jeżeli chodzi o lirykę tej generacji równie znamienny jest Miłosz co Gałczyński. Nie trzeba podkreślać, jak sprzeczne indywidualności. Szczególnie znamienna jest pozycja Gałczyńskiego: pisał znacznie dawniej, przez Zawodzińskiego był liczony do takich kontynuatorów humoru skamandryckiego, jak np. Hemar, ale dopiero około roku 1935 Gałczyński począł znaczyć jako liryk i to w otoczeniu młodszych od niego. Widocznie dopiero wówczas „Porfirion Osiełek" znajdował strawę.

W dziedzinie prozy powszechnie się zgodzono, że najwybitniejszymi utworami były „Ferdydurke" i „Ład serca". Powtarzam raz jeszcze, że mówię wyłącznie o powieściach napisanych przez uczestników tej generacji, a nie o całej produkcji powieściowej ostatnich lat przedwojennych. Gombrowicz i Andrzejewski, sprzeczność bodaj jeszcze większa. Ustawmy nazwiska w pary sobie podobne: Andrzejewski, Miłosz jedna, Gałczyński, Gombrowicz druga dwójca. Wiem, ile zasadniczych różnic indywidualnych pozostawiam na uboczu. Nie o s o b y opisuję, ale p o s t a w y. Jedna p o s t a w a, nazwijmy ją najkrócej i najdobitniej — t r a g i c z n a, druga — d r w i ą c a. Każdy kto bezstronnie opisywać będzie wygląd tego pokolenia, przyzna, że w jego obiektywnym charakterze te obydwa stanowiska muszą być po równi uwzględnione.

Mówiąc postawa tragiczna, nie rozumiem tego przymiotnika jako pochodny od słowa tragizm. Powiadam stale — t r a g i c z n o ś ć. Tragizm to określona kategoria przeżyć estetycznych i moralnych, to spór wartości o przebiegu opi-

sywanym przez wielu estetyków. Tragizm wydaje tragików, a trzeba by wielkiego samochwalstwa, by pomiędzy nich zaliczyć Miłosza czy Andrzejewskiego. Tragiczność natomiast to pewna aura psychiczna, szukanie konfliktów i rozwiązań o pozorach równie nieuniknionych, co w tragizmie. Drwina wreszcie to również pewna aura rozmyślnej, ironicznej i drażniącej zaczepliwości wobec świata, aura kpiny podejrzliwej i nie chcącej się dać przychwycić na właściwym swym stosunku do rzeczywistości.

W roku 1937 zmarł przedwcześnie Zbigniew Uniłowski. Z dzieła jedynego prawdziwego realisty tej generacji pozostał tylko tors. Gorzej. Realizm Uniłowskiego został przekrzywiony warunkami czasu ówczesnego, niedopełniony i załamany. Uniłowski był dostatecznie młody, by i przez to przebrnąć. Pokolenie, o którym mowa, nie wydało prócz niego żadnego prawdziwego realisty, a ten jedyny — nie wypowiedział siebie naprawdę. Sprawę Uniłowskiego ledwie tutaj potrącam, przy innej sposobności przyjdzie ją zanalizować we wszystkich szczegółach. Drugi prawdziwy realista tej generacji, Adolf Rudnicki, dopiero teraz ukazuje siłę swojej prozy. Przed wojną szukał realizmu.

Uniłowski zmarł. Zostały tragiczność i drwina. Z tą sprzecznością radzono sobie prosto. Nikt nie postawił wyjaśnienia wspólnego, zresztą wtedy naprawdę nie widzieliśmy go jeszcze. Wyjaśnienie takie zastępowała mniej lub więcej utajona predylekcja. Dla jednych młodych krytyków postawa drwiąca była istotniejsza, dla drugich postawa tragiczna i tę predylekcję starano się przemycić jako charakterystykę całości. Byłem pomiędzy drugimi. Dopiero kiedy ponury cień wojny upadł na tamte lata i pogłębił ich groteskę, „Ferydurke" stała mi się w pełni zrozumiała.

III

Przerwijmy na razie wątek główny, przejdźmy do pewnego doświadczenia z okresu okupacji. W pierwszych latach czytało się zaległości. Później zaległości zostały odrobione i zacząłem odczytywać na nowo główne pozycje lat przedwojennych. Sens lektur wkrótce ułożył się tak: nieporównanie mniej zbladła liryka lat międzywojennych, nieporównanie więcej proza. W ocenie liryki nastąpiły naturalnie przesunięcia sądów dotyczących poszczególnych pisarzy, lecz jako całość liryka ostała się lepiej.

Luki i błędne wielkości prozy ujawniły swój sens w porównaniu z innym równoczesnym zjawiskiem. Oto na początku i szczególnie u końca wojny wielcy pisarze-realiści, zresztą bardzo różnej przynależności i wiem, że różnego ciężaru gatunkowego, okazali się bardzo czytelni, rosnący w swojej doniosłości artystycznej. Był tam i Tołstoj, i Szołochow, i Sygryda Undset, i Orzeszkowa. Ostawał się zatem realizm wysokiej, choć różnej ideologicznie próby. Natomiast wyblakły był i jałowy realizm bieżącej powieści polskiej i to tym więcej, im bardziej się zbliżał do tzw. wierności rzeczywistości zewnętrznej, chwilowej. Najgorszy był ten cały pomiot fotografów najniższego rzędu, szczególnie rozwydrzonych w sprawach seksualnych. A przecież, i to najbardziej drażniło, w starszej krytyce całe drugie dziesięciolecie nosiło miano realizmu, z przy-

czepką neo. O przyczepkę mniejsza, grunt że chwałę czasu widziano w jego rzekomych uzdolnieniach realistycznych. Cóż za pomyłka!

Ten proces oporu był tak ostry, że w swym pełnym nasileniu, w połowie wojny, kiedy po raz pierwszy spisywałem uwagi zatytułowane tak jak dzisiaj, nie ominął powieści społeczno-politycznej. To było późną jesienią 1942 roku. Tak więc realizm przeżywanej doby był naprawdę przegrany. Cień przegranej padał na sprawę realizmu w ogóle. Nie przeszkadzał jednak otwierać Tołstoja, sięgać do Flauberta. A w czytanym od nowa Uniłowskim pokraczny, potworny ochłap „Wspólnego pokoju" miał siłę większą od wszystkiego, co dał on później. Cóż to znaczyło?

By sprzeczność rozwiązać, musimy najpierw postawić sam problem realizmu. Jest to sprawa najbardziej dzisiaj dyskutowana i wszystko, co się tutaj mówi na temat drwiny i tragiczności stanowi jedynie przygotowanie pewnych sądów o realizmie. Zacznijmy od pytania najważniejszego, bo i takie zostało postawione: czy cała ta dyskusja nie jest wmówieniem kilku teoretyków? Jej postulaty padły niespodziewanie na głowy pisarzy. Jest wmówieniem, któremu trzeba się pozwolić wyszumieć a samo przejdzie. Jedyny Stefan Kisielewski ma odwagę tego stanowiska. Przypuśćmy, że nie tylko ma odwagę, ale i rację: realizm rozszedł się po kościach. I co dalej? Która z form i ujęć, jakie odziedziczyliśmy po latach międzywojennych, stanie się pomostem, jaki z czystym sumieniem ponad przepaścią wojny, ponad wielką przemianą społeczną, która dzieje się na oczach naszych, przerzucimy ku przyszłym czytelnikom? Może bezwzględny psychologizm, może zasada niekontrolowanych skojarzeń, może któraś ze stylizacji indywidualnych?

Postulat realizmu nie wyniknął w sposób konsekwentny z dotychczasowego stanu prozy polskiej. Stąd możliwości kwestionowania samego postulatu. Ale problem realizmu wynika na pewno z zadań, które w obecnej i przyszłej sytuacji stają przed naszą prozą. Stąd jest w nim słuszność głębsza od wątpliwości, czy gotowe już i wykończone osobowości pisarskie można namawiać do natychmiastowej przemiany pióra, takie bowiem namowy do niczego nie prowadzą. Nie chodzi więc o nie lecz o to, by uświadomić potrzeby, które już istnieją a niedługo zgłoszone będą głośno po stronie czytelników. Realizm jest bowiem kwestią dostępności naszej problematyki dla tego czytelnika, w którego słusznym pojęciu sztuka staje się znów przewodnikiem życiowym, który domaga się odpowiedzi nie bezinteresownych, lecz kierunkowych. W realizmie prozy chodzi o wydźwięk formalny, który mieści więcej, aniżeli każda inna postawa prozaika, wydźwięk, który zawsze chodził w parze z wielkością prozy.

Nie ma bowiem stanowiska artystycznego, które wydawałoby się równie łatwe do określenia, kiedy ujmować je tylko intuicyjnie, a było tak skomplikowane, kiedy nad jego treścią naprawdę się zastanowić, jak realizm. Dzieje się to dlatego zapewne, że w realizm więcej aniżeli w jakąkolwiek inną formę artyzmu wchodzi elementu niespodzianki. Niespodzianki obiektywnej,

tak ją nazwę. Uważam że więcej, aniżeli w fantastykę. I dlatego wbrew oporom, jakie dziś istnieją, sądzę że realizm jest najbardziej otwartą formą sztuki.

Stawiając zasadę fantastyki, chociaż kształty mogą być i są niezliczone, z góry wiemy, że wynik fantastyki będzie właściwie zawsze ten sam — zawsze jakaś przemieniona, do siebie niepodobna rzeczywistość. Stawiając zasadę realizmu, stajemy wobec zjawiska całkowicie odwrotnego: punkt wyjścia jest z pozoru oczywisty — świat niech będzie w twoim dziele obiektywnie do siebie podobny. Wyniki zaś tego założenia są właśnie nieprzewidziane, bo nie od samego pisarza zależne, lecz od form rzeczywistych, jakie zastaje, od ich dojrzałości lub niedojrzałości ku realistycznemu ujęciu. Kresem realizmu jest obiektywna niespodzianka, a korzenie tej niespodzianki są niezależne od pisarza. „To się tylko tak wydaje" — powiadał Irzykowski w „Urokach naturalizmu" — „jakoby rzeczywistość można było kopiować niewolniczo... Jeżeli się zżymamy na którego autora za to, że po prostu tylko kopiuje rzeczywistość, to właściwiej i trafniej powinniśmy powiedzieć, że kopiuje on pewne utarte już wzory ujmowania rzeczywistości".

To jedna kwestia: miara realizmu jest właściwie po równi w zamiarze pisarza, co w samej rzeczywistości społecznej. Dotychczasowe doświadczenie wskazuje, że krótsze lub dłuższe okresy względnej stabilizacji społecznej wydawały realizm wielkiej powieści europejskiej, a nie wydawały go dziesięciolecia wstrząsów. Dla realizmu historia stwarza warunki, nie stwarza realizmu samego. Jakie być mogą te warunki?

Musimy obecnie zagadnienie mocno uprościć. Nie występuje ono nigdy w tak ostrych kształtach, ale dopiero wstępne uproszczenie sprawy pozwoli sprecyzować zamierzone wnioski. Zamiar realistyczny, obok pobudek ubocznych, wypływać może z dwóch przeciwnych źródeł: z nienawiści, albo z miłości. Albo z takiego odepchnięcia świata, że trzeba w nim ukazać wszystko ostro i brutalnie, bez obsłonek idealizujących i upiększających, albo z takiego umiłowania czy szacunku, że każdy drobiazg staje się doniosły. Rzecz jasna, że obiektywizm jest tutaj po stronie szacunku, po stronie spokojnego zrozumienia, które całe nastawienie uczuciowe spycha w głąb, w samą obserwację rzeczy. Realizm posiada dwa główne łożyska i pierwsze z nich kończy się w satyrze, drugie w epopei. Obydwa stanowiska wymagają ducha realistycznego, ale o innym podkładzie — od pasji do ukochania. Powieść w tym zespole traktuję tylko jako naczynie, które napełniać się może każdą z tych treści, ale samoistnie żadnej z nich nie wyznacza. I tylko taka rzeczywistość godna jest naprawdę realizmu a nie jego zbrutalizowanych namiastek naturalistycznego typu, która zdolna jest wydać te dwie postaci realizmu, której nie przeraża prawdziwa satyra, ani nie zaskakuje jako dziwoląg typ epicki, która wreszcie nie dziwi się szacunkowi obiektywnemu.

Dlatego też, kiedy rozpatrywać typy wielkiej powieści realistycznej, wydaje mi się, że ciążą one ku trzem głównym odmianom. Realizm takiej powieści jak Balzaca, Flauberta, przy całej różnicy indywidualności, jednak zasadniczo pochodzi z pasji satyrycznej. Pasji, która Balzaca olśniewa i porywa, Flauberta

odpycha i gnębi. Realizm zaś taki, jak Tołstoja, jak Sygrydy Undset wywodzi się z obiektywnego szacunku, gdzie całe stanowisko uczuciowe zostało wpisane instynktownie w samą umiejętność, w samą pełnię realnej obserwacji. Wreszcie skrzydło trzecie, które bym nazwał rozcieńczoną epopeją: Dickens, Turgeniew, Prus. Ze stanowiska epickiego jest w nim bowiem humor, miłość drobiazgu, jest to wyrównanie sprzeczności, jakie przynosi humor, ale do eposu brak jest wielkości. Brak osób i spraw, które byłyby godne eposu. Najczystszą ale też wyjątkowo się znachodzącą formą realizmu jest jego typ środkowy — realizm obiektywnego szacunku.

IV

A dwudziestolecie?

Pamiętamy z dzieciństwa, że ulubionym motywem skarg i postękiwań naszych ojców było powiadanie: Och, nie było to jak przed wojną. Bułka kosztowała centa, a za rubla, panie dziejski... Jestem pewien, i wszystkie objawy na to wskazują, że podobna regresja uczuciowa nie powtórzy się dzisiaj. Ojcowie nasi wzdychali tak w naszym mniej więcej wieku, kiedy całe życie stało jeszcze otworem przed nimi. Na szali wspomnienia kładąc lata międzywojenne, na szali oceny lata, jakie czekają, nie wzdychamy za szalą wspomnień.

Problem realizmu tamtych lat ściśle się z tym wiąże. Rzeczywistość międzywojenna nie dotarła do jego głównych sprawdzianów. Nieobecność satyry, w najlepszym wypadku jej cząstkowy wyraz, jest tu dowodem oczywistym. Najsilniej się to ujawniło w teatrze: zamarła komedia obyczajowa, dramat satyryczny. Najlepsza satyra, z jakiej śmieliśmy się, pochodziła z konta obyczajowego poprzedniego pokolenia — Zapolska. Satyra była używana tylko jako argument walki społeczno-politycznej, ale rzecz zdumiewająca, jak bardzo się przechylała ku karykaturze i grotesce tam, gdzie z pozoru nic nie stawało jej na przeszkodzie. Przecież Kaden-Bandrowski mógł był z Daszyńskiego w „Czarnych skrzydłach", z Witosa w „Mateuszu Bigdzie" zrobić wielkie postaci satyryczne. Nie wyszło. Nie tylko defekty talentu działały. Ujawniało się inne, donioślejsze dno rzeczy.

Na realizm jako zarodnię satyry nie pozwalało parwerniuszostwo i małostkowa drażliwość. Warstwy silne społecznie też nie znoszą satyry. Satyra Moliera, Woltera, Beaumarchais'go nie była łatwa, wiemy jakie napotykała opory. Ale to względne prawo do oporu, zawsze zrozumiałe psychologicznie, to względne prawo obrony, czy przyznamy je tak samo dwudziestoleciu? W jednym mieście nie można było rzec na bruki i obywateli drugiego miasta, by nie huczały w nim zebrania obywatelskie. Pamiętam, jak Leon Kruczkowski pokazywał mi w tekście „Sideł" zdanie, które wypadało skreślić: ulicą idzie oficer, śmiejąc się bez wyrazu młodym i zdrowym rzędem zębów. Te zęby trzeba było usunąć.

Opór materiału ludzkiego nie tłumaczy jeszcze samych pisarzy. Chodzi o co innego: realizm demaskatorski o podłożu pokrewnym satyrze tylko wtedy popłaca, kiedy demaskując natrafia na motywy naprawdę godne uwagi. Pan

Homais z „Pani Bovary" Flauberta jest naprawdę godzien uwagi, jako okaz rozwodnienia ideału rewolucyjnego w duszyczce mieszczańskiej i jeżeli na taki bodaj typ natrafia się przy drążeniu, już wysiłek się opłacił. Drążąc dwudziestolecie, nawet podobnego okazu nie znajdziemy. Okres przejścia, przerwy, zaledwie nieświadomego dojrzewania sił, nie stwarza demaskatorstwu oparcia. By świder wpuszczony w masło zaczął zgrzytać, musi natrafić na opór prawdziwy, na deskę przynajmniej. Tutaj nie natrafiał.

Parweniuszostwo międzywojenne nie było również w stanie dostarczyć pisarzowi materiału dla obiektywnego szacunku. Nie było w stanie dlatego, ponieważ fundamentem podobnego szacunku jest zawsze ujrzenie, uznanie przez pisarza typu duchowego społecznie skończonego, na tle obiektywnego porządku swego czasu. Podstawą jest typ duchowy przekazany przez pokolenia, rozwinięty w ramach postępowego porządku historii. Takim typem był rycerz-wojownik w czasie swoim, był nawet zapóźniony rycerz-fantasta Cerwantesa, był nim szlachcic polski, jest nim na pewno ciągle chłop, jest robotnik w takim porządku społecznym, który nie mąci i nie przytłumia ich miejsca. Darujcie, typem epicznym nie jest na pewno urzędnik kontraktowy ani zawodowy bezrobotny. „Noce i dnie" Dąbrowskiej, jedyne dzieło przez które przeszedł powiew epicki, nie jest w tym względzie dokumentem. Jest oskarżeniem — typ taki jeszcze ciągle powstaje na okrajach szlachetczyzny.

Jedną z najbardziej znamiennych pomyłek w poszukiwaniu epickiego typu jest problem tzw. *roman-fleuve,* powieści-rzeki i jej osobowości centralnej. Do nas docierał on tylko węższymi odnogami, ale znamienności swojej mimo to nie traci. Krasiński pisał o „Panu Tadeuszu", że epopeja powstaje wówczas, kiedy po raz ostatni pojawiają się w sposób doskonały postaci skończenie wypracowane obyczajowo i kulturalnie, kiedy przeszłość ogląda się za siebie i dostrzega, że jej ogniwo ostatnie nie powróci już nigdy. Ostatni, co tak poloneza wodzi. „Poeta stał na przesmyku między znikającym tam plemieniem ludzi, a między nami; nim umarli, widział ich, a teraz ich już nie ma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne".

W identycznej sytuacji znalazła się powieść-rzeka, jeśli chodzi o jej typ centralny, mieszczanina XIX wieku. Mimo tylu odbitek nikt go nie ukazał lepiej od pierwowzoru w „Buddenbrookach" Tomasza Manna. Pomijam już sprawę gadulstwa tej powieści cyklicznej — chociaż i ona posiada swoją wymowę zasłony dymnej nad nieudanym celem głównym. Stwierdzam jedynie, że typowa *roman-fleuve* usiłuje z zanikającego przedstawiciela mieszczaństwa kupieckiego XIX wieku uczynić kreację epicką, a tymczasem zamiar ten się nie udaje. Widocznie nawet po swoim zgonie mieszczanin nie dorasta do godności epickiej, a zamiast kreacji takiej powstaje wielotomowe podzwonne, nic ponadto. Jest w tych cyklach coś z żałobnej ceremonii nad nieboszczykiem, którego stać na pogrzeb bogaty, którego nie grzebie się inaczej, jak na gruncie zahipotekowanym i na wieczność wykupionym. Na wieczność wykupiony — o wieczności mieszczańska! Od Balzaca do Manna, jakżeż szybko ten świat wyfermen-

tował. A już polskie próby tego gatunku — pokraczność pokraczności, współmierna z tą pokracznością rzeczywistą, jaką było polskie mieszczaństwo.

Jeszcze wymowniejszy jest brak realizmu trzeciego typu, tego który łączy się przede wszystkim z postawą humoru. Sprawa humoru prowadzi nas bowiem wprost do zagadnień tragiczności i drwiny. Humor jest stanowiskiem wybaczającym. Prawdziwy i wielki humorysta to ten, który widzi konieczną małość postępków czy motywów człowieka, a jednak je wybacza, jednak wpisuje w taki porządek, w którym i małość posiada swoje miejsce. Uśmiech jest tu uśmiechem pobłażliwej i wybaczającej zgody. Na humor jest więc miejsce tylko wówczas i tam, gdzie nie konieczność wyboru i walki rządzi stosunkiem do świata, gdzie możliwa jest jakaś ostateczna ekspiacja. Takie stanowisko w latach zamętu i walki było wykluczone. Humor przede wszystkim rozumie i wybacza, ale są okresy, że to za mało — że tylko rozumieć, znaczy być bezpłodnym. Jako przykład takiego bezpłodnego rozumienia przypominam postać starego Woynarowskiego z „Nocy i dni". Dlatego te dwa stanowiska, tragiczności i drwiny, są koniecznym korelatem braku humoru. Świadczą, że rzeczywistość ówczesna ku wszystkiemu się nadawała, lecz nie ku wybaczającemu rozumieniu. Było to zjawisko szersze od omawianej grupy roczników. Stany humoru, tak dostępne Dickensowi czy Prusowi, u nikogo przed wojną się nie pojawiały, a ich nieobecność szczególnie kulminowała wśród najmłodszych.

Ani więc przenikliwość pochodzenia satyrycznego, ani szacunek obiektywny, ani humor nie miały dla siebie strawy w rzeczywistości międzywojennej. Tym sposobem stały puste wszystkie główne formacje realizmu powieściowego.

V

Powróćmy teraz do realizmu, jako niespodzianki obiektywnej. Widzimy jak dalece wygląd tej niespodzianki zależy nie od zamiaru pisarza, ale dla niego samego bywa niespodzianką. Cały się mieści w warunkach czasu. Powróćmy do jeszcze dawniejszego ogniwa wywodu: związek stanowisk drwiny i tragiczności z brakiem tych dwóch zasadniczych skrzydeł realizmu — satyra, epos. Rzeczywistości lat międzywojennych nie można było ani opiewać ani unicestwiać satyrycznie. Pełna pretensji i pewności siebie, jakby miała przed sobą wieki trwania, a nie była zbudowana na jednej z najpotworniejszych zbrodni politycznych dziejów, groteskowego wdzięczenia się do tej zbrodni, w ówczesnym układzie historycznym mniej trwała od bańki mydlanej, taka rzeczywistość naprawdę była godna drwiny. Nie powiadam, że tylko drwiny, ale na pewno nie szacunku, na pewno drwiny też. Większą miał rację kto kpił, od tego kto służył za tzw. zwierciadło. Arkusz „Ferdydurke" w tym sensie jest bardziej realistyczny od tomu Gojawiczyńskiej.

Dlatego to odpowiednikiem braku każdej z form realizmu była w naszym pokoleniu postawa drwiąca. Odnosiła się do powierzchni świata. Ale postawa kpiny wobec fasady nie mogła być postawą drwiny wobec zasady, fundamentu tych czasów. Bo fasada społeczna i polityczna była w potwornym grymasie,

któremu odpowiadał potworny żart, ale fundament czasu był inny. Wśród małych aktorów, wśród bestialskich środków, wśród prostackich wykonawców, wśród oczadziałych od głupoty tłumów dojrzewały decyzje historii, które — widzimy to dzisiaj jasno — jak straszliwym cofnięciem świata i ludzkości mogły się były skończyć. Tam, u dna skrzywionej małości i głupoty, dojrzewał spór tragiczny, ale jego nie dosięgał, kto nie czuł, że również i kpiną można odczyniać zły urok lęku.

Stąd to drugim odpowiednikiem braku realizmu i humoru była postawa tragiczna. W omawianej generacji posiadała ona specjalny wyraz: pomijała społeczną i polityczną grę sił, szukała podłoża metafizycznego lub przynajmniej czysto psychologicznego i w nim widziała dno sprawy. Na razie nie oceniam tego ujęcia, na razie chcę dojść do wniosku, że trzy główne właściwości ostatniego pokolenia układały się w węzeł logiczny i na tle ówczesnych lat pozbawiony sprzeczności. Rzeczywistość jako pewna całość realistyczna, pragnąca narzucić szacunek dla siebie, przyjmowana była drwiną. Ta sama rzeczywistość jako arena historii była godną sporu i dlatego przyjmowana była tragicznie. Na tej dopiero płaszczyźnie istnieją pokrewieństwa pomiędzy Andrzejewskim a Gombrowiczem, Miłoszem a Gałczyńskim. Istnieje wreszcie pokrewieństwo negatywne — wszyscy oni są jak krąg wokół torsu twórczości Uniłowskiego.

Ta oryginalna sytuacja była jednak ograniczona do kilku roczników. Pora obecnie powrócić do zapowiedzi, że rocznik 1910 należał do katastrofistów, a nie byli nimi pisarze o niewiele lat starsi, nie będą o niewiele lat młodsi. Jest bowiem uderzającym faktem, że cała analizowana postawa arealistyczna rozwinęła się i dojrzała w rocznikach, których wzrost odbywał się najbardziej równolegle ze wzrostem, mocarstwowym napuszeniem, skłonem ku faszyzmowi i klęską Polski międzywojennej. Jest rzeczą uderzającą, że tragiczność i drwinę przynoszą roczniki, które znały tylko polskie gimnazjum, polski uniwersytet, dla którego atmosfera państwa urządzonego i własnego była czymś oczywistym. Przecież to było owo marzone pierwsze pokolenie niepodległości. Tymczasem ci, którzy wzrastali najbardziej równolegle, na pierwsze podmuchy zapowiadające, że budowla niepodległości stoi na piasku, zareagowali najsilniej i najdziwniej. Najsilniej, bo aż do katastrofizmu. Najdziwniej, bo przecież pisarze nie wiele starsi, by wymienić z poetów tylko Broniewskiego, Przybosia, Słonimskiego a nade wszystko Jastruna, atmosferę nadciągającej grozy odczuwali równie mocno, a jednak odpowiedzieli inaczej. Jak to wyjaśnić?

Wyjaśnienie leży właśnie w równoległości tego wzrostu ze wzrostem Polski międzywojennej. Nie znaliśmy innego życia i innych form społecznych, aniżeli te, w jakich myśmy się wychowali. Doświadczenie pisarzy starszych, że nie ma wstrząsów, które by zupełnie burzyły porządek świata, nie było nam dostępne. Pierwsza wojna światowa stanowiła nie doświadczenie realne lecz jakiś mit patetyczny, którego cieniem chętnie się upajano. Tymczasem zaś życie polityczne i wewnętrzne Polski właśnie wówczas, kiedy poczynaliśmy być za nie współodpowiedzialni, coraz bystrzej sterowało ku faszyzacji. Polskę przed

faszyzmem ocalił właściwie wzgląd ze stanowiska procesu idei uboczny: wspólna granica z Niemcami. W położeniu geograficznym Rumunii czy Bułgarii Polska ówczesna nie byłaby się oparła.

A przecież, i to jest paradoks, żaden z tych, którzy głosili tragiczność, którzy bronili się drwiną, nie był po stronie rodzimego zacofania. Tylko że te obydwa stanowiska były obroną na własną rękę, obroną według praw indywidualnych a nie obroną zbiorową. Nasz zatem wzrost był wzrostem narzuconym, prowadzonym według ogólnej dynamiki politycznej Polski ówczesnej, wzrostem, którego treści ideowej jednak się nie aprobowało. Ta rzeczywistość polska, której pokrętny kształt odczytujemy dzisiaj z reportaży Pruszyńskiego, była jedyną, którą znaliśmy naprawdę, jedyną, którą należało tak czy inaczej przyjąć bądź odrzucić. Był wobec niej możliwy wielki realizm satyryczny. Czy był możliwy już wówczas, bardzo wątpię. Nie wątpię za to, że w postawie drwiny mieściły się jego liczne zarody, które dzisiaj owocują.

VI

Resztę rozważań poczęła pisać wojna. Jej doświadczenie mamy za sobą. Przed sobą natomiast mamy doświadczenie nowej rzeczywistości polskiej, doświadczenie przemiany społecznej, której humanistyczny i artystyczny sens nie komu innemu, ale pisarzom przyjdzie opracować. Jest pora konfrontacji i rozrachunku. Pierwszą z tych form rozrachunku stanowi dyskusja o realizmie. Przyznać to trzeba, uderza w najsłabsze, w ogóle nieobsadzone miejsce ostatniego pokolenia. Ale w tej dyskusji, szczególnie pod piórem Jana Kotta, więcej było niecierpliwych nakazów, aniżeli wejścia w sytuację, jeszcze bardziej skomplikowaną niż przed wojną. Rozrachunek, jaki zaproponuję, nikogo prócz mnie nie dotyczy, w niczyim więcej imieniu prócz własnego sumienia nie jest czyniony. A jeśli zdoła kogo, zwłaszcza z młodych, pobudzić do zastanowienia, myślę, że jego zadanie będzie spełnione.

Powiem prosto: Nie widzę innej możliwości dzisiaj, szczególnie dla prozy, jak realizm. Ale, równy pewnik, nie wierzę, byśmy do tego realizmu doszli drogą jaką nam proponują. Nie widzę nie tylko ze względu na pełne ludzkiej słuszności postulaty przyszłego czytelnika, ale i z powodów czysto artystycznych. Doświadczenie chwili obecnej wskazuje, że mimo wielkiej chłonności na poezję, liryka nie zdoła spełnić tych potrzeb rozumienia świata, rozsupłania ideologicznych i społecznych motywów obecnej rzeczywistości, jakiego domaga się słusznie instynkt moralny każdego z nas. Poezja tylko opiewa i zapowiada, lecz nie daje wiedzy. Dziś nade wszystko pragniemy w i e d z i e ć, w prosty, ludzki sposób rozumieć. Wchodzimy zapewne w okres przewagi prozy, ściślej powieści. Tutaj znów doświadczenie uczy, że prawa artystyczne powieści, prawa równowagi pomiędzy jej wszystkimi składnikami, pomiędzy utajonym poglądem na świat, jego wyrazem w psychologii postaci, w typie opisu, prawa równowagi czysto technicznej pomiędzy dialogiem a analizą psychologiczną, interwencją bezpośrednią autora a swobodą postaci, te prawa najlepiej się kojarzą z postawą

realistyczną. Wielka powieść europejska wówczas powstawała, kiedy na sposób realistyczny, ten który istnieje w rzeczywistości nieopracowanej jeszcze przez sztukę, ta równowaga była zachowywana. Z całą niechęcią odpychamy dzisiaj np. zboczenie powieści ku liryzmowi bezpośredniemu, to rozbicie konstrukcji ciągłej na rzecz fragmentów, jakie przynosiła epoka symbolizmu. Żeromski jako powieściopisarz nie jest godnym zalecenia mistrzem. Jeżeli tego zachwiania podstawowego prawidła równowagi, które w ostatnich dziesięcioleciach przyniósł bezwzględny psychologizm Prousta i jego następców, nie oceniamy jeszcze tak surowo, to dlatego że we względzie psychologicznym był on więcej owocny i odkrywczy. Lecz jeśli o prawa gatunku chodzi, równie niebezpieczny, wiodący do nieukształtowanej plazmy, mniejsza że plazmy czysto psychologicznej miast wzruszeniowej. Dlatego to realizm, jeżeli go wmawiać w liryce, gotów w ogóle doprowadzić ją do milczenia, jeżeli natomiast postulować go wobec powieści, jest tylko naprowadzaniem gatunku na drogi, które zawsze były dla niego najbardziej owocne. Drogi, które nie przesądzają jeszcze o treściach, jakie mają być podawane, ale sposoby wskazują w mierze dającej się obiektywnie dowieść.

By problem jeszcze dokładniej naświetlić, musimy wprowadzić pewien porządek w postulaty stawiane dzisiejszej literaturze w imię realizmu. Rozróżnień obecnych proszę nie utożsamiać z historycznymi typami realizmu powieściowego. Tym razem mówimy wyłącznie o aktualnej, h i c e t n u n c, sytuacji społecznej i ideowej naszego piśmiennictwa.

Założyliśmy, że nie tyle się stwarza sam realizm, ile warunki dla realizmu. Czy te warunki w dzisiejszej rzeczywistości zostały już stworzone tak, by według nich można budować realizm artystyczny? Warunki dopiero powstają. Powstają tak, że nikt rozsądny i pojmujący błędy i zapóźnienia naszej historii nie powie, by nie był to początek wielkiej, na dziesięciolecia i pokolenia budowy, z której wyniknąć winien inny typ człowieka w Polsce. Sam więc wierzch problemu, ramy historyczne i społeczne dla przyszłej twórczości polskiej, wyłania się właśnie. Jesteśmy na pierwszym ogniwie tego procesu i niemniej błędnym stanowiskiem jest sąd, że proces już ukończony i żądanie panegiryzmu, niecierpliwość, że panegiryzmu nie ma (te nie napisane powieści o reformie rolnej, których brak jeszcze niedawno naiwni wytykali), jak jeszcze błędniejszym sąd, że wszystkie trudności przemiany są za nami i postawa narodowego „kochajmy się" winna zapanować przy śpiewie kurdeszu i bełkocie bimbru. Cały wywód psychosocjalny w formie powieściowej, dlaczego te procesy były u nas zapóźnione, dlaczego ich przeżytki są trwalsze, niż rozsądek wskazuje, jest jeszcze do odrobienia w pisarstwie polskim. Jeżeli więc przez realizm pojmować tę stronę zagadnienia, jeżeli powiadać, że nareszcie nie dla fantastyki i bzduromanii wszelkiego typu, od społecznej po polityczną, tworzą się podstawy, i że będą obowiązywać pisarzy — słusznie.

To dystynkcja pierwsza. Ten realizm jest oczywistością. Lecz realizmów jako stanowisk artystycznych wyróżniliśmy w przeszłości kilka: o które ujęcie artystyczne ma nam chodzić? O ten realizm, co wybacza dobrodusznie, choć nieraz podniośle, w imię humoru? Jedno zdanie wystarczy: trzeba wielkiej obojętności moralnej, by na przeżycia całkiem niedawne, i na walkę, która czeka, móc

spojrzeć z dobrotliwym uśmiechem. Trzeba albo takiej obojętności, albo wykręcania się sianem. Ani z siana, ani z obojętności nie był humor Dickensa.

Więc może obiektywny szacunek epiczny? Widzieliśmy, że ten się wiąże z dojrzałymi już społecznie formami, a nie dokonuje się na zamówienie. Widzieliśmy, że ostatnia z tych form, mieszczańska, nie posiada żadnych warunków epickości. My sami, ludzie przejścia, możemy się stać kiedyś materiałem dla takiego szacunku, ale dzisiaj jeszcze na to nie pora. Zresztą tego rodzaju realizm najbardziej jest związany z pojawieniem się wielkiego twórcy, a tego faktu wypostulować się nie daje.

Na poziomie stosowalności odziedziczonych form realizmu jako rzecz do roztrząsania pozostaje tylko problem przydatności tego realizmu, który wywodzi się zasadniczo z pasji satyrycznej. Powiedzmy jeszcze dokładniej: który wywodzi się z przenikliwości w dostrzeganiu form społecznych, przenikliwości chętnej, jak u Balzaca, dezaprobującej jak u Flauberta. Historycznie patrząc, postulaty Kotta sprowadzają się do apoteozy takiego właśnie realizmu, szczególnie Balzaca, jako wizjonerskiego realizmu nowych form społecznych. Ponieważ wielka sytuacja realistyczna Polski dzisiejszej powstaje właśnie z przemiany społecznej, zatem ten realizm, który umie dostrzec te przemiany, a nawet je przewidzieć, jest najbardziej upragniony.

Postulat, któremu nie można by znów nic zarzucić, gdyby nie sprawa dojścia do tego ogniwa, dojścia, które po obecnych doświadczeniach i niedawnym dorobku naszej literatury musi być z nimi zgodne, jeżeli nie ma się stać narzuconym z góry schematem. Istnieje bowiem trzecia warstwa zagadnienia realizmu, ta która dla nas pisarzy i krytyków nie może być obojętna: s p r a w a r e a l i z m u j a k o pozbawionego wmówień i niechęci, otwartego ku każdej niespodziance s p o j r z e n i a n a o s t a t n i ą e w o l u c j ę a r t y s t y c z n ą. Bo jeżeli realizm, jako dążenie do prawdy, ma obowiązywać wobec postulatów idących od rzeczywistości, nie rozumiem dlaczego nie miałby obowiązywać wobec wniosków, wyłaniających się z obserwacji literatury międzywojennej.

Streszczam: w postulacie realizmu istnieją trzy nawarstwienia. Realizm nowych form społecznych, ten jest oczywisty. Realizm pewnych odziedziczonych typów wielkiej powieści, ich przydatności dla obecnych form. Jego słuszność jest przede wszystkim sprawą tego, jak go osiągnąć, w jaki żywotny sposób odnaleźć dlań miejsce wśród naszych doświadczeń zasadniczo antyrealistycznych. Czyli inaczej, dopiero możliwie dokładne rozpatrzenie tej podstawy, jaką odziedziczyliśmy po naszej młodości przedwojennej, pozwoli rozsądzić, którędy wiedzie od niej droga do tego realizmu przenikliwości społecznej. Pozwoli odpowiedzieć dalej, którym wątkom, chociaż się w niej nie mieszczą, musi być pozostawiona swoboda.

VII

Czy wzburzona, układająca się w pierwsze swoje zarysy nowa rzeczywistość polska daje już teraz pisarzowi bardziej wdrażającą się, niż przed wojną, podstawę realistyczną? Wdrażającą się w sam proces twórczości, w to co dla pisarza najbardziej istotne? Możemy od pisarzy żądać realizmu. Ale realizm spełniany będzie i spełniany był zawsze przede wszystkim w sferze motywów psychologicznym i ich związków z czynami. Zdanie Kotta, że drzewo opisywane jest bardziej realne od motywu psychologicznego można wytłumaczyć tylko zacietrzewieniem dyskusji. Ciągnąc dalej paradoks powiem, że drzewo w ogóle nie posiada realności, albowiem samo z siebie nie jest w stanie wyłonić żadnego faktu humanistycznego czy historycznego. Chodzić może tylko o to, że na ostatnich etapach prozy zamącony został stosunek pomiędzy sferą motywów psychologicznych a sferą czynów, zamącony na korzyść rzekomej samoistności motywu, gdy tymczasem prawdziwa psychologia i prawdziwy realizm mają się do siebie jak korzenie i drzewo. Jeżeli dostępna czytelnikowi korona prawdy realistycznej usycha, na pewno wina w korzeniach.

Bądźmy szczerzy. Czy w tej sferze, w dziedzinie ludzkiego motywu wewnętrznego, jesteśmy tak bardzo daleko od lat przedwojennych, a szczególnie od lat okupacji? Sprawdźmy gatunek człowieka, który otrzymaliśmy po tym czasie. Zważmy tę niesłychaną, wyższą niżeli przed wojną, trudność mówienia prawdy społeczeństwu, jego drażliwość jeszcze gorętszą, bo pomnożoną o niecierpliwe doświadczenie wojny. Wspomnijmy, jak niesłychanie blisko sąsiadowały ze sobą w latach okupacji sprzeczne motywy psychologiczne, wspomnijmy jak sumy niespodziewanych bohaterstw równoważyły się z sumami równie niespodziewanych upadków. Nie inaczej jest dzisiaj. Byłoby śmieszną pretensją sądzić, że rewolucje, a już szczególnie rewolucje łagodne, zmieniają ludzi w jakiś ostateczny sposób. Jeszcze śmieszniejszą naiwnością byłoby wyrzekać się przemiany społecznej, dlatego że nie sprowadza ona przemiany indywidualnej, że ludzie pozostają ludźmi, tyle że inaczej, ku słuszniejszemu celowi prowadzonymi ludźmi. Pisarz, a zwłaszcza pisarz-realista pracuje jednakowoż pośród tych drugich, indywidualnych przemian. I źródła, z których ma czerpać czystość realizmu, są zamącone i długo jeszcze nimi pozostaną.

Czyżby więc drwina i tragiczność nadal posiadały wyłączną słuszność? Nadal żart i maska tragiczna?

Rozpatrzmy najpierw tę maskę. Poszukując tragicznego sporu dziejów przede wszystkim w grze postaw moralnych, w nagłych, jednorazowych rewelacjach zła lub dobra w człowieku, w nagłych olśnieniach wewnętrznych, po których zapadają w duszy znów ciemności, sięgaliśmy na pozór bardzo głęboko, niewątpliwie głębiej, aniżeli przy wszelakim realizmie powierzchni, a jednak jakoś o b o k p e w n e g o r d z e n i a s t o s u n k ó w l u d z k i c h. Przez powiedzenie o b o k rozumiem to, że niewątpliwie u dna dusz spoczywa taka gra sił moralnych, że niewątpliwie istnieją głębinowe rewelacje, odsłaniające człowieka

jawniej, niż jego życie codzienne, ale — czy ta gra sił decyduje w procesie historycznym, w realnym procesie społecznym, w rozwoju narodów?

Powiedzmy inaczej: czy dlatego faszyści i hitlerowcy przegrali wojnę, ponieważ popełnili niewidzianą dotąd w świecie liczbę okrucieństw i zbrodni? Czy dlatego, że obnażyli zło tak okrutne, aż obrażające jakiś imanentny, z góry dany porządek moralny świata, równy porządkowi historycznemu i dlatego zostali odrzuceni? Rzecz się ma w moim rozumieniu na odwrót: właśnie dlatego popełniali zbrodnie, ponieważ pragnęli niejako przymusić, zmistyfikować, przemocą nakierować na swoją korzyść obiektywny porządek historii, gdzie nie postawy moralne ważą przed wszystkim, lecz postawy realne, realne proporcje pomiędzy słusznością idei a słusznością porządku rzeczywistego. Te zbrodnie, powtarzam, były tylko formą mistyfikacji wewnętrznej, były zaślepionym kłamstwem koniukturalnej siły faszyzmu. Koniunkturalnej, skoro bowiem tylko bieg wojny pozwolił demokracjom nadrobić tę wstępną koniunkturalną przewyżkę, widzieliśmy jak błyskawicznie prysnęła zbrodnicza mistyfikacja. Prysnęła nie od samej wyższości postaw moralnych, bo ludzie są wszędzie sobie podobni, a gest współczucia okazany na krótko więźniowi przez oprawcę nie targa jeszcze drutów obozu. Targa je dopiero inna siła i słuszniejsza idea. Tymczasem w postawie tragicznej ten realny proces historyczny zastąpiony jest procesem stanowisk moralnych, poza siłą i historią będących, i to właśnie nazywam przejściem obok pewnego rdzenia stosunków ludzkich.

Tylko w świecie etyki i metafizyki katolickiej, czyn, a więc znak zapisujący się przed wszystkim w obiektywnym świecie ludzkim, może być całkowicie zrównoważony przez intencję, przez akt wewnętrznego oczyszczenia, rozgrywający się przede wszystkim w sferze subiektywnej motywacji. Wszelkie próby konsekwentnego przeprowadzenia tej zasady poza metafizyką katolicką, są nierealne i cząstkowe. Można spierać się, jak głęboko sięga granica wybaczenia, można dowodzić, że głębiej niż się przypuszcza i gorzkim tryumfem współczesnego artysty jest udany dowód, że tak bywa: mam w tej chwili na myśli wstrząsające opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego „Przed sądem" i spór Andrzejewskiego na ten temat z Kottem. Opowiadanie, które mając na uwadze siłę dysonansu artystycznego nazwałem za okupacji „Rozdziobią nas kruki, wrony" naszych dni. Można to czynić, ale z najwspanialszych nawet wyjątków zasady zbudować się nie da. Bo i w katolickim porządku etycznym nie zawsze przemazanie złego czynu pozostawione jest samotnej intencji i samotnemu żalowi. Krzywdzicielowi wybaczać często musi w tym porządku ten, kto pokrzywdzony został, i bez zgody pokrzywdzonego nie wystarczy sama dobra wola sprawcy. A zatem i tutaj gra postaw rzeczywistych nie zostaje w swojej całej rozciągłości zastąpiona przez grę wewnętrznych postaw moralnych, i tutaj istnieje obiektywna i społeczna granica wybaczenia. Tym bardziej nie może posiadać takich praw psychologizm świecki. A już w obliczu historii, gdzie nie to jest ważne, czy z tajonego tchórzostwa, czy pod przymusem, czy z pełnej i swobodnej decyzji ktoś wytrwał po bohatersku, lecz to jest ważne, że *wytrwał w ogóle*, tym więcej tych praw nie posiada. Powiem więcej: jest rzeczą niewątpliwie

interesującą wiedzieć, że decyzja odwagi rodzi się często z upornego przełamywania lęku, jest sprawą pasjonującą dla pisarza-psychologa nie uronić żadnego ogniwa z procesu, który od strachu wiedzie do odwagi, niemniej uważam, że złym nauczycielem odwagi będzie pisarz, który procesowi oporu i przejścia każe się rozróść na wszelką dostępną poznaniu i wyobraźni miarę, a decyzji przeciwnej ledwie pozwoli zaświtać.

Tak więc postawa tragiczna nie daje się utrzymać jako zasada. Ale to stanowisko w dziejach okupacji i wojny tyle posiada pożywki, tylekroć właśnie niespodziewane relacje odkrywały prawdę o człowieku, że nie przyjmując jego słuszności absolutnej, nie powiemy wszakże — oto błąd zupełny. Z drwiną sprawa jest znacznie prostsza. Drwina stanowi świadectwo widzenia zła i równoczesnej bezsilności w usunięciu jego przyczyn. Jej grymas jest grymasem bezwładu broniącego się przed tym, by został nazwany. Drwina uczy wprawdzie, ale uczy tylko podpatrywać, śledzić coraz zacieklej, nie uczy natomiast z przenikliwości czynić broni. Bywa wprawdzie lepszą szkołą realizmu od postawy tragicznej, ale tam gdzie podpatrywać nie wystarczy, gdzie należy również postulować, bezsilniejsza jest wobec prawdy aniżeli tragiczność.

VIII

Tragiczność i drwina stanowią karty w doświadczeniach naszych już odwrócone. Nie piszemy na nich. Ale nie są to karty do wydarcia, do unieważnienia, jak nam proponują. Na dzisiejszym etapie prozy polskiej nie zdołamy uczynić nowego kroku, jeżeli te obydwa stanowiska odrzucimy jako nieistotną pomyłkę. Pomyłkę, którą trzeba pominąć, by wątku prawdziwego szukać gdzie indziej. W tym sensie mówiłem, że na same warunki obecnego rozwoju artystycznego należy spozierać z bacznym realizmem.

Jako szkoła dla przyszłego realisty obydwa te stanowiska nie są czymś drugorzędnym. Pozostawiam w tej chwili na uboczu ich wydźwięk bezwzględny, mówię jedynie o ich wartości heurystycznej. Właśnie komu jak komu, ale realiście prawdziwemu zaostrzają one spojrzenie tam, gdzie tej ostrości nigdy nie było za wiele w naszej literaturze. Twarde wejrzenie w motywy psychologiczne, nie dla ich analizy jedynie, lecz dla ukazania dramatycznej, niespodziewanej gry tych motywów, ich wyniku jakżeż odmiennego od psychologii powierzchni, to jeszcze nie cała wiedza o człowieku, ale tej wiedzy część bardzo wewnętrzna, nieunikniona w układzie pełnego realizmu. Takie wejrzenie pozostawia po sobie postawa tragiczna.

Z drugiej strony realizm, który ma zmierzać ku dokładnemu widzeniu gry sił i klas społecznych, wielkiej gry form zbiorowych, nie obejdzie się bez dziedzictwa, jakie pozostawia po sobie drwina. Drwina służyła zawsze przede wszystkim demaskowaniu wmówień obyczajowych i społecznych i nie inną była drwina nam dostępna: drwina Gombrowicza. Jego „Ferdydurke" to nie tylko obłędna groteska, to zarazem w typie buffo i fanfaronady przeprowadzona krytyka i ostre widzenie form społecznych. Przypomnijmy tylko pobyt we

dworze, obyczaj szlachecko-inteligencki w tej książce. Sam Gombrowicz nie dawał żadnego pozytywu, ale jak należy patrzeć, by przeciwnika demaskować aż do trzewi, uczył w sposób naprawdę wnikający w pamięć. Chcę być dobrze zrozumiany: nie propaguję Gombrowicza dla bibliotek wiejskich i organizacyjnych, które powstaną na mocy ustawy bibliotecznej, nie twierdzę, by w obranej przez niego formie problematyka demaskatorska stawała się dostępna dla zwykłego czytelnika i każdemu z tych czytelników przyznam słuszność, kiedy nad „Ferdydurke" wzruszy ramionami. Powiadam jedynie, że dla pisarza jest ta książka doskonałym i pouczającym preparatem laboratoryjnym. Wiem, że jest w niej wtajemniczenie niewątpliwie realistyczne i wiem wreszcie, że w sztuce bardziej jeszcze niż w rzeczywistości, wzory wielkich fabryk bywają w retortach i butlach, których sensu laik nie pojmuje.

Zarówno od tragiczności jak i od drwiny prowadzi więc droga do realizmu. Że zapowiedź tego gatunku nie jest jedynie teoretycznym wymysłem, widzę dowód w postawach, jakie zarysowują się wśród całkiem młodych prozaików, którzy przed wojną nie uczestniczyli w analizowanym procesie. Dowód dla mnie dlatego tak przekonywujący, albowiem świadczy, że bywają wnioski, które przekazują się same pomiędzy pisarzami, tak są oczywiste i tak bardzo się rodzą z sytuacji czasu. Nie ulega wątpliwości, że młoda proza zapowiada się dotąd lepiej od młodej poezji. Może to tylko przypadek — wyginięcie warszawskiej grupy poetów z Baczyńskim u czoła. Nie ulega dalej wątpliwości, że chociaż talentu na miarę Uniłowskiego nie widzimy wśród najmłodszych, stopień nasycenia realistycznego jest u nich znacznie wyższy, aniżeli był przed wojną w moich rocznikach. O przypuszczalnych powodach tego większego nasycenia za chwilę. Jedno jest pewne: nasycenie rozkłada się według niedawnej problematyki tragiczności i drwiny.

Nazwiska wyjaśnią może sprawę lepiej od wywodu teoretycznego. Kiedy porównywać wydrukowane lub skądinąd znane fragmenty czy utwory Kazimierza Brandysa, Jerzego Broszkiewicza, Stanisława Dygata, Wojciecha Żukrowskiego, najbardziej obiecujących wśród młodych prozaików, widać jasno, że ich ujęcie rzeczywistości ciąży wyraźnie ku tym dwom ośrodkom, zarysowanym już przed wojną. Nikt z nich nie powtarza niedawnego kształtu tragiczności i drwiny, a jednak ci prozaicy wyrastają najwyraźniej z tej całkiem niedawnej i skłóconej tradycji. Dowodząc zarazem, że do realizmu można się zbliżyć również drogą naturalną, tą którą niedawno kroczyliśmy.

Jest tak: skupiona, zmierzająca ku konfliktowi tragicznemu, ku nagłemu spięciu i obnażeniu dusz proza, którą reprezentują Żukrowski czy Broszkiewicz, wywodzi się na pewno ze szkoły tragiczności, przepuszczonej wszakże przez swoiste odmiany talentów. Skłonność do rewelacji duszoznawczej występuje u nich w szerszym otoku realiów, ta proza, zwłaszcza u Żukrowskiego, pełna jest autentycznego miąższu realistycznego, lecz trzon, wokół której się organizuje, pochodzi z postawy tragicznej. Z drugiej zaś strony proza taka, jak Brandysa czy Dygata, jest na pewno rodem z drwiny, ale drwiny pozbawionej bufonady, z drwiny, która prócz grymasu samego posiada już swój cel. Suchy,

ostro obrysowany schemat antymieszczańskiej krytyki, pomieszczonej w dziwacznym środowisku prowincjonalnym, jeżeli mowa o Brandysie, więcej przeprowadzona ku celowej grotesce walka z formułą psychologiczną, z wmówieniem zbiorowym u Dygata, to przecież w prostej linii dziedzictwo po Gombrowiczu. To nareszcie w świecie stosunków realnych, nie czystej choć wspaniałej igraszki, przeprowadzony dowód, że ten śmiech nie był śmiechem obok rzeczywistości.

Powie ktoś, że przedwcześnie uogólniam. Nawet gdyby tak było, nie lękam się podobnego zarzutu. Krytyk równie jest obowiązany stawiać propozycje nadchodzącym przemianom, co rejestrować. A kto nie stawia propozycji, póki nie zarejestruje na pewno, ten jest tylko krytykiem z imienia.

Natomiast inne uogólnienie na pewno nie jest przedwczesne: powody tego większego nasycenia realizmem. Bardzo znamiennym objawem ostatnich lat przedwojennych było to, że całe mnóstwo zagadnień pasjonujących czytelnika nie tylko w sposób doraźny, ale pasjonujących ideologicznie, wymykało się formom powieściowym, szukając ujścia całkiem gdzie indziej: w reportażu, który tak świetnie wówczas rozkwitał pod piórem przede wszystkim Ksawerego Pruszyńskiego, w relacji autentycznej czy podróżniczej Arkadego Fiedlera, by wymienić tylko najznakomitszych przedstawicieli gatunku. Tak ta sprawa się przedstawiała, jak gdyby nadmiernie wysubtelniona w wyprawach psychologicznych czy czysto formalnych powieść ówczesna nie posiadała organów, zdolnych zarejestrować i artystycznie odtworzyć zagadnienia, które — świadectwem pełna dzisiaj czytelność książek Pruszyńskiego — choć aktualne, sięgały daleko poza aktualność. Równocześnie niejeden z młodych prozaików, przede wszystkim Adolf Rudnicki, poszukiwał wyrazu na peryferiach uznanych form prozaicznych, świadcząc tym pośrednio, że widocznie w ówczesnej sytuacji te formy jakoś nie przystawały do potrzeb prawdy. Wojna, okupacja i emigracja przyniosły niesłychane, przez nikogo nieprzewidziane nawarstwienia podobnych doświadczeń, aktualnych a przecież powyżej aktualności wymierzonych. Zaledwie część ich zdoła się wypowiedzieć w formie relacji autentycznej, w kształcie pamiętnika czy reportażu, cała niewypowiedziana reszta poczyna ciążyć na normalnych, uznanych formach prozy.

W wyniku tej sytuacji zachodzą dzisiaj charakterystyczne przemiany. Ten nacisk przeżyć rzeczywistych, przeżyć klasycznych w sensie swojej powszechności, dociera wszędzie. Że się ukażą liczne pamiętniki i wspomnienia, to rzecz raczej banalna i oczywista. Ale nie jest sprawą tak prostą, że pojawiają się formy mało przewidziane. Przede wszystkim autentyzm, który przed wojną niewiele wydał jako prąd poetycki, dozna zdaje się pogrobowego odrodzenia w dziedzinie prozy. Dostrzegamy całe serie utworów, w których ciążenie rzeczywistości nad formą artystyczną (niekoniecznie z jej krzywdą) tak jest dojmujące, że nie wiadomo do jakich gatunków te utwory zaliczyć. Bo na pewno nie mają one pretensji wyjaśniającego reportażu, i także na pewno nie chcą poprzestać na wyglądzie nieopracowanej relacji. Znów nazwisko Rudnickiego najwięcej tutaj mówi. Rzecz niemniej charakterystyczna, podobne przemiany dzieją się również na

emigracji — dzisiejsza proza Pruszyńskiego, Kuczyńskiego czy Stefana Themersona jest zjawiskiem bardzo bez precedensu, kiedy myśleć o latach przedwojennych, bardzo analogicznym, jeżeli mieć na uwadze wspomniane przemiany w kraju.

I jeżeli tragiczność oraz drwina wśród najmłodszych krystalizują się inaczej, niż w rocznikach wokół 1910, to dlatego, ponieważ wkroczył pomiędzy nie zasób przeżyć tak nasyconych realnością, że nie łatwo go spopularyzować tragicznym czy krzywym zwierciadłem. Kiedy dodać ponadto, iż całe wątki tematów — historia, wieś — zapowiadają pod piórami Tadeusza Hołuja czy Józefa Mortona, że mają wkroczyć w powieść powojenną w odarciu ze wszelkich odziedziczonych stylizacji, kiedy pamiętać, że zaprzysiężeni przeciwnicy realizmu jako pełnej zasady sami potrafią pamięcią i wizją realistyczną posługiwać się w tak nienaganny sposób, jak czyni to Stefan Kisielewski, kiedy dodać, że zaciekły w swoim psychologizmie „Adama Grywałda" pisarz jak Tadeusz Breza, w niczym nie obniżając dociekliwości psychologicznej, nadaje jej nie tylko sens realny, ale również wydźwięk polityczny, wniosek ostaje się jeden tylko: pomiędzy tragiczność a drwinę wkroczył partner trzeci, ten który sprawia, że postulat realizmu nie jest z powietrza ukręcony. Chyba, że wszystkie książki wymienione będą z powietrza ukręcone...

IX

Jesteśmy u kresu rozważań. Możemy postawić wnioski. Maska wyłącznie tragiczna i maska wyłącznie drwiąca odpadły z naszej twarzy. Należą do przeszłości, której nie da się wznowić w jej nieaktualnym dzisiaj kształcie. Lecz te obydwie próby nie były daremne. Literatura nie jest jak zboże i gleba. Tylko na polu zasiane żyto wschodzi żytem, owies owsem. W literaturze zbiory bywają inne niż siewy. Nasz przykład na pewno to potwierdza. Z posiewu tragiczności i drwiny kiełkuje zwolna realizm, ten na jaki nas stać, ten jakiemu nie wolno pominąć doświadczeń, które były najmocniejsze w niedalekiej przeszłości.

Możemy obecnie powrócić do postulatów realizmu. Pamiętamy, że najbardziej aktualna była w nich odmiana realizmu, nastawiona na przenikliwość społeczną. Widzimy jasno, że inne formy ta przenikliwość ma ogarnąć, formy, w których udział niespodzianki czysto psychologicznej, większej niż ktokolwiek przypuszczał sprzeczności moralnej człowieka, chociaż nie może być rozgrzeszony w sposób ostateczny, musi być dla prawdy umieszczony. Inne przeto musi być dojście. I to dojście, które proponujemy, dojście od remanentów, które w postawie tragiczności i drwiny nie były wmówieniem, nie sądzę by wiodło na manowce ducha realizmu humanistycznego i społecznego.

Krótko: zbrodni, które działy się w Europie całej, a u nas szczególnie, prawnego wyniszczania całego narodu przy obojętnej bezsilności reszty świata, ba, przy niewierze tych, którym było wygodniej nie wierzyć, tego co jest jednym

z najbardziej realnych doświadczeń naszych, nie przewidział żaden najbardziej realny i przenikliwy pogląd na świat. Pisarz pracuje wśród takich doświadczeń. I dlatego, jeżeli nasz realizm ma pomieścić wszystkie treści doświadczeń naszych, musi być jak najbardziej otwarty ku tym doświadczeniom, ku ich niespodziance obiektywnej. Witamy chętnie każdego, i z nazwiska wymieniam, kto bez tragiczności i drwiny zdoła prawdzie czasu dać wyraz. Lecz zadanie dzisiejszej prozy polskiej jest zbyt trudne i zbyt wspólne, by kogokolwiek odrzucać, kto od innego miejsca rozpoczynał swoją wędrówkę, a dzisiaj przystaje pod drogowskazem.

Realizm czeka na wszystkich.

„CHŁOPI" BALZACA

W tej najważniejszej powieści późnej epoki swojej twórczości Balzac opisał tragedię wymierającej warstwy arystokratycznego ziemiaństwa. Powieść stanowi zakończenie całego cyklu dzieł, przedstawiających likwidację kultury arystokratycznej przez narastający kapitalizm. „Chłopi" rzeczywiście są zakończeniem tego cyklu, gdyż Balzac przedstawia w powieści bezpośrednie, ekonomiczne przyczyny upadku feodalizmu.

W innych powieściach Balzac malował obrazy wymierającej arystokracji w Paryżu lub w głuchych miastach prowincji. W „Chłopach" Balzac wyprowadza nas na pole ekonomicznej walki — na pole bitwy między wielkimi właścicielami ziemskimi i chłopstwem.

Balzac sam oceniał tę powieść jako jedno ze swoich zasadniczych dzieł. „W ciągu ośmiu lat" — pisze Balzac — „setki razy zarzucałem pracę nad tą powieścią i setki razy powracałem do niej. Uważałem ją za najważniejszą ze wszystkich, jakie zamierzałem napisać...". Jednakże, chociaż przygotowania do pracy nad „Chłopami" były niezmiernie staranne i chociaż zasadnicza jej koncepcja była jak najdokładniej obmyślona, Balzac przedstawił w „Chłopach" obraz zasdniczo przeciwny temu, jaki zamierzał narysować: napisał bowiem tragedię drobnego chłopskiego gospodarstwa. Bez tego przeciwieństwa pomiędzy Balzakiem-filozofem i Balzakiem-poetą „Komedii ludzkiej" nie byłoby jego wielkości, tej wielkości, którą tak wspaniale wytłumaczył Engels w swoim liście do Małgorzaty Harckness.

Ideowe przygotowanie tej powieści wykracza daleko poza granice narysowanych przez samego Balzaca bezpośrednich, przygotowawczych szkiców. Już w młodości Balzac w jednej ze swoich broszur wystąpił przeciwko podziałowi wielkiej własności ziemskiej i za zachowaniem instytucji majoratu. W dwu utopistycznych powieściach, na wiele lat przed zakończeniem „Chłopów" („Lekarz wiejski", „Proboszcz wiejski", 1833 i 1839) próbował Balzac wyrazić swoje poglądy na społeczną funkcję wielkiej własności ziemskiej i społeczne obowiązki właściciela ziemskiego. Po napisaniu tych utopijnych powieści Balzac przystępuje do pracy nad „Chłopami", w których widzimy rozkład utopijnych wyobrażeń w obliczu ekonomicznej rzeczywistości.

Wielkość Balzaca polega na nieubłaganej samokrytyce jego własnych poglądów, ulubionych złudzeń i najgłębszych przekonań, samokrytyce, wyrażającej się w bezlitośnie prawdziwym opisie rzeczywistości. Gdyby Balzac potrafił oszukać sam siebie swoimi chwiejnymi, utopijnymi marzeniami, gdyby przedstawił jako rzeczywiste to, co dla niego było pożądane, to dziś nikt by się Balzakiem nie interesował, zapomniano by o nim zupełnie, tak, jak zapomniano o niezliczonych panegirystach legitymizmu, których pełno było w owym okresie. Oczywista, Balzac jako myśliciel i polityk nie był nigdy wulgarnym legitymistą. Jego utopia nie polega wcale na żądaniu powrotu do feodalnego średniowiecza w jakiejkolwiek by to nie było formie. Przeciwnie, ta utopia ma na celu zwekslowanie rozwoju kapitalistycznego we Francji, zwłaszcza w dziedzinie gospodarki rolnej, na tory angielskie. Społeczny ideał Balzaca to ten sam klasowy kompromis pomiędzy wielkimi właścicielami ziemskimi i kapitalizmem, jaki w Anglii w r. 1668 znalazł swój wyraz w „wielkiej rewolucji" i który następnie stał się osnową i specyfiką rozwoju Anglii. Jeśli, na przykład, Balzac w swoim artykule o zadaniach partii rojalistycznej po rewolucji lipcowej (artykuł został napisany w 1840 r., a więc w okresie przygotowań do pracy nad „Chłopami") ostro krytykuje francuską arystokrację, to krytykuje ją pod kątem idealizowania angielskiej konserwatywnej arystokracji — torysów. Balzac robi wyrzuty francuskiej arystokracji za to, że w 1789 r. zamiast ocalić monarchię i nie dopuścić do przerwania jej ciągłości za pomocą wprowadzenia rozsądnych reform, knuła ona „maleńkie intrygi przeciwko wielkiej rewolucji". Balzac czyni arystokratom wyrzuty za współczesną taktykę, za to, że nawet po lekcji, jakiej udzieliła im rewolucja, nie stali się torysami, nie wprowadzili za przykładem Anglii samorządu, nie pociągnęli za sobą chłopstwa. Dlatego też między arystokracją i masą chłopską nie ma żadnego kontaktu, żadnych wspólnych interesów. Dlatego też rewolucja mogła zwyciężyć w Paryżu, gdyż — jak mówi Balzac — „by schwycić za broń, jak to uczynili paryscy robotnicy, trzeba mieć świadomość zagrożenia swoich własnych interesów".

To utopijne przeniesienie praw mieszczańskiego rozwoju Anglii na grunt francuski nie jest tylko wyłącznym, izolowanym poglądem samego Balzaca. Bezpośrednio po rewolucji 1838 r. znakomity Guizot puścił w świat broszurę propagującą ten sam pogląd. Utopijny charakter tej broszury został ostro i niszcząco zanalizowany przez Marksa. Marks wyśmiewa „wielką zagadkę" pana Guizot, którą Guizot „jest w stanie objaśnić tylko specjalnym rozsądkiem Anglików". Dalej Marks sam rozszyfrowuje zagadkę różnicy w rozwoju mieszczańskiej rewolucji w Anglii i we Francji: „ta związana z mieszczaństwem klasa wielkich właścicieli ziemskich... nie była w sprzeczności, lecz przeciwnie, była w pełnej zgodzie z warunkami istnienia mieszczaństwa, czym różniła się od francuskich feodałów 1769 r. Rzecz w tym, że posiadłości ziemskie tej klasy były własnością mieszczańską, a nie feodalną. Ci właściciele ziemscy z jednej strony dostarczali niezbędnych dla warsztatów przemysłowego mieszczaństwa robotników, a z drugiej — byli w stanie nadać gospodarce ziemskiej kierunek, odpowiadający stanowi, w jakim znajdował się przemysł i handel. W ten spo-

sób wyjaśnia się ich wspólnota interesów z interesami mieszczaństwa i przymierze obu klas.". (K. Marks i Engels: radz. wyd. dzieł zebr. str. 279)

„Angielska" utopia Balzaca opiera się na złudzeniu możliwości „ukrócenia" kapitalizmu i wyzwanych przezeń klasowych sprzeczności za pomocą tradycyjnego i równocześnie postępowego kierownictwa. Kierownictwo takie, zdaniem Balzaca, może urzeczywistnić tylko władza królewska i kościół. Jednakże w takim ustroju arystokratyczna wielka własność ziemska na modłę angielską staje się najważniejszym, łączącym ogniwem. Balzac z surową jasnością zdaje sobie sprawę z klasowych sprzeczności kapitalistycznego społeczeństwa we Francji. Wie, że okres rewolucji w żadnym wypadku nie zakończył się lipcem 1848 r. Utopia Balzaca, jego idealizacja stosunków angielskich, romantyczne wymysły o jakiejś harmonii pomiędzy wielką własnością ziemską i chłopstwem w Anglii — wszystko to jest konsekwencją jego pesymistycznych poglądów na przyszłość społeczeństwa mieszczańskiego, którego rozwój obserwuje Balzac w najdrobniejszych szczegółach z prawdziwym realizmem.

Właśnie dlatego, że rozwój kapitalizmu i równolegle z nim konsekwentny rozwój demokracji powinien, według Balzaca, prowadzić nieuchronnie ku rewolucji i ostatecznemu upadkowi mieszczańskiego układu społecznego — właśnie dlatego Balzac ceni te postaci historyczne, które starają się powstrzymać proces rewolucyjny, oprawić go w „ramy porządku". Kult Napoleona jest sprzeczny z angielską utopią, jednakże, mimo to, kult ten okazuje się niezbędnym dopełnieniem historycznego światopoglądu Balzaca.

Celem obu utopijnych powieści było przede wszystkim wykazanie ekonomicznej przewagi wielkiej własności ziemskiej nad drobną. Balzac prawidłowo ocenia niektóre elementy ekonomicznej przewagi racjonalnie prowadzonej wielkiej gospodarki ziemskiej (możliwości systematycznego wkładu kapitałów, hodowla bydła na wielką skalę, systematyczne nawodnienie itp.) lecz nie widzi i nie chce widzieć, że racjonalne prowadzenie gospodarki rolnej w ramach kapitalizmu ma również zakreślone granice. Aby dowieść prawdziwości swojej utopii za pomocą realnego doświadczenia, Balzac stwarza w „Wiejskim proboszczu" warunki całkowicie sztuczne i nietypowe.

Takie wykrzywienie ekonomicznej rzeczywistości spotykamy u Balzaca niezmiernie rzadko. Jednakże istnienie wielkiej własności rolnej — to „być lub nie być" dla Balzaca. Z jednej strony — Balzac boi się niszczącego działania masowych ruchów rewolucyjnych (w tym wypadku istnieje zbieżność pomiędzy Balzakiem i niektórymi mrocznymi halucynacjami Heinego). Lecz jednocześnie z tym zasadniczym momentem pojawia się u Balzaca demaskowanie głębokiej antykulturalności kapitalizmu. Wśród tych sprzeczności Balzac zmuszony jest do idealizowania płaskiej kultury arystokracji. „Wielkie dzieło Balzaca" — mówi Engels — „to nieustanna elegia na nieodwracalny upadek arystokratycznego świata". Lecz tam, gdzie Balzac-myśliciel i polityk szuka jakiegoś wyjścia, to szuka go właśnie w ocaleniu wielkiej własności ziemskiej, jako podstawy tych szerokich materialnych możliwości, tych spokojnych siest, które arystokratyczna kultura Francji pielęgnowała od średniowiecza aż do wielkiej

rewolucji. Wystarczy przeczytać obszerny list rojalistycznego pisarza Emila Blondet w I rozdziale „Chłopów", by dokładnie zrozumieć ten punkt widzenia Balzaca.

Widzieliśmy już, że teoretyczna podstawa balzakowskiej utopii jest dostatecznie nasycona sprzecznościami. Bez względu na wypaczoną dla tendencji rzeczywistość, Balzac występuje wszędzie na plan pierwszy jako wielki realista i obserwator. Wszędzie, a w powieściach tych specjalnie ostro, Balzac podkreśla, że religia, katolicyzm, to jedyna ideologiczna podstawa dla ocalenia społeczeństwa. Jednocześnie jednak zdaje sobie jasno sprawę, że jedynym fundamentem, na którym można cokolwiek zbudować, jest kapitalizm, ze wszystkimi jego konsekwencjami. Doktór Benassis, utopijny bohater Balzaca („Proboszcz wiejski") dowodzi, że przemysł rozwijać się może tylko na zasadach konkurencji, i z tego stwierdzenia płyną wszelkie dalsze wywody ideologiczne: „Nie posiadamy dziś innego środka dla podtrzymania społeczeństwa, prócz egoizmu. Jednostka wierzy tylko w siebie... Wielki człowiek, który ocali nas od katastrofy, ku której zdążamy, na pewno, by od nowa przebudować naród, sięgnie po indywidualizm". Benassis natychmiast przeciwstawia wiarę i interes. „Nie znamy dziś żadnej wiary — znamy tylko interesy. Jeżeli ktoś myśli tylko o sobie i wierzy tylko w siebie, to skąd, według pana, zaczerpnie mieszczanin odwagę tym bardziej, że tę cnotę osiągnąć można tylko wyrzekając się własnej osobowości?"

Nie dająca się pogodzić sprzeczność, ostro występująca w utopijnych utworach Balzaca, zaznacza się w kompozycji obu powieści. Któż urzeczywistnia u Balzaca owe utopie? Jednostki obdarzone wybitnym umysłem. Twórczość Balzaca przypada jeszcze na okres utopijnego socjalizmu i można by wobec tego wybaczyć Balzacowi fantastyczne wyobrażenia o jakimś sprawiedliwym, rozsądnym milionerze w duchu Fouriera. Oczywista, że rozstrzygająca różnica polega na tym, że socjalistyczna utopia Fouriera zrodziła się w okresie rozpoczynającego się dopiero ruchu robotniczego, podczas gdy Balzac tworzył swoje utopijne recepty dla ocalenia kapitalizmu w okresie burzliwego rozwoju ruchu rewolucyjnego. Prócz tego Balzac był zmuszony tworzyć postaci swoich milionerów przy pomocy poetyckiej fantazji, i to właśnie jest w najwyższym stopniu znamienne dla sprzeczności, kryjących się w jego utopiach. Bohaterowie obu powieści — doktór Benassis i Weronika Graslin („Proboszcz wiejski") — to grzesznicy, którzy wyrażają skruchę. Oboje dopuścili się w życiu wielkiego grzechu, oboje zniszczyli tym samym swoje indywidualne życie, swoje osobiste szczęście. Oboje uważają życie osobiste za stracone i patrzą na swoją działalność jak na religijne wyrażanie skruchy. Tylko na takiej podstawie wielki realista Balzac może sobie wyobrazić ludzi zdolnych i skłonnych do przetworzenia w życie jego utopii. Już te właściwości głównych bohaterów utopijnych powieści Balzaca są nieświadomą ostrą samokrytyką, dotyczącą realności jego koncepcyj. Tylko ten, kto się wszystkiego wyrzeka, ten, kto odpycha własne szczęście osobiste, może szczerze i z samozaparciem służyć dziełu dobra społecznego w ustroju kapitalistycznym. Oto nie wypowiedziana treść utopijnych

powieści Balzaca. Ten nastrój wyrzeczenia się jest charakterystyczny nie tylko dla Balzaca, lecz i dla całego szeregu innych wielkich postaci mieszczańskiej literatury pierwszej połowy XIX w. Stary Goethe również uważa samowyrzeczenie za wielkie i zasadnicze prawo działania utalentowanych, szlachetnych, służących społeczeństwu ludzi. Podtytuł ostatniej wielkiej powieści Goethego: „Lata wędrówek Wilhelma Meistera" („Wilhelm-Meisters Wanderjahre") brzmi: „Ci, którzy się wyrzekli". W mimowolnej samokrytyce swojej utopii Balzac sięga jeszcze dalej. W „Proboszczu wiejskim" młody inżynier, pomocnik Weroniki Graslin, opowiada o swoich przeżyciach z okresu rewolucji lipcowej: „Tylko pod brudną koszulą jest jeszcze patriotyzm. To — zguba Francji. Rewolucja lipcowa to dobrowolna klęska tych, którzy ze względu na swoje nazwiska, majątek i talent, należą do wyższych „dziesięciu tysięcy". Oddające siebie w ofierze masy zwyciężyły tę bogatą warstwę intelektualną, dla której ofiarność jest czymś niesympatycznym.

Balzac zdradza taką konstrukcją fabuły swoje pesymistyczne przekonanie o tym, że jego utopie skierowane są przeciwko koniecznym z ekonomicznego punktu widzenia instynktom klas panujących i że one nie mogą stać się przykładowymi normami dla działania tych klas. Niewiara w społeczną rzeczywistość marzeń odbija się na całej kompozycji tych powieści. Bohaterowie pozbawieni typowości, dziwaczny sposób ich życia, ostro wysuwają się na pierwszy plan i często pokrywają prawdziwy cel utworu: opisanie zalet racjonalnie prowadzonego wielkiego majątku ziemskiego. Już same opisy zdradzają niezwykłą dla Balzaca szybkość w rozwoju intrygi, specjalnie szybkie przebieganie po detalach, wyrywanie oddzielnych, pozbawionych typowości epizodów dla wyjaśnienia całości. Jednym słowem, Balzac nie opisuje tu procesu społecznego, ani społecznego współdziałania wielkich właścicieli, chłopów i robotników rolnych, lecz daje jakby technologiczny opis zalet we własnej koncepcji. Jednakże te zalety ukazują się tu (wbrew zwykłym dla Balzaka poetyckim przyzwyczajeniom) w przestrzeni pustej, nie wypełnionej powietrzem. Nie znajdziemy tu typów ludności wiejskiej. Słyszymy tylko o ogólnej nędzy przed rozpoczęciem eksperymentu i następnie, o ogólnej zamożności i powszechnym zadowoleniu po jego przeprowadzeniu. Powodzenie instytucji również przedstawione jest przez Balzaca jako zupełnie oczywiste i opisane zostało jako rezultat eksperymentu.

To odstępstwo Balzaca od dotychczas stosownej metody twórczej, wskazuje, jak niewiele zaufania miał Balzac do owych utopii, chociaż poza swoimi powieściami bronił ich konsekwentnie w ciągu całego życia. Dopiero w „Chłopach" przechodzi Balzac do opisu żywego stosunku między klasami na terenie wsi. W powieści tej ludność wiejska przedstawiona jest bogato i rozmaicie, nie jako abstrakcyjny, bierny przedmiot utopijnych eksperymentów, lecz jako działający i cierpiący element powieści. Balzac podchodzi do tego zagadnienia, będąc na najwyższym stopniu swojej dojrzałości twórczej i jako artysta wypowiada druzgocącą krytykę tych samych koncepcyj, których jako myśliciel i polityk bronił przez całe życie.

Balzac i w tej powieści z uporem broni instytucji wielkiej własności ziemskiej. W oczach Balzaca, Aiges, arystokratyczna siedziba hrabiego Montcornet, stanowi ośrodek wiekowej kultury — według Balzaca jedynej do przyjęcia. Walka o utrzymanie lub likwidację tej „bazy kultury" stanowi centralny punkt akcji powieści. Akcja kończy się całkowicie klęską wielkiego majątku ziemskiego, a podział majątku na drobne gospodarstwa chłopskie jest jakby etapem rozpoczętej w 1789 rewolucji, która — z punktu widzenia Balzaca — zakończy się upadkiem kultury.

Ta perspektywa nadaje całej powieści zasadniczy, pesymistyczny ton. Balzac zamierzał napisać tragedię wielkiej arystokratycznej własności ziemskiej, i wraz z nią, tragedię ginącej kultury. Z głęboką melancholią opisuje Balzac w końcu powieści ruinę starego zamku, zniknięcie wspaniałego parku i mały pawilon, który pozostał jako ślad minionej świetności. „Był to jedyny budynek, który pozostał i który wznosił się nad krajborazem — lub aby lepiej rzec — nad chłopskimi polami, zastępującymi krajobraz. Budynek ten wyglądał na zamek, tak nędzne były domki dokoła zbudowane, typowe budynki chłopskie". Jednakże uczciwość Balzaca-realisty wyraziła się i w tej końcowej elegii. Co prawda, z arystokratyczną nienawiścią mówi: „Okolica była nie do poznania. Tajemnicze lasy, aleje parkowe, wszystko było wykarczowane; wieś podobna była do kartonu z próbkami u krawca", lecz zaraz dodaje: „Chłop objął w posiadanie ziemię jako zwycięzca i jako zdobywca. Była już podzielona na więcej niż tysiąc działek, a ludność Couches i Blangy potroiła się".

Balzac przystępuje do przedstawienia tej tragedii wielkiej arystokratycznej posiadłości z całym bogactwem swojej twórczej metody. Chociaż małorolnych chłopów wyobraża wrogo jak „Robespierra z jedną głową i dwudziestu milionami rąk", jednakże, jako pisarz-realista, zdobywa się na wspaniały i osnuty na prawidłowych proporcjach opis układu sił, walczących za i przeciw wielkiej własności ziemskiej. Balzac w powieści daje jasny program tej sprawiedliwości prawdziwego artysty: „Zresztą, historyk nie powinien nigdy zapominać, że jego zadaniem jest oddać każdemu, co mu się należy, nędzarz i bogacz równi są w jego obliczu: chłop ma wielkość swojej nędzy, jak bogacz małostki swych śmieszności. Bogacz ma namiętności, chłop tylko swoje potrzeby; jest tedy podwójnie ubogi i o ile, biorąc politycznie, zakusy jego trzeba powściągać bezlitośnie, z punktu religii i ludzkości jest święty".

Bogactwo i prawidłowość obrazu przejawia się także i w tym, że Balzac od początku opisuje walkę o ziemię, jako walkę pomiędzy trzema obozami: na równi z obszarnikiem i chłopem występuje tu obóz wiejskich i drobnomieszczańskich przedstawicieli lichwiarskiego kapitału. Trzy obozy są przedstawione w całym przepychu należących do nich typów, podtrzymujących walkę środkami ideologicznymi, ekonomicznymi i państwowymi.

Zakres działania właściciela ziemskiego — arystokraty-hrabiego Montcornet — rozciąga się na paryskie ministerstwa, miejscowe prefektury, na wyższe koła sądownicze; oczywiście Montcornet posiada pomoc siły zbrojnej, ideologiczną pomoc i poparcie kościoła (opat Brossette) i rojalistycznej prasy (Blondet).

Jeszcze wszechstronniej i różnorodniej przedstawia Balzac obóz lichwiarskiego kapitału. Pokazując z jednej strony wiejskiego wyzyskiwacza i lichwiarza, grabiącego chłopów przy pomocy niewielkich pożyczek, które na zawsze uzależniają ich od niego (Rigou), pokazuje — z drugiej strony — pozostającego z nim w przymierzu drobnomieszczańskiego kupca drzewem, byłego rządcę Aiges (Gaubertin). Wokół tych postaci Balzac ze znakomitą pomysłowością grupuje cały system prowincjonalnej, rodzinnej korupcji. Gaubertin i Rigou trzymają w swoich rękach całą niższą sferę urzędników administracji i całe prowincjonalne życie finansowe. Za pomocą korzystnych małżeństw zawieranych przez synów, córki i krewnych, za pomocą korzystnego rozmieszczenia na posadach swoich ludzi, Gaubertin i Rigou tkają sieć stosunków, dzięki którym mogą osiągnąć wszystko, czego zapragną u władz administracji i owładnąć całym rynkiem prowincji. Moncornet, na przykład, otoczony przez tę klikę, nie może sprzedać drzewa ze swoich lasów. Potęga tej bandy jest tak wielka, że gdy Montcornet wypędza Gaubertina z posady rządcy za jego szacherki, to na jego miejsce podsuwają niezwłocznie drugiego rządcę z tejże kliki, agenta Gaubertina i Rigou. Materialną bazę tej szajki stanowi grabież chłopów, dokonywana za pomocą przyjmowania zastawów, opanowania rynku, lichwy i drobnych usług administracyjnych, jak np. zwolnienie od służby wojskowej itp. Potęga ich jest tak wielka, że Gaubertin-Rigou spokojnie plują sobie na stosunki Montcorneta w sferach rządowych. „No, co się tyczy ministra sprawiedliwości" — mówi Rigou — „to oni się często zmieniają, a my przecież zawsze tu zostaniemy". Z dwu walczących między sobą klik wyzyskiwaczy, lichwiarska prowincjonalna banda okazuje się silniejsza na polu bitwy. Balzac, choć wzdryga się do głębi duszy tym faktem, jednakże, jak zawsze, opisuje z największym realizmem rzeczywisty stosunek sił.

Trzeci obóz wreszcie — chłopski — prowadzi walkę przeciwko obu klikom wyzyskiwaczy. Marzeniem Balzaca-polityka byłoby właśnie doprowadzić do przymierza między właścicielami ziemskimi i chłopami przeciwko lichwiarskiemu kapitałowi. Jednakże Balzac jest zmuszony pokazać, że chłop mimo głębokiej nienawiści jaką czuje do lichwiarza, występuje przeciw wielkim właścicielom we wspólnym froncie z lichwiarzem, który go wyzyskuje. Walka chłopów przeciw feodalnej eksploatacji, ich walka o kawał własnej ziemi, o własne drobne gospodarstwo doprowadza do tego, że chłopi stają się pomocnikami lichwiarskiego kapitału. Tragedia zamierania wielkiej arystokratycznej własności ziemskiej zamienia się w tragedię drobnej własności rolnej.

Ten trójkąt, w którym każda ze stron walczy przeciwko pozostałym dwom, stanowi podstawę balzakowskiej kompozycji. Właśnie konieczność prowadzenia podwójnej walki przez wszystkie trzy grupy przy nieuchronnej ekonomicznej przewadze jednej z nich, tworzy owo bogactwo i różnorodność kompozycji. Akcja rozgrywa się w szlacheckim zamku, w chłopskiej karczmie, w małomiasteczkowej traktierni, lub w domu bogatego wyzyskiwacza. Ta nieustanna zmiana miejsca akcji i działających osób pozwala dokładnie i bogato przedstawić zasadnicze elementy walki klasowej we wsi francuskiej. Sam Balzac niewąt-

pliwie stoi po stronie szlachty. Ale Balzac-artysta pozwala wszystkim trzem grupom całkowicie i bez przeszkód okazać swoje siły. Balzac przedstawia fatalną zależność chłopów od Rigou, Gaubertina i Ski, ze wszystkimi jej rozgałęzieniami, opisuje lichwiarski kapitał jako śmiertelnego wroga kultury i ludzkości, i chociaż ta nienawiść wynika z błędnego założenia i politycznie jest błędnie umotywowana, choć ta nienawiść jest nasycona zabobonami i uprzedzeniami partii szlacheckiej, przecież Balzac wyraża w proporcjach artystycznych tragedię drobnego chłopstwa lat 40-tych.

Wszystkie te niedole są, według Balzaca, spowodowane rewolucją 1789 r.: zarówno rozdrobnienie wielkich posiadłości ziemskich, jak i wzrost potęgi kapitału, rozpatrywanego przez Balzaca jako lichwiarski, co jeszcze przyjąć należy jako prawidłowe w owym okresie we Francji. Nagromadzenie się majątku narodowego drogą spekulacji zdewaluowanymi pieniędzmi, drogą lichwiarskiego wykorzystania braku towaru, głodu, drogą oszukańczych dostaw itd. — to wszystko według Balzaca stanowi centralny problem historii nowoczesnego społeczeństwa Francji. Przypomnijmy sobie np. źródła wzbogacenia się Goriota, Rougeta („Kawalerskie gospodarstwo"), Nucingena. Centralne postaci „Chłopów" — lichwiarz Rigou i kupiec Gaubertin — również doszli do wielkich majątków, wykorzystując możliwości, jakie otworzyły się przed nimi w okresie rewolucji i za Napoleona. Zwłaszcza, opisując historię powstania majątku Gaubertina, Balzac dokładnie pokazuje, jak staroświeckie oszustwa stosowane przez kapitalistycznego rządcę Aiges przerastają w nowe formy złodziejskiej i lichwiarskiej spekulacji, jak ze zbijającego majątek nieuczciwego sługi wyrasta samodzielny i zwyciężający szlachtę spekulant. Balzac opisuje z gorzką ironią i prawdziwością korupcję i ordynarność nowej warstwy posiadaczy. Jednocześnie jednak opisuje on te realne ekonomiczne momenty, dzięki którym zwycięstwo tej grupy nad grupą Montcorneta jest nieuchronne. Jak zawsze, u Balzaca pokazana jest nie tylko klęska szlachty, ale i nieuchronność tej klęski. Czy potrafi Montcornet zachować swój majątek, czy też stanie się on przedmiotem spekulacji na wielką skalę, spekulacji, która ma na celu podzielenie Aiges na szereg drobnych gospodarstw — oto zasadnicza linia walki. Nieuchronne zwycięstwo Gaubertina-Rigou polega na tym, że arystokracja stara się tylko o zachowanie renty, o jej podwyższenie i spokojne używanie, gdy jednocześnie w obozie mieszczaństwa następuje gwałtowne koncentrowanie się kapitału. Oczywista, ekonomiczna podstawa tej koncentracji tworzy lichwiarską grabież chłopów; wzrastające zadłużenie już istniejących drobnych gospodarstw (Rigou włożył 150 tysięcy franków w zastawy), spekulacja na mającej nastąpić eksploatacji drobnych gospodarstw po podziale majątku Montcorneta, lichwiarskie podwyższenie cen na parcele: wskutek tego małorolni chłopi od początku stają się ofiarami lichwiarzy typu Rigou-Gaubertin.

W ten sposób chłopi są wzięci we dwa ognie. Balzac-polityk miałby ochotę przedstawić tę walkę w ten sposó, że chłopi zostali znęceni demagogią i intrygami grupy Gaubertina-Rigou, podczas gdy agitowały ich do walki „nie-

pewne elementy" z ich własnego środowiska (Tonsard, Fourchon). W rzeczywistości Balzac obnaża całą dialektykę nieuniknionej zależności chłopów od kułacko-mieszczańskiego kapitału, pokazuje, że jak chłopi, chociaż odczuwają swoją przeciwstawność w stosunku do lichwiarzy i nienawidzą ich, zmuszeni są ich obsługiwać. Balzac opisuje np. chłopa, który przy pomocy Rigou nabył niewielki skrawek ziemi. „W istocie, Kuternoga, kupując folwark Bachelerie, chciał wyjść na pana i chełpił się tym. I oto żona jego zbierała gnój! Ona i mąż wstawali przed świtem, kopali swój bogato znawożony ogród, wyciskali z niego kilka zbiorów, nie mogąc starczyć na nic, prócz procentów, ściąganych przez Rigou od reszty należności... Nieborak uprawił, użyźnił trzy morgi ziemi kupione od Rigou; ogród przy domu zaczynał przynosić dochód, i oto obawiał się, że go wywłaszczą!... Ta gryząca go troska dawała temu grubemu człeczynie o twarzy niegdyś roześmianej, wyraz ponury i tępy; podobny był do chorego, żartego trucizną albo chroniczną chorobą". Zależność od lichwiarza, której ekonomiczną podstawę tworzy „samodzielność" drobnego gospodarstwa rolnego, dążenie bezrolnego chłopa do tego, aby stać się właścicielem, stać się „panem", przejawia się także w całym szeregu darmowych prac, które chłopi muszą wypełniać dla swoich eksploatatorów. Balzac, mówi Marks, „trafnie przedstawia, jak drobny gospodarz wykonywa dla swojego lichwiarza najrozmaitsze prace bez zapłaty, aby zachować sobie jego przychylność, sądząc przy tym, że niczego nie daje lichwiarzowi, gdyż dla niego własna jego praca nie pociąga za sobą żadnych kosztów. Lichwiarz z kolei ma podwójną korzyść. Pozbywa się wydatku na opłacenie pracy i coraz bardziej oplątuje chłopa w sieci lichwiarskiej spekulacji, coraz szybciej rujnuje go, pozbawiając możności pracy na własnym polu".

Rozumie się, że na tym tle rodzi się głęboka nienawiść chłopa do tych, którzy go rujnują. Lecz nienawiść ta jest bezsilna nie tylko wskutek ekonomicznej zależności, lecz także wskutek chłopskiego głodu ziemi i bezpośrednio ugniatającej chłopów eksploatacji ze strony wielkich obszarników. Dlatego, mimo nienawiść do kułackich lichwiarzy, chłopi stają się ich pomocnikami i sprzymierzeńcami w walce przeciw obszarnikowi. Balzac przytacza interesujący dialog na ten temat: „— Myślicie tedy, że Aiges sparcelują dla waszego pięknego nosa? — odparł Fourchon. — Jakto, przez tych trzydzieści lat, przez które stary Rigou wysysa wam szpik z kości, nie zrozumieliście, że łyki będą gorsi, niż panowie?... Chłop zawsze będzie chłopem! Czy nie widzisz (ale co ty się rozumiesz na polityce!...) że rząd nawalił tyle podatku na wino jedynie po to, aby nam zagrabić nasze talary i trzymać nas w nędzy! Ciarach i rząd to jedno. Co by się z nimi stało, gdybyśmy wszyscy byli bogaci?... Czyby orali swoje pola, czyby zbierali zboże? Trzeba im biedaków!". „I tak trzeba polować razem z nimi, skoro robią obławę na wielkie majątki — odparł Tonsard — a potem obrócimy się przeciw panom Rigou". I w stosunkach klasowych, Tonsard ma rację, jego słowa w rzeczywistości, w życiu, zwyciężają.

Oczywista, u niektórych chłopów przebłyskują rewolucyjne myśli: powtórzenie i radykalne wprowadzenie podziału ziemi z czasów rewolucji 1793 roku.

Syn Tonsarda wypowiada podobne rewolucyjne poglądy: „Powiem, że idziecie na rękę ciarachom — odparł Jan. — Nastraszyć Tapicera, aby utrzymać się przy swoich prawach, dobra! Ale wykurzyć ich z okolicy i zmuszać do sprzedaży Aiges, tak, jak chciałyby łyki z miasteczka, to głupie. Jeśli pomożecie podzielić wielkie własności, skądże weźmiemy majątków do wystawienia na sprzedaż przy najbliższej rewolucji? Dostalibyście wówczas ziemie za nic, tak jak dostał Rigou; ale jeśli wepchacie ją w paszczę łykom, wyplują je wam chudsze, droższe, będziecie pracowali dla nich, jak wszyscy, którzy pracują dla starego Rigou".

Tragizm położenia tych chłopów polega na tym, że rewolucyjne mieszczaństwo 1789 r. przekształciło się już w pokolenie Gaubertina i Rigou, podczas gdy proletariat francuski nie rozwinął się jeszcze do tego stopnia, by poprowadzić za sobą chłopów. Społeczna izolacja buntującego się chłopa odbija się w sekciarskiej plątaninie jego poglądów, w jego pseudoradykalnej taktyce wyczekiwania. Rzeczywisty ruch sił ekonomicznych zmusił chłopów, by ścisnąwszy zęby, pomagali, pełni nienawiści, Rigou w jego ciemnych interesach. Najróżnorodniejsze polityczne konsekwencje tej ekonomicznej sytuacji robią z Rigou, „którego chłopi przeklinali za jego lichwiarskie machinacje... przedstawiciela ich politycznych i finansowych interesów... Dla niego, jak i dla niektórych paryskich bankierów, polityka purpurą popularności pokrywa bezwstydne szalbierstwa". Rigou jest więc ekonomicznym i politycznym przedstawicielem chłopskiego głodu ziemi, chociaż „po zachodzie słońca nie ważył się chodzić po polach ze strachu, by nie paść ofiarą nieszczęśliwego wypadku i nie dostać się w pułapkę".

Lecz tragedia zawsze jest skrzyżowaniem się dwóch konieczności, i otrzymanie z rąk Rigou parceli ze wszystkimi ciężarami, jakie z tego tytułu na nich spadały, wydawało się chłopom czymś lepszym, niż brak tej parceli i najemna praca na gruntach Montcorneta. Jeżeli, z jednej strony, Balzac usiłował się przekonać, że chłopów tylko „agitują" przeciwko wielkiej własności ziemskiej, to z drugiej strony, stara się on wbić sobie w głowę możliwość patriarchalno-„dobroczynnych" stosunków pomiędzy obszarnikiem i chłopem. Jak przedstawiała się w pierwszym wypadku rzeczywistość, pokazaliśmy na przykładzie obrazów danych przez samego Balzaca. Drugie złudzenie rozwiewa sam Balzac tak samo energicznie. Co prawda wspomina on o tym, że hrabina Montcornet stała się „dobroczyńcą" okolicy, lecz u Balzaca jest to zawsze oznaką nieczystego sumienia i niewiary we własną teorię — poza tym nie mówi on nawet na czym ta dobroczynność polegała. W jednej z rozmów z opatem Brossette, w której opat zwraca jej uwagę na obowiązki bogatych w stosunku do biednych „hrabina odpowiedziała nieszczęsnym „zobaczymy!" Fatalne słowo bogaczy, które zawiera dość przyrzeczeń aby ich uwolnić od apelu do ich sakiewki, a które pozwala im później pozostać z założonymi rękoma wobec wszelkiego nieszczęścia, pod pozorem, że już się stało". Opat Brossette, jak wszyscy księża w utopijnych powieściach Balzaca, jest wyznawcą bliskiego Lammenaisowi „społecznego chrześcijaństwa" — z tą różnicą, że tam gdzie

Balzac nie tylko prawi kazania, lecz i tworzy obrazy realne, to beznadziejność tej ideologii dochodzi nawet do księżowskiej świadomości. „Uczta Baltazara będzie tedy wiecznym symbolem ostatnich dni kasty, oligarchii, panowania — powiedział sobie, oddaliwszy się o dziesięć kroków. — Mój Boże! Jeśli twoją świętą wolą jest rzucić biednych jak strumień, przeobrazić ludzkość, rozumiem, że zaślepiasz bogaczy!..."

Jak wygląda „dobroczynność" obszarników, Balzac pokazuje na kilku przykładach. Poprzednia właścicielka majątku, znakomita aktorka złotych czasów wychwalanego przez Balzaca „ancien regime" zadośćuczyniła kiedyś prośbie chłopa. „Dobra panienka, przyzwyczajona do uszczęśliwiania bliźnich, podarowała mu morgę winnicy koło wrót Blangy, za co on miał odpracować za darmo sto dni". Balzac-polityk dodaje: „Nieoceniona dobroć". Następnie opisuje, co uszczęśliwiony chłop myśli o tej dobroci: „Niech tu padnę jeślim nie kupił tej morgi i to za drogą cenę. Czy panowie dadzą nam co za darmo? A co, wyrobić sto dni, to według was głupstwo? To mnie kosztowało trzysta franków! A tu co? Same kamienie". I Balzac reasumuje rozmowę: „Ten punkt widzenia odpowiadał ogólnemu mniemaniu". Lecz Montcornet, to nie stereotypowy arystokrata w dawnym stylu. Montcornet był generałem napoleońskim i brał udział w ogólnym rozdziale Europy przez cesarską armię. Balzac specjalnie podnosi ten szczegół, gdy opowiada o konflikcie między Montcornetem i Gaubertinem, konflikcie, który zakończył się wygnaniem rządcy-szalbierza... „Cesarz ze specjalnych powodów pozwolił, by Montcornet był na Pomorzu tym, czym Gaubertin był w Aiges: dzięki temu generał nabrał odpowiedniego doświadczenia w zakresie intendenckich dostaw". Balzac nie tylko obnaża tę wspólną cechę Gaubertina i Montcorneta, pokazując, że Gaubertin i Montcornet to tylko dwa odłamy tego samego kapitału i że ich walka, to walka o podział wyciśniętej z chłopa nadwartości, lecz także pokazuje kapitalistyczny charakter administracji majątku Montcorneta. (Głęboka ironia jest w tym, że owe kapitalistyczne przedsięwzięcia spotykają się z pełną zgodą opata Brossette). Idzie tu o walkę, jaką toczy Montcornet przeciw starym „obyczajowym prawom biedoty wiejskiej" (jak je określa Marks), przeciwko prawu zbierania chrustu w lesie, zbierania kłosów pozostałych na polu po żniwach. Likwidacja tych zwyczajowych praw towarzyszy procesowi kapitalizacji wielkiej własności ziemskiej. Na kilka lat przed ukazaniem się „Chłopów" młody Marks prowadził w „Rheinische Zeitung" ostrą kampanię przeciwko wprowadzonemu przez sejm prowincji reńskiej surowemu prawu o kradzieży drzew, prawa, które miało również na celu likwidację starego zwyczaju.

Balzac w tej sprawie stoi zdecydowanie po stronie Montcorneta. Rozporządzenie brzmiało, że tylko ci chłopi mogą zbierać pozostałe po żniwach kłosy, którzy udowodnią na podstawie zaświadczenia władz swoją nędzę i że wszelkimi środkami należy ten zbiór ograniczać — to dowodzi, że napraktykowawszy się na Pomorzu Montcornet postanowił zdecydowanie skończyć z tym feodalnym przeżytkiem. Chłopi w posiadłości Montcorneta znajdują się w konsekwencji w położeniu, które „łączy w sobie całą szorstkość pierwotnych form

społecznych ze wszystkimi cierpieniami i całą nędzą państw cywilizowanych" (Marks: „Kapitał"); chłopi doprowadzeni są do rozpaczy i ta rozpacz przejawia się w aktach terroru, które z kolei prowadzą do zwycięstwa spekulacji, do zwycięstwa Rigou.

Tym samym Balzac po mistrzowsku zarysowuje tragedię drobnego gospodarstwa. Przedstawia on to, co Marks teoretycznie ustalił w „18 brumaire", jako istotę rozwoju drobnej własności ziemskiej po rewolucji francuskiej: „W ciągu XIX w. miejsce feodała zajął lichwiarz miejski, miejsce ciążących na ziemi obowiązków feodalnych zajęły hipoteki, miejsce arystokratycznej własności ziemskiej zajął kapitał mieszczański". Engels dodaje następnie: „Mieszczaństwo pierwsze przyczyniło się do tego, a średnie chłopstwo okręgów wiejskich, „yeomanry" doprowadziło go do zwycięstwa. Oryginalne zjawisko: we wszystkich trzech mieszczańskich rewolucjach chłopi są armią bojową; i właśnie chłopi są tą klasą, która zostaje zrujnowana na skutek konsekwencji ekonomicznych zwycięstwa. W sto lat po Cromwellu znikła prawie zupełnie angielska „yeomanry".

Zrozumiałe, że Balzac nie miał prawidłowego wyobrażenia o tych sprawach. Jednakże niektórzy z jego bohaterów mają owe niejasne i mgliste przeczucia, w których odbija się ta rzeczywistość, to przeznaczenie chłopów. Stary Fourchon mówi: „Widziałem dawne czasy i widzę nowe, mój dobry uczony panie... Szyld się zmienił, to prawda, ale wino jest zawsze to samo! Dzisiaj to jest młodszy brat wczoraj, ale rodzoniuteńki. Niech to pan napisze w swojej gazecie. Czy my jesteśmy wyzwoleni? Przykuci jesteśmy wciąż do tej samej wioski, a pan jest zawsze nad nami: nazywa się Praca. Motyka, która jest całym naszym mieniem, nie wypadła nam z rąk. Czy to będzie na pana, czy na podatek, który nam zabiera nasz zarobek, trzeba zawsze strawić życie w pocie..."

Zapoznaliśmy się już z arystokratyczną utopią Balzaca, z jego ideałem angielskich, konserwatywnych porządków, który rzekomo mógłby usunąć zgubne skutki rewolucji francuskiej. Jako artysta, przedstawiający dzieje rozwoju francuskiego społeczeństwa w latach 1789—1844, Balzac spogląda dużo głębiej. Balzac wskazuje nieuchronność rewolucji, nieuniknione zwycięstwo ustroju kapitalistycznego we Francji. Opat Brossette tak np. mówi w tej powieści: „Jeśli spojrzeć na to zagadnienie z historycznego punktu widzenia, to zobaczymy, że chłopi do dziś jeszcze przeżywają stan podchmielenia Zakerią. Jej klęska zapadła im głęboko w dusze. O samym fakcie zapomnieli; przeszedł on do rzędu „idei instynktownych". Ta idea żyje we krwi chłopa francuskiego, jak niegdyś idea wyższości żyła we krwi szlachty. Rewolucja 1789 r. była jak gdyby odwetem zwyciężonych. Chłopi stanęli na ziemi twardą stopą właściciela, czego dotychczas zabraniało im w ciągu dwunastu wieków prawo feodalne. Stąd — miłość chłopa do ziemi. W ten sposób objaśnić można również rozdrabnianie gospodarstw chłopskich i owo wymierzanie podzielonej ziemi, przy którym omal że nie dzielą jednej bruzdy na dwie części...". Balzac zupełnie jasno zdaje sobie sprawę z tego, iż jeszcze za jego czasów niezachwiana i nawet wzrastająca

popularność Napoleona polegała na tym, że Napoleon poręczył jak gdyby za podział ziemi, dokonany przez rewolucję.

Opat Brossette kontynuuje swoje uwagi: „W oczach ludu Napoleon, który zrósł się z tym ludem mocnymi węzłami miliona żołnierzy, ciągle jeszcze jest królem wyniesionym przez rewolucję, człowiekiem, gwarantującym ludowi posiadanie majątku narodowego. Koronacja jego była ożywiona tą ideą". A w utopijnej powieści „Lekarz wiejski" prawdopodobnie jedyna rzeczywista scena to ta, w której Balzac opisuje głęboki szacunek chłopów, będących niegdyś żołnierzami Napoleona, dla pamięci cesarza. Polityczne idee Napoleona, które tak żałośnie parodiowało potem Drugie Cesarstwo — „to idee nierozwiniętej, dyszącej młodością burżuazji". Mimo rojalistycznego wstrętu do rewolucji 1789, Balzac wysoko ceni wzrost poziomu moralnego, jaki był przez nią wywołany. Już w młodzieńczej powieści Balzaca „Szuanie" zwraca uwagę, że republikańscy oficerowie obdarzeni zostali przez niego rysami bohaterstwa i wielkości; również i w późniejszej twórczości Balzaca przedstawiciele poglądów republikańskich są pełni moralnego dostojeństwa, czystości i stanowczości (np. Pillerau w „Cezarze Birotteau"). To przedstawienie uczciwego i bohaterskiego republikanina osiąga swoje apogeum w postaci Michała Chretien, jednego z bohaterów, poległych koło klasztoru Saint-Marie. Bardzo charakterystyczne, że ten obraz właśnie był uważany przez Balzaca za niedostatecznie zgodny, nie odpowiadający wielkości oryginału. W swojej krytyce „Pustelni Parmeńskiej" Balzac z zachwytem mówi o postaci republikanina Ferrante, podkreślając, że Stendhal chciał przedstawić typ podobny do Chretiena, i że uczynił to lepiej. W naszej powieści obraz taki powraca w postaci starego Nisserona, uczciwego żołnierza, który nie wzbogacił się w czasie rewolucji i nawet nie wykorzystał tych wszystkich prerogatyw, jakie mu przysługiwały prawnie, pozostając biedakiem do końca życia. Jednocześnie określa Balzac miejsce tradycyj jakobińskich w rozwijającej się po kapitalistycznej linii Francji. Nisseron nienawidzi bogaczy i dlatego chłopi czują w nim swojego człowieka, jednocześnie jednak nienawidzi on rozrastające się kapitalistyczne społeczeństwo, z jego niepowstrzymaną żądzą szybkiego bogacenia się, lecz nie może wskazać jakiegokolwiek wyjścia z tej sytuacji, która wydaje mu się beznadziejna.

Ciekawym jest obserwować tok akcji, jak głęboko i jak prawidłowo widzi Balzac społeczno-obyczajowe konsekwencje kapitalistycznego rozwoju Francji, aż do najdrobniejszych szczegółów, pomimo swojej całkowicie reakcyjnej pozycji. Balzac wiernie odtwarza jakobińskiego republikanina we wszystkich jego późniejszych przeobrażeniach, nie zauważywszy zupełnie, że to jakobińskie z wszystkimi antycznymi ideałami związane jest z wolnym drobnym gospodarstwem rolnym. W swojej analizie drobnej posiadłości ziemskiej, Marks ustala, że tworzy ono „ekonomiczną podstawę społeczeństwa w najlepszych okresach klasycznej starożytności", co właśnie było ideałem jakobinów. Oczywista, że Marks znakomicie rozumie różnice między demokracją antycznego „polis" i jakobińskimi złudzeniami w duchu klasycznym. Marks w swoich pracach o rewolucji francuskiej 1848 r., a później w „Kapitale" poddał analizie te

przyczyny, które skazują drobną własność ziemską na niewolniczą wegetację, dzięki lichwiarskim procentom i podatkom, zmuszającym chłopa, by stał się kupcem i przemysłowcem, „nie mając warunków, w których mógłby on wyrabiać swój produkt jako towar". „Wady kapitalistycznego sposobu wytwórczości, zależność producenta od pieniężnej ceny produktu, łączą się tu z wadami, wypływającymi z niedostatecznego rozwoju kapitalistycznego sposobu produkcji". (Marks: „Kapitał" III t.). Wychodząc z tego założenia, Marks wskazuje na podwójne położenie chłopów w okresie rewolucyjnego rozwoju pierwszej połowy XIX w.; pokazuje jak z rozpaczy drobnego producenta, z nieuniknionych złudzeń, wywołanych tą rozpaczą, mógł powstać społeczny fundament dla panowania Napoleona III.

Balzac nie widzi tej dialektyki obiektywnego rozwoju ekonomiki. Pisząc panegiryki wielkiej własności ziemskiej, Balzac nie mógł nawet widzieć tej drugiej strony zagadnienia. Ale jako nieubłagany obserwator historii francuskiego społeczeństwa Balzac zauważył niejedną z tych społecznych tendencyj, które pociąga za sobą ekonomiczna dialektyka drobnej własności ziemskiej. I wielkość Balzaca polega właśnie na tym, że pomimo swoich politycznych uprzedzeń, bezstronnie obserwuje wszystkie występujące na zewnątrz sprzeczności i daje im wyraz. Oczywiście, że w tych sprzecznościach Balzac widzi upadek świata, klęskę i kres cywilizacji. Jednakże mimo to Balzac przedstawia owe sprzeczności i dochodzi przy tym do głębokiego wniknięcia w przyszłość. Na przekór swojej woli Balzac przedstawił ekonomiczną tragedię drobnego gospodarstwa ziemskiego. Żywo pokazał również społeczne osnowy, które doprowadziły do degeneracji jakobinizmu w 1848 r. i do karykatury epoki napoleońskiej w postaci Drugiego Cesarstwa.

Złudzenie końca świata jest zawsze idealistycznie przesadzoną formą, w której ta lub inna klasa wyraża przeczucie swego upadku. Balzac stale wpada w ton elegijny z powodu upadku arystokracji francuskiej. Ta elegijna forma określa i kompozycję „Chłopów". Powieść rozpoczyna się zajmującym opisem artystycznej doskonałości zamku w Aiges. Kończy się zaś melancholijnym opisem zniknięcia tych wszystkich piękności wskutek podziału majątku na drobne gospodarstwa. Lecz melancholia zakończenia leży jeszcze głębiej. Rojalistyczny publicysta Blondet, przebywający na zamku jako gość i kochanek hrabiny Montcornet (pochodzącej w przeciwieństwie do swego męża ze starej arystokratycznej rodziny) doznaje całkowitej klęski w swoich dążeniach, ginie materialnie i moralnie. Blondet zastanawia się nad samobójstwem, gdy wtem ratuje go śmierć hrabiego Montcornet i małżeństwo z hrabiną. To załamanie się planów Blondeta jest osobliwie wspaniałym chwytem, gdyż w „Komedii Ludzkiej" Blondet właśnie, jako przedstawiciel poglądów samego Balzaca gra wielką rolę. Tylko poetycki autoportret Balzaca (Daniel Darte) przewyższa w sensie dodatniego zabarwienia portret Blondeta. To, że Blondet staje na skraju klęski, jest głębokim symptomem braku nadziei, z jakim Balzac patrzył na swój własny polityczny legitymizm. Charakterystyczne dla Balzaca jest nie tylko to, że pokazuje on upadek Blondeta, lecz i żałosną formę tego upadku. Jeśli republika-

nin Chretien ginie na barykadzie jak bohater, to Blondet znajduje ocalenie w pasożytniczej egzystencji rentiera i w stanowisku miejscowego prefekta, otrzymanemu dzięki protekcji. Żałosny charakter ostatecznego rezultatu jego kariery półironicznie wyraża się w ostatnich słowach powieści. Blondet, patrząc na niewielkie gospodarstwa wyrosłe na miejscu, gdzie niegdyś stał zamek, wypowiada pesymistyczne uwagi i przypuszczenia o losach francuskiego królestwa, a skierowane przeciw Rousseau. — „Kochasz mnie, jesteś koło mnie, teraźniejszość wydaje mi się bardzo piękna, a mało troszczę się o tak odległą przyszłość" — odparła żona. „Przy tobie niech żyje teraźniejszość! — rzekł wesoło zakochany Blondet — a do diabła z przyszłością!".

Wielkość twórczości Balzaca opiera się, jak twierdzi Marks, na „głębokim rozumieniu realnych współzależności" (Marks, Engels: „O sztuce"), tj. stosunków rozwoju kapitalistycznego we Francji. Pokazaliśmy, jak głęboko przedstawia Balzac specyficzne rysy trzech walczących obozów, jak głęboko przenika on w osobliwości rozwoju poszczególnych klas we Francji począwszy od rewolucji 1789 r. Lecz ten obraz okaże się niepełny, jeśli nie rozpatrzymy drugiej strony dialektyki rozwoju klasowego, a mianowicie — jedności tego procesu, począwszy od rewolucji francuskiej lub też od momentu formowania się mieszczaństwa we Francji. Wielkość „Komedii Ludzkiej" polega na głębokim zrozumieniu jedności tego rozwoju. Balzac widzi w rewolucji, w cesarstwie Napoleona, w restauracji i monarchii lipcowej tylko etapy jedynego, pełnego sprzeczności procesu przekształcenia się Francji w państwo kapitalistyczne, procesu, który przedstawia sobą nierozdzielnie zmieszaną konieczność historyczną z upadkiem moralnym. Punkt wyjściowy Balzaca — upadek szlachty — jest tylko jednym z momentów w tym ogólnym procesie, i przy całej swojej sympatii dla szlachty Balzac dokładnie widzi nieuchronność upadku arystokracji i jej wewnętrzną degradację.

W oddzielnych studiach historycznych kreśli Balzac zawczasu historię tego upadku. Balzac prawidłowo przypuszcza, że społeczną przyczyną upadku było przekształcenie się feodalnej szlachty w szlachtę dworską, w pasożytującą grupę, która wypełniała coraz to mniej ważne obowiązki społeczne. Rewolucja francuska i kapitalizm, wyzwolony przez nią z krępujących więzów feodalnego społeczeństwa, to tylko końcowy rezultat tego rozwoju. Myślący przedstawiciele szlachty wiedzą, że upadek ten jest nieodwołalny. W zakończeniu „Gabinetu starożytności" zepsuta lecz mądra hrabina Maufrigneuse tak mówi do przedstawicieli staroszlacheckich poglądów: „Co to, czyście powariowali? Wy wciąż jeszcze chcecie żyć jak w XV wieku, a my żyjemy w XIX? Nie, kochani moi, nie ma już szlachty i nie ma arystokracji".

Balzac ogarnia proces rozwoju kapitalizmu w całości, przedstawiając wszystkie klasy francuskiego społeczeństwa. Opisując charakterystyczne różnice pomiędzy kupcem i właścicielem manufaktury przedrewolucyjnego okresu, a mieszczuchem z epoki Restauracji i monarchii lipcowej (typy Birotteau, Ragoteau, Popineau, Crevela), tak samo postępuje Balzac w stosunku do pozostałych klas francuskiego społeczeństwa. Wszędzie ukazuje mechanizm ustroju kapitalistycz-

nego — „człowiek człowiekowi wilkiem". Cyniz Balzaca, tak jak i u Ricardo, „zawarty jest w rzeczach, a nie w słowach, określających te rzeczy". (Marks, Engels: Dzieła zebr.)

Dzięki całościowemu rozumieniu procesu kapitalistycznego rozwoju Balzac obnaża jego wielkie siły społeczne i podstawę ekonomiczną. Ale nigdy nie robi tego wprost. Siły społeczne nigdy nie występują u Balzaca w postaci fantastycznych straszydeł, średniowiecznych symbolów, jak u Zoli. Przeciwnie, Balzac rozkłada każdą siłę społeczną na elementy składowe, widzi w nich połączenie walki egoistycznych interesów osobistych i materialnych sprzeczności pomiędzy jednostkami. Np. w jego powieściach sąd nigdy nie jest przedstawiony jako instytucja stojąca ponad społeczeństwem i odeń niezależna; tylko niektóre drobnomieszczańskie postaci w powieściach Balzaca tak sobie wyobrażają sąd. Sąd, przedstawiony przez Balzaca, składa się zawsze z pojedynczych ludzi, społeczne pochodzenie ich i widoki takiej lub innej kariery opisane są jak najdokładniej. Każdy z uczestników procesu wplątuje się w realną walkę interesów, wokół której obraca się sprawa sądowa, a pozycja zajmowana przez niego zależy od tego, jakie miejsce zajmuje on sam w tym splocie interesów. (Np. intrygi sądowe w powieściach: „Blaski i nędze życia kurtyzany", „Gabinet starożytności"). Tylko na tym tle obnaża Balzac rzeczywistość sił społecznych. Poszczególny uczestnik walki ze swoimi, zdawałoby się osobistymi interesami, jest przedstawicielem określonej klasy. W jego czysto osobistych interesach i nieodłącznie od nich, pojawia się określone tło klasowe. Właśnie dlatego, że Balzac demaskuje rzekomą obiektywność instytucyj społecznych świata mieszczańskiego i sprowadza je do stosunków osobistych, potrafi on pokazać to, co w tych instytucjach społecznych jest rzeczywiście obiektywne, istotnie konieczne społecznie: ich funkcję klasową. Tło balzakowskiego realizmu — ciągłe obnażanie życia społecznego jako zła wszelkiej świadomości społecznej, najbardziej nawet z pozoru odległej od owego tła i przeczącej mu. Dlatego Balzac ma pełne prawo powiedzieć w „Chłopach": „Powiedz mi, jaki jest twój majątek, a ja ci powiem o czym myślisz".

Twórcze chwyty Balzaca są określone aż do najdrobniejszych szczegółów jego głębokim realizmem. Wskażemy tu tylko niektóre punkty. Przede wszystkim: Balzac zawsze wykracza poza granice drobiazgowego fotograficznego naturalizmu. W zagadnieniach istotnych jest zawsze głęboko prawdziwy. Nigdy nie pozwala swoim bohaterom na powiedzenie, pomyślenie lub odczucie czegokolwiek, co nie wypływałoby z ich społecznej pozycji. A przy tym Balzac nie ogranicza się nigdy w wyrażaniu tego, co wyróżnia ludzi określonej klasy. Aby podać dokładnie zauważoną i głęboko pojętą treść, Balzac stale szuka maksymalnie jasnego i ostrego sposobu wyrażenia. W naszej analizie widzieliśmy niektóre przykłady tej metody Balzaca. Zacytujemy jeszcze jeden fragment rozmowy Fourchona z opatem Brossette. Opat pyta Fourchona czy ten wychowuje swego wnuka w strachu Bożym. Fourchon odpowiada: „Och, nie, nie, księże proboszczu, nie uczę aby się bał Boga, ale ludzi!... Ja mu powiadam: „Mucha, lękaj się więzienia, bo stamtąd idzie się na rusztowanie. Nie

kradnij, a staraj się aby ci dano! Kradzież wiedzie do morderstwa, a morderstwo przed trybunały ludzkie. A brzytwa trybunalska, oto rzecz, której się trzeba bać... Naucz się czytać. Mając wykształcenie znajdziesz sposoby, aby zebrać pieniądze pod płaszczykiem prawa, jak ten zacny pan Gaubertin..." „Grunt w tym, aby być koło bogaczy, są okruchy pod stołem... Oto co się nazywa dobre wychowanie. Toteż mały ladaco jest zawsze w porządku z prawem... To będzie dobry chłopak, będzie o mnie pamiętał..." Rozumie się, że stary francuski chłop z 1844 r. nigdy by się nie wypowiedział w ten sposób. Z naturalistycznego punktu widzenia ta forma wypowiedzi jest nieprawdopodobna, tym niemniej postać Fourchona odznacza się ogromną prawdziwością życiową, być może właśnie dlatego, że wykracza poza granice naturalistycznego prawdopodobieństwa. Balzac podnosi tylko na ogromną wysokość to, co chłop typu Fourchona niejasno odczuwa, lecz czego nie potrafi jasno wyrazić. Balzac wypełnia swoją poetycką misję, zgodnie z Goethem:

Und wenn der Mensch in seiner Qual verstummt
Gab mir ein Gott zu sagen, was ich leide.

Lecz Balzac wyraża w słowach tylko to, co rzeczywiście winno być wyrażone w formie, niezbędnej zarówno w społecznym jak i w indywidualnym sensie. To wyrażanie, stale wykraczające poza granice codzienności i niezmiennie przy tym prawdziwe, jest specyficzne dla starego realizmu, realizmu Diderota i Balzaca, w przeciwieństwie do epigonów.

Balzac szczegółowo opracowuje charakterystyczne, indywidualne i typowe dla klas rysy każdej postaci. Prócz tego podkreśla ustawicznie rysy wspólne dla rozmaitych przedstawicieli mieszczaństwa. Widzieliśmy już, że Balzac zaznacza cechy wspólne u Montcorneta i Gaubertina, mimo różnicy jaka ich dzieli. Obaj są produktem kapitalistycznego rozwoju Francji po termidorze. Przez ilościowe zróżnicowanie ich, wydziela się różnica jakościowa: jeden to znakomity generał epoki napoleońskiej, hrabia i wielki obszarnik, drugi — maleńki, choć pnący się w górę prowincjonalny aferzysta!

Balzac był wielkim mistrzem artystycznej abstrakcji. Współcześni pisarze mieszczańscy, pozbawieni tego daru na skutek duchowego upadku mieszczaństwa, usiłują pilnie osiągnąć konkret całości, gromadząc detale.

Głębokie umotywowanie społeczne balzakowskiego realizmu czyni z Balzaca nieprześcignionego mistrza w przedstawianiu wielkich prądów duchowych, składających się na intelekt człowieka. Balzac potrafi sprowadzić owe duchowe siły do ich społecznych korzeni, pokazać ich pokrywanie się z realnymi, rzeczywistymi tendencjami. Przy tym sposobie przedstawiania ideologia traci swoją rzekomą niezależność od materialnej historii społeczeństwa i stanowi część procesu życiowego. Np. w handlowej rozmowie starego prowincjonalnego lichwiarza ze spekulantem Grandetem wspomina się nazwisko Benthama i jego teorię eksploatacji. Chciwość z jaką stary lichwiarz wychwytuje z tego ideologicznego wyrażenia to, co jest mu wygodne, ożywia teorię Benthama. I oto przed lich-

wiarzem leży już nie oderwana teoria, lecz składowa część kapitalistycznego rozwoju początków XIX w. Oczywista, ten rodzaj wpływu ideologicznego nie zawsze pokrywa się całkowicie ze społeczną sytuacją danej postaci. Lecz w ironicznie ukazanej niewspółmierności jeszcze jaśniej odcina się los jakiejś ideologii w procesie klasowego rozwoju. Np. w omawianej powieści Balzac nazywa wiejskiego lichwiarza Rigou „telemitą", tzn. zwolennikiem (nieświadomym oczywiście) utopij wielkiego pisarza epoki Odrodzenia, Rabelais'go, który stworzył idealne „Telemskie ustronie", w którym najwyższym przepisem było: Rób co chcesz. Głęboki upadek ideologii mieszczańskiej znakomicie tłumaczy się tym, że hasło to będące hasłem walki o wyzwolenie spod jarzma feodalizmu, mogło stać się dewizą wiejskiego lichwiarza. Z drugiej strony podkreśla te ogólne momenty w procesie rozwoju mieszczaństwa: Rigou, istotnie, jest dalekim rezultatem tej walki o wyzwolenie, którą prowadzili pisarze i filozofowie Odrodzenia. Ironia kryje się w dwustronności wyrażonego tu stosunku: rozumie się samo przez się, ideał Rabelais'go nie pokrywa się ze sposobem życia Rigou, jednakże oczywistym jest również, że Rigou przedstawia sobą nieunikniony element realnego, egoistycznego mieszczańskiego urzeczywistnienia idei: rób co chcesz.

Wszystko służy Balzacowi do tego, by indywidualizować, pogłębiać stopniowanie w granicach określonego typu społecznego. W postaci Rigou np. tworzy Balzac nowy niezwykle ciekawy egzemplarz dla ogromnej galerii skąpców, lichwiarzy, galerii Gobsecków, Grandetów, Rougetów („Kawalerskie gospodarstwo"). Rigou — to typ lichwiarza-epikurejczyka, myślącego tak jak i inni o oszczędności, szalbierstwach i gromadzeniu bogactw, stwarzającego sobie jednocześnie jak najwygodniejsze warunki życia. Wykorzystuje np. podeszły wiek swojej żony, z którą ożenił się dla pieniędzy i jej eksploatatorskiego wpływu na ludność wiejską, aby mieć przy sobie bez żadnej zapłaty ładną i młodą metresę. Rigou przyjmuje na służbę najładniejsze dziewczęta ze wsi, żyje z nimi, obiecuje im małżeństwo po śmierci żony itd.

Opracowywanie specyficznych objawów klasowych u rozmaitych indywiduów stanowi zasadnicze prawo formy w realizmie Balzaca. Dlatego też w dowolnym oddzielnym epizodzie procesu społecznego pokazuje on konkretnie ogromne siły, rządzące rozwojem społecznym. W „Chłopach" Balzac przedstawia walkę o podział obszarniczej ziemi na drobne gospodarstwa, nie wychodząc przy tym poza granice majątku i sąsiadujących z nim prowincjonalnych miasteczek. Lecz wobec tego, że Balzac pokazuje w tej walce istotne momenty kapitalistycznego rozwoju wsi, jego obraz obejmuje cały proces powstawania francuskiego kapitalizmu w okresie porewolucyjnym, włączając w to upadek szlachty, a przede wszystkim, tragedię chłopa, wyzwolonego przez rewolucję i znowu uwięzionego przez ustrój mieszczański, tragedię drobnego gospodarstwa ziemskiego. Balzac nie widzi rzeczywistej perspektywy tego rozwoju. Pojęcie rewolucyjnego proletariatu leży całkowicie poza granicami jego zasięgu. Balzac jest w stanie przedstawić tylko rozpacz chłopów, a nie jedynie możliwe wyjście z tej rozpaczy.

Balzac nie mógł przewidzieć późniejszego rozczarowania chłopa na jego parceli, rozczarowania, po którym „runie cały, na chłopskiej własności wybudowany gmach państwowy, i proletariacka rewolucja zdobędzie chór, bez którego jej solo zamienia się w państwach agrarnych w „łabędzią pieśń". Geniusz Balzaca objawia się w tym, że przedstawił on z całą realistyczną nieuchronnością rozpacz chłopa, która doprowadziła do perspektywy, ukazanej przez Marksa.

Przełożył Paweł Hertz

Od tłumacza

Szkic poniższy jest rozdziałem z podstawowej w krytyce radzieckiej pracy o realizmie, napisanej przez Georga Lukacsa. Książka ta pt. „K'istorii realizma" ukazała się w 1939 r.

Wszystkie cytaty w tym szkicu przetłumaczone zostały przeze mnie według tekstu podanego przez G. Lukacsa. Cytaty z „Chłopów" Balzaca podałem według tłumaczenia Boya-Żeleńskiego (Balzac: „Chłopi" t. I—II, Warszawa).

ZDZISŁAW P. KOZŁOWSKI

PROBLEMATYKA GOSPODARKI PLANOWEJ

O WSPÓŁDZIAŁANIU

Część I.

1. Fakty współdziałania

Tylko człowiek pierwotny żyje i zatrudnia się samotnie, izolacyjnie. Z czasem zaczyna wymieniać swe wytwory z sąsiadem; obaj oddziaływują przez to wzajemnie na osiąganie swych celów. Jest to niechybnie pewne współdziałanie, ale przypadkowe, niezamierzone i dokonywujące się między czynnikami, które według własnych założeń mają trwale pozostać izolowanymi.

Walka z przyrodą sprawia, iż dojrzewa w człowieku idea gromadnych wystąpień. Np. wspólnie sypie się tamę i poluje przeciw szkodnikom — jakkolwiek polowanie na żywność pozostaje nadal przemysłem jednostkowym. Zamiast kajaka buduje się łodzie coraz większe, celem pomieszczenia w nich większej liczby żeglarzy, którzy by współdziałali w kierunku większego bezpieczeństwa, szybkości, wygód. Wynalazek metody rychło rozszerza jej użytek. Setki ziomków buduje dokoła osiedla wspólnie palisadę zdolną oprzeć się naporowi wroga — aczkolwiek dla budowy własnego domu każdy musi nadal sam sobie wystarczyć.

Idea współdziałania nie podlegała od najdawniejszych czasów żadnej dyskusji w dziedzinie sztuki wojennej i administracji.

Wyczyny jednostkowe w dziedzinie administracji są do pomyślenia jedynie chyba przy użyciu sił nadprzyrodzonych. Faraonowie wczesnych dynastyj czerpali informacje z kuli kryształowej. Ale władcy perscy, wprowadzając sieć „oczu i uszu królewskich", już zastosowali system działania grupowego i osiągnęli znaczny postęp. Administracja współczesna wciela ideę współdziałania w samorządzie wszelkich rodzajów i szczebli i w kierownictwie centralistycznym. O rozmiary i nasilenie tego współdziałania toczy się ciągła dyskusja i walka. Stąd ulega ono ciągłym fluktuacjom.

Oświata — wychowanie umysłowe i fizyczne — od dawna oparte jest na współdziałaniu. Większa ilość uczniów składa się na utrzymanie nauczyciela, pomocy naukowych, przyrządów. I odwrotnie: większa ilość nauczycieli prowadzi, każdy innym narzędziem, orkę na uczniowskim ugorze.

Gospodarstwo. Oczywiście każde gospodarstwo wymienne wykazuje pewne współdziałanie różnych elementów gospodarczych. W szczególności gospodarstwo kapitalistyczne uznaje i dopuszcza współdziałanie, ale tylko w ograniczonej mierze. Niemniej był wzrost jego na przestrzeni ostatnich lat kilkudziesięciu zjawiskiem stałym. Wzrost ten szedł w kierunku pionowym i poziomym. Co to znaczy w kierunku pionowym? Oto nad jednostką gospodarującą powstają instytucje w pewnym stopniu nadrzędne, które pełnią funkcje przygotowawcze, wywiadowcze, pionierskie. Np. instytuty badania koniunktur, eksportowe, emigracyjne, statystyczne, izby handlowe itp. Pomoc w postaci porady udzielana przez nie jednostce, stanowi objaw współdziałania. Współdziałanie poziome jest formą kontrastową atomizacji grupy społecznej. Wyraża się w połączeniu jednostek, które tworzą kooperatywy, spółki, trusty, syndykaty itp.

Ekonomika kapitalistyczna opiera się dalszemu przeorganizowaniu gospodarstwa. Sprzeciwia się także ufundowaniu współdziałania w sposób normatywny, obowiązujący. Jej argumentem pozytywnym jest teoria liberalizmu gospodarczego, która głosi, że gospodarstwo daje najlepsze wyniki w stanie możliwie najbardziej wolnym od przepisów gospodarowania. Nie wyjaśnia jednak dla kogo są te wyniki najlepsze.Argument negatywny ostrzega przed etatyzacją życia społeczno-gospodarczego. Twierdzi, że aparat biurokratyczny jest gorzej przygotowany, bardziej ociężały i mniej gorliwy niż jednostka gospodarząca indywidualnie. Nie wyjaśnia jednak dlaczegoby tak być musiało wszędzie a zwłaszcza we wszystkich epokach.

2. Pożytki współdziałania

Dlaczego ludzie powinni współdziałać, jakie wynikają z tego korzyści?

a) Pożytek materialny.

Współdziałanie umożliwia podejmowanie zadań dysproporcjonalnych z siłami jednostki. W ten sposób powstają dzieła, które by przy rozproszeniu jednostek nigdy nie mogły powstać.

Przy wykonaniu takiego dzieła prace współdziałających jednostek mogą być *jednorodzajowe* lub *różne*.

Weźmy *pierwszy* wypadek — np. usypanie tamy: każdy ma zadanie wykopania równej ilości metrów sześciennych ziemi. Przyjmujemy, że postępy budowy sąsiadujących odcinków są technicznie wzajemnie uzależnione. Ta zależność rodzi wzajemną kontrolę wydajności pracy. Pracownik opieszały lub mniej wprawny z konieczności podciągnie się do poziomu pozostałych. Ogólny wynik jego pracy w pewnym czasokresie ulegnie wzmożeniu. Moment wzajemnej kontroli odgrywa jeszcze większą rolę gdy na wykonanie dzieła złożyć się mają równoczesne prace *różnorodzajowe*. Poprzednio było technicznie znośne zmniejszenie wydajności jednostki na pewien mniejszy czasokres. Tutaj każde umniejszenie powoduje zastój u czynników korespondujących. Kontrola wydajności jest tu głębsza i skuteczniejsza.

Połączenie prac różnorodzajowych znane jest w technice pod błędną nazwą „zasady podziału pracy". Praca nad wykonaniem dzieła rozpada się na szereg czynności. Technika wykonania nigdy nie zezwala na równoczesne dopełnienie przez jednostkę wszystkich czynności. Z punktu widzenia dzieła praca nad nim jest zawsze podzielona. Ale tym samym pojęcie „podziału pracy" wcale nie wyklucza tej ewentualności, że wszystkie czynności będą wykonane kolejno przez jedną osobę. Tymczasem jest tutaj istotnym, aby dzieło wykonane zostało przez większą liczbę osób, aby połączyły one swe wysiłki dla wykonania dzieła. Dlatego jest słuszne mówić o zasadzie „połączenia pracy", nie „podziału pracy".

Połączenie pracy powoduje specjalizację, a ta znowu ułatwienie i wzrost wartości produkcji.

Weźmy jako przykład (zamiast klasycznego wzoru owej słynnej fabryki szpilek) wyszkolenie ucznia, które jest produkcją dobra niematerialnego. Szkoła jest typowym przykładem współdziałania szeregu sił, tutaj nauczycielskich, ku osiągnięciu pewnego celu. Specjalizacja każdej ze sił umożliwia lepsze opanowanie przedmiotu i metody wykładów. Zmiana osób wykładowców działa pobudzająco na ucznia, a to na jego ożywienie i zdolność przyswajania. Przez ułatwienie produkcji osiąga się wzrost jej jakościowej wartości. — Z drugiej strony liczba uczniów wykształconych łącznie przez pewne grono nauczycielskie jest stosunkowo wyższa, niż suma kształconych przez jednego nauczyciela. Dzięki współdziałaniu następuje ilościowy wzrost produkcji. Inny przykład: Instytuty naukowe dla badań fizykalnych nad rakiem czy walką chemiczną. Połączenie pracy licznych uczonych i podział tematu doświadczenia na drobne części daje wyniki, jakich nie można by oczekiwać od osobnika pracującego w pojedynkę.

aa) Szczególną formą współdziałania jest udział w produkcji czynników bezpośrednio przy niej niezatrudnionych. Kto bywa na zawodach sportowych, wie, jak doniosłą rolę odgrywa współdziałanie publiczności z zawodnikami, znane pod nazwą „dopping'u". — Analogią w życiu społecznym, politycznym, gospodarczym są: manifestacje, adresy zbiorowe, współzawodnictwo socjalistyczne, szefostwo itp. Obie ostatnie instytucje stosowane są z dużym powodzeniem w Z. S. S. R. Współzawodnictwo socjalistyczne polega na pojedynkach licytacyjnych staczanych przez placówki wytwórcze, przez poszczególne działy w obrębie tych samych placówek lub przez pojedynczych robotników o zwiększenie i ulepszenie produkcji. Szefostwo polega na wzajemnej opiece i pomocy różnych placówek w kierunku ułatwienia i uprzyjemnienia pracy, — np. bank opiekuje się kołchozem, fabryka szpitalem i odwrotnie. Wszystkie te sposoby mają na celu utwierdzać i podciągać osoby czy ciała zbiorowe w wykonywaniu ich zadań, zwiększać i ulepszać wyniki.

b) Prócz wzmożenia produkcji wytwarza współdziałanie doniosłe produkty uboczne.

Współdziałanie polegać może albo na równoczesnym, albo na następczym ruchu czynników współdziałających.

Obie odmiany współdziałania dają satysfakcję estetyczną. Np. widok zbiorowych ewolucyj gimnastycznych, wojskowych itp. budzi większy podziw niż te same ewolucje wykonywane przez jednostkę. Powstaje akord, akord harmoniczny, którego doznanie działa w sposób przyjemny. Orkiestra. Następuje zwielokrotnienie odczucia estetycznego. Jeżeli uwzględnimy, że pewne dokonania nie mogą powstać bez współdziałania, to należy stwierdzić, że współdziałanie rozszerza sferę odczuwania estetycznego. Pragnienie doznawania uczuć estetycznych wyrastających na podłożu współdziałania jest głęboko zakorzenione w naturze ludzkiej.

O ile chodzi o współdziałanie następcze, to przyczyną powstawania uczuć estetycznych jest tutaj obserwacja uzewnętrzniającej się ciągłości, zazębienia myśli poszczególnych elementów współdziałających. Myśl następnego czynnika nawiązuje do myśli poprzednika, przędzie się dalej i konsekwentnie przyczynia się do powstania jednolitej myśli przewodniej. Jeżeli przy współdziałaniu równoczesnym mówiliśmy o harmonii współdziałania, to przy współdziałaniu następczym mówić można o kontrapunkcie współdziałania. Leży w nim nowy moment estetyczny.

c) Gdy współdziałanie — z obiektywnego punktu — wywołuje dźwięk estetyczny, to z punktu widzenia samych współdziałających nie pozostaje bez doniosłego wpływu na ich etos. Już z chwilą kiedy człowiek zamiast zaimka „ja" używa liczby mnogiej: „my", przepaja go poczucie zwiększonej potęgi osobistej. Świadomość jednostki, iż dążenie jej znajduje oparcie i pomoc w podobnym, równokierunkowym dążeniu innych jednostek, polepsza jej samopoczucie, zwiększa odwagę i ufność w powodzenie. Świadomość jednostki iż liczyć ona może zawsze na korespondujące działanie innych i że jej własne działanie jest warunkiem działania innych, jest z jednej strony źródłem szczególnego zadowolenia, a z drugiej — zwiększenia poczucia odpowiedzialności. Wzajemna współzależność i pomoc wzbogaca etos współdziałających o potężną sumę uczuć koleżeńskich, przyjacielskich, uczuć solidarności.

d) Można by zarzucić, że współdziałanie wywołując skutki dodatnie, z drugiej strony wywołuje również skutki ujemne. Że zabiera jednostce samodzielność, redukuje ją do roli kółka maszyny, niszczy jej indywidualność itp. Na to odpowiedzieć można argumentem negatywnym, że na wzajem w systemie czysto liberalnym niszczeje wiele indywidualności przez brak współdziałania społecznego, nie może się wydźwignąć przez brak oparcia i pomocy. Oczywiście nie można wykluczyć możliwości skutków ujemnych na charakter indywidualny. Ale w danym razie winy szukać należy raczej w błędnym wykonaniu niż w samej zasadzie. A poza tym jest równie dobrze do pomyślenia koalicja geniuszów. Im wyżej sięgnie jednostka w swym rozwoju indywidualnym, w tym wyższym zespole nabędzie prawo do współdziałania i do tym wyższych, ponad swą krańcową zdolność indywidualną, dochodzić będzie rezultatów. „Trust mózgów" jest tak samo przejawem współdziałania, jak transport bloku skalnego przez grupę robotników.

Część II
TECHNIKA WSPÓŁDZIAŁANIA

W części pierwszej wskazaliśmy fakty i pożytki współdziałania. Obecnie spróbujemy dać odpowiedź na pytanie: dzięki czemu powstaje i trwa zjawisko współdziałania, jakie elementy składają się na to zjawisko.

Element I: Plastyka obrazu rozwojowego.

Jeżeli zapytamy jednostkę, czego chce, do czego dąży — to otrzymamy szereg najróżniejszych odpowiedzi. Różni ludzie wyrażą różne życzenia, które postawią sobie za cel życia. Dążyć będą do największego bogactwa, spokoju, wiedzy itd., to jest do osiągnięcia takiego stanu, w jakim widzą się w wyobraźni.

Ale weźmy teraz jakiś zbiór jednostek, załóżmy, że dzięki swej liczebności i innym warunkom uczestnicy mogą współdziałać, powołajmy się na korzyści współdziałania, które dadzą każdej jednostce więcej, niżby samotna wyobrazić i zapragnąć zdołała i zapytajmy znowu, jakie cele postawią sobie do osiągnięcia współdziałaniem. Tutaj jednak różnorodność odpowiedzi, a głównie ich sprzeczność wprawi nas w znaczne zakłopotanie.

Trudność plastycznego zobrazowania celów wzrasta proporcjonalnie do wielkości zbiorowisk, zrzeszeń. Np. stowarzyszenie lokalne łatwo ustali swe cele, swój program; gdy jest to np. związek zawodowy, dążyć będzie do zwyżki płac w danej fabryce, założenia biblioteki itp. Jeżeli jednak to stowarzyszenie będzie jednym z licznych oddziałów większego związku, łatwo mogą powstać różnice programowe. Pewne oddziały pragnąć mogą czego innego niż pozostałe i na tym tle może współdziałanie zniknąć.

Jak wielkie są trudności plastycznego obrazowania celów, gdy chodzi o zbiorowiska o rozmiarach społeczeństwa, państwa, świadczy np. konstytucja kwietniowa. Przyznać trzeba, że „ożywiona" jest ona frazeologią modną w państwach faszyzujących, a przejętą z pominięciem istoty treści i znaczenia, z terminologii socjalistycznej.

W art. 9-tym podnosi ona współdziałanie do rzędu światopoglądowej wytycznej życia społecznego. Pięknie. Ale jak odpowiada na pierwsze zasadnicze pytanie: ku czemu współdziałać. Otóż odpowiada, iż ku dobru. Pytamy: ku czyjemu dobru i na czym ma ono polegać? Jeżeliby poprzednio jednostka zapytana do czego dąży, odpowiedziała, że nie do bogactwa, wiedzy itp., ale do szczęścia, uznalibyśmy ją za usposobioną sentymentalnie, nieracjonalistycznie. Ujęcie znaczenia logicznego i programowego pojęcia „dobra", które przy dobrych chęciach można by rozumieć jako „wszystkiego dobrego po trochu", jest jednak wręcz uniemożliwione przez treść art. 2 ust. 3. Artykuł ten odróżnia mianowicie od „dobra" — gotowość obronną i stanowisko wśród narodów świata, tak jakby to nie były „dobra".

O ile chodzi o cele państwa, to art. 10 obstaje przy tym, że państwo ma cele, ale już wystrzega się tak ryzykownego definiowania ich, jak miało to miejsce

odnośnie celów społeczeństwa. Ciekawego jakie są te cele, odsyła do praw, ustaw.

Sięgamy do biblioteki ustaw i stwierdzamy, że istotnie prawa określają nie tylko cele państwa, ale nawet i bez zapowiedzi konstytucyjnej i cele społeczeństwa. W jakiej mierze i jakim systemem to czynią?

Każde ustawodawstwo oparte na doktrynie liberalnej wykazuje z punktu widzenia celów rozwojowych charakter fragmentaryczny, ewentualny i nawet aspołeczny, czy raczej pewną rozmaicie ustosunkowaną zawartość cech o takimże charakterze.

Fragmentaryzm oznacza, że brak jest zasady stawiania celów uniwersalnych społecznie i ostatecznych. Fragmentaryzm może być: przestrzenny (gdy przepis dotyczy tylko części zjawiska społeczno-gospodarczego), lub teleologiczny, (gdy cel ustawy jest niedefinitywny). Np. ustawy zajmowały się zwierzostanem dziczyzny, ochroną żubrów itp., ale nie troszczyły się o stan pogłowia bydła domowego dla rolnictwa i transportu, ani w teraźniejszości, ani na przyszłość. Zagadnienie fauny traktowane było wyrywkowo i bez perspektywy rozwojowej.

Charakter ewentualny, ramowy, ustawy polega na tym, że zadawala się ona jedynie przygotowaniem zewnętrznej formy ewentualnego działania. Natomiast faktyczne powstanie ośrodka działania pozostawione jest przypadkowi. Np. ustawa przemysłowa lub o stowarzyszeniach nie przewiduje założenia jakiejkolwiek konkretnej fabryki lub związku. Jeżeli powstanie, określi sobie sama swe miejsce, rodzaj, cel — oczywiście w granicach ustawy.

Na gruncie nieskonkretyzowania celów pojawia się wreszcie niekiedy aspołeczny rys prawa. Cele jednych grup kłócą się z celami innych. Np. dozwolone jest niszczenie swej własności, która to zasada w odniesieniu do ruchomości przeprowadzona jest z całą niemal konsekwencją. Wolno jest — czy raczej było — wstrzymać dostawę na rynek swego produktu, choćby i był artykułem pierwszej potrzeby. Wolno było wręcz wstrzymać całą produkcję (lokaut) ku szkodzie zatrudnionych w tej produkcji i spożywców. Oczywiście jeśliby ustawy orzekały, że celem produkcji jest konsumpcja, a nie panowała niepisana zasada, że celem produkcji jest bogacenie się przedsiębiorcy, natenczas fakty takie byłyby przestępstwami.

Omówione znamiona ustawodawstwa liberalnego są wyrazem odpowiednich teoryj ekonomii kapitalistycznej. Streszczeniem ich jest teza o samoczynnej i optymalnej regulacji ruchów gospodarczo-społecznych. Twierdzi ona, że niedomogi produkcji wyrównują się automatycznie pod naciskiem cen i stopy zysku. Gdy produkcja jest za niska, wtedy wskutek wysokich cen za odnośne wytwory kapitał przepłynie do danej gałęzi i wzmoże ją do wysokości popytu. Gdy zaś produkcja jest za wielka i wskutek tego ceny są niskie, wtedy część kapitału odpłynie i produkcja zmniejszy się do miary popytu. Stan, który nastaje po ukończeniu takich procesów, jest stanem gospodarczo najlepszym. Teza ta nie wytrzymuje krytyki w kilku kierunkach. Przede wszystkim doświadczenie uczy, że okresy działania tej samoczynnej re-

gulacji są przewlekłe, zbyt długotrwałe. Przeplatane są kryzysami gospodarczymi (teoria kryzysów), a co najmniej regulacja dokonywuje się skokami, wśród wstrząsów. Trudno zatem mówić o poprawnym działaniu podobnego automatyzmu. Następnie: regulacja odbywa się wśród dotkliwych strat gospodarczych i społecznych. Kapitał, który zmuszony jest odpłynąć z pewnej produkcji, ulega zwykle częściowej zatracie. Np. cena wełny spada i trzeba zmniejszyć jej produkcję. Zabija się owce i sprzedaje na mięso. Cena uzyskana za mięso nie może nawet w przybliżeniu zamortyzować nakładów hodowlanych. Co ważniejsze: pozostają bezużyteczne urządzenia i maszyny dla strzyży, mycia, pakowania i transportu wełny; kapitał w nich uwięziony w dużej części niszczeje. Jeszcze dotkliwsze są szkody społeczne. Zmniejszenie produkcji wywołuje bezrobocie. Według ekonomiki kapitalistycznej — o ile w ogóle na takie sprawy zwraca uwagę — robotnicy znajdą zatrudnienie w tej produkcji, do której odpłynął kapitał. Jest to twierdzenie lekkomyślne. Tkacze nie znajdą zatrudnienia w stalowni albo górnicy w drukarstwie. Po dłuższych wysiłkach migracyjnych czy przeszkoleniowych część bezrobotnych wyląduje na twardszym gruncie. Reszta ulegnie nędzy. Taki automatyzm nosi charakter aspołeczny i irracjonalny, a w żadnym razie nie jest optymalny.

Wyrazem krytyki i niewiary w teorię o samoczynnej i optymalnej regulacji jest idea planowości. Zmierza do większego dawkowania racjonalizmu w życiu gospodarczo-społecznym niż to pozwala doktryna liberalna, a zatem do względnie większego sprecyzowania przebiegu i celu gospodarowania. Cel pozostaje zresztą ten sam: bogactwo.

Planowość określi je szczegółowo. Np. ma być tyle a tyle fabryk i taka ma być ich produkcja w ciągu pewnego czasu. Obraz przekroju produkcji w każdym okresie ma być zamierzony i wiadomy. Planowanie każdego niemal cząstkowego odcinka produkcji uwydatnia jego związek funkcjonalny z innymi działami produkcji. Np. nie można planować produkcji butów bez równoczesnego planowania produkcji skóry, maszyn do jej przeróbki, wykształcenia fachowców, mieszkań dla nich itd. Poszczególne ogniwa nie mogą zwisać w powietrzu; dla podparcia ich trzeba stwarzać nowe, wszystkie zazębiać mocno o siebie. Powstaje łańcuch zamknięty. Logicznym wymogiem planowania staje się uniwersalność planowania w obrębie gospodarstwa społecznego.

Idea powzięcia takiego planu czyni zadość zasadzie plastyki obrazu rozwojowego.

Ale nie oznacza to, by planowość zmierzać musiała do możliwie najściślejszej determinacji wszystkich przejawów życia. Kładzie tutaj hamulec właśnie moment racjonalizmu, który zabroni okiełznania takich dziedzin życia, które by ponieść mogły przez to szkodę. Ten sam moment racjonalizmu daje gwarancję, że planowość nie jest wyrazem jakiegokolwiek monizmu form życia społeczno-gospodarczego. Racjonalizm, który jest zaprzeczeniem tak doktrynerstwa jak i objawienia, zdaje sobie sprawę, że w różnych miejscach i czasach potrze-

bne są różne formy i cele rozwoju oraz jego przebiegu. Stosownie do tego będzie rozmaitą treść docelowych obrazów rozwojowych czyli planów.

Idea planowości jest wytworem ekonomiki socjalistycznej. Stworzona została jako instrument walki przeciwko irracjonalizmowi gospodarstwa kapitalistycznego i wynikającym z niego błędom w podziale dóbr. Dowodem jej wartości jest choćby tylko przyswojenie jej przez czynniki przeciwne socjalizmowi, a to częściowo przez kapitalizm i w całości niemal przez faszyzm. Wynaturzona idea stać się miała dla faszyzmu podstawą zniszczenia i uciemiężenia ludzkości. W naszych oczach plagiat ten nie zdał egzaminu. Twór dobroci i umiłowania ludzkości nie dał zhańbić się przez hordy morderców. Na placu boju zwycięża i trwa jedynie planowość niesfałszowana, oryginalna — planowość socjalistyczna.

Element 2: Inicjatywa.

Plan dokonania dzieła za pomocą współdziałania jest sam w sobie teorią. Niejeden uczony nakreśla plany, które pozostają na papierze. Do realizacji potrzeba wykonawców. Jak ich znaleźć?

Potrzebne jest zaszczepienie woli współdziałania w potrzebną ilość przyszłych wykonawców. Jeżeli śledzić będziemy za źródłami powstawania impulsów życia społecznego, to znajdziemy ich dwa rodzaje. Inicjatywa do dokonania dzieła wyjść może od czynników hierarchicznie nadrzędnych albo też powstać w łonie samego społeczeństwa. W obu wypadkach, o ile współdziałanie ma powstać, musi zostać inicjatywa przyswojona przez społeczeństwo względnie jego zainteresowaną część. O ile to nastąpi, to w wypadku pierwszym mówić się będzie o dobrym rządzie czy kierownictwie; w drugim — o odruchu społeczeństwa. W wypadku drugim przyswojenie wzajemne inicjatywy przez czynniki nadrzędne nie jest koniecznym wymogiem powstania i trwania współdziałania. Oczywiście żaden rząd nie przyswoi sobie np. przeciwnej mu inicjatywy rewolucyjnej. Ponieważ w obu wypadkach konieczny jest w każdym razie udział społeczeństwa czy grupy społecznej, mówimy, że dla wytworzenia się współdziałania konieczna jest realizacja zasady inicjatywy społecznej.

Inicjatywa społeczna ma do wykonania dwa zadania: Pierwszym jest wywarcie odpowiedniego wpływu na wyobrażenia poznawcze jednostek. Orientacja jednostki w zdarzeniach rozgrywających się na płaszczyźnie socjologicznej jest utrudniona. Jednostka stoi w ciasnej dolince, skąd nie może objąć perspektywy. Życie społeczeństwa i splot jego zagadnień są zbyt skomplikowane i rozległe, aby stanowić mogły teren dość przejrzysty dla apercepcji jednostki. Orientacja co do kierunku inicjatywy albo jest niemożliwa, albo jest błędna. Znalezienie właściwego kierunku jest w dużej mierze wynikiem przypadku. Jest zatem rzeczą inicjatywy społecznej albo w ogóle stworzyć odnośne wyobrażenia poznawcze jednostki albo je przemianować. Np. zleca się lub zaleca stworzenie pewnej produkcji w pewnym miejscu czy wyjazd w tym celu

w inne miejsce; zleca się pewnej grupie rolnictwa zmienić część produkcji ornej na hodowlaną itp.

Drugim zadaniem inicjatywy społecznej jest przezwyciężenie inercji jednostki i to albo do działania w ogóle, albo do współdziałania. Przedsiębiorczość w dziedzinach tak wprost-podmiotowo jak społecznie korzystnych, bywa niewystarczająca. Przyczyną może być niezrozumienie, trudność, nowość sprawy czy metody działania.

Stan, w którym zaszczepienie inicjatywy społecznej jest łatwe, określa się jako stan poczucia organizacyjnego.

Element 3: Organizacja.

Po uplastycznieniu celu i tchnięciu woli osiągnięcia go w przyszłych wykonawców należy ich przysposobić do wykonania zadania, a to każdego osobno i wszystkich razem. Należy stworzyć z nich zespół zdolny do wykonania zadania, stanowiący obiektywnie jednostkę pracy. Mówię: „obiektywnie", bo nie każdy zespół, którego członkowie są ożywieni wolą osiągnięcia celu i subiektywnie czują się jednym ciałem zbiorowym, jest już przez to samo jednostką zdolną do pracy. Np. grupa, w której wszyscy są wodzami lub taka, w której każdy może być tylko tragarzem. Mówi się, że dany zespół trzeba zorganizować. Rozumiem przez to, że: 1) każdego z wykonawców należy przysposobić na organ, narząd, zdolny do wykonania stosownej pracy cząstkowej i że 2) organy tj. narządy należy tak poustawiać w stosunku do siebie i do otoczenia, aby były zdolne do wykonania pracy całkowej.

Naprzód zatem należy zbadać kwalifikacje jednostki, aby móc ustalić z góry jej miejsce w zespole. Badanie pozwoli ustalić wrodzone czy nabyte uzdolnienie ogólne. Należy dalej ustalić rodzaj działania tj. konkretną funkcję. Następnie należy wprawić w tę funkcję, nauczyć jej. Stosownej jednostce należy przydać funkcje kierownictwa, kontroli itd. Zadania te spełniają częściowo pracownie badań psycho-technicznych, częściowo szkoły, specjalne kursy itp.

Wreszcie z poszczególnych narządów buduje się całość według obmyślanego z góry schematu technicznego. Każdy narząd ustawiony zostaje na miejsce podyktowane względami celowości tj. przysposobienia całego zespołu do osiągnięcia wytkniętego celu.

W świetle powyższej analizy postawmy jeszcze raz pytanie: co znaczy organizować? Czy stwarzać organizm, czy przysposabiać, ustawiać i utrzymywać w ruchu narządy? Jest to podstawowy dylemat ideologiczny dwóch światów: faszyzmu i socjalizmu.

Organizm — jest to ciało organiczne w odróżnieniu od nieorganicznego. Byt ciała organicznego przeniknięty jest niezgłębioną tajemnicą, która pozwala mu czy każe funkcjonować bez względu na czynnik jego własnego rozumu. Czy we współdziałaniu grup społecznych tkwi podobna tajemnica?

Faszystowska teoria społeczeństwa odpowiada twierdząco na to pytanie.

Stworzyła osławiony mit o więzi krwi, która apriorycznie łączyć ma pewne narody i rasy. Tworzą one wskutek tego spoiste jedności, które wiodą samoistny byt organiczny, przedstawiają organizmy spotęgowane, ale biologicznie identyczne z pojedynczymi tworami organicznymi.

O ile chodzi o naród, to jest on niewątpliwie jednością predestynowaną korzystnie do współdziałania dlatego, że współżycie ziomków ułatwia wspólność mowy, obyczajów czy tradycyj. Ale predestynacja ta sama przez się nie przełamuje jeszcze atomizmu tej grupy socjologicznej. Urodzenie się człowieka wywołuje samorzutne współdziałanie jego organów. Nie wywołuje jednak tego skutku sam fakt istnienia narodu. Sam fakt ten nie tchnie weń t e g o życia zbiorowego, które objawia się we współdziałaniu. Cele współdziałania — te dowolnie ustanawiane i zmieniane cele, i technika współdziałania są pochodzenia wybitnie racjonalistycznego. Nie rodzą się same przez się jak gruszki na gruszy. Samą sugestią więzi krwi a bez wkładu p r a c y k o n s t r u k t y w n e j nie da się z żadnego narodu nic pozytywnego, ani trwałego, ani jakiejś jednolitości wydobyć. Można łudzić grą wyrazów: organ — organizować — organizm, ale zbudowany z niej sylogizm jest fałszywy. W retorcie sofisterii faszystowskiej zrodził się twór nie na miarę człowieka, ale karykatura jego: *homunculus*, człowieczek. I wyrodek ten po zrozumiale krótkim żywocie kona niesławnie w naszych oczach.

Mit krwi w odniesieniu do ras zbankrutował jeszcze wcześniej. Nawet czysto nordyckie narody nie odnalazły w sobie umiłowania ani nie okazały wymaganego posłuszeństwa dla swych „starszych" braci. Natomiast rychło dały twardą odpowiedź czynów.

Filozofia socjalistyczna odrzuca „związek krwi" jako fikcję, jako zakłamany instrument imperializmu i ucisku człowieka przez człowieka. Teorii organistycznej przeciwstawia socjalizm m e c h a n i s t y c z n ą teorię społeczeństwa. Twierdzi, że dopiero moment k o n k r e t n e g o i n t e r e s u stwarza właściwą predestynację do współdziałania. Nie granica etnograficzna czy polityczna, ale w s p ó l n o t a i n t e r e s ó w jest realną przesłanką solidarności grupowej. Po wytworzeniu się tej solidarności jest powstanie współdziałania kwestią m e c h a n i k i społecznej, nie mistyki. Kształtuje się grupę współdziałającą podobnie, jak buduje się machinę. Ustala się i stosuje obmyślone rozumowo zasady techniki i inżynierii społecznej. Ulepsza się i zmienia, aż machina działać będzie sprawnie. O ile chodzi o produkcję dóbr m a t e r i a l n y c h, to jako symbol tak zmontowanego współdziałania nasuwa się „robot".

E l e m e n t 4: Kooperacja.

Kooperacja i współdziałanie — są to oczywiście synonimy. W braku odrębnych terminów zaznaczamy, że w tym miejscu chodzi nam o kooperację w ś c i s ł y m rozumieniu, która stanowi odrębny element zjawiska ogólnie nazwanego współdziałaniem. Na czym polega odrębność elementu kooperacji od poprzednio omówionych elementów, symbolizuje przypowieść o żołądku i członkach.

Nie wystarcza, aby wszystkie narządy znalazły się na miejscach uzasadnionych przeznaczeniem całości. Ponadto muszą one faktycznie pracować, działać, *operare* i współdziałać, *cooperare*. Poprzednie trzy elementy miały charakter przygotowawczy. Następujący po nich element r u c h u ma charakter samodzielny.

Jakich p o d m i o t o w y c h warunków muszą dopełnić poszczególne człony, jednostki, aby r u c h kooperatywny trwał, jaki musi być ich wizerunek duchowy, aby zapewnić trwanie zjawiska współdziałania?

Współdziałanie stwarza właściwy sobie etos, różny od kręgu moralnego, którym żywi się nieograniczony indywidualizm. Obraz charakterologiczny jednostki współdziałającej odpowiadać musi temu etosowi. Raz, przez nieobecność cech światopoglądowo obcych, po wtóre przez istnienie cech pozytywnych.

Negatywnymi są e g o i z m oraz p ę d y d o g r y i s p e k u l a c j i.

Egoizm nie jest cechą dającą się usunąć z natury ludzkiej. I tak zwany altruizm jest egoizmem. Natomiast da się zmienić interpretacja egoizmu.

Egoista potoczny widzi swą korzyść w ograniczaniu się do spraw swoich i w zwalczaniu podobnych spraw u drugich. Dowodzi, że wszyscy po wszystkie czasy kierowali się tylko tak pojętą własną korzyścią i lituje się nad postępującymi inaczej jako nad głupcami, którzy nie znają jeszcze świata i ludzi.

Tymczasem litować się należy właśnie nad wyznawcami tego rodzaju egoizmu. Jest to bowiem z natury swojej zacieśnienie zakresu działań życiowych jednostki i jej możliwości życiowych. Egoistyczne poczynania jednostki ograniczają działanie do niej samej i najwyżej paru osób rodziny. Podmiot gry jest mały i mała jej stawka. W porównaniu z nimi daje u c z e s t n i c z e n i e w poczynaniach grup w i ę k s z y c h wyżycie się stosunkowo większe. Zadowolenie potrzeby czynnościowej, satysfakcja z wydatku energii są tu znacznie głębsze. Wir stawania się spraw potężniejszych podnosi płaszczyznę przeżyć jednostki na poziom wyższy. Tym samym dogadzać musi jej, lepiej zrozumianemu, egoizmowi. Jednostka działając dla własnego dobra, działa równocześnie i dla dobra drugich. Jeśli czyni to ostatnie w sposób niezamierzony, mimowolny, nie tylko nie obniża to wartości systemu, ale właśnie potwierdza trafność jego psychologicznych założeń. Jeśli czyni to w sposób zamierzony, nie zmniejsza to społecznej wartości jednostki. Bo psychologiczna jednia egoizmu i „altruizmu" nie dotyka ich różnic, którymi są: m e t o d a działania, która w „altruizmie" wyklucza krzywdę drugich i c e l działania, którym jest tutaj dobro drugich.

Także zwalczanie spraw cudzych nie jest najlepszą drogą nasycenia własnego egoizmu. Walka uprzedzić mająca wtłoczenie się cudzych interesów na własne powoduje znaczny upust sił. W przeciwieństwie do tego porozumienie się, połączenie i współdziałanie pozornie konkurencyjnych jednostek dla osiągania w s p ó l n i e podobnego celu otwiera zwykle dla uczestników drogę do uzyskania większych korzyści własnych. Współczesność daje rój przykładów podobnych wspólnot interesów w postaci zrzeszeń wytwórczych, handlowych, kulturalnych. Aby jednak porozumienia takie nie stały się zmowami szkodliwymi, konieczna jest kontrola czynników nadrzędnych.

Co z kolei począć ze skłonnością do gry i spekulacji, tak głęboko zakorze-

nioną w dzisiejszym pokoleniu? Liczni „rycerze" współczesności to ludzie, dla których hazard jest metodą osiągnięć życiowych. Gdyby człowiekowi takiemu zaofiarować na drodze uczciwej pracy to, czego spodziewać się może przez swe sztuczki, przypadek, a nade wszystko przez krzywdę drugich, niechybnie nie przyjmie propozycji. Przypadkowy zysk, nagłe wzbogacenie — są jego ideałem; spekulacja i krętactwa są jego żywiołem; tylko taki klimat urzeczywistnia jego wolę mocy; tylko w takiej grze upatruje piękno swego życia. To jest właśnie typ ludzi, którzy bezustannie domagają się „wolności" — przez co rozumieją wolność od wszelkiego porządku, nadzoru i morału. Typ takiego spekulanta zniknąć musi z łona społeczeństwa pracy i prawa!

Ale żądza gromadzenia, poprzez spekulację, nadmiaru dóbr majątkowych, może mieć jeszcze inną, w znacznej mierze usprawiedliwioną przyczynę. Niepewność jutra, mianowicie, zmusza człowieka współczesnego do przedsiębrania środków ostrożności. Ustawicznie zagrażają mu nieprzewidziane straty. Długość okresu zdolności do zarobkowania także nie da się przewidzieć. Instynkt samozachowawczy każe gromadzić możliwie największe rezerwy, choćby i czasem nie całkiem godziwymi sposobami. Samo w sobie słuszne dążenie do bezpieczeństwa ulega wykoszlawieniu i wynaturzeniu.

Odejmijmy jednak temu człowiekowi strach przed niepewnym, grozą nędzy i głodu ziejącym jutrem, stwórzmy stan prawa, ładu i sprawiedliwości i wtedy raz jeszcze postawmy przed nim postulat nowej mentalności: człowiek ten niechybnie rychło pozbędzie się swych wad, ochotnie wciągnie się do pospólnej pracy nad pospólnym dobrem i stanie się n i e t y l k o t y t u l a r n y m, ale — w prawdziwym słowa znaczeniu — o b y w a t e l e m.

P r z e m i a n a j e d n o s t k i w o b y w a t e l a jest pozytywnym wymogiem t r w a n i a zjawiska współdziałania.

E l e m e n t 5: Koordynacja.

Organizacja była ujęciem sił rozbieżnych wskutek swej bierności, celem połączenia ich i spożytkowania do wykonania dzieła. Ale ludzi pewne interesy i myśli łączą, a inne dzielą. Siły zaabsorbowane do wykonania wspólnego dzieła zwykle nie pokrywają się z ogólną sumą wszelkich sił jednostki. Pozostała reszta wolnych sił uruchomić się może, choćby mimo woli, w kierunku odśrodkowym. Następnie nie do pomyślenia jest stała i pełna jednomyślność na sposób wykonywania wspólnego dzieła. T r w a n i e współdziałania zapewnione być może tylko przez zwycięstwo interesu i myśli wspólnych nad interesami i zdaniami partykularnymi. Jakie są s u b i e k t y w n e warunki utrzymania trwałości współdziałania, wskazaliśmy w rozdziale o kooperacji. Ale potrzebny jest też czynnik o b i e k t y w n y, działający od zewnątrz. Jest nim koordynacja. K o o r d y n a c j a jest represją sił i zdań sprzecznych, w imię trwałego utrzymywania porządku *(ordo)* wskazanego przez organizację.

Narzędzia koordynacji są negatywne i pozytywne.

Do negatywnych należy r o z k a z o d a w s t w o. Najprostszym środkiem

jest presja wywarta rozkazem. Rozkazodawstwo nie jest identyczne z kierownictwem, które mieści się w elemencie organizacji. Cechą kierownictwa jest wydawanie norm nakazowych. Cechą rozkazodawstwa, jako narzędzia koordynacji, jest wydawanie norm zakazowych. Czynnikiem pomocniczym rozkazodawstwa jest m. in. propaganda, która przygotowuje psychologicznie i ułatwia rozkazodawstwo.

Drugim narzędziem negatywnym jest rozjemstwo i sądownictwo. Wszelkie związki i stowarzyszenia dobrze znają znaczenie tego narzędzia i dlatego w ich statutach znajdują się zawsze postanowienia o rozjemstwie. Różnice zdań, które przekraczają ramy rozjemstwa, wyrównuje sądownictwo.

Narzędziem pozytywnym jest propaganda. Poświęcimy jej nieco więcej uwagi, niżby to w tym miejscu było uzasadnione. Propagandę odróżnić należy od informacji. Zadaniem informacji jest zawiadamiać o faktach, o konkretnych wydarzeniach w świecie zjawisk zewnętrznych. Służba informacyjna jest w stosunku do propagandy i w jej ramach pewną ograniczoną komórką. Propaganda ma zadania liczniejsze i złożone.

Propaganda ma trzy ośrodki działania. Są to sfery: rozumu, uczucia i woli. Stosownie do tego wpływać ma na: a) poglądy, b) nastroje i c) postulaty.

a) Liczni są ludzie, którzy „są zdania że". Dużo mniej liczni są tacy, którzy są w stanie poprzeć swe „zdanie" argumentami. A już znikoma jest liczba tych, których argumenty mają logiczną wartość. Urywki rozmów czy drukowanego słowa i strzępy dowodów, a wszystko przeinaczone na dobitek zapomnieniem, staje się często farszem myślowym człowieka. Rzecz jest jeszcze do zniesienia, gdy źródło informacji stało na poziomie. Gdy było inaczej, farsz będzie kompostem. Ludzie o takiej zawartości myślowej są bardzo usłużni, chętnie pożyczają swego „zdania" drugim. Tak chwast pleni się dalej. Znacznie jest lepiej, gdy ktoś w ogóle „nie ma zdania" i przyznaje to. Ale i to nie jest dobrze. Społeczeństwo winno mieć o wszystkim, co go dotyczy i wpływać może na jego los, wiadomości wiarogodne i wyczerpujące; winno poznać logiczne argumenty i ich krytykę; winno przyswoić sobie bezstronną ocenę i wtedy zdecydować się na wnioski. Słowem: winno nabrać tego, co godne jest być określonym jako poglądy. Stan, w którym społeczeństwo posiada poglądy, jest stanem uświadomienia społecznego.

Propaganda dąży (między innymi) do osiągnięcia tego stanu. Stosownie do różnic poziomu umysłowego używa różnych dróg. Prowadzą one od naukowego opracowania poprzez publicystykę codzienną do broszur i ulotek; od profesorskiego wykładu do wiecowego przemówienia i popularnej pogadanki. Ten sam materiał faktyczny podawany jest to w formie bardziej stałej, to w bardziej rozrzedzonej. Ale zrąb główny pozostaje ten sam. Jest to wymóg rzeczowości propagandy.

b) Ekspansja poglądów społecznych nie jest celem samym dla siebie. Poglądy dążą do materializacji. Pierwszym krokiem na tej drodze będzie, gdy myśl zarazi uczucia, owładnie uczuciem. Uczucie przywołuje wtedy stale na po-

wierzchnię świadomości przeświadczenie o słuszności nabranego poglądu. Zagrzewa do dokonania jednej, ostrzega przed dokonaniem innej sprawy. Propaganda ma zadanie stwarzać i podniecać uczuciowe dyspozycje do dokonania lub zaniechania czyli ma szerzyć nastroje. Jeśli propaganda szerzy nastroje istotnie równoległe do głoszonych przez się poglądów, wtedy jest rzetelną propagandą. Jeśli szerzy same nastroje, nie poprzedzone poglądami, wtedy budzi nieufność. Nastroje bez poglądów są złymi doradcami. Jeśli szerzy nastroje wbrew poglądom, wtedy jest nieuczciwą propagandą.

Środkami działania rzetelnej propagandy są tutaj: skróty zwane hasłami oraz plastyka. Treścią haseł, które we właściwy sposób mogą być tu użyte powinny być fakty, które były poprzednio przesłankami do sformowania poglądów. Jest rzeczą propagandy nadanie im siły sugestywnej.

Propaganda podejrzana i nieuczciwa operuje zwykle prócz wymienionych środków również korzyściami materialnymi. Według tego zdemaskować ją najłatwiej.

c) Kiedy nacisk uczuć przekroczy pewną granicę, zaczyna rozlegać się głos woli. Człowiek chce dokonać czegoś, co by go od tego ucisku zwolniło. Nie każdy wie, czego chce. Nie wszyscy chcą tego samego. Propaganda przychodzi z pomocą. Wypełnia próżnię u jednych. Sprowadza różnorodne życzenia drugich do wspólnego mianownika. Ujmuje wolę społeczeństwa w jedno łożysko. Formułuje ją w jednej wypowiedzi. Rodzi postulat społeczny. Wykrystalizowanie postulatu skierowuje społeczeństwo już wprost do przedsionka działania, współdziałania.

* * *

Propaganda zdawać sobie musi sprawę z wielości swych celów i środków. Doniosłą będzie świadomość, że środki te nie dadzą się stosować przemiennie. Nie wolno urabiać poglądów hasłami, bo wiedzy nie można zamknąć w pigułkach. Prowadzi to do otumanienia społeczeństwa. Nie wolno szerzyć nastrojów przed uświadomieniem społeczeństwa, bo często-gęsto prowadzi to do deprawacji moralnej. Takie odwrócenie kolejności może być chyba tylko wyjątkowo zastosowane jako środek heroiczny, w chwili nagłej a wielkiej potrzeby. Nie wolno propagować postulatów, zanim nie urobi się poglądów, gdyż jest to demagogia. Nie wolno oddziaływać na wolę pewnych grup społecznych, zanim nie jest pewne, że postulat zaszczepi się powszechnie, gdyż jest to sianie rozdźwięków społecznych. Szkodliwe jest budzenie inicjatywy jednostki przed przygotowaniem ram organizacyjnych; prowadzi to do rozczarowań i utraty wiary. Niecelowe jest propagowanie wróblich praw i ogólników. Hasła niedokonalne, frazeologiczne, przedwczesne, spóźnione, użyte w niewłaściwym miejscu, do mylnego adresata — to usiłowana propaganda.

Propaganda dobra nie jest nauką łatwą ani małą. Jest dyscypliną logistyczną a nie sztuką, choć wymaga artyzmu. Opiera się na humaniźmie, choć praktykuje inżynierię społeczną. Nie jest techniką czystą, ale socjologią stosowaną.

Jest wiedzą ścisłą, choć służy często polityce, wiedzą opartą na twardym gruncie nauki o gospodarstwie i społeczeństwie. I zachowanie tej hierarchii dyscyplin jest także rzeczą bardzo istotną dla d o b r e j propagandy.

* * *

W systemacie planowości jest propaganda nie tylko narzędziem koordynacji. Zahacza o wszystkie niemal problemy współdziałania. Jest w dużej mierze dźwignią narodzin i motorem życia wszystkich pięciu elementów współdziałania. Na czym polega jej szczegółowa rola — zdoła czytelnik łatwo spostrzec i rozważyć, jeśli zechce przejrzeć raz jeszcze poprzedzające karty.

PROZA AUTENTYCZNA

OD REDAKCJI

Kiedy materiały, które przepływają przez redakcje i konkursy, porównywać z tymi, jakim udaje się uzyskać awans druku, uderza ważna różnica. Do druku docierają przede wszystkim utwory o wyraźnej przynależności gatunkowej: albo gatunki całkowicie już przetworzone artystycznie, powieści, przynajmniej w fragmentach, oraz opowiadania, albo też gatunek zakładający sobie jako cel przechowanie materiału faktycznego w sposób możliwie najwierniejszy: reportaż.

Tymczasem przez redakcję przepływają świadectwa całkiem innej twórczości: tej, w której widnieje niecierpliwa potrzeba odtworzenia, utrwalenia, póki pamięć nie zawiodła, wydarzeń ostatnich lat. Są to świadectwa, którym nie wystarczy zapis w sensie reportażowym. Sięgają one do pewnych wyjaśnień psychologicznych i w tej mierze wkraczają na teren prozy powieściowej. Wkraczają, lecz nie stają się opowiadaniami prawdziwymi — góruje w nich bowiem p o t r z e b a u t r w a l e n i a, a nie n a k a z p r z e t w o r z e n i a artystycznego. Tę twórczość pośrednią wypadnie nazwać p r o z ą a u t e n t y c z n ą i jej to próby dajemy niżej.

Z tej autentyczności zapisu wynikają właściwości, których w normalnym opowiadaniu czytelnik prawdopodobnie by nie napotkał. Na przykład w „Grze" Wróblewskiego zakończenie psychologicznej gry o życie nie daje czytelnikowi odpowiedzi, jak naprawdę sprawa wyglądała, jak należy rozumieć jej przebieg, ale bo tak przedstawiał się w rzeczywistości ciąg zdarzeń, jak napisany został. I autor po dzisiaj dzień nic więcej nie wie ponad to, co utrwalił piórem.

W gromadce zebranych niżej autorów na jednego szczególnie warto zwrócić uwagę Józef Pogan, samouk i bezrolny ze wsi Będkowice pod Ojcowem, to przykład autentycznego talentu, który w najcięższych warunkach potrafił przechować swoje zdolności pisarskie, zdobyć potrzebną kulturę literacką i dzisiaj — jest pisarzem. Napisał kilka powieści i nowel. Drukujemy jedną z nich. Pamięć artystyczna, sztuka narracji i humoru nadają jej ten sam smak autentyku, co nasze przejścia okupacyjne innym utworom.

Ta pierwsza kolumna prozy autentycznej nie będzie zapewne ostatnią. Jesteśmy dopiero u początku procesu, któremu na imię: utrwalić i zapisać możliwie najprościej prawdziwy wygląd rzeczowy i psychologiczny lat wojny i okupacji, utrwalić jako podbudowę sztuki, która kiedyś prześwietli sens tych lat.

NIEDOŁĘŻNE MAŁŻEŃSTWO

Jędrkowi Zdybowymu wszyscy we wsi dokucali. Nik mu nie pedzioł tak, jak go ksiądz okrzciył, ino go przezywali „niedorazony Jynkluś". Przezwoł go tak rodzony ociec jesce jak był małym dzieckiym, przezywali go tyz bracio i siostry, jaze go se i ludzie spopadli, dokucali mu i przezywali. Chopok gniywoł sie o to, unikoł dokucnych ludzi, ale cym wiyncy sie o to gniywoł, tym wiyncy mu kazdy dokucoł.

— Skoranie Boskie z tym chopocyskiem i tyla — gadowali ociec z matkom — bo choć śwarny, duzy i zdrowy, jak wszyćkie dzieci, ale z cym innym to sie na piekne od nik odrodzieł.

Jędrek prowdziwy „niedorazyniec" był troske guchy, niedołęzny i do roboty tyz ni mioł nijakiygo gryfu. Ano, „jakiygoś mie Boże stworzył, takiygo mie mos".. Chowoł sie ta w chałpie i chowoł, póki nie dorós. Posoł bydło, śpiywowoł śmiysne śpiywki i tyla.

Ale jak wszyćko na świecie mo swój koniec, tak tyz i Jędrusiowe posanie ni miało trwać wiecnie. Poty ino patrzoł krowom pod ogony, poki nie był potrzebny do cięższy roboty. Jak ino zmocnioł troche, tak wszyscy zacyni niym upychać.

„Niedorazony Jynkluś" chytoł sie z ochotom cedźnijaki proce, ale cóz, kiej nic nie umioł zrobić jak trza. Doś było śniym rozmajtygo uzyganio, za cym sie co nieco naucył, ale nie było inny rady, ino mus było niym upychać co sie dało. Z niftórom robotom, jak: z młockom, nosyniym wody, rąbaniym drzewa było jesce jako tako, ale jak przysło ząć, siyc, koniym jeździć, cy co kaj sporządzić, to — skoda godać. „Pryndzyby cowiek wilka naucył orać", jak onygo jaki gospodarki.

Zdyba z babom tropiyli sie strasecnie: — Co tyz to bedzie z Jędrkiem, jak my kiej ocy zawrymy? — gadowali se. — Gront trza przecie Jaśkowi zapisać, bo on nojstarsiejsy. Choćby mu ostawić z morge pola i zeby był u Jaśka? — medytowali. — Póki młody i zdrowy, to byłby śniym, ale na staroś to by musioł zdechnąć pod płotym jak tyn pies. Nojlepi, zeby mioł swoje choć jakie takie zochylisko. Trza go widać kaj ozynić z jakiym dziywcyskiem, to choć niezgadliwy z nicym, ale mu i tak moze bąś lepi jak u brata, bo mu nie bedzie mioł fto kołków ciesać na łebie.

W ty sprawie zarodzali się ludzi, a nawet i organisty, bo mieli ś niym wielkie znajomości. Niftórzy dorodzali, zeby Jędrek był u brata — inni znou i organista tyz, zeby go kaj ozynić.

— A ino! — otwiyrali gymby oburzoni — doś, ze nojstarsymu docie gront, to mu jesce syna kcecie dodać na przycynek, zeby go zadusiył!

Zdybie nie widziała sie jakosik tako dorada, ale jego baba jak sie zawziyna, zeby Jędrka ozynić, tak ani rus, ino na swoiym musiała postawić! — Jesce poki zyjemy, musymy go kaj usadowić i niek by ta juz pchoł biydę jakby móg, — dowodziyła. — I tak mu moze bąś lepi, jak u brata, bo przynojmni nie musi nikomu ulygać jak wrzodowi na grzbiecie, ino se bedzie panym som sobie.

Zdyba wiedzioł dobrze, ze „u baby długockie włosy, a rozum krótki", ale cóz mioł poradzić na to, kiej ona mu zawdy powtorzała, ze na to Pon Bóg stworzył człowieka, zeby sie zyniył i znowu mioł dzieci.

— Juści moze i tak — przelatywało chopu bez głowe i nareście umyśloł se Jędrka ozynić, bo juz jednom nogom był u Pana Boga na oborze i Jaśkowi gront zapisoł.

Nadarzyła sie tyz i do tego dobro okazyjo, bo we wsi jedyn chop Broda był zadłuzony na majątku, to tyz kcioł córce zapisać gront i przyjąć ziyncia, bo sie zodnym cudym ni móg z dugu wywikłać. Jego Marysia w som roz była lo Jędrka Zdybowygo, bo śni tyz była strasno niedorajda. Zeby była brzydko, — broń Boże, bo już na to, to ni ma co pedzieć, no ale niedorajda, jak dali nie idzie! Nie, zeby nie była gwarno do ludzi, bo ona była jaz zanadto gwarno, ale strasno dziamdzia i nigdy nie godała jak ludzie, ino: „ni w piyńć, ni w dziesiyńć". A jako ślamazara, to skoda godać! Nawet se kiecki nie umiała dobrze wdzioć, ino jednom stronom wyzy a drugom nizy, ani fartucha oposać jak nalezy, ino go zawdy na boku nosiyła, ani stonika zapiąć, jaze ji nieroz całe piersiska wylazły, ani sie ozcesać, ino tako oskostrząbiono łaziyła, ani chustecki zawiązać, ino public tako chodziyła jak tyn strzygoń. Do roboty tyz była niezdarzono. Juści znou nie tako, jak Jędrek Zdybów, bo lotała jak frucha od jedny roboty do drugi, ale cóz z tygo, kiej nic nie zrobiyła tak jak trza? Boże zachowoj, bo przecie sie nie obmówio nikogo, ale mus pedzieć prowdę, ze to dziywcysko było cołkiem nieposołone, a straśnie postrzelone, cy oparzone.

Przezywano jo „skarada", bo ona to słowo wciąz w godaniu powtorzała.

Ociec zapisoł ji gront, Zdyba wypłaciył dugi, a Jędrek z babom mieli ino dać niewielgo spłocke niedorośniyntym jesce Brodowym dzieciom. Zaroz po ślubie pośli se osobno do drugi izby i zacyni sie gospodarzyć. Ale oboje ni mogli se w nicym zgadnąć.

Stary Zdyba dorodzoł jym we wszyćkiym, ale cóz, kiej on długo nie pociągnył na tym Bożym świecie, a Broda nic sie niymi nie zajmowoł bo i on był nieradny i tyz ledwie kwasiył te biyde na wymowie. A tu trza było robić i zaganiać w rozmajty sposób, zeby uscyndzać na spłocki.

Gront zaś był lichy, jaz okropa. Moze połowa była ornygo, a reśta kamieniyste brzegi krzocyskami i ciyrniokami pozarostane. Jędrek kcioł se przyrobić pola i jak mu sie ino dorwało co casu kopoł brzegi, wywoziył tockami kamiynie, azeby jako mieć wiyncy ziymie, bo mu tak ociec zawdy tłumacył, ze na gospodarce trza sie trzymać zymbami i rynkami.

Ale łacwo sie ino tak godo, a jak przydzie tak zrobić, to znou nie tak łacwo, jesce takiymu „niedorazonymu" Jędrkowi z „niepososolonom i oparzonom" Marynom. Mordowali sie oboje po całych dniach i sworzali sie od biydy. A biyda ich łupiyła w tyłki, jaz okropa. Jakze ik ni miała łupić, kiej zodne nie zdatne było do gospodarki i do zycio: on nie umioł chopski roboty, a ona babski. Mieli biyde, ale ludzie wyśmiywali sie ś nich, ze biyda onyk mo i przyjdzie cas, ze ta biyda zezynie ik kiej z grontu na piykne. Drwiyli se ś nik, jak patrzeli na jeich robote i juz. Pewnie. Mioł to fto płakać o gupich niedołyngów? Cegóz ik było zynić, kiej niezdatni do zycio? Do jodła to byli zdatni, hoho, ino ze ni mogli na to jodło nijak urobić.

No, smolył juz kot babsko robote w chałpie! Przecie bez to gospodarka nie upodała! Maryna jak zrobiyła, tak musiało bąś! Ozerwały sie chopu portki, to wziyna igłe, pościmbiała je na niym i tak łaziył; zesmolyli koszule — to posła ś niymi na stowek, wypłukała je za pore minut, wykrynciyła z wody i gotowe; łózka nigdy nie pościylała, bo nigdy ni miała casu; izbe tyz mało kiej zamietła, ale ino som środek, bo cegóz to zaś z kątów wymiatać? Na jakie cuda?

Z jodłym było jesce gorzy. Placek jak piekła, to wloła wody do mąki, ozmiysała rynkom, wygarnyła ciasto na gorąco blache, ozklepała i upiyk sie. Casym sie spolył na jedny stronie, a na drugi był surowy, ale jaki był, taki zjedli ze smakiym. Fto inny ani by nie pornył takiygo placka, ale onym jakoś smakowoł. Z gotowaniym klusków, zimnioków, zuru cy kapusty tyz ji sie nie kciało utympiać. Jak ji sie nie śpiesyło nikaj, to zatarła ciasto i choć grubo, ale podrobiyła kluski, ale często gęsto to ino mąke wsuła do wody w gorku, zamiysała warzechom i ledwie, ze sie zagotowały, juz zestawiała z blachy, wylywała na miske i tako chlaptawe jedli. Zimnioków nigdy nie płukała po oskrobaniu, ino takie zbabrane przystawiała do gorka i jak sie upichciyły, tak było: roz surowe roz ozbyrdane na papke, ale to nic. Zjedli, kieby z bata strzelył. Od kapusty i zuru toby sie świnia wściekła, co taki zawdy był kwas, ale oni ta nie krynciyli gymbami, ino se jedli, jak nigdy nic.

Za piecym chowały sie karabony i spacyrowały se po izbie, cy po ścianie. W każdziuśki dziyń utopiyło ik sie ze trzek abo nawet wiyncy w zurze, w kluskak, cy kapuśnioku, ale ik jakosik nie ubywało. Wciąż sie skąsik zorazy dobiyrały.

Zaś pod łózkiym i za starom skrzynkom gnieździły sie króliki. Powykopywały se tam dekonki, jak zołmiyrze na wojnie i chowały sie dobrze. Nawet sto razy lepi, jak jeik gospodorz, bo jodło miały dobre, nie kwaśne jak zur cy kapusta i o nic sie nie tropiyły. Smród w izbie tyz jym nie dokucoł bynojmni. Podskakowały se po izbie, przytupowały nogami, kopały wielgochne jamy i usypywały ze ziymie kopce. Casym, jak sie ftóry zepśniył, to bez cało noc gryz noge u łózka, cy u ławki, abo tyz kroj skrzynki. Maryna odganiała je często, bo ni mogła bez to spać, ale Jędrek nie słysoł chrobotanio, bo był troche guchy. Króliki miały roj.

Gospodorz dboł o nie i często ciepoł jym zielono trowe, abo gałęzie z liściym, zeby rosły, bo jego baba straśnie lubiała ogryzać ś nik łeby, a on zaś pókoski. Zadki tyz lubieli, ale już nie tak bardzo.

Całe scęście, ze chocioz króliki chowali i casym ogryźli ś nik miysa, bo insy jasności Boski nie oglądali. A chocioz ta Maryna nie ugotowała miysa na mięko, ale i tak zjedli ze smakiym i jesce palice ś nigo oblizali. Cymuz by nie, kiej dobre było.

Na przypiecku lygoł se bury kot. Onymu tyz było dobrze, bo po kazdym zabiciu królika mioł bibe z flaków. Ale smród to widać odcuwoł, bo często kichoł.

Zaś w duzym podpiecu siodały kury w nocy. Bez dziyń wylatowały na sod, ale po izbie tyz łaziyły i oztatrowały pod łózkiym królice okopy. Jedna nawet kropiatka, ta, co często pioła na jakie niescęście, to znosiyła jojko na łózku.

Na ławie pod oknym, na skrzynce, cy kaj bądź lezały stare łachy, a w skrzynce były ino ślubne ubrania. Po izbie wciąż było zagarusono. — W jednym miejscu stoł pniok ze siekiyrkom do rąbanio patyków, to znou kajdzi okopcone gorki, korytko ze zarciem lo kur, (bo przed chałpom suka wyzyrała) mietła, jakiesik gałęzie i cejco. Nawet na niedziele nik tego nie sprzątoł, cheba ino wtyncos, jak mioł organista chodzić z opłatkami, cy ksiądz po kolyndzie. Wiyncy nigdy, bo nie było kiej.

Marynie jak się kiej dorwało kwilka casu, to polazła na chałupy do bob. Bardzo lubiała sie ś niymi ozsiadować i gwarzyć o ludzki biydzie. Ale tak zawdy w nijako strone gwarzyła. Baby ji w oczy przyświocały, a pozo ocy to się śni wyśmiywały, ze o cyi biydzie godo, a samo najgorso dziadówa i w chałpie u ni gorsy smród i garus, jak kajdzi w chlywie.

Ale tyn garus w chałupie to jesce nic. Sto razy gorzy było z innom robotom kole chałpy i w polu. Jędrek mioł rynce jakby pozycane, a w łebie widać same plewy i jakze sie mioł gospodarzyć, hy? Ani jedny roboty nie zrobiył jak sie patsy. Tyla ino, co króliki to sie dobrze chowały, ale ś nik przecie nie dało sie uscyndzać piniyndzy na nic. Pore grosy jak sie dostało za skórke, to prawie na tabak lo Jędrka, bo palić to już lubioł, jaz mu w piersiach pioło od tego tabacyska. Ćmiył machore, pokrzypowoł i łaziył jak zwiyndły, kieby igłe zjod. A zły był, jaz okropa. Zawdy mioł muchy w nosie, patrzoł brzydko i skokoł nad Marynom, bo mu w nicym a w nicym ni mogła ugodzić, cheba ino w jednym gotowaniu. Maryna tyz nie była z miodu, to sie tyz zawdziuśki sworzali: on na nio, ze nie umiy babski roboty, a ona zaś, ze on nie umiy chopski. Oboje mieli świynto racyjo, ale Jędrek wiyncy był winien biydzie, bo sie nie znoł w polu na orce ani na sioniu ani na zodny robocie.

Jak przyjechoł furmon do roboty, to jak kcioł, tak spipcył, bo sie zakichany gospodorz ani na źgłe nie rozumioł w orce. Kcioł ino, zeby mu duzo naorać, ale cy źle, cy dobrze, to sie

nie znoł na tym. Łaziył ino za pługiym i skiby rynkami poprawioł. A ni mógby sie to chycić za pług abo za lyce i pumóz furmanowi, zeby sie lepi zorało? Ale jakze, kiej nie był zdarzony?

Sioć tyz nie poradzioł. Do kazdy gosztki ziarna trza se było nająć chopa. Jędrek mu ino nasypywoł zbozo do płachty i ciesył sie, jak gęsto sioł, bo myśloł, ze mu wiyncy zbozo bez to urośnie. Juźci!

Noiymka duzo kostowała, bo nie doś, ze sie furmon obijoł w robocie, to jesce trza mu było kupić w sklepie chleba i kiełbasy, bo sie brzydziył jeś tego, co Maryna ugotowała. Ni mieli tyz cym płacić od roboty i kaj blizy, to sami wynosiyli gnój na nosak, a pod góre we workak. Gnojówka ciekła bez worek i loła jym sie po plecak, ale niekze ta. Nosiyli nie roz ze dwa dni przy kupie, abo ze trzy, ale nanieśli i nie musieli płacić piniądzami.

Na równym polu nojymnik przyoroł jym krajonki, a na brzyzkak przyciupowali motykami. Nie roz jym jaz rynce kciały poupadać od tygo, ale przyciupali. Sworzali sie przy tym strasecnie, bo Maryna ciupała na halapas i krzywiyła rządki, a Jędrek zaś kcioł prościutko jak pod snur.

W okopowanie tyz było doś sworów, wrzasków i płacu po polu. Jędrek znou okopowoł rządki gładziuśko i prościuśko jak pod snur, kazdygo krzocka obsypywoł ziymio jak sie patrzy, a Maryna — jak sowiźroł: wszyćkie zimnioki kciała za jedyn dzień ogrzebać i cęsto gęsto nawet krzocka wyciyna co sie tak uwijała.

— Okopujes ty, jak trza! — klon Jędrek — bo jak cie ździele bez grzbiet tom motykom, to sie tu zaroz zywcym pod ziymie zagrzebies, ty oparzono skarado!

— Całuj mie, wiys, kaj, ty niedorazony Jynklusiu! — odciyna sie Maryna. — Bede moze tak źgać jak ty, co byś tydziyń guzdroł sie na jednym kawołecku!

Jędrek sie oześlył i zdzielył jo motycyskiym po krzyzak. Maryna wrzosła, poskrobała się w bolące miejsce i uciekła na drugi koniec stajonka. Ale sie nie poprawiyła, ino na złoś jesce brzydzy okopowała. Zacym tyn ciućmok ogrzeboł jedne rządke, to ona moze kaj z dziesiyńć obsurgała. Jak ji sie casym wycion krzocek zimniocka, to go przysuła ziemiom, bo sie boła, zeby chop nie uźrał, bo o to, to by jo juz zatłuk.

We zniwa było jesce gorzy, bo niedorazony śturmok nie umioł siyc, ino trza było wszyćko zęć. Jędrek zon ze pomalusku, tak po trzy ździebełka na roz, układoł równiuśko na ziymi, a baba znowu sie uwijała, uzynała zboze wysoko, targała z korzyniami i miyrzwiyła, jaz Jędrka mory brały na tako robote, a ona zaś na nigo, bo cały dziyń klyncol na jednym zagonie. Przy wiązaniu tyz sie guzdroł okropnie. Każdziuśki snopek musioł wyrównać w krzymbiu, tak, kieby te snopki miały iś kaj na jako parade, a za kłósiem po ściyrni to na klynckach łaziył, zbiyroł je do goszci i przyklinoł na Maryne, ze nie piyknie goszci pozbiyrała.

Kopanie tyz sie ciągło doś długi cas, bo „niedorazyniec" ni móg przy babie nastarcyć jednom rządkom i ona, choć ciągła dwie na roz, to mu jesce musiała casym pumóz. Ale ona sie nie opieprzała, ino kopała do wytchu i zbołołek ani dromnyk nie odbiyrała osobno, ino je razym z duzymi frygała do ducki. Jędrek zaś ozbijoł motykom ziymie na miałko, oglądoł sie dookoła za zimniokami i sukoł ik jak igły, kazdygo musioł omućkać piyknie ze ziymie i frygoł zbołołki i dromne osobno, a duze osobno. Świynty ciyrpliwości trza było mieć ś niym przy robocie, a na nio znou jaz niemiyło było patrzyć, co tak do nicego kopała.

Na obiod piykali se zawdy zimnioki w skórkak na polu w ozpolonym ognisku. Lubieli je bardzo. Maryna poobciyrała je ino zopaskom z popiołu i tak jedli. Casym, jak był zur, to go wziyna troske w gornusek i przychlipowali se do zimnioków. Nie na to, zeby były lepse, ino zeby jym w garłak nie zapychało, bo Jędrka to nawet scykowka chytała od suchych zimnioków.

Zimnioki znosiyli z pola we workak. Maryna była doś mocno i nawet wiyncy uniesła od Jędrka, bo onygo zaroz dychota chytała od tabacyska.

Za tako ciężko proco nic jym sie nigdy nie dostało, bo wszyćko, co z pola zebrali, to zjedli bez rok i jesce brakło na lipiec. Tyla ino, co ik sod pokrzepiył, ale tyz nie duzo. Pokrzepiył by ich wiyncy, ale zeby był insy chop, bo Jędrek nie wyloz na drzewo do obiyranio owocu. Boł sie wylyź, bo mu sie zaroz głowa zawracała jak spoźroł na ziymie i juz. Trza se było zawdy kogosik nająć do obiyranio. A jak fto obcy wyloz na drzewo, to juz tam siedzioł cały dziyń, pogwizdowoł i objodoł co najlepse gruski cy jabka, a nic sie nie pocuwoł do roboty, ino sie obijoł jak móg, zeby mu na duzy starcyło zorobku. Na to juz nie było zodny rady.

— Jak sie bois, guchu, ze spadnies z drzewa to dobrze, bo jo bede mioł u ciebie zorobek — myśloł se taki robotnik, a głośno wołoł: — Jędrzeju, haw by zodyn chop nie wyloz i nik by wom tak piyknie nie obroł, jak jo! Na te jabłoń, za cym sie mo wyłazić, — to sie powinno iś piyrw na spowiydź, bo mozno spaś i zabić sie!

— Ostrożnie tyz ta, ostrożnie — wołoł Jędrek — bo jak byś spod i zabiył sie, to jo bym mioł twoje duse na sumiyniu!

Nojymnik ta ni mioł jego krzywdy na sumiyniu i jak móg, tak sie obijoł, zeby wiyncy zarobiył.

Na zime Jędrek z babom grobiali liście w krzokak, nosiyli w płachtak, posypowali na powałe i chałpe niym dookoła gaciyli. Doś sie z tym grobivniym nauzygali, bo krzocyska były gęste, cierniokami i ostrężynami zarośniynte, a Jędrek kcioł, zeby jak nojwiynkso kupe uspyrlać i pazurami spod krzoków wygrzebowoł kazde listecko.

Zimom znou młóciyli zboze, ale tak do piykna, ze sie ani jedno ziorecko nie musiało ostać w snopku. Do ty roboty to widać oboje byli stworzoni. Tak se zgrabniuśko młóciyli, jak nojzdatniejse chopy. Maryna sie ino bardzo zgarbiyła, ale rznyła cepami, jaz sie kurzyło. Wytrząsać słome, wygrabować trzyny i wycyniać ziarno tyz umiała, ino, ze nie tak piyknie, jak Jędrek.

No gorzy to juz było, jak sie bijok od cypa potłuk bo „niedorazyniec" nie umioł zrobić innygo. Musioł sie dopiyro prosić ftórygo chopa i dać mu na papiyrose, to mu zrobiył.

Grabi ani mietły tyz se som nie zrobiył. Nic a nic nie umioł. Nawet głupigo toporzyska do siekiyrki tyz nie poradziył nabić.

Ludzie sie wyśmiywali ś nigo, ze nic nie umiy, ale dziecka to sie umioł dochować. Prowde godali, bo jednygo wiecora Maryna se uległa na łóżku. Jędrek, ze to był troske guchy, to nie słysoł jei stynkanio. Ona mu znou nic nie pedziała, bo zło była na nigo, ze ji nie kupiył ślydzia rano za królico skórkę, co jo Smul kupiył, ino sobie packe machory. A taki miała smak do tygo śledzia, co ji sie widziało, zeby ik z pó becki na roz zjadła. Ale jak zacyna co roz głośni stynkać, tak sie Jędrek zdryg i polecioł po jakosik babe, a późni po staro Wawrzkowo, co to po miarce zbozo brała od kazdy baby przy dziecku.

Urodziyła jym sie córka. Była piykno jaz radoś. Baby sie ni mogły naudziwować, ze tacy „niedorazyńce" majo takie ładne dziecko.

Jędrek zabiył lo Maryny królika, zeby sie skrzepiyła w chorobie. Ale ona niewielecka zjadła, ino sie tłustygo zuru napijała. Kwaśny był, ale przecie na miysie gotowany, to se chlipała.

Za tydziyń potym, jak baba wstała z łózka sprawiyli krzciny. Chocioz to na taki biydzie, ale sie doś postarali: zafundowali pótory kworty gorzołki, dwa bochynki sklepowygo chleba bieluśkigo jak słońce i całe koło kiełbasy. Kumoter z kumoskom tyz coś przynieśli i była niezgorso biba. Jędrkowi zasumiało w łebie, bo od samiuśkigo ślubu ni mioł ani kropelki gorzołki w gymbie. Opiył sie tyz niezgorzy i podśpiywowoł se.

Za rok przybyło znou drugie dziecko, trzecie tyz nie długo, i cworte... piąte... szóste, a nawet i siódme. Pom Bóg je dawoł i mus było chować wszyćkie.

Pichtało sie to jak mogło. Była ś niymi strasno utympa i zowrót łeba. Jedno płakało w kolybce, drugie Maryna bawiyła na rynkak, trzecie plątało sie pod nogami, inne znou bawiyło sie pod łózkiym z królikami i torzało sie po ziymi, jesce inne spinało sie po nocyniak, a dwiema nojstarsiejsymi to sie juz posługowali przy kolybaniu nojmłodsygo, cy przy cym innym. Była juz ś nik choć jako tako spórka.

Maryna musiała zawdy bąś przy nik w chałupie, a Jędrek sie som pocwiył robotom. Miała tyz ś nimi za swoje, miała, ze ino jednymu Bogu było wiadomo. Ani by ji moze nawet w piekle gorzy nie było. Nawet se pojeś ni miała kiej, ani nawet ozygło zapiąć u koszule jak dała pocysiać, ino po całyk dniak tako ozmamłano łaziyła, jak jako carownica. Nieroz przecie to sie jaz kciała spryndać, bo jak sie ściyrwy zacyny drzyć, to by cowiek jesce zwaryjowoł od tygo: jedno płace w kolybce, drugie na rynkak, trzecie spadło z łózka i krew se z nosa puściyło, znou ze dwa gziyły sie za królikami i becały, bo jym króliki do dziury pouciekały, a jesce inne wyloło zur albo se noge stołkiym przytłuko i taki był ryk, ze jaz na końcu wsi było słychać. Maryna juz wtedy nie wiedziała co mo piyrwy robić: cy cysia dać nojmniejsymu, cy te na rynkak ucichciać, cy tymu krew z nosa otrzyć, cy wiynksymu przypolić w tyłek za to, ze zur ozloło, bo wszyćko za wroz grało, jaz ji w usak zatykało. Jędrkowi — chocioz ta i przy niym sie darły — nie zatykało, bo on guch mało co słysoł wrzasku.

Nojgorzy to sie juz ściyrwy wtyncos oździerały, jak jym sie jeś kciało. Pochytało sie toto Marynie za kiecke, cy zopaske, abo za nogi i darło sie w niebogosy. Ony zawdy wtedy świyrcki w ocak stanyły od zolu, ale cóz miała robić, kiej sie nie roz tak wydarzyło, ze nawet na zaprósynie oka nie było w chałpie kawołecka placka ani zimniocka. Nawet taki oskucinki, co by sie mys niom udowiyła. No juzci, skądzeby sie nabiyrało, jak tu tyla gymbów do obzywiynio? Nie zawdy tak było, ale na przednowku to cęsto gęsto tak sie wydarzyło. Ale dziecka nie wiedziały o tym, ino wołały jeś i tyla, a ty biydno matko weź skąd kces, a dawoj!

Maryna tyz płakała za wroz ś niymi i narzykała nie wiedzieć sama na kogo: cy na siebie, cy na ojców, cy na Pana Boga, cy na tego gucha, bo przecie bez nigo tyla dzieci. Przecie ik cheba sroka cy wrona nie przyniesła na ogonie, ino tyn guch winiyn tymu. Jak se o tym pomyślała, to sie jaz z kupy kciała ozsuć. Doś, ze guch ledwie ziywoł od biydy, od codźnijaki

proce, od lichygo jodła, od stropiynio i w piersiak mu tyz pioło od tego machorcyska, a o cym to jesce myśloł? Jesce mu sie dzieci zakciywało... Prowde tyz ludzie godajo, świynto prowde, ze chopu cym wiynkso biyda, to jesce wiyncy myśli o cymsik.

Tak se to Maryna ozmyślowało za kazdym razym, siyla razy ino dzieci zacyny płakać i sama sie tyz nad niymi ozpłakowała. Nie roz, jak juz ni mogła zboleć jeich wrzasku, tak wziyna nojmniejse na rynke, drugie pojyna za rącke, pore zaś leciały za niom i posła ś niymi kaj na chałpy. to je ludzie porocyli jodłym. Wstyd jo było tak dziadować, ale cóz, kiej nie było inny rady. Wiedziała o tym dobrze, ze ji w ocy ludzie świyco i udajo litoś nad jei dzieckami, a poza ocy to sie ś ni wyśmiewajo siyła im sie ino podobo i radzi by jo w łyzce wody utopić.

Nie mylyła sie, bo ludzie na prowde sie ś ni wyśmiewali, chocioż prawde pedzieć, to doś było we wsi takich dziadów, ale se Jędrka jakosik ludzie spopadli, ze to guchy i niezdarzony i psów na niym wiysali. A przecie Jędrek jak móg, tak pracowoł, zeby sie jako ognać ty biydzie, ale kaj ta? Nie dało sie uzyć jak trza i mus było niedojodać i strzympy na sobie wiązać. Piyrwy jak jesce nie było tyla dziecek to jesce, jesce, a późni to bez mała, ze nago nie chodziyli. Jędrek juz podar nawet ślubne ubranie, a z Maryniny sukiynki to sie ino jesce strzympek poniewiyroł i w kolybce niym pod dziecko pościyłała. Miała jesce inno barchanowo kiecke, ale jaz było moze kaj ze siedymdziesiąt siedym łot na ni, co sie nawet nie dało poznać, z jakiego była towaru. Koszulsko tyz miała nie lepse i caluśko była tako dziurawo jak rzesótko. Piersiska to ji caluśkie było widać i jak przysed jaki chop, to jo straśnie wstyd było i rynkami je se zakrywała.

O dzieckak to juz skoda godać. Nojstarso dziouska miała stargane sukiencątko, jedyn chopocek jakiesik majcynta, a reśta — to abo w starganyk koszulinak abo całkiem naguśko jak te cyganiątka łaziyły. W błocisku cy po podłózcu za królikami to sie tak zawdy uwolały, ze public były jak te prosiątka w chlywie. Maryna je mało kiej myła. Cheba ino na jedne święta, ale tak to nigdy. Po cóz je ta zaś myć, kiej sie i tak nazod uwolajo. Zreśtom, fto by sie ta zaś utympioł z jakiymsik myciym? Ona sie sama nie myła, a tyz zyła. Casym se ino z rana jak wstała omyła zaropiałe ocy, a w niedziele cało gymbe i wystarcyło. Przecie sie nie musiała nikumu udać, to choć była usmolono, to nic. A kumu sie tak nie podobało, to niek nie patrzoł na nio i juz. Pewnie, cóz to kumu było do ni, abo do jei dzieci, hy? Przecie zodne nie zgniyło od brudu, a i zdrowe było wszyćko jak te ryby. Od mycio to by wszyćko zdelikatniało i mogło by chorować jesce, a tak, to było twarde jak krzymiyń, ze ani zimno ani nic jym nie zaskodziyło.

Takie to zakamane zycie było w ty rodzinie. Jędrek sie pocwiył robotom, co było, to zjod, ćmiył machorcysko i labiydził; Maryna znou pilnowała chałpy, gotowała jodło, bowiała dzieci, płakała i zymstowała na wszyćkie strony; dzieccyska pichtały sie przy ni jak mogły, a chocioz ta ni miały wdziewku ani jodła jak trza, ale sie chowały zdrowo i zodne nie umarło. Wszyscy zyli jakosik przy Boski pumocy.

Ale jak sie to godo, „ze jedna biyda jesce tyla nie dokucy, dopiyro jak sie wszyćkie zyjdo do kupy na roz", tak tyz i tam sie stało. Toli podorostali bracio Maryny i zacyni sie upominać o spłocki: Jędrek z babom krętuwętu, jaz se kcieli od stropiynio wszyćkie kłacyska na łebak powytargować bo skąd tu wziąś tyla piniyndzy? Pola w spłocce tyz Brodowe chopoki nie keieli, bo byli kaś w robocie w kopalni, to cóz jym było po groncie? Jędrek chodziył po wsi za pozyckom, prosiył wszyndy jak ino móg, ale kaj ta? Nik mu nie kcioł ani złomanygo grosicka pozycyć. Niftóry gospodorz przyobiecoł, ale ino tak, zeby Jędrka pociesyć. Świnto prowda, ze „obiecki pod niecki, a głupiymu radoś", bo nic z tych obiecek nie było. A tu bracio wołajo o spłocki jaz strach Boski! Urwanie łebów, ze niek Bóg Świenty broni!

I nik by sie nie zlitowoł nad biedokami, zeby nie pon organista, bo on sie straśnie lubioł ze starym Zdybom, a od Jędrka to nawet nigdy nie wzion piniyndzy za opłatki ani za kartki do spowiedzi. On dopiyro pozycył jym tysiąc złotyk na weksle, a Maryna popostawiała na nik po trzy krzyżyki, bo to ona była gospodyniom. Pon organista był dobry, bo nawet nie kcioł z góry precyntu, ino go se obliczył po piynć złotyk od sta na miesiąc, bo sie tak ugodziyli i dopisoł se do całygo długu na wekslak. Duzy to był precent, ale Jędrek z Marynom nie umieli rachować i nie wiedzieli, siyła go wypadnie od tych piniyndzy za cały rok. Organista se som dopisoł. Wierzyli mu, bo przecie on by ik ni mioł sumiynio osukać. Zreśtom, kaz by to zaś organista osukowoł kogo, kiej on tyz bąś dobry jak i ksiądz.

Jędrek z Marynom byli ucieśni z tego, bo se odepchli dwie spłocki i nik jym juz łebów nie susył. Wiedli dali zakamany zywot, a dług wisioł i precynt rós.

Za rok casu organista przepisoł znou weksle na jedyn rok razym z obliconym dalsym precentym. Oblicył se juz nie od jednygo tysiąca, ino od tysiąca i sześcik stówek, bo tyle mu sie za rok nalezało.

Gdy minył drugi rok, organista upomnioł sie Zdybom o swoje piniądze. Biydoki prosiyli go bardzo, zeby jesce pockoł z miesiąc, ale on sie ani tyknąć nie doł, ino oddawać piniądze i juz, bo jak nie, to zaskardzy ik do sądu i narobi jym kostów.

Jędrek z Marynom zdrygli sie okropnie. Znou krętu-wętu, skąd tu wziąć? Kcieli sprzedać ze dwie morgi pola, ale na razie ni mieli kumu. Organista som wynaloz jym kupca, którymu sprzedali dwie morgi nojlepsy ziymie, bo on lichy nie kcioł.

Ludzie ni mogli sie tymu naudziwować i gadowali, ze organista zawiązoł Zdybom powróz na syje, ino trza jesce troche pociągnąć, zeby sie zadusiyli. Niftórzy symrali na poboznygo organiste, ze przy kościele siedzi, modli sie wciąz, godo, ze nie trza bliźnik osukować, a som z osukaństwa piniyndzy nazbijoł i jesce niymi zrobiył dobry interes na głupiym biydoku.

— Co jego, to jego! — powtorzali ze złościom — ale nie powiniyn jaz pótrzecia tysiąca ściągnąć z gupik dziadygów! Móg se odebrać swój tysiąc i ze dwie stówki precyntu, a nie tyla jaz! Trafieł na gupiygo, co som nie wiedzioł, co podpisuje!

Organista śmioł sie uciesny i godoł, ze on sie modli, to go Pon Bóg za to dobrze opatrzoł. No juźci, ze go opatrzoł, ale cyjom krzywdom.

Po usprzedaniu grontu Zdybów zacyna gniyś biyda, jaz kwicało! Co wiynkse dzieci dali na suzbe do posania abo do kolybanio małyk dziecek, a sami z mniejsymi tłapusiyli dali biydo jak mogli. Jędrek z Marynom sworzali sie zawdziuśki i za łeby sie wodziyli. Jednygo wiecora Jędrek jak sie ozmarkociył o cosik, tak wlecioł do chlywa, odwiązoł od kozy powróz i wio ś niym na góre! Maryna hyc za niym w koszuli, obłapiyła go za nogi i świyntymi słowami prosiyła, zeby sie nie wiysoł, ale on ji sie wydar i koniecnie sie kcioł powiesić, bo go juz widać dioboł na piykne skusiył i podseptował mu, zeby sie pozbył zycio, bo lecioł na jego duse. Babina z ogromnym wrzaskiym popyndziła po somsiada i zacym on ś niom przypod, Jędrek, ze dopiyruśko zadziyrgnył se powróz na syje i wisioł u bonta. Somsiod go odcion, ale mu sie jesce nic nie stało, bo ledwie, ze zacon harceć.

Od tego casu Maryna przestała sie ś niym sworzać, ale cóz ta z tego, kiej biyda łupiyła ik coraz gorzy nie do ściyrpiynio. Kazdygo roku na wiesne nie było co sioć, sadzić ani jeś. Jędrek wtedy zacynoł łazić po prośbie po obcyk wsiak, bo sie we swoi wstydziył. Uznosiył zawdy zbozo, zimnioków i piniyndzy nie ino na machorke, ale i na co inse tyz.

Bez kielka lot Zdyba dozywioł siebie, babe i dzieci prosonym chlebym. Dopiyro jak dzieci popodrostały, tak jym sie zacyno troske ozwidniać, bo sie wszyćko ozesło po służbak, a starse nawet jym dopumogały piniądzami i nie dały łazić po prośbie.

Ale nie na długo Zdybowie przestali zyć z uprosonygo chleba. Toli jak nojstarso córka dosła do lot, tak Maryna zapisała ji gront i przyjyna do ni ziyncia, bo juz ni mogła ściyrpieć ty biydy na zakichany gospodarce. Lo siebie i Jędrka ostawiyła se morge wymowy i pomiescynie.

Za tydziyń po ślubie ziynć juz nosiył na pole gnój we worku, a zo miesiąc Jędrek na nowo zacon łazić po prośbie, bo mądrzejse dzieci były złe o zopis i nie kciały starym w nicym dopumóz.

Taki to był żywot „niedorazonygo Iynklusia" Zdybowego, co sie ozyniył z Brodowom „skaradnom Marysiom"! Nie był on z biydny rodziny, ale troche bez niedołęstwo, trochę bez ojca i matke, ze go niepotrzebnie ozyniyli, a do reśty bez poboznygo a chytrygo organiste posed z torbom na dziady!...

Józef Pogan

GRA

Wandzie — przyjacielowi

Że Niemcy cofają się, że ich odwrót wygląda inaczej niż to usiłowali nam wmówić w swoich komunikatach — to było dla nas z lewej strony Wisły jasne. W biurze Stadthauptmanna w R. urzędował „chwilowo" starosta sąsiedniego, z lewego brzegu powiatu. Na drogach przelotowych pełno wozów z coraz bliższych okolic, pełno sprzętu i dóbr ewakuowanych w pośpiechu.

Jakiejś niedzieli — widocznie silniejsze pchnięcie — ożywiony ruch zamienił się w popłoch. Potoczyło się, jak lawina. Niemcy poszaleli. W pośpiechu ładowali na wozy co się da ze wszystkich magazynów. Zabrali jaja, krzesełka składane, miód, wódkę, cukier, masy papieru toaletowego i... pojechali.

Z produktami znikły z miasta — administracja, żandarmi i gestapo. Głęboko rozorane bruzdy przeżyć okupacyjnego pięciolecia pokrył uśmiech ulgi. Robotnik zakładów metalurgicznych granatowo-szary, zamęczony, przemykający się późną nocą ze zmiany, albo idący do pracy (pracowano oszczędnie — na dwie zmiany po dziesięć godzin) — uśmiechnął się po raz pierwszy. Rozprostował krzyż i poszedł popatrzeć jak Niemcy wieją.

Ustalała się nowa władza — Feldkommandantur, przyszli nowi żandarmi — Feldgendarmerie. I jeszcze coś niewykrystalizowanego, o niewiadomym zasięgu i zupełnie niesprawdzonych powiązaniach z poprzednimi władcami. Wszystko wyglądało inaczej. Stawaliśmy się strefą frontową. Obowiązują prawa wojny. A to znaczyło zniknięcie żałosnych więzów tradycji, pęknięcia ogniw ciągłości naporu policyjnego. Oddalił się koszmar masowych egzekucyj i aresztowań.

Byliśmy panami. Chłopcy źle się czuli bez spluwy w kieszeni. Incydenty likwidowano od razu. Wystarczyło znamiennym ruchem uchylić poły kurtki.

Mijały tygodnie. Ofensywa utknęła. Jak każda ofensywa. Front się ustabilizował. Jakieś 25 km od nas przebiegały linie, I był spokój. Lokalne wymiany strzałów — to wszystko. Niemcy zaczęli wracać. Musieli. Groziło im wcielenie do armii, albo powrót na zagrożone stanowiska przyfrontowe. Woleli wrócić. Zresztą front się stabilizował, a „...za parę tygodni wprowadzone zostaną nowe bronie, które rychło przywrócą zachwianą ostatnio równowagę i zadecydują o natychmiastowym naszym zwycięstwie". Tak powtarzali — barany — wyuczone słowa.

Powracający usiłowali podnosić głowy, ale to już im zachwianego prestiżu nie dodawało. Raz się zgrali, zdewaluowali. Okazało się, że są po prostu tchórzami. Panowie z gestapo — dotąd mgławicowo wielcy — zludzieli, zrozumieli co to strach. Usiłowali później tłumaczyć, usprawiedliwiać, że to nie tchórzostwo, że to konieczność państwowa ratowania reżimu bez mała. Ale myśmy byli twardzi. Nie dawaliśmy posłuchu słodkim tłumaczeniom. Jak zwykle skłonni do przesady zaczęliśmy sobie ich wręcz lekceważyć ponad miarę. Utwierdzała nas cisza — ani jednej egzekucji, ani aresztowania. Wmówiliśmy w siebie, że gestapowcy mają miny, jakby nam się tłumaczyli ze swej niepotrzebnej u nas obecności, jakby przepraszali. Zresztą wczorajsi władcy świata, którzy przychodzą grzecznie pytać — nie krzyczą! — czy spółdzielnia nie wysyła samochodu do Częstochowy, czy nie można skorzystać i doładować kuferka, czy skrzynki dla żony w Reichu — to całkowicie przekreślało ich aktywne istnienie.

Poza tym zaszedł wypadek niesłychany, bez precedensu. Feldgendarmerie złapała na kradzieży granatów ze stojącego na ulicy samochodu jakiegoś 17-letniego szczeniaka. Po paru dniach młodzieniec, który chciał ratować Boga i Ojczyznę kilkoma granatami, był wolny. Wypadek z gatunku bandyckich — a gestapo nic. Gestapo więc nic już nie znaczy. To są tylko nażarte dekowniki — nic więcej! Tak myśleliśmy, naiwni.

Z terenu przychodziły złe wiadomości. W koneckim oddziały cierpiały głód. Kałmuki hitlerowskie rozlokowane po wsiach uniemożliwiały wszelkie bezpośrednie zaopatrzenie. W iłżeckim — Niemcy palili chałupy i wsie dokoła lasów. Uziemiali kontakty z zewnątrz. W Górach Świętokrzyskich akcje represyjne zaostrzyły się, ekspedycje karne otaczały lasy i wsie.

W Warszawie krwawiono. Po entuzjazmie pierwszych komunikatów — niedomówienia były coraz głębsze. Niejeden z naszej grupki chciał iść do Warszawy. Mówiono o skrzyknięciu pospolitego ruszenia.

Ludźmi targała bezczynność. Porywała ich legenda Ponurych, Brzozów i poruszał tragizm sytuacji. Czekali na jakieś wyprowadzenie z impasu. Czuli się na marginesie wydarzeń, pragnęli wejść w akcję.

Gorliwość powracających Niemców dała się odczuć. W pierwszym rzędzie zabezpieczono przed bolszewikami bydło. Tabuny całe, tysiące krów i koni gnano szosami na zachód. Potem poszli ludzie. Rolnicy — wyżywić tych, co pracują nad umocnieniem „wału obronnego przed bolszewizmem". Robotnicy — „wykuwać broń spólnoty europejskiej". Drenowano Polskę ze wszystkiego — z ludzi, maszyn, bydła i rzeczy. Brali w tym udział wszyscy — Sonderstaby, Arbeitsamty, wojsko, wszyscy — tylko nie gestapo. Ci — nic nie znaczyli.

Te ponure wieści nie mogły pozostać tylko tematem współczujących uwag i plotek. Ludzie zrozumieli, że mamy swoją Warszawę bliżej. Zajęliśmy się zaopatrzeniem naszego frontu. Mieliśmy samochody, mieliśmy żywność w magazynach. Niewiele brakło do zaopatrzenia. Resztę dosłano nam.

Pierwszy raz pojechałem sam. Musiałem wiedzieć dokąd ludzi posyłam, co im grozi. I tak się jakoś ustaliło, że odtąd wóz prowadził Bielski, niemłody już człowiek, ojciec rodziny, ale rozumiejący, że każdy wedle własnych sił powinien.

Tym razem samochód miał odejść w piątek. Bielski robił przy wozie, ale mu nie szło. Chłodnica ciekła, w skrzynce biegów coś nie klapowało. Odłożyliśmy wyjazd na sobotę. Bielskim trzęsło. Nie mógł dojść do ładu z wozem. Zawołaliśmy do pomocy innego mechanika.

Jestem głupio przesądny w drobiazgach. Nie lubię zaczynać w piątek i nie lubię, jak coś się ślimaczy. Podczas przygotowań wozu nie uświadamiałem sobie tych potknięć przesądnych. Nie myślałem o tym. Ale gdzieś zapadło ziarenko złego przeczucia.

Wreszcie samochód gotów do drogi. Załadowano żarcie, buty, koce, trochę szczepionek tyfusowych, parę skrzynek granatów, trochę amunicji do broni krótkiej i rakietnice.

Wóz już miał ruszyć, gdy zjawia się wysoki, chudy, starszy pan w wysokich, luźnych na cienkach łydkach butach, długim tużurku, obwisłych zakręconych siwych wąsach i okrągłym staroświeckim kapelusiku. Wyglądał jak kot. Jak kot w butach z obrazków dla dzieci. Prezes sąsiedniej spółdzielni p. C. Zakląłem w duchu — kot zabiegł drogę. Prezes jąkał się w ożywieniu: „puszczacie samochód do K. — to dobrze, muszę tam być w starostwie". Uprzedzam go o zawartości — on nic.

I znów inni natrętni pasażerowie. Jacyś dwaj kupcy, jakaś starsza pani. Wściekam się już, druga kobieta na wozie — nieszczęście pewne. Boję się panicznie kobiet i księży na samochodzie.

Nareszcie ruszył. Byłem zdenerwowany do ostatka. Nigdy poród tak ciężko jak teraz się nie odbywał. Nie mogłem ścierpieć widoku tego Fiata. Był jak wyrzut sumienia. Niech się spełni — pomyślałem, wypychając wóz.

Siadłem na inny, pojechałem do S.

Było już dobrze ciemno jak wracałem. Jakaś siódma wieczór. Bramę otwarto od razu, nie zdążyłem podać sygnału. Dyżurowano widocznie koło bramy, oczekiwano powrotu samochodów.

„Bielski nie wrócił" — meldują dwaj młodzi koledzy. Długie cienie wydłużały jeszcze bardziej ich twarze. Po raz pierwszy bezpośrednie niebezpieczeństwo dotykało niepokojem. Dla jednego z nich było to pierwsze przeżycie. Drugi miał za sobą Oświęcim.

Burza porywała w taniec ustalony niepokój naszej gromadki. Przyjmowaliśmy to ze spokojem rezygnacji. Teraz trzeba było być zimnym i trzeźwym. Bo to już nie walka — to pożar.

Żona przywitała mnie opanowana. Starszy chłopiec — zawiadowca ruchu samochodów — węszył coś groźnego w niedomówieniach. Szukałem zajęcia, byle pomniejszyć intensywność myśli. Starałem zbudować sobie obraz całości. Niewypowiedziane oskarżenie, że jestem odpowiedzialny za los ludzi, którzy tym samochodem jechali — drążył myśl nieprzerwanie.

Dotkliwie odczułem, że to moje najbardziej osobiste — żona, dzieci — oddala się.

Po dziewiątej zabrzmiał dzwonek u bramy. Wszystkich postawił na nogi. Oświęcimiak poszedł przodem z psem, jako dozorca — ja z tyłu.

Za furtą stało dwóch żandarmów. Pytali o kierownika, chcą z nim mówić. Poprosiłem ich do biura.

Jeden z nich oznajmił uprzejmie, że przychodzą w bardzo przykrej sprawie. Samochód nasz — podaje numer — został przyłapany w lesie, na szosie koło K. w czasie wyładowywania z niego amunicji. Wyglądałem na zaskoczonego tą wiadomością. Gra, ryzyko i niebezpieczeństwo, które mocną stopą usadowiło się na naszym terenie — wyostrzyły we mnie, w sposób prawie że doskonały, utajone zdolności aktorskie. Moje zaskoczenie było przekonywujące. Potoczyła się rozmowa, która potwierdziła sukces aktorski.

Więc samochód zatrzymał się na szosie, w lesie (jakoś zupełnie nie tak jak umówiono), niecałe 100 metrów od posterunku wojskowego na moście (gdzież ten most — nie widziałem nic podobnego!). Patrol obserwował ruch koło wozu, ktoś wynosił skrzynki i worki z samochodu do lasu. Zbliżył się więc — ludzie zaczęli uciekać. Kogoś postrzelono, resztę zatrzymano.

Jeden z żandarmów notował skrzętnie moje uwagi i wyjaśnienia padające w międzyczasie. Ja usiłowałem dowiedzieć się z rozmowy co oni wiedzą, czego się trzymać, jak wypełnić dziury w strukturze obrony, która powstawała. Rozmowa przechodziła w ton towarzyski. Żandarmi, mimo poleceń, mimo, że sprawa miała charakter „bandycki" — czuli się niezupełnie swojo. Zresztą w jaskini nie można się czuć pewnym.

Po trzech kwadransach wstają i znów uprzejme pytanie — czy gdyby zeznania Herr Direktor były niedostateczne, a oni by otrzymali nowe polecenia, to czy Herr Direktor pozostaje, czy go zastaną w nocy. Postanowienie zapadło wcześniej, już w chwili kiedy dowiedziałem się, że pięciu ludzi mają, że jeden zabity, a grozi nie wiadomo komu jeszcze.

— Tak jest, o każdej porze, kiedy panowie zechcą — mówię głośno, myślami już gdzie indziej.

Koledzy mieli tyle taktu, że nie pytali. Wystarczyła im zresztą sama wizyta policji. Usunęli się, widząc, że przejąłem odpowiedzialność. Usunęli się nie jak zadowoleni tchórze — uczynili to jak towarzysze broni, którzy są, którym można zaufać i zawierzyć. Usunęli się jak ludzie, gotowi dzielić odpowiedzialność. Czekali tylko na wezwanie — chłopcy pomóżcie!

Dzieci spały. Wanda czekała z kawą. Milczeliśmy. Każde z nas tłukło się myślami we własnym mózgu. Każde opierało się wszystkimi siłami naporowi myśli. Każde obawiało się głosu, który zdradzi myśl, myśl — troskę o te dwie śpiące główinki, o to jutro, jutro, JUTRO — pojęcie pęczniejące, pojęcie elephantiasis nieznanego, groźnego, trwogi — gestapo.

Wyleciałem w teren. Zebrałem kolegów. Oznajmiłem im decyzję swoją, że zostaję, nie uciekam. Odpowiedzieli milczeniem. Postanowienie umocniło ich. Chłopcy poszli porządkować magazyny. Wróciłem do siebie.

Na dnie spojrzeń, na dnie niewypowiedzianych głośno myśli — czaiły się trwożne pytania — czy nie uciec? Wzajemnie męczyliśmy się milczeniem. Nie szukaliśmy rozwiązań, nie asekurowaliśmy się, nie pytaliśmy do kogo w razie wypadku, który przecie nieuchronnie wisiał, co robić?

Wychodziłem od siebie i wracałem. Koledzy nie proponowali wódki, jak zwykle wieczór. Nie przełknąłbym jej. To fałsz, że się pije dla dodania animuszu. Dla uspokojenia nerwów nie wolno było pić. Myśl musiała być jasna, trzeźwa, spokojna, opanowana, twórcza.

W łóżku układałem sobie schemat. Co oni powiedzieli, ci przyłapani, co mogli zeznać. Wielość kombinacyj przytłaczała. Jak ułożyć zeznania, żeby były prawdziwe, a nie powiedzieć prawdy?

Ale to brednia, przecie nie ma żadnego znaczenia, co powiem. Wyrok już i tak zapadł zaocznie — czy warto jeszcze tłumaczyć? Nie lepiej przez parkan na tory, wiszący mostek, prosto Długą i w pole? Rano mogę się znaleźć w lesie w oddziale. Zagon mnie ulokuje gdzieś w gęstwie nadwiślańskiej, albo może przeprowadzi na drugą stronę?

A chłopcy? — Im powiedziałem, że zostaję. Oni na to liczą. To nie to, że będą pogardzać. Rozumieją — odpowiedzialność ciężka, rodzina, dzieci. To nie rozumowanie kategoriami: dżentelmen, złamane słowo. To jasne, proste słowo towarzysza w boju. Można zwątpić, można się wahać. Ale od tego jesteśmy razem, od tego towarzysze, żeby sobie powiedzieć otwarcie, szczerze — pomóżcie!

Wanda obróciła się niespokojnie. Nie spała. Nie wtrącała swoich wątpliwości, swojej goryczy i nieuświadomionych przeczuć.

Nęcąca ciemność znów się wyłoniła, znów zaczęła obiecywać trwożne, ale męskie istnienie, trudy, ale okupione celem, sensem, kresem. Zapraszała szerokim gestem w góry świętokrzyskie, w lasy nadwiślańskie. Urocza ziemia, która z sandomierskiego sadu przechodzi w płomienną kuźnię za Kamienną, gdzie chłop rósł i tężał, gdzie 1905 rok po dziś żyje swoim rozmachem rewolucyjnym. Niedawno mnie przybrała za syna, ale zaufała i nieznane ścieżki znajomymi uczyniła. Czułem się tam tak swojo, tak bezpiecznie, jak u matki. Bo człowiek, który z pola do kuźni poszedł, z chłopa w robotnika i inteligenta przeszedł — ma rozum i serce. To nie przypadek, że tu Żeromski rozdmuchał „Popioły". Bo właśnie tu rozum i serce mają. — Nie mogę zawieść zaufania ludzi, którzy mi są braćmi, towarzyszami wiernymi.

Dlaczego przypuścić, że wyrok zapadł z góry? — Przecie ich gwałt i bezprawie jest oparte na prawach i ustawach na to tworzonych. Ale tego pogwałconego, znieprawionego prawa trzymają się. Dlaczego rezygnować?

Kołowało w umęczonych głowach. Wanda odzywa się nagle: „jedno jest pewne — uciekać ci nie wolno!" — Jestem jej wdzięczny.

Zasnąłem. Zbudziłem się lżejszy o powziętą decyzję.

Noc minęła bez „specjalnych poleceń" policji. Wiedziałem, że nie działają szybko, zwłaszcza jeżeli mają dane w ręku. Pozostawiają wtedy czas na oddech. Musiałem jednak pojechać do K. dowiedzieć się szczegółów.

Miałem właśnie zamiar zjeść śniadanie, gdy się zjawił żandarm z poleceniem dostawienia mnie do K., na którego terenie zaszedł wypadek. Mieliśmy jechać pociągiem, prosił o pośpiech, bo pociąg zaraz odchodził. Z kolei poprosiłem, żeby poczekał aż zjem. Pojedziemy i tak samochodem. Byłem stanowczy, wykluczałem wszelki sprzeciw. Wiedziałem, że to tylko na Niemców działa.

Wanda mówi do mnie jeszcze ze ściśniętym gardłem — „jedz, musisz być silny i spokojny". Sama już nic nie mogła przełknąć. Była twarda. Wilgotne jej oczy ujrzałem z oddalenia, jak się odwróciłem. Stała z dzieckiem na ręku, u boku starszy chłopiec, machali do mnie na do widzenia. Do widzenia.

Zostałem sprowadzony tylko dla wyjaśnień. Chodzi o to, co z ładunku wyszło z naszych magazynów, co przybyło w drodze, co bandyci ukradli. Składałem zeznania wobec burczącego oficera, który miał sakramentalne „wy wszyscy jednakowi, wszyscy bandyci" na ustach. Należało się oburzać, protestować. Leniwie odbijałem piłkę.

W toku wyjaśnień dowiedziałem się, że stary prezes C. został zastrzelony w czasie próby ucieczki, że wszyscy mężczyźni uciekli, pozostał tylko Czesiek, pomocnik szofera i dwie niewiasty, które zwolniono. Oficer kipiał, „granaty i to niemieckie, nawet tyfus niemiecki".

Wyszedł. Wrócił. Sierżanci służbowi wychodzili i wracali. Żadnej decyzji nie oznajmiono

mi. Sytuacja poczęła wydawać mi się nudna trochę. Posmak grozy — roztapiał się. Nastawiony na najcięższe — byłem rozczarowany i zlekka znudzony. Trochę markotno mi było, że nie będę mógł efektownie odegrać roli.

Oficer wraca. Pada nieoczekiwane pytanie — czego jeszcze chcę, na co czekam? Nie umiem odpowiedzieć zaskoczony. „Panowie mnie nie zwalniali". Reflektuję się. „Poza tym muszę poczekać na samochód, żeby zaciągnąć ten połamany".

Siadam ogłuszony. Czuję, że należy się spieszyć, że tu nagle mogą przyjść zmienione polecenia.

Samochód zajeżdża wreszcie, wjeżdża w bramę. Oświęcimiak — wczorajszy dozorca — dziś pomocnik szofera — uśmiecha się. Nie wierzy, że znów dysponuję swobodnie. Szofer — poczciwe chłopisko z twarzą bandyty — ma uradowane oczy. Siadam z żandarmem, którego teraz z łaski odwożę. Jestem znów szef i D i r e k t o r. Ruszamy. Byle tylko wyjść z tego zaklętego omurowanego kręgu, byle prędzej, byle zdążyć — bo wciąż jeszcze wisi coś w powietrzu.

Drugi wóz nie chce iść. Nasz jest obładowany i za słaby, tamten też obciążony. Trzeba pod górę, a tu ślisko, błoto. Koła się obracają i nie chwytają. Prędzej, prędzej. Linka holownicza odpina się, hak się odgiął. Ludzie rozumieją, spieszą. Trzeba szybko, trzeba prędzej.

Przyglądam się zabiegom. Mityguję niecierpliwość. Póki w tych murach — należy spokojnie; nie dać poznać zniecierpliwienia. Bo przecie w żadnej kolizji z prawem nie jestem. Że ktoś nadużył zaufania i gdzieś po drodze załadował skrzynki z amunicją, a potem jeszcze zwiał — to mnie nie obciąża, ja za to nie mogę odpowiadać. Tylko ludzie skłóceni z prawem GG boją się być tutaj. Ja nie mam żadnych powodów bać się.

Nareszcie samochody ruszyły za bramę. Teraz mniejsza już o powody, czy są, czy ich nie ma. Byle szybko. Holujemy wóz do najbliższej spółdzielni. Tam go zostawimy, bo razem nie ujedziemy. I tak poruszamy się, ciągle, jak ślimak. Co chwila musimy stawać, co chwila znów szarpie, odpina się. I tak w kółko.

W połowie drogi dopędzają nas trzej żandarmi na rowerach. Zastępują drogę, zatrzymują samochód. „S i n d S i e d e r C h e f ?" — zwracają się do mnie z uśmiechem. Tak jest, ja jestem szefem. „Otrzymaliśmy polecenie doprowadzenia pana do więzienia." Poczułem kwaśny uśmiech na ustach. „Proszę robić co do pana należy" — odpowiadam, jak w powieści. „Proszę z nami. Niech pan chodzi chodnikiem. Tylko uprzedzamy — próba ucieczki kula w łeb" — słowa potwierdził dotykając rozpylacza. Dwaj inni tak samo, jak echa. Spojrzałem na nich wyniośle: „Panowie, już trzy razy miałem okazję uciec, gdybym chciał. Jak widzieliście, sam się zgłosiłem" — wmawiałem w nich — „teraz nie mam czego uciekać, tak samo jak przedtem." Spojrzeli po sobie zdziwieni. „Chyba niewinny — sam się zgłosił" — wymieniali poglądy.

Drzwi celi zatrzasnęły się, pobrzękując żelaznym obiciem.

Byłem zadowolony z nowego mieszkania. Przez myśl przemknął mi dowcip o Jonaszu w paszczy wieloryba: jest mieszkanie, utrzymanie — mieszkanie to wieloryb, utrzymanie to ja. Z miną turysty oglądałem czysty, jasny pokoik. Nie raził niedostatek umeblowania — lekko pochyła prycza z nieheblowanych desek, uginających się pod ciężarem ciała. O wiele bardziej dokuczał smród moczu, rozkładającego się na ścianie. (Potwierdził to właśnie szmer, dochodzący z sąsiedniej celi. Ktoś się odlewał na ścianę. Świnia nie lokator.)

Zaczęło być chłodno. Wysoko umieszczone okienko było otwarte. Właściwie nie było szyby. Wyrównywał to wspaniały widok: kawałek zachmurzonego zagniewanego nieba i skrawki gałęzi kasztana z zaschłymi liśćmi. Zegarek mi zabrano — mogła być jakaś trzecia. Zacząłem spacerować po celi. Mierzyłem ją. Chciałem móc powiedzieć kiedyś jakie miała wymiary. Była duża. Za duża. Chłodno przez to. Chłód stawał się przenikliwy. Deszcz siąpił. Gdyby zebrać absolut tępoty, bezmyślności i braku wyobraźni — to były to: moja cela, ja w niej, jesień na drodze do nieba i ten doskwierający chłód, jedyne wyraźne uczucie.

Kładłem się na sofie, podnosiłem, spacerowałem i znów siadałem. Deszcz wzmógł się. Brzęczało w rynnach. Jeszcze jeden element w tej kompozycji tępoty i nudy.

Ktoś stukał w jakieś drzwi. Krzywy rudawy Niemiec w mundurze otwierał je. Krótka wymiana zdań, klekot zamka, jak piszczele.

Zastukałem delikatnie — judasz odkrył się, klucz wetknięty w zamek obrócił się. — Czego — zabrzmiało po polsku. Skrzywiony rudzielec miał tępą mordę, trochę ludzką, ale tępą. Tym też pasował do całości.

— Chcę do klozetu, a poza tym przynieście mi papierosów. Czy macie jaką książkę do czytania?

— Są, ale same niemieckie, wojskowe, bo to wojskowe więzienie.

— Dobrze, niech będzie wojskowe, niech będzie niemieckie — odpowiadam tępo. — Czy ten mój pomocnik szofera też jest tu?

— Taki niski blondyn — tak jest, przyprowadzili go przede mną.

— No to teraz przynieście papierosy, papierosy i książkę. Koniecznie coś do czytania. Niech będzie książka, czy gazeta — wszystko jedno. Może być nawet stara gazeta — dodaję obojętnie.

Byłem w drzwiach klozetu. Stara gazeta — gdzieś to słyszałem — „czy pan nie masz starej gazety?" — Aha, to w pociągu, przed wojną, taki starozakonny podszedł do mnie na korytarzu wagonu, też niedaleko klozetu i zapytał czy nie mam starej gazety. Idiota — stara gazeta to już dokument, to rozdział historii, coś dla uczonych, albo smakoszów.

Rudy wrócił po chwili z książką. Herausgegeben von OKW. Jakieś mroki średniowiecza, jakieś zamczyska, białoskórnicy zamknięci w wieży i uciekający z niej. Spełniają tajne posługi. Jakaś piąta kolumna. Hitlerowska, pruska, tępa piła o krzepie. Banalny idiotyzm.

Ucieka z wieży. Ani przez chwilę nie pomyślałem o swoich niewykorzystanych możliwościach. Tamto — moje możliwości urwania się — nie istniały już. Teraz za to rżnęła tępa piła książki, która wypełniała myśl, sprawiała złudę ucieczki.

Jedno zaniepokoiło: „vor unbekannten fürchte ich nicht" nagle wmontowane słowa naszego führera — nieznanego nie obawiam się. Wszystko przede mną było nieznane. Uczułem nagle ucisk w osierdziu, jakbym był przepołowiony ciężkimi drzwiami celi. Część mnie została z tamtej strony, ja tutaj w celi nie mogę nic bez tej drugiej części, bez reszty, która sama też jest bezsilna. Drzwi dusiły. Nie mogłem się ruszyć, nie mogłem myśleć, brakło mi sił, żeby zepchnąć tę żelazną zmorę z siebie. Brakło sił i powietrza.

Było mi zimno. Leżałem skulony na pryczy. Cienkim płaszczem usiłowałem okryć całe ciało. Żadnego kąta, żadnego rogu osłaniającego. Wszędzie goło. Wszędzie na widoku.

Judasz znów się odkrył. Zabłysło światło. Nie ruszyłem się. Dalej leżałem na pryczy skulony. Wstyd — pomyślą: piecuch. Głupstwo, że pomyślą — nie wolno spuszczać z tonu, to ważniejsze. Mimo to nie ruszyłem się. Nie chciało się. Nic się nie chce.

Papierosy, gdzie papierosy. Zastukałem w drzwi. Przekrzywiony rudzielec pokazał się.

— Gdzie papierosy, dlaczego nie przynieśliście papierosów — pytam ostro.

Tłumaczy, nie było wachmistrza, nie mógł odejść, nie mógł zostawić, zaraz przyniesie, zaraz będą.

Znów można skulić się. Rudy wraca. Daje paczkę „Sportów". Dostaje za to parę sztuk. Dziękuje i znów tłumaczy — chłodno, koców nie ma, bo tu każdy lokator przynosi własny koc, bo to wojskowe, dla wojska, wojskowe więzienie śledcze.

Przecie nie dla takich, co się odważyli myśleć. Pewnie zwyczajni rabusie, zamknięci przez innych rabusiów, zazdrosnych o łup.

Deszcz nie przestawał padać i chlupotać wewnątrz rynien. Mała jaśniejsza plama w miejscu gdzie okno — ściąga uwagę. Stamtąd idzie chłód, zimno, trwoga.

Wieczności mijały. Zimno było dotkliwe. Zimno, brudno i czczo. Nie czułem głodu, ale czczo mi było. Judasz uchylił się. Przekrzywiony rudzielec otworzył drzwi, wniósł kibel z kawą i pajdę chleba.

— Gorąca, niech pan pije — mówił podając kubek. Uśmiechnąłem się. Ludzkie słowa. Wieczność nie słyszane. Nie tęskniłem za tym, ale to dobrze robi. Tak, jak ta gorąca kawa.

Dobre słowo i ciepło kawy starczyło na chwilę tylko. Znów chłód i przepalone, spieczone wargi. Papieros jest jedynym ogniem. Ale już go za wiele. Piekł w usta. Zaciśnięte usta i wargi nie wypuszczały gorzkiego ciepła. Ślina miała cierpki smak.

Broniłem się bezwiednie przed przyczajoną myślą o rodzinie, o żonie-przyjacielu, która musi być dzielna i mężna, która musi wytrwać wobec współczujących spojrzeń. Broniłem się przed obrazami, które się tłoczyły i nasuwały gwałtem przed oczy. Pragnąłem zachować szkielet obrony. Gdzieś w kącie był. Tkwił. Nie tykałem go. Niczego nie ruszać, nie tykać, nie myśleć.

Szmer w sąsiedniej celi — wyprowadzano kogoś. Gdzie może być Czesiek? Przylgnąłem do drzwi, żeby rozeznać kto się odezwie po polsku. Muszę się dowiedzieć co on już wie, a co ja powinienem wiedzieć. Zacząłem szukać oparcia w próżni, myśl usiłowała pokonać opory i pracować konstruktywnie. Miała zadanie — jak się porozumieć z Cześkiem. Zastukałem w drzwi. Zażądałem papierosów — znów stanąłem w drzwiach — chcę iść do klozetu — liczyłem drzwi cel, typowałem gdzie może być Czesiek. Może z klozetu będę mógł łatwiej porozumieć się z nim.

Okno, normalne okno w klozecie. Nie wiedziałem czemu mnie tak przyciąga. Okratowane okno, przez które widać ziemię, brudną, rdzawą ziemię i parkan. Wyobraźnia dopowiada: ludzie chodzą, jadą, działają. Myśl o Cześku spłynęła na dno. Tępa tęsknota ogarnęła mnie. Kucałem tak długo, że rudy zajrzał zaniepokojony czy się nie powiesiłem. Przerwał kucaną rêverie z rozmarzonym spoglądaniem w okno.

Wróciłem do celi. Duszno. Zimno i duszno. Diabelnie mało powietrza przechodzi przez ten lej więzienny.

Judasz uchylił się. Jakieś obce oko zajrzało do mnie. Klucz zaklekotał w zamku — rudy wywołuje mnie. Wychodzę czujny. Na korytarzu dwaj gestapowcy. Jeden rozmokły blondyn, zwraca się do mnie po polsku, drugi — ostry, szponiasty, Niemiec. Każą otworzyć drzwi jakiejś celi. Wchodzimy.

Cela jest inna — ma normalne okno, krzesło, stolik. Każą siąść. Ręce pozakładane na piersiach, spojrzenia wnikliwe, postawa napoleońska. Żółty arkusz — Geheime Staatspolizei — widzę nagłówek. Pierwszy raz właściwie widzę GeStaPo. Wygląda groźniej z daleka. Teraz są ludzcy, muszą myśleć.

Pytają. Z głupia chcą zaskoczyć. Czułem krew w paznokciach, czuję emocję gry. Dowiaduję się z ich pytań więcej niż oni z moich zeznań.

— Ja byłem tylko szefem — mówię — mogłem tylko przypuszczać. O szczegółach nie wiem, są od tego odpowiedzialni ludzie. Facet konwojował, on był odpowiedzialny za samochód. Ładunek mógł zabrać gdzieś po drodze — czy ja wiem? Wiem, że dorabiali sobie w ten sposób. To sprawa nadużycia zaufania, tym bardziej, że panowie go znają ze złej strony.

Bystry uśmiechnął się. Zrozumieliśmy się. Obydwaj graliśmy. Machnął ręką — to go zresztą nie obchodzi, rozstrzygać będzie placówka w R. Tam nas odsyła, tam pojedziemy obydwaj.

Znów powrót do celi. Lżej mi po wizycie. Więc Czesiek jest jedynym zeznającym, nawet kobiet nie przepytano.

Chłód w celi przestał być przejmujący. Już nie było duszno. Niecierpliwiłem się. Czekałem powrotu do R. Zawsze to u siebie, w domu. Tamci ludzie są przecie zdewaluowani. Przychodzili prosić o okazje samochodem.

Siadałem na sofie, przemierzałem pokój. Niecierpliwiłem się. Za długo mi było czekać. Zastukałem na rudego.

— Czy nie było żadnej wiadomości ze spółdzielni? Nic nie przysłali? Kiedy pojadę do R.? Czy oni nie mówili kiedy? Czy ten pomocnik szofera wie już, że jedziemy do R.?

Rudy wymigiwał się spod tej nawały pytań. Nie umiał odpowiedzieć na żadne. A w sprawie wałówki zaraz zadzwoni. Znów drzwi zatrzasły się. Ponosiło mnie. Chodziłem po pokoju aż do zmęczenia. Położyłem się na wznak, ręce pod głowę. Myśl przenikała mury.

Gorączkowość myśli nie dawała spokoju. Przesłaniała nawet gorycz związaną z myślą o dzieciach i Wandzie.

Przynieśli obiad. Zjadłem z gorączkową ochotą, z zachłannością prawie. Spalało mnie oczekiwanie. Paliło mnie nienasycenie aktywności. Nic się nie działo, a we mnie wirowało, szukało ujścia, oczekiwało stawania się.

Czas wlókł się teraz dłużej. Wieczności trwały podwójnie. Kwadranse i godziny traciły swoje wymiary godzinowe. Światło zapalało się i gasło. Była noc i dzień, ranek i wieczór. Nie wiadomo ile razy się to zmieniało. Aż gdzieś klekot zamka wyrwał mnie z drzemki jakiegoś wieczora. Rudy wyprowadził do kancelarii. Dwóch hyclów znajomych z gęby powitało mnie drwinami. Czesiek stał obok. Związali nam ręce sznurkiem. Wysoki, czerwony na mordzie hycel grozi mi — „nie uciekać bo bum-bum".

Wsadzili do wytwornego błękitnego Opla. Czesiek syczał kiedy sznurek wpijał się w przeguby. Zrozumiałem — był po śledztwie.

Padało rzęsiście. Reflektory załamywały się w kroplach deszczu. Nie odczuwałem wcale ulgi, że się już stawało. Pragnąłem tego — teraz nie czułem zmiany. Czułem że grzęznę.

Samochód unosił nas powieściowo w znany, ponury bezkres umęczenia i udręki.

Znajomi, zdewaluowani, dopiero co przepraszający za swe istnienie panowie z gestapo zmienili się w oprawców z krwi i kości, krwi przede wszystkim. Wszędzie dominowała krew, w przekrwionym błysku oczu, w przekrwionym bandyckim karku.

Wepchnięto nas do jednej celi. W ciemnościach obijamy się o jakieś ciało siedzące na pryczy. Chcemy ominąć — uderzamy o ścianę. Ale to głupstwo, muszę wiedzieć co zeznał Czesiek. Boję się tylko tego trzeciego. Znów dudnią kroki. Trzask kraty i ktoś nowy wchodzi w naszą norę. Urok swojskości znajomego miasta tajał w ciemnościach szybko. Znów ktoś milczący. Za proste, żeby się dać złapać.

Ale przecie muszę się z Cześkiem porozumieć. Wiem jedno — bili. Stłoczyliśmy się ciasno, wisieliśmy na przegubach kolan na ścianach łóżka bez materaca. Czesiek opowiada cicho wzruszony własnym cierpieniem jak bili, jak skrępowali i wsypali 25. Powiedział wszystko co wiedział, gdzie ładował, co ładował i czy wiedział co ładował. Opowiadał beznamiętnie. Męczyło go to wszystko, chciał się pozbyć, chciał wyjść, nie miał z tym nic wspólnego.

— No niech pan powie — takie nieszczęście, kiedy człowiek nic nie wie, nic z tym wspólnego nie ma.

W głosie jego brzmiała niewypowiedziana skarga — po co go wciągnąłem w to wszystko. Mogłem oczekiwać głośnej pretensji lada chwila.

Towarzysze celi nie odzywali się. Gdyby nie tłok zapomniałbym o nich. Starałem się teraz rak wcisnąć, żeby grzało w plecy. Już smród moczu i kału nie drażnił. Przywykłem do tego. Usiłowałem tylko usnąć. Broda swędziła niegolona nie wiem jak dawno. Nijak zapytać jaki to dzień. Łachy ludzkie nieokreślonych kształtów obok mnie. Żadnej orientacji. Przemierzyć celę — znaczyło rozbić głowę o którąś ścianę. Poza tym można wdepnąć. A to by było nie do zniesienia. Smród mieszał się z wyziewami ciał. Gęstniało. Z zewnątrz przenikał wilgotny chłód przez okienko w drzwiach. Cuchnąca smrodliwa wilgoć oblepiała. Wsiąkała w płaszcz, włosy, brodę, usta. Lepkie cuchnące błoto obejmowało mózg, myśl, która ślimaczyła się i rozleniwiała w tym skondensowanym płynnym łajnie. Dusiło jak eter, otulała wilgoć i chłód. Czesiek jęczał przez sen. Spać, spać, przez sen nie czuje się tyle smrodu. Czuję, że przesiąkam jak gąbka wilgotną parą gówna.

Szarzało ledwie w lochu — otworzyli, kazali wyjść, uprzątnąć. Teraz dopiero można rozejrzeć się, objąć całość. Prycza-łóżko bez siennika zajmowała 4/5 całej powierzchni. Można było tylko siedzieć, inaczej nie starczyłoby miejsca. Gestapowiec kazał jednemu z obcych wynieść wiadro. Drugi miał uprzątnąć. Czym? — rękami, pozbierać i wynieść. Polnisches Mistvieh — ryknął z przyzwyczajenia.

Schody prowadziły w górę, na podwórze. Było czysto, przestronnie. Słońce grzało i oślepiało. Podwórze wyłożone płytami nagrobkowymi z żydowskiego cmentarza. Widać napisy.

Czułem się brudny, oblepiony mazią ze smrodu i wilgoci. Starałem się przy tym być godny i wyniosły Herr Direktor. Żałosne.

Gestapowiec kazał się zwijać. Zamknięto mnie już w innej celi. Nowe mieszkanie było na wprost kraty żelaznej, zamykającej całość. Za kratą ściana studni, z której schody prowadziły w górę na dziedziniec. Loch miał tak jak i sąsiedni małe okienko w grubych drewnianych drzwiach. Prycza podobna, tyle że wszystkie deski w dnie. Wiadro śmierdziało niemniej intensywnie.

Chłop obok siedzący buczał, jęczał. Jaka cholera nadała. Wsadzili go tu za buty, które miał na sobie, że niby wojskowe. Jęczał nieprzerwanie.

Wszystko było rozlazłe, rozślimaczone. Jakby gęsta ośma z lepkiego smrodu padła na mieszkańców lochu. Tkwiłem przy pocztówce okienka, żeby nie oddychać wiadrem. Chciało się papierosa, ale nie namiętnie, nie bardzo. Nie miałem sił pragnąć. Coraz dotkliwiej czułem lepkość śmierdzącej wilgoci.

Obok jęczał niezdecydowanie chłop.

Gabinet Kriminal-Sekretära był niewybredny. Dwa biurka amerykańskie i orzechowy, pretensjonalny, niespokojny w swoich krzywiznach, pożydowski kredens. Nie proszono dyrektora, żeby siadł. Anamneza w tym gabinecie odbywa się na stojąco.

Co robiłem? Gdzie się uczyłem? Czego się uczyłem? Gdzie mieszkałem? Po co tam mieszkałem? Po co przyjechałem? Anamneza skończona. Moja osoba znajduje obraz na żółtym arkuszu — takim samym Geheime Staatspolizei — jasnym, czystym pismem maszynowym.

Do jakiej organizacji pan należy? — pada nagle ostry akcent, rozdzierający ślimakowatą ośmę.

Do kościoła katolickiego — przemyka się leniwie przez myśl. Śmieję się z niej. Banalne. Nie wolno się okazać poniżej poziomu. Nie zapominać, że jestem dyrektor. Przecie i tak traktują mnie wytwornie.

— Do żadnej — odpowiadam.

— Może mi pan wmówi, że i przed wojną nie należał pan do żadnej organizacji zawodowej? — zapienia się, udaje wściekłość.

— Nie należałem, uprawiałem wolny zawód — mówię wciąż spokojnie, utrzymując zagadnienie par distance.

Uspokoił się.

— Dwadzieścia pięć batów każę wsypać, to pan sobie przypomni, że było inaczej — pada leniwie, cedzone przez zęby.

Znów maszyna stuka. Jedyna żywa tutaj. Tymczasem przychodzi nowy zbir. Ten sam co jechał. Właśnie na te dwadzieścia pięć — przemknęło mi przez myśl. Na stole leżał bykowiec. Przestępowałem z nogi na nogę, jakbym usiłował je wyciągnąć z błota. Z pobliża dochodziły krzyki.

Mój hycel zapalił papierosa. Mogłem go zastrzelić, udusić — nie chciałem się ruszyć. Lepka nuda. Uderzył mnie smród z ubrania. Mdłe uczucie śmierdzącej nudy.

— Niech się pan zastanowi — pada leniwa rada — za dwadzieścia minut wezwę pana.

Wracam do lochu. Chłop skamlał leniwie. Zebrali anamnezę — teraz będą badać — może operować? — Obojętne. Zresztą czy nie wszystko jedno? — Nie wymuszą, bo nie wiem. Po co się zastanawiać, po co myśleć?

Wiadro zaczyna znów parować. Smród dochodzi do gardła, leniwie pełza, ogarnia człowieka, otula i dławi go. Mgła smrodu przesłania oczy. Padam w drzemkę.

Jak długo tu siedzę, ile czasu minęło od wyjazdu? Pustka zupełna. Pustka wypełniona smrodem.

Żelazna krata otwiera się, wołają chłopa z butami. Idzie do domu. Jęczy dalej. Odchodzi i jęczy. Maże się, jak smark.

Jestem sam. Nareszcie mogę się załatwić. Obecność innych krępuje. Jeszcze nie przywykłem. Myśl szuka leniwie — ile to dni już? Chyba pora przyzwyczaić się. Papierosa. Nie. Już się odzwyczajam. To będzie realny pożytek — sunie przez myśl — odzwyczaję się od palenia.

Gdy przyszli znów, słońce chyliło się ku zachodowi. Ciepło podziałało ożywczo. Podniosłem głowę, zebrałem się w kupę. Nie szedłem jak gąbka smrodu, szedłem znów jak szef. Stawiałem kroki powoli i dostojnie, z godnością. Na schodach omal że nie zderzyłem się z jednym z nich: Thoms, szef polityczny, młody człowiek o miękkich, rozmarzonych ustach. Pozdrawia mnie — odpowiadam, że nie jestem niestety gościem, jak on niedawno u mnie. Uśmiecha się.

To dobrze robi. Czułem, że tak właśnie należy. Dyrektora traktują inaczej. Jest dla nich pasażerem drugiej klasy. Bydło ma szacunek dla hierarchii. To nic, że Polak — zawsze szef.

Wchodzę w drzwi — mój stróż krzyczy, że tu nie wolno. Zdążyłem spostrzec się, że nie wolno. Badali. Właśnie siedział na krześle, cucili go. Cała głowa mokra. Młody, jak zwierz silny, jak zwierz z rozwichrzoną czupryną. Rzucał się, chciał nie dać. Ich więcej. To on pewnie krzyczał przedtem. Teraz nie krzyczy, nie ma sił krzyczeć. Osaczyli go hycle.

Prowadzi w inne drzwi. Mój hycel czeka za stołem. Stróż siada za drugim. Hycel każe siąść. Przygotowany talerz zupy.

— Dla pana — wskazuje na talerz.

Dopiero spostrzegłem się, że nie jadłem. Nie wiem jak dawno, ale już dawno. Głodny byłem. II akt — przemyka mi przez myśl. Słyszałem — zawsze tak. Zaczyna się od uprzejmości, a potem... Potem nic. Teraz zjeść. Dobra zupa i nie śmierdzi.

— Papierosa? — wyciąga pudełko.

Przyjmuję, jak coś należnego. Boję się tego Wersalu. Nie pasuje jakoś. Owszem, rozumiem, dyrektor, ale wszystko ma granice. Gdzie wylądujemy?

— Więc może wrócimy do wypadku — zagaja towarzysko hycel.

Rozmawiamy. Opowiadam. Cały gmach obrony ożywa. Montowałem — teraz wykłuwa się. Spontanicznie wyrasta. I wszystko solidnie trzyma się kupy, przekonywa. Przerywa drobnymi pytaniami — odpowiadam niespeszony i dalej. I swoje uwagi, i nastawienie osobiste, i przeżycia. I że nie mogę aprobować, ojcem jestem, więc wychowawczo, do czego to prowadzi. To jest klęska narodowa, demoralizacja.

Zdyszany przybiegam na metę. Czekam zniecierpliwiony na uznanie, na ogłoszenie zwycięstwa. Maszyna stuka czcionkami. Biegnie, pędzi, goni mnie i słowa moje. Kamienna twarz hycla podnosi się, pada na mnie zimne spojrzenie.

— Więcej nic? — pada pytanie.

Resztą sił bronię się — nic. Zapadam się, kurczę. Spoglądam na rozpartego pomagiera, który czeka na polecenie, żeby bykowiec w ruch puścić. Hycel pisze znów. Co on pisze? Czego tyle pisze? Co za utwór z tego wyrośnie? Każde uderzenie czcionki odbija się na wałku mojego mózgu. Czuję boleśnie każdy ruch klawisza. Łupie to we mnie i łomoce, jak z karabinu maszynowego do powolnego uśmiercania na raty. Czy to się nigdy nie skończy? Nigdy się nie dopełni? — Trzask — wysuwa się arkusz — ostatnia salwa z automatu.

Szumi w głowie. Miałem zamglone spojrzenie. Ferwor walki przekrwił mi oczy. Nie wiem, czy zwyciężyłem, czy jestem pierwszy u mety. Nie spostrzegłem nikogo, żeby mnie minął. A może?

Hycel czyta zeznanie. Szumią mi słowa, szumi w głowie. Łowię sens poprawnego wypracowania o wydarzeniu. Ckliwy patetyczny bohater, który usiłował ludziom wmówić, że jest bohaterem. Zero, pustka, nic. Podpisuję. Stwierdzam, że jestem pozer, donkiszot. Chciałem zagrać bohatera — zdemaskowano mnie. To gra tylko. Gra niezręczna. Nikt w to nie uwierzy. Nikt, nikt, nikogo nie przekonają akcesoria, sceneria. Niepotrzebne, zgrane.

Wychodzimy obaj. Przegrany aktor z amatorskiego teatru i krytyk, który zdemaskował aktora i złą sztukę. Prowadzi mnie do sekretariatu. Przedstawia zebranym krytykom, że omyłka, że nie. Rozszerzają usta w uśmiechach, no tak, przecie wiadomo było, przecie widoczne, rozsądny człowiek nie będzie robił teatru. Zachowuję się, jak primadonna, udająca dziewicę. Robię miny i grymasy. Nie mam sił. Czuję, że niezadługo popadnę w przedziwną skrajność. Tyle, żeby skończyć widowisko.

Hycel wyprowadza mnie z budynku sam. Idziemy przez dziedziniec, jakbyśmy obaj wracali ze spektaklu. Ryzykuję ostatnie pchnięcie — czyby mnie nie zwolnił na dwie godziny do żony, umyć się, ogolić? — Hycel uśmiecha się.

— Pan żartuje...

Drzwi się zatrzasnęły. Ciemność otula mnie znów. Ciepły smród uderzył w nos, oczy, usta. Na pryczy leżał ktoś. Oczy przywykły do ciemności. Poznawałem zmierzwioną, rozwichrzoną czuprynę pacjenta z krzesła. Zmęczenie ustąpiło. Rzeczywistość nowego towarzysza lochu uaktywniła mnie. Jęczał cicho. Nie mógł leżeć. Wszystko go bolało. Ciało miał spuchnięte i gładkie, jak szkło.

— Ośmiu ich było — powiada — zmieniali się. Co zemdlałem — sadzali na krzesło, oblewali wodą i znów na pręt.

Cóż tam znaczy moja głupia gra!

Robiło się inaczej, rzeczowo i boleśnie. Nie myślałem już o swoim podejrzanym sukcesie. Obawiałem się niewinnej białości zeznań. Lękałem się. A ta białość jest tylko ckliwa — bohaterstwa ani krzty.

Bohaterstwo? — Młode zwierzę, leżące obok mnie było bohaterem. Przez dwa lata kładł Niemców, nie bał się czując przestrzeń utulną, kojącą, las — matkę piersiastą. Teraz wył, żeby go dobili, żeby nie męczyli.

Długo leżał bez ruchu. Nagle łkanie nim wstrząsnęło:

— ...i to wszystko dla ciebie Polsko, dla ciebie biedna Polsko! — ciche łkanie tylko. — Nie żal mi umierać, nie żal ginąć, ale nie tak. Nie żal mi swoich osiemnastu lat, ale niech się zmierzą ze mną w polu, oko w oko. Rozwalą mnie, prawda, panie?

Mijały dnie i noce w oparnej, leniwej, rozmazanej atmosferze nudy, beznadziejności i udręki. Towarzysza pozostawiono, mnie nie wołano. Jakiegoś dnia zaludniło się. Do lochu wepchnięto trzech młodych ludzi. Dwóch krasnoarmiejców-uciekinierów z obozu jeńców, ostatnio w partyzantce i jednego żyda, uciekiniera z małomiasteczkowego ghetta. Okrążyli ich i wzięli śpiących — znów ktoś wydał.

W lochu zrobiło się ciasno. Bolszewicy wyciągnęli tytoń z zanadrza. Gęstniejący smród wchodził w płuca razem z dymem papierosa, zatruwał dym tytoniu. Żyd był hałaśliwy. Spojrzał na leżącego — żyd? Na mnie — żyd? Wszystko — żyd, obsesja poniemiecka. Bolszewicy byli spokojni. „Ubijut' da ubijut'" — mówili z rezygnacją. „Szkoda nie doczekać przyjścia naszych tutaj, ale to nic. Przyjdą, pójdą dalej, pomszczą nas."

Towarzystwo powoli rozedrgało życiem. Młodzi przypominali wspólne miejsca zetknięcia z Niemcem. Odindywidualizowało się. Duch zespołu ogarnął cztery młode istnienia, wciągając mnie starszego w ich życie. Wszystkim groziła kula, wszyscy o tym mówili. Mnie starszego uważali za łącznika z życiem. „Wy wyjdziecie stąd" — mówili — „wy nas wspomnicie." Przyjmowałem z otuchą i przyjemnością te słowa — ale jakoś nie widziałem tego. Komplikowało się.

Wieczór był poświęcony marzeniom. Żyd drapał się. Zdzierał z siebie skórę. Wstydził się trochę wszy, ale nie było rady. Wszyscy byliśmy zawszeni. Złapałem na sobie parę kobył i bezmyślnie gniotłem je w palcach. Pękały z trzaskiem.

Młodzi mówili dużo. Nic z tego, co czuli. Nic z tego, co oczekiwało. Jakby nagle odjęte możliwości działania paraliżowały ich wolę. Zwężone źrenice wypatrywały możliwości przejść przez zasieki. U wszystkich młode zwierzę dominowało, szukali szans w walce, choćby beznadziejnej, byle się nie dać. Nie dać się — to piękne — nie dać się.

Jest ciasno i duszno. Wszy chodzą po mnie, jak po poligonie. Zabawa albo manewry.

— Panie, czy pan dał u licha znać żonie mojej? Przecie ja już tak dłużej nie mogę, nie mogę!

— Jawohl, ja, ja, będzie, zrobi się — uśmiecha się.

Bezkres udręki. Zapomnieli już o mnie.

„Der Kerl wird erschossen" — dociera do świadomości. — „Jawohl".

Co on powiedział — erschossen? Jawohl.

Nie mam sił oddychać tym smrodem. Mogę im zrobić kawał — udusić się smrodem. Łykam wody. Łyk i głęboki oddech. Nie starczy sił na więcej. Czyżby już? Czyżbym się dusił? Chwytam się za włosy — targam i uderzam głową o ścianę. Czuję jeszcze — Kartezjuszu mędrcze — czuję.

Zlewam się potem — co on powiedział? — erschossen! Rozstrzelają! Więc to jednak prawda, więc nawet swojego znieprawionego prawa nie szanują. Tępaki — nie wiecie, co o was sądzę. Przeczuwacie, że to nic dobrego. To nic, głupstwo. Ja już mogę zginąć. Mam dwóch chłopców, dwóch własnych synów — pomszczą mnie. A towarzysze?! Żal mi was głupie bydlęta. To nie my walczymy z wami, to wy z naszą pogardą.

— Jakże tam panie do jasnej cholery, wstydzicie się prawdę powiedzieć, dał pan znać żonie czy nie?

Hycel uśmiecha się.

— Widzi pan, gdyby tego drugiego znaleźli — pan by już był wolny dawno. — Otrzeźwiałem. Nareszcie sens siedzenia. Byłem spokojny. Kazik zwiał.

Trzech partyzantów wzięli do jakichś robót. Zbity leżał spokojnie. Śmierdziało ciągle. Oddychaliśmy oszczędnie, przegryzając smród wodą. Był spokój. Towarzyszom nie mówiłem, że byłem im równy. Oni już o swoim losie nie pamiętali. Siedziałem spokojny. Wiedziałem, że Wanda nie przyjdzie, że nawet nie wie, że ja tu trzy kilometry od niej. Widziałem hycla, który przygotowuje swój automat na mnie. Wyprosił pewnie u szefa, żebym ja na jego kulę wypadł.

Dowiaduję się, że to sobota. Kiedy jadłem ostatnio? Jestem głodny. Zjeść i spać. Jedyne pragnienia. I już cicho, spokój.

Jak długo spałem, nie wiem. Przypuszczam, że parę minut. Obudził mnie błysk latarki w pocztówce okienka. Thoms — przyjemniaczek miękkousty zaglądał. Zapytałem kogo szuka. „S i n d S i e d a s?" — otwiera loch i wyprowadza mnie.

Głęboka mroczna ciemność ogarnęła mnie na dziedzińcu. Thoms szedł przodem oświetlając drogę. Prowadził do drugiego budynku, ale w inne drzwi. Prywatne mieszkanie szefa.

Znajduję się w pokoju przy okrągłym stole, otoczonym miękkimi fotelami. Szef wyciąga rękę na powitanie — „niemyty nie wiem jak dawno" — chowam dłonie za siebie. Wskazuje fotel, zaprasza do siedzenia — „dziękuje, mam wszy, nie chcę ich panu tutaj zostawić". Wersal na całego. Jestem odurzony. Boję się tych rewéransów.

— Proszę nie brać za złe tych małych niedogodności wojennych. Widzi pan, nawet urzędować trzeba w prywatnym mieszkaniu.

Rzeczywiście granaty na tapczanie, automat w rogu. Szef wyciąga pudełko z papierosami. Zapaliłem, zaciągając się łapczywie.

Część protokolarna skończona. Czekam na zagajenie. Czuję, że gra idzie o dużą stawkę i jest cienka. Nie mam sił.

A przecie jedyne co się w życiu liczy — do ostatka nie dać się.

Szef przyoblekł uśmiech gospodarza-polityka, zagajającego konferencję polityczną, albo rozmowę dyplomatyczną o sekretnym charakterze. Wyciągnął rękę za siebie i ściągnął z biurka teczkę z aktami.

— Oto pańskie d o s s i e r — mówił przerzucając powoli kartkę po kartce — przypuśćmy nawet, że jestem skłonny dać wiarę pańskim zeznaniom. — Cedził słowa wiedeńskim dialektem. — Pan jest człowiekiem inteligentnym, pan rozumie, pan może sobie wyobrazić sytuację odwrotną, że pan jest przy władzy. My musimy dziś wiedzieć więcej, niż to się komu podoba, albo uważa za stosowne. — Tysiące szpilek uderzyło ostrzami w mózg. — Od pewnego czasu mógł pan obserwować naszą zupełną bezczynność, pozorną bezczynność. — Starałem się zrozumieć, gdzie ten sznur rzucony tonącemu, obawiałem się spojrzeć na niego. — Przecie pan wie więcej niż to pan zeznał, czyby pan nie zechciał i nam coś o tym powiedzieć?

Poczułem nerwowe kłucie w końcach palców. Łomotało w czole.

— Zaszczycają mnie panowie swoją uwagą. Jeżeli się już taka okazja nadarzyła — rad będę wymienić poglądy z placówką polityczną, która tyle grozy budzi w narodzie polskim — wyrzucam jednym tchem. Podejmuję ten wersalski pojedynek. To jedyne co mi zostało. — Moja sprawa nie jest skomplikowana. Czy ja wiem trochę więcej niż powiedziałem, czy mniej, to nieistotny szczegół, którym sobie nie chciałem pamięci obciążać. Przecie mnie panowie nie mają chyba za sztabowca, ani polityka dużej klasy. Taki by nie siedział w małej spółdzielni — to jasne. Więc raczej rozmowa nasza może mieć charakter — jak to powiedziałem — wymiany poglądów. Czy pan dawno w Polsce? — zwracam się do szefa.

— W GG — pada precyzyjna odpowiedź — jestem zaledwie trzy miesiące. Przedtem byłem w Stuttgarcie.

— A co pan sądzi o strukturze społecznej naszego kraju? — łagodzę.

— To kraj o wyraźnych śladach feodalnych. Poza tym strukturę rolniczą, brak przemysłu — pogłębiają jeszcze rozdźwięki społeczne — odpowiada.

— Rozumie pan zatem, że radykalizm polskich ruchów politycznych jest czymś bardzo szerokim. Niech pan spojrzy — zagadnienia socjalne są podkreślone przez wszystkie ugrupowania od...

— ...AL podpowiada — do NSZ. — NSZ wymówił pieszczotliwie, w jego ustach brzmiało to trochę jak NSDAP, wymawiał „enescet".

— Właśnie. Oczywiście, że nie wszędzie z jednakową ostrością, ale to jest kwestia taktyki, powiedziałbym poszczególnych ruchów. Natomiast istotną sprawą naszego życia jest front antyniemiecki. Otóż wasz narodowy socjalizm jest socjalizmem egoistycznym, jest strasznie zachłanny. On nie daje miejsca obok siebie żadnej formie życia, żadnemu narodowi, żadnemu człowiekowi. — Czuję, że grzęznę. Przeklinam siebie, zadaję się w jakieś teoretyczne dyskusje i dekonspiruję się. Trochę mnie myli sytuacja bardzo dwuznaczna, w jakiej się teraz znajduję, ale lubię tego rodzaju rozmowy, tym bardziej, jeżeli mam do czynienia z inteligentnymi przedstawicielami narodu niemieckiego. — Otóż wasz narodowy socjalizm...

— Narodowy socjalizm nie jest na eksport. To co jest dobre dla nas, nie musi być dobre dla innych — przerywa mi szef.

— Zgadzam się — ale na co w takim razie wy się możecie zgodzić? Szukacie pozytywistów, którzy by wyrazili zgodę na GG, na to, że Polacy to bydło do moszczenia ziemi, że to kandydaci do waszego obozu — zaczynało mnie ponosić. — Gdybyście nie dawali tylu dowodów pomniejszania naszej wartości na każdym kroku — to, kto wie. Ale czy wy pamiętacie panowie, co dostaje robotnik polski, czy wiecie, że jego racja żywnościowa jest 10-krotnie niższa, niż racja robotnika niemieckiego, a czy jego praca jest istotnie tyle razy gorsza, mniej wydajna? Czy wiecie panowie na przykład, ile Polak dostał tłuszczu na kartki żywnościowe od początku wojny? — całe 45 deka! Czy to jest coś, czym można wyżyć? Czy nie rozumiecie, że my musimy się bronić, żeby żyć, żeby przetrwać — to chyba jasne.

— No tak, no tak, o tym wiemy, to są stare błędy naszej administracji. Ale widzi pan, nie w tym rzecz. Pozwoliłem się panu wypowiedzieć, ale mnie nie o to idzie. Przecie ten ładunek był związany z jakąś partią, z jakimś oddziałem. Niech pan powie, z kim pan jest związany, dla kogo to było — rozmowa stawała się cyniczna i ostra — sytuacja beznadziejna.

— Niech pan sprecyzuje swoje pytanie, co pan chce ode mnie wiedzieć. Jeżeli traktujemy się jak kupcy — proszę. — Gorycz wzbierała we mnie. Gubiłem się. Raz tylko powiedzieć, gdzież pewność, że jak powiesz A nie zmuszą cię do powiedzenia Z. A potem na potwierdzenie każą ci jeszcze powołać się na kogoś.

Rzuciłem okiem na tapczan. Leżały tam granaty. Teraz pragnąłbym, teraz właśnie, jak nigdy przedtem. Wybuchłem:

— Nie panowie, nie fatygujcie się, nie trzeba. Teraz na ugody nie pójdziemy. Po tylu trupach, po tylu egzekucjach dokonanych na tysiącach niewinnych ludzi — nie ma możliwości porozumienia. Wiem, że rozmawiam z ludźmi inteligentnymi, dlatego sobie pozwalam wygarnąć kawę na ławę. Czy panowie uważacie swoje postępowanie za zupełnie logiczne i konsekwentne? Wpierw wymordować tylu ludzi, a teraz, wszystko jedno jakim kosztem, wyciągać rękę?

Thoms poruszył się.

— Bez deklamacji, panie, bez uniesień. Ciekaw jestem, co byście wy z AK zrobili na naszym miejscu. Zresztą byliśmy tylko wykonawcami poleceń z góry. Naszej inicjatywy w tym nie było.

„Wy z AK..." — zaczęło mi się mącić w głowie, czyżby coś podsuwał?

— Poza tym chcę panu jeszcze jedno powiedzieć. Mam szacunek dla dobrej roboty, nie partaniny. Czy pan wie, że wasze AK 17 razy podkładało miny pod rurociąg gazowy, który przebiega koło mostów. Przecie to nie jest wielka sztuka założyć minę. I czy pan wie, że 17 razy ja osobiście rozładowywałem te miny, taka to była gruba i nieudolna robota. A przecie tam nawet ochrony nie było. To była po prostu zabawka wysadzić ten rurociąg. Wasze AK nie nadaje się do żadnej roboty. Z lasu potraficie urządzać obławy i sabotować dostawę kontyngentu. Ale to jest zabawa na lata. Tym wy Rzeszy niemieckiej nie położycie. Tak, mój panie. Pan to może panom z AK powiedzieć.

Byłem przerażony, widziałem wyraźną prowokację. Facet mi wyraźnie coś podsuwał, albo wmawiał.

— Tak, pan ma rację. Ale to nie moja sprawa. Nie jestem wojskowym. A partackiej roboty też nie lubię. Ale wracając do zagadnienia...

W tym momencie kilka samolotów sowieckich zaczęło krążyć nad miastem. Gdzieś spadały bomby. Moi gospodarze zaczęli wykazywać zdenerwowanie. Tuląc głowy w ramiona zaczęli się usuwać w kierunku drzwi. Zafurczał motor nad domem. Bomba padła blisko. Światło zgasło — trafili w elektrownię. Rozgardiasz powiększał się w ciemnościach. Gestapowcy szukali świec. Któryś zaświecił latarkę — Thoms. Z korytarza inny przyniósł świece. Samoloty odleciały. Siedziałem ogłuszony. Nie przerażał mnie nalot. Przerażała i ogłuszała rzeczywistość, która nie wiem, jakie rozwiązanie znajdzie.

Szef zajął swoje miejsce za stołem.

— Będziemy panu bardzo wdzięczni, jeżeli pan zechce podzielić się z nami swoimi wiadomościami — przerażał mnie swoim nieustannym Wersalem.

— Jakimi? — rzucam przerażony.

— No, dla kogo był ten ładunek — dla AL, AK, czy NSZ?

Skurczyłem się w sobie. Mgła opadła na mózg. Nic nie wiedziałem, nic nie czułem. Pragnąłem skończyć z tym koszmarem. Już dość tego.

— Oczywiście, że dla NSZ — mówię nie własnymi słowami. — Przecie to jest jedyna partia, w której jest zdrowie moralne, hart, która ma właściwe nastawienie ideologiczne. To jest ruch, który może nas wyprowadzić z błędnego koła impasów politycznych, w jakie popadliśmy na skutek błędnej, ślepej polityki i braku perspektywy naszych zaściankowych polityków. To jest zgodne budowanie nowej Europy, gdzie Polska obok Niemiec będzie miała swoje, właściwe sobie miejsce w wspólnocie narodów europejskich o kulturze zachodniej. Dziwi mnie pytanie pana, czy nie odniósł pan tego wrażenia o mnie od dawna? Przecie dwory, w których nasza młodzież ćwiczy, w których jest szkolona — to jedyne prawdziwe ostoje polskości i kultury narodowej. Przecie to są rzeczy jasne. Narodowe siły zbrojne — to hart, to siła, to potęga, to zdrowie moralne narodu i państwa.

W oczach mi pociemniało. Plotłem wszystko, co mi ślina na język przyniosła, co tylko gdziekolwiek widziałem pisanego i drukowanego z narodowych bredni. Mokry byłem od potu. Uczułem gwałtowne uderzenie smrodu. Gwiazdki wirowały w oczach. Straciłem przytomność.

Trwało to kilka sekund. Szef był nadal zimny.

— A czy pan może się na kogo powołać?

Ciarki przechodzą przez skórę. Na miłość boską — skąd tu wziąć takiego. Przecie ja nikogo z tej bandy nie znam. Przecie oni by mnie utrupili, nie mam z nimi nic wspólnego. Wanda, dzieci, nie pamiętacie poza tymi, co nas w nocy napadli, innych bandytów z NSZ? Są przecie, są na pewno, kręcą się.

— Zaraz — a te wszystkie napady na kasę kto robił — przecie to ich robota. Ślady wyraźne prowadziły na tego Osuchowskiego. Zawsze ilekroć coś podobnego się zdarzyło — były czary związane z jego osobą. Zawsze przychodzili za nim, w jego obecności, albo bezpośrednio po nim. I ta bezkarność jego. O nim mówią, że jest jakimś pułkownikiem.

Niech się dzieje. Resztką sił walę:

— Jakże, oczywiście, Osuchowski!

Szef jeszcze nie daje za wygraną. Patrzy na Thomsa. Ten znów pyta:

— A pseudonim jego?

Tak jest, mam. Ostatnie pokwitowanie, które zostawili, zabierając 240 tysięcy z kasy.

— Wściekły — wołam uradowany.

Długa cisza. Słyszę tylko bicie własnego serca. Szef spogląda na zegarek.

— Jestem skłonny — słowa padają jak rzadkie, ciężkie krople deszczu przed burzą — pana — pauza — zwolnić. — Cedzi dalej — Teraz jest pięć przed ósmą — pauza. — Zaraz godzina policyjna. Za pięć minut będzie pana oczekiwał w bramie ktoś, kogo pan zna. On pana odprowadzi do domu. Pan mi jutro opowie do jakich wniosków pan doszedł w rozmowie z nim. Dokumenty wydam panu jutro. Proszę mi nie brać za złe — kończy z wersalskim uśmiechem — teraz ciemno, światła nie mamy. Żegnam pana.

Tym razem czułem, że to nieodwołalny koniec, koniec reklamowaną metodą katyńską. Tajemniczy strzał w kark i powiedzą, że elementy narodowe zlikwidowały wychodzącego z budynku szpicla gestapo. Nie myślę już więcej. Ciężko podnoszę się z krzesła. Jak mokra szmata przesunięta niewidoczną ręką, wynoszę się z pokoju. Ciemność jesiennej bezgwiezdnej nocy otula mnie całkowicie. Pachnie ziemią.

Za bramą podchodzi do mnie młody człowiek.

— Pan mnie nie zna — przychodzę od Wściekłego. Załatwiłem co do mnie należało. Zostało jeszcze do wypłaty 200 tysięcy. Stosownie do umowy — mam je otrzymać zaraz po wyjściu pana. Niech pan przypilnuje, żeby ta sprawa była uregulowana. Jutro przyślę kogoś po nie.

Andrzej Wróblewski

WERONKA

Pamięci Matki.

... Gdy tylko przymknę oczy, widzę ją wyraźnie: niską, krępą, w męskich butach z cholewami, w kilkunastu spódnicach na obfitych biodrach, w czerwonym, flanelowym kaftanie, z pękiem prawdziwych korali na szyi. Widzę twarz z gruba ciosaną, małe, zakiśnięte, chytre oczy maskujące wrodzoną tępotę, nos duży i szpiczasty i sztuczne, cynobrowe rumieńce na

policzkach. Włosów nie widać: schowane są pod chustką czarno-białą lub tylko białą, w niedzielę jedwabną, związaną tradycyjnie i niezmiennie pod brodą. W ręku, gdy szła do kościoła, parasol i kwiatek...

— Prosze panienki. Prosiłabym panienke pieknie przeczytać mi lyst... Z Hamaryki...

— List? Do was, Weronciu?

— A do mie... Od zieńcia, proszę panienki, od zieńcia, od męża moji Cesi, co sie spalyła — już bedzie wielo? chyba wiency jak dziesięć roków... Z wnęczkiem sie razym spalyła moja Cesia...

Westchnienie. Oczy spuszczone boleściwie ku ziemi. Pochyla się ku mojej ręce, którą co prędzej wyrywam.

— Dajcież spokój, Weronciu... Ja nie ksiądz...

— Brzydzi sie mie panienka, czy co?

— Nie brzydzę się, Weronciu, skądże znowu? Ale jakby to wyglądało, żeby taka starsza, jak wy kobieta, mnie smarkatą całowała w rękę?

Biorę list i czytam adres. Weronika Biernaś, u wdowy po wiertaczu, Szymonie Kenalu.

— Ale to przecie nie do was — mówię głośno i śledzę wrażenie. Zawsze z tym nazwiskiem!

— Nie do mie? A lystonosz mi go dał...

— Mówicie, że się inaczej nazywacie... A tu jest napisane: Weronika Biernaś, u Szymonowej Kenalowej.

— U Szymonowy... ucieszyła się Weronka. No, to widzi panienka, że to do mie!

— Ale przecie nie nazywacie się Biernaś?

— Biernasiewicz nazywam sie — mówi z godnością, prostując się. Jest trochę urażona moją indagacją. — Biernasiewicz Weronika, tak, jakżem panience zawdy mówiła...

Czytam głośno:

„Niech byndzie pochwalony Jezus Chrystus i najświentsza Panienka, Matka Jego. Po tych boskich słowach dowiadóje się, kochana świekro owaszym miłym zdrowiu i powodzyniu, bo moje powodzynie jak zwykle czego i wam życze... I donosze wam, kohana świekro że jusz nie pracuje w ty fabryce, co pierwi bo tam był strejk i donosze wam żem sie drugi roz ożynił bo nie było komu domu pilnować po Cesiny śmierci i żone mam dobrom i donosze wam że Jędrek je chłop wielgi i żynić sie tysz chce (o! już sie i mój wnęczek żynić chce! — ucieszyła się Weronka, zasłuchana) i dowiadóje sie o powodzynie Walka z brzega i Feliksa Bysicy i prosze was o prentki odpis i pozdrawiam was barz pieknie mile i serdecznie i inszym razem pośle wam fotegraf com se dał zrobić ze żonom

Wasz zieńć

Józef Mazur"

Skończyłam. Spojrzałam na nią. Spuściła głowę, jakieś myśli kotłowały pod tym niskim czołem. Medytowała.

— Wiency nic nie było w liście, prosze panienki? Żadnygo dulara?

— Widzieliście, jak otwierałam: nic nie było.

— Już on mi teroz dularów posyłał nie bedzie, jak sie ożynił... Skończyło sie! Sama-żem tu jedna sie ostała, sirota przez ojca i matki, oj sama!..

Chlipnięcie.

— Dziekuje panience. Żeby panienka zdrowa była.

Wyszła. Po chwili dolatuje mnie z kuchni jej donośny, schrypnięty głos, opowiadający matce mojej — po raz nie wiadomo już który — historię Cesi i jej tragicznej śmierci.

Lubię przysłuchiwać się jej monologom. Jest w tej tępej i chytrej zarazem kobiecie jakieś pogańskie umiłowanie życia, jest ostry i drapieżny, wspaniały głód radości i uciech doczesnych, klasyczny epikureizm, który zdumiewa mię i zachwyca jednocześnie.

Gwar w kuchni się wzmaga. Baby przyniosły jajka, matka ogląda je, targuje: dziś pieczenie bab. Wielkanoc za pasem. Nad wszystkim góruje mocny głos Weronki, lubiącej przewodzić.

— Niech pani nie daje, nie, bo ja lubie dużo — upomina matkę, goszczącą znajomą kobietę pozostałościami z obiadu. — Oni majom w domu co jeść, a mnie nichto nie da...

— Przecieżeście już jedli, Werońciu...

— To co, żem jadła? Kiedy to było? Już trza drugi roz jeść i lo mie nie bedzie...

— Będzie, będzie, nie bójcie się...

Wchodzę do kuchni i pod pretekstem pomagania matce przy przedświątecznym wypieku, kręcąc jakąś masę, przysłuchuję się jej wywodom.

— Te córke tom trzy dni rodziła... Młoda-żem wtedy była, dziewka jak rzepa, a poród ciężki taki był... Ładno sie urodziła ta moja córka, biało na gembie, delikatno... Włosy miała miękutkie, oczka piekne, siwe, maluśkie... (Małe oczy to był z dawien dawna We-

ronczyn ideał urody kobiecej). Od jednego-żem ją miała wańkowieckiego gospodarza... Wypierał sie, że nie jego, ale juści, że jego była... Nawet miała pod okiem takom samom plamke...

— Osiemnaście roków jij było, jak do ty Hamaryki jechała... Z mężem, bo sie ożeniły na wiesne, a na jesieni jechały... Bez tyle dni na ty wielgi wodzie siedziała i nic sie nie bała... Późni mi pisała, że nic sie nie bała...

— Tako nic nie bojąco była moja Cesia i spalyła sie już bedzie chyba wiency jak dziesieńć roków... Z wnęczkiem się razym spalyła, ze starszym, z Franusiem... Oj, sama-żem sie tu ostała, sama, nichto mi nie ostoł...

— Wnęczek mój — przeczytała panienka — żynić sie już chce — oznajmiła matce po chwili.

— No, widzicie... Jeszcze się i prawnuków doczekacie...

— Ano, może sie i doczekom... Jak Pan Jezus da... Jak da...

— Najgorzy, że mi sie zieńć ożynił... Zieńć mój, prosze pani, Cesi moji niebożyczki mąż, co do Hamaryki z niem jechała... Już on mi teroz nic nie przyśle, jak sie ożynił... Już trza na dulary krzyżyk zrobić... Jak jo se teroz dam rady, sirota? Ani ojca ani matki, sama-żem tu sie ostała bez żadny famielij...

— W tym wieku chcielibyście jeszcze mieć ojca i matkę. Werońciu? To by było za dobrze — mówi moja matka, rozczyniając ciasto. — Wnuk się wasz już żenić chce, prawnuki się wnet wam posypią, przecież już sama macie po siedemdziesiątce...

— A juści... Pewno, żem już w latach jezd, pewno... Juści, żem nie młodo... — posmutniała nieco. — Alem jeszcze nie ostatna... — zerknęła nieznacznie w lustro, wiszące na przeciwległej ścianie i poprawiła chustkę pod brodą. — Jeszcze-żem nie ostatna! — wykrzyknęła z mocą, tryumfująco. — Gdzie insze kobiety przy mnie! Jak sie w niedziele do kościoła ustroje, nowom chustke z frendzlami, te od moji panienki ubiere, bluzke, co mi pani z Kalisbadu przywiezła wdzieje, to niech sie insze schowajom! Jeszcze sie i tak każdy za mnom oglądnie, a niektore państwo, to jaż przystaje i zagada: „Tak żeście sie, kobietko, pieknie ustroili...“

— Jakżem młoda była — ciągnie niezmordowanie — to dziewki nade mnie nie było! Jakżem na zabawe poszła, abo i na wesele, to gospodarskie córki siedziały, ściany podpierały, a ja-żem tańczyła! Co jeden mie do tańca brał, cukierki kupował, wódke stawiał! Tako-żem urodna w sobie była! — dodała z przechwałką.

Zerknęła znów w lustro. Odbiło małe, chytre oczy w starczych zmarszczkach i sztuczne, pochodzące od opakowania cykorii rumieńce na policzkach. Trudno nam było jakoś uwierzyć w tę minioną urodę.

— Ale co mi z tego, kiedy ni mom ani ojca ani matki... — chlipnęła i poczęła rogiem fartucha ocierać nie istniejące łzy.

— Weronciu, skoczcie do Kółką Rolniczego i przynieście mi zapałki. Dużą paczkę, dziesięć pudełek — przerywa jej tok rozmyślań matka.

— Zapałki? Zarusinko ide, zarusinko, ino se chustke inszom wdzieje, bo ta już nie pasuje...

Zostajemy same. Weronka wyszła uradowana. Lubi chodzić na zakupy. Bo to i chłopcy na ulicy i do szynku niedaleko...

— Boję się, że mi się znowu upije — wzdycha po jej wyjściu moja matka. Z tego zmartwienia, że się jej zięć ożenił... Zawsze się tak zaczyna od tych żalów nad sobą, sirotą przez ojca i matki...

Każde święta i każde zmartwienie to była dla Weronki okazja do upijania się. Do wyprawiania głośnych awantur, pijackich breweryj, kończących się niezmiennie jednym i tym samym: pokaźnym guzem, powstałym z licznych upadków i wydaniem do ostatniego grosika ciężko przez nią zapracowanych pieniędzy.

Po każdej takiej libacji Weronka stawała się cicha, pokorna i żałująca.

— Chtoś mi coś zadał, że mie tak ciągnie do ty gorzały — szlochała potem, przepraszając moją matkę za awantury — nic inszego, ino chtoś mi coś zadał... Wiency już nie bedem, prosze pani naczelnikowy, to już ostatni roz... Żebym nigdy nie skonała, czy nieprawde mówie, ostatni roz... Nie gniewa się pani, prowda, że nie? Już nie bedem, wiency okowity do gemby nie wezme, żebym tak Boga przy skonaniu oglondała! Moja pani złota, ostatni roz...

Ktoś jej coś zadał w istocie, bo była niepoprawna. I nic na to nie mogła poradzić, nic właściwie nie była winna temu, że taka była właśnie: pijaczka i awanturnica.

Jakoż rzeczywiście nazajutrz od samego rana była pijana w sztok. Około jedenastej, kiedyśmy już z matką kończyły świąteczne porządki, zjawiła się w kuchni, rozochocona,

czerwieńsza niż zwykle, zawadiacka i hojna. W rękach, jak święty Mikołaj, dzierżyła kilkanaście mniejszych i większych paczek.

Weronka pijana stawała się jak gdyby inną osobowością. Zawsze tak skąpa i chytra, szastała pieniędzmi na prawo i lewo, wodząc za sobą gromady chłopaczysków, każących sobie suto płacić — wódką i pieniędzmi — za dotrzymywanie towarzystwa i świadczenia miłosne.

— To lo moji pani za to, że pani jezd lo mie dobro — wciskała matce w rękę paczuszkę z niewiadomą zawartością.

— A to lo moji panienki złoty — kładła na stole kilka paczuszek, gotowa do zwady na wypadek nieprzyjęcia.

— Zabierzcie to, Weronciu, oddajcie z powrotem w sklepie — protestowałyśmy — to grzech wyrzucać tak ciężko zarobiony grosz! A najlepiej zrobicie, jak się położycie spać, bo już macie dość...

— Spać?! jo?! Nigdy w świecie! Spać mam czas w grobie, a póki żyje, bedem pić i używać! Spać? Nigdy w świecie!... oburzała się, czerwieniejąc jeszcze silniej.

Wyjmowała ukrytą w czeluściach spódnic butelkę z okowitą i zaczynała pić na nowo.

— Bitem sitem! — krzyczała, wychylając kieliszek — bitem sitem, moje państwo kochane!

Dobrydzień, grabarzu, dobrydzień,
Dejcie mi dziewczyne na tydzień!

zaczynała śpiewać na całe gardło. Potrafiła tak do dziesięciu razy w kółko to samo.

Albo piszczała cieniutko:

Kici, kici,
nie przytykej, bo sie chyci!

Niekiedy wrzeszczała ohydnym pijackim dyszkantem:

Oj, matulu, brzuch mie boli,
Trzeba pieprzu i cebuli,
Nie pomoże pieprz, cebula,
Bo to była hula-lula!

Były to zawsze te same, ulubione przez nią pijackie piosenki i pokrzykiwania. Umieliśmy je wszyscy na pamięć i wiedzieliśmy, że nie odejdzie wcześniej, zanim nie wyczerpie całego ich repertuaru.

— Panie Ksawerciu — przypadała nagle do mego najmłodszego brata, Seweryna, uczącego się do egzaminu, który ze skryptem w ręku, zwabiony krzykami, zjawiał się w kuchni. — Panicz sie na mie nie gniewa? Prowda, że nie?

— Nie gniewam się, ale idźcie już, Weronciu. Nie dajecie mi się uczyć!.. Idźcie do siebie, do domu...

— Idem już, bo pan Ksawerciu nie może się beze mnie uczyć... Idem, moje państwo kochane... Idem już, idem...

Zbierała się do odejścia. Nagle przypominała sobie o swoich obowiązkach.

— Jo tu tylko zimioków oskrobie, bo pan już wnet przyjdzie na obiad...

— Ziemniaki już oskrobane, wszystko zrobione, idźcie już, Weronciu — prosiła matka.

— O, jak tyż sie mie pani chce pozbyć... Idem, idem, jeszcze jednygo na droge... Wyjmowała kieliszek, nalewała drżącą ręką, rozlewając na podłogę i wychylała go ze słowami: — Bitem sitem, prosze pani! Żeby pani zdrowa była! Zabrawszy paczki, wychodziła wreszcie, drąc się w niebogłosy:

Dobranoc, grabarzu, dobranoc,
Dejcie mi dziewczyne na noc!...

Opodal domu czekali na nią wierni kompani od kieliszka: rudy Felek, upośledzony na umyśle Józek Turek, kulawy Staszek-moskal, pamiątka po tamtej wojnie i inni.

Wyglądaliśmy za każdym razem przez okno. Szła, zataczając się, czule piastując w ręku butelkę z wódką, coś tam wrzeszcząc jeszcze o grabarzu i dziewczynie.

Złączywszy się z nimi, obejmowała komendę: szła przodem, jak prowodyr, wodząc ich od szynku do szynku, aż wyczerpała doszczętnie mieszek.

W knajpie zachowywała się władczo i nieustępliwie.

— Panie! Gorzały! Piwa i gorzały lo wszistkich w szynku! Jo płace! Weronka płaci! Może se pan myśli, żem dziadówka, że ni mom? O, pełny woreczek śrybnych pieniędzy! Lo wszistkich wystarczy! Nalewaj pan, a duchem!

Oj, matulu, brzuch mie boli,

rozpoczynała znienacka. Pijący z nią, stali i przygodni kompani uspokajali ją: Ciicho, Weronciu, cicho...

— Co to znaczy cicho?! Śpiwać mi nie wolno?! Widzisz jeich! Bedem se śpiwać, jak długo mi sie bedzie podobało!

— Co sie patrzysz? — przyskakiwała nagle do okna, gdzie widniały ze spłaszczonymi nosami przylepione do szyb twarze wiejskich bachorów, ciekawych bezpłatnego widowiska.

— Wynoś mi sie zaroz jeden z drugim! Patrzy sie! Jo ci tu dom, ty s....synie! Już cie tu nimo!

Dzieci rozbiegały się w popłochu, by po chwili powrócić znowu.

Weronka wracała na środek szynku, i teraz rozpoczynała się właściwa zabawa, z tańcem i przytupywaniem:

Oj, matulu, brzuch mie boli,
Trzeba pieprzu i cebuli,
Nie pomoże pieprz, cebula,
Bo to była hula-lula!...

śpiewała z zapałem, drepcząc nogami w kółko, aż spódnice fruwały...

A potem, stanąwszy przed szynkarzem:

Dawej, Żydzie, wódki,
Zapisz se na ścianie,
Ciebie diabli wezmą,
A pismo zostanie!...
U-ha!

Taki to w niej rozmach był i fantazja kawalerska!

Wiedziałam, że zawsze potem nastąpi okres ekspiacji: spuszczona głowa, cała w guzach i sińcach, pokorna mina i przysięgi poprawy.

I tak wciąż...

...Taka-żem jest nieszczęśliwa — będzie szlochać potem — chtoś mi coś zadał i ju, że tak te okowite lubie... Nie wierzy panienka, że chtoś może coś zadać? A to je świenta prowda... Jak je z tym Józkiem Turkiem, co koziołki fika i glisty żre?! Widziała panienka? Jażem nieroz widziała: idzie, idzie se ulicom, niby nic i nagle: fik i już kozła wywraca i nim sie człek spodzieje, już znowu idzie se równo niby nic... Abo podudra w ziemi, podudra, gada wyciągnie i do gemby...

— Tak, glisty, żre, jak jaki specyjoł — mówi Weronka i twierdzi, że mu tak żona zrobiła za to, że ją ostawił. Zadała mu coś i taki teroz je, przez rozumu...

W rzeczy samej widziałam nieraz Józka Turka, — jako dziecko i później jeszcze — jak, idąc przede mną drogą — wywracał znienacka dwa, trzy kozły, po czym znów szedł, zdawałoby się normalnie... Albo, jak zajadał dżdżownice, jedną po drugiej, na surowo... Widziałam to, ale nie umiałam tego wytłumaczyć ani Weronce ani sobie.

— Trzeba by już oddalić tę Weronkę, mamusiu — zwracaliśmy się po jej wyjściu do matki. — Pijaczka, awanturnica...

— Kiedy nie chce odejść... Żadnej służącej nie da u mnie być... Już próbowałam kilka razy, ale każdą wyżre, grozi biciem, wyzywa... Nie chce odejść i już... — wzdychała moja matka. — A mam już tak dość tych awantur...

Rzeczywiście, kiedy w jakiś czas potem usiłowaliśmy ją oddalić, sprawa przedstawiała się poważniej niżby się zdawało. — Niech se moja pani naczelnikowa nie myśli, że sie mie tak łacwo pozbedzie — powiedziała do swojej gospodyni, Szymonowej Kenalowej.. — Abo mi bedzie musiała coś płacić, abo mie musi trzymać dali...

Uważała w swojej chytrości, że po siedmiu latach tzw. „dochodzenia" należy jej się emerytura... Po wielu utarczkach skończyło się wreszcie na półrocznej odprawie.

Rozstaliśmy się w zgodzie i przyjaźni. Dostała zaraz kilka innych posług, nie czuła więc do nas większej urazy i niekiedy odwiedzała nas. Nie mogła tylko ścierpieć swojej następczyni, grubej Maryśki, której zawsze musiała powiedzieć coś przykrego.

Raz, upiwszy się, przyszła wraz ze swymi satelitami pod nasz dom i zaśpiewała tak:

Od Przemyśla wieje wiater, wieje wiater, wieje wiater,
Mańce z poczty nasermater, nasermater, nasermater!

— Bo to bez niom pani nie chce mie trzymać dali — powiedziała do mnie, spotkawszy mię raz na ulicy. — Bez te Maryśke... Jakby nie ona, tobym tam jeszcze była... Ale pani młodszo pachnie, jo już za staro...

— Jakże wam się teraz powodzi, Weronciu?

— Ee, takie tam powodzynie... Przy jednem jezdem takiem, sparaliżowanem... Wszistko przy niem robie... Ale go nie lubie... — wyznała w sekrecie, pochylając się ku mnie. Nie lubie go, bo nie jezd czysty... Fetor od niego idzie taki, że jaż...

— No, ale macie za to utrzymanie i pensję?

Skrzywiła się.

— Taka tam i pensyj... Co mi z tego, kiedy-żem sama na tym świecie sie ostała... Posługuje jeszcze u pani Waligórowy... Jij to sie powodzi! W niedziele w łóżku se leży, młodo, pachnionco, mąż je starszy, to jom lubi, jaże za niom ginie, do łóżka jij wszistko poda... Futra ma dwa, w domu nic nie robi, jo jij gotuje, ino w biurze do połednia pisze, na maszynie drukuje...

— Tak żeby mnie sie powodziło, tobym chciała... Męża mieć dobrego, na maszynie se pisać, pensyj na pierszego dużom brać, to rozumie!.. Żyć se paniąco, w gości chodzić... A jo co? Tyle, że sie ty gorzały od czasu do czasu napije... Tyle mego i ju...

— Bo niech panienka sama powie — żem niebogata, tom już od nij gorsza? — Tak, Weronka miała duże poczucie sprawiedliwości społecznej, pojmowanej zresztą swoiście. — Bo co i tako pani Waligórowa? — ciągnie, krzywiąc się. — Nic nie jezd lepszego ode mnie... Tak samo jij z d... śmierdzi... My jednygo Boga ludzie... Tak samo umrzeć musi jak i jo! Według ty jedny śmierci sprawiedliwość je na świecie...

— A panienka gdzie teroz pracuje?

— W biurze, Weronciu... Listy piszę na maszynie, korespondencję prowadzę.

— To panienka tyż wielgom pensyj ma... Może by mi panienka co dała?

Dawałam jej. Za każdym razem złotówkę. Mniej by może nie wzięła. O, bo Weronka była honorowa!

Czy żyje jeszcze? Z pewnością. Nie wyobrażam sobie Wańkowej bez Weronki. W każdą niedzielę idzie pewno do kościoła, drobnym, równym kroczkiem, w odświętnych kilkunastu spódnicach, w czerwonym flanelowym kaftanie, z pękiem prawdziwych korali na szyi. Na głowie chustka jedwabna z frędzlami, w ręku parasol i kwiatek. Tak wygląda zresztą na „chfotegrafij", którą mi podarowała na pamiątkę.

I zdaje mi się, że wystarczy tylko przymknąć oczy, by zobaczyć ją znów, rozradowaną pijackim podnieceniem, z twarzą płonącą rumieńcami z opakowania cykorii, rozochoconą, zawodzącą donośnym, ochrypłym głosem:

Dobranoc, grabarzu, dobranoc,
Dejcie mi dziewczyne na noc!...

Jadwiga Kozłowska

SPRAWOZDANIA

O ZJEŹDZIE PISARZY CHŁOPSKICH

(Warszawa, 3—5 sierpnia)

Tytuł uzupełniamy słowami: „i pracowników kultury ludowej", gdyż tak brzmiał pełny tekst szyldu, a rekrutacja uczestników odbywała się zgodnie z tym tytułem szerszym.

Przed uczestnikiem tego zjazdu już w pierwszych godzinach jego obrad stawało pytanie, jakiego zazwyczaj nie czujemy na zjazdach podobnych: czy nie był on improwizacją? Pytanie uzasadnione z wielu przyczyn. Inicjatywę i organizację zjazdu bierze na siebie Związek Samopomocy Chłopskiej. Nie ma tu mowy ani o tradycji, ani o uprawnieniu ze strony grup literackich, czy nawet pracowników kultury. Ponieważ jednak nie ma również nikogo, kto by zjazd ten zwołał, zajął się sprawą związek, do którego zadań i to należy. Jest to jedyny tytuł, jeśli pominiemy sens Samopomocy, jako organizacji tworzącej nową rzeczywistość wsi. W istniejących warunkach nikt zapewne nie byłby tego zrobił tak szybko i sprawnie.

Jednakże brak tradycji Samopomocy Chłopskiej oraz różne, czasem niechętne wobec Samopomocy ustosunkowanie się wielu typowych już i świadomych swego dorobku pisarzy i pracowników kultury powodują, że do ostatniej chwili niewiadomy będzie udział i liczebność uczestników. Odbija się to wybitnie na programie. Ale najistotniejszym błędem okaże się zbyt szerokie określenie typu zjazdu. Nie był on organizacyjny. Nosił charakter raczej zagadnieniowy. Lecz nic gorszego, jak zwołać działaczy społeczno-politycznych, pracowników kultury, pisarzy chłopskich i zawodowych, sprowadzając ich wspólny program narad do spraw przede wszystkim czysto pisarskich. Zabierać przeto będą głos zarówno dyletanci jak specjaliści, zarówno intelektualiści jak demagodzy polityczni.

Program bynajmniej nie liczy się z tytułem zjazdu. Referaty głównie obracają się wokół problemu pisarstwa ludowego. Wygłaszają je — Leon Kruczkowski *Kultura ludowa a kultura narodowa*, Kazimierz Wyka *Problematyka twórczości chłopskiej na tle historycznym*, Józef Spytkowski *Historia literatury ludowej i sprawdziany ludowości*, Mieczysław Grad *Zagadnienie literatury ludowej*, Stefan Lichański *Rzeczywistość chłopska a literatura*, Jan Aleksander Król *Organizacja życia literackiego na wsi*, oraz Zofia Solarzowa *Teatr Ludowy*. Natomiast dyskusja zgodnie z charakterem sali odbiega od tematu literackiego, a zajmuje się ogólnie kulturą. Wynikają przeto z samej treści zjazdu dwie dosyć odmienne postawy, będące wynikiem niejednolitości zainteresowań i nadziei, z jakimi uczestnicy na zjazd przybywali. Nie znaczy to, byśmy zjazdowi odmawiali celowości i wagi. Właśnie fakt, że nawet w tych pospiesznych i improwizowanych warunkach rozwinęła się ważka i znamienna dyskusja, świadczy o potrzebie tego pierwszego po wojnie spotkania działaczy i pisarzy chłopskich oraz literatów zawodowych.

Przewodnictwo zjazdu obejmuje Julian Przyboś, pierwszy z referatów wygłasza Leon Kruczkowski. Autor *Pawich piór* zareprezentował pogląd, dziś zresztą powszechny, że z klasowością w literaturze należałoby dać sobie spokój. Do postulatu tego dochodzi drogą historycznej oceny miejsca i stosunku kultury ludowej względem ogólnej, bez względu na wartość tej pierwszej. Popieranie jej odrębnego i regionalnego sensu, z chwilą gdy jej włączeniu w nurt kultury ogólno-narodowej nic nie stoi na przeszkodzie, nie posiada racji. Nie ma istotnej różnicy pomiędzy kulturą narodu a kulturą ludu, gdy ten jest dojrzały społecznie. Jednakże charakteryzując kulturę ludową, prelegent unika cieplejszych słów, chociaż jej wartość zapewne docenia i stąd wśród słuchaczy powstaje mylny stosunek

uczuciowy, negatywna postawa sali, o czym świadczyć będzie rychło dyskusja.

K. Wyka zajmuje się innym zagadnieniem. Szybko dokonany przegląd literatury chłopskiej i o wsi. Nadawałby się raczej tytuł „Chłop w literaturze polskiej". Prelegent rozpoczyna od świadomego pojawienia się wątku ludowego we wczesnym romantyzmie i pokazuje jego przemiany aż po czasy najnowsze. Potrąca o sprawę gwary, poświęca kilka myśli określeniu pojęcia pisarza chłopskiego. Ogólne wrażenie będzie tu podobne, jak po pierwszym referacie, z tą różnicą, że negatywna postawa sali jeszcze się bardziej umacnia.

J. Spytkowski nie wywoła na pewno sprzeciwu. Historyk literatury chłopskiej. Nie mówi o niej, jako o fakcie dokonanym, gdyż dotychczas osiągnięcia były zbyt nikłe, by mogły uchodzić za ukończone. Słyszymy wołanie o stworzenie naukowej historii piśmiennictwa ludowego i kilka informacyjnych uwag z dziedziny metod badania i kryteriów przynależności do pisarstwa ludowego.

Dyskusja po trzech pierwszych referatach przemieniła się w namiętną obronę kultury ludowej. Przypadkowy dobór uczestników sprawił, że rzecz nie została omówiona gruntownie, zresztą, skoro tematem głównym była literatura, wywody ogólniejsze schodziły raczej na margines. A że wypowiadali się przede wszystkim ludzie, tkwiący w regionalizmie kulturowym, lub mocno się o niego ocierający, stanowisko ich jest całkowicie naturalne i zrozumiałe.

Parę słów poświęćmy tej sprawie. Niewątpliwie kultura ludowa w swoich jeszcze całkiem niedawnych cechach i odrębnościach będzie wchodzić w okres niwelacji na rzecz kultury ogólnonarodowej. Zanik stroju ludowego tam, gdzie w dzisiejszych warunkach ekonomicznych był on przeżytkiem, który nie wytrzymał konkurencji z normalnym ubiorem, utrzymanie się tego stroju tylko tam i tylko w takich formach, jakie posiadają sens użytkowy, jest tutaj najmocniejszym świadectwem. Jesteśmy bodaj u kresu etapu, kiedy kultura ludowa, dzięki skierowanemu na nią zainteresowaniu naukowemu i społecznemu, zarysowała się w swojej odrębności. Literatura. Zdobnictwo. Zabawkarstwo. Tkactwo. Przemysł chałupniczy użytkowy. Muzyka. Rzeźba. Lecz etap ten był i to całkiem niedawno. Był formą samoobrony klasy chłopskiej. Był świadomie kultywowanym momentem w budzeniu dumy klasowej chłopa. Wieś przed wpływem dworu i przed demoralizującym wpływem miasta, nasyłającego na wieś ochłapy kulturalne, broniła się sięgając do własnych źródeł. Kto nad bzdurny tekst fokstrotowej piosenki wyżej stawiał melodię ludową, ten na pewno nie był w błędzie. Była to wszakże tama stawiana postępowi brukowemu i wystarczy inna, świadoma organizacja rozprowadzania dóbr kulturalnych, by regionalizm nie musiał się stawać mitem obronnym i — rzekomo jedynym. W taki etap dopiero mamy wejść i dlatego gwałtowna obrona wartości kultury artystycznej ludu na zjeździe, zrozumiała jest psychologicznie, ale byłoby błędem sądzić, że prócz tej obrony żadna już postawa nie jest możliwa. Problem przesuwa się obecnie gdzie indziej — w kwestię należytej organizacji systemu świetlic, wiejskich domów kultury, gdzie na pewno każda odrębność artystyczna wsi, godna zachowania, zachowana zostanie.

Drugim głównym tematem dyskusji był problem pojęcia pisarza ludowego. Trzej referenci poruszyli tę sprawę, każda definicja była inna. Jest w tym jeszcze jeden dowód, jak konieczne jest opracowanie historii literatury ludowej, bo z jej uporządkowanego materiału mogłoby dopiero wypłynąć określenie tej spornej kwestii. Spytkowski twierdzi, że *dla celów naukowych zacieśniono teraz znaczenie terminu „ludowy" i objęto nim wyłącznie świadomą twórczość pisarzy chłopów, pochodzących ze środowiska wiejskiego, żyjących i tworzących w warunkach chłopskich.* Wyka swoje wywody budował zgodnie z rozróżnieniami R. Matuszewskiego (*O tzw. literaturę chłopską*, Odrodzenie, nr 34), podkreślając, że *może nią* (chłopską) *być literatura tworzona dla chłopa, przez chłopa, oraz literatura o pewnej określonej tematyce względnie problematyce.* Jeżeli chodzi o sprawę pisarza ludowego, skłonny jest ujmować jego definicję zgodnie ze Spytkowskim, podkreślając zarazem, że pisarz ludowy, to raczej świadectwo pewnego etapu historycznego, a nie zapowiedź pisarza, który zawsze, w kulturze naprawdę zorganizowanej istnieć będzie. W Polsce obecnej istnieje jednak na pewno i stąd prześlepianie tego faktu byłoby doktrynerstwem.

Najściślejsze określenie pojęcia oraz najpełniejszą klasyfikację wszystkich możliwości pisarstwa ludowego i dla ludu dał dopiero Mieczysław Grad w referacie nader przemyślanym i precyzyjnym. Przede wszystkim nie ma według niego mowy o odrębnych normach jakości artystycznej dla pisarstwa ludowego. *Poziom artystyczny utworu jest warunkiem koniecznym, jak na terenie literatury w ogóle tak i na terenie*

literatury ludowej. A dalej: *Literatura ludowa, to ogół utworów będących wyrazem chłopskiej osobowości a zwłaszcza jej strony uczuciowo-wyobrażeniowej. Trudniejsza jest natomiast sprawa z wyznaczeniem dokładniejszych granic. Owa trudność polega na tym, że decydują tu pewne imponderabilia, a nie jakieś rzeczowe argumenty.* Określenie słuszne, ale mocno świadczące, że problem jest zawikłany. Bo któż w sposób powszechnie obowiązujący określi — imponderabilia?

Ze wskazaną sprawą powiązała się w ciągu dyskusji sprawa dalsza, więcej praktyczna: zagadnienie form organizacyjnych dla pisarzy chłopskich. Julian Przyboś uprzedził w zagajeniu, że Związek Zawodowy Literatów Polskich ma zamiar w nowym statucie stworzyć płaszczyznę współpracy w ramach jednej organizacji literackiej. Oświadczenie takie mogło być dwojako rozumiane i tak też zostało przez uczestników pojęte: po pierwsze jako chęć mechanicznego wtłoczenia pisarzy przymiotnikowych w obce im ramy, po drugie jako rzetelna chęć stworzenia wspólnych i rzetelnych form działalności literackiej. Ponieważ warunki współpracy nie zostały dokładnie sprecyzowane, oświadczenie zostaje przyjęte w sensie niechętnym. W dyskusji wypowiadają się w tym duchu nie tyle sami pisarze, uważani i uważający się za chłopskich, ile działacze społeczno-polityczni i pracownicy kulturalni. Wspominamy ten dosyć paradoksalny fakt, zwłaszcza że przewijać się on będzie do ostatnich chwil zjazdu. Dopiero wyjaśnienia w ostatnim dniu składane przez L. Kruczkowskiego i K. Wykę rozładowują sytuację i drzwi do współpracy stają otworem. Zjazd postanawia żadnego odrębnego związku nie tworzyć, wyłania delegację z 10 pisarzy, która na Walnym Zjeździe Delegatów Zw. Zaw. Lit. Pol. w Krakowie ustali płaszczyznę statutową współpracy z pisarzami zawodowymi.

Najmocniejszego poparcia dla postawy negatywnej wobec referatów z pierwszego dnia dostarczyła Z. Solarzowa. Nie tyle o teatrze ludowym mówi, ile o pewnych cechach psychiki a za nią sztuki ludowej. Entuzjazm, egzaltacja, przeżywanie oryginalności środowiska chłopskiego, oto podpory regionalizmu. Wypowiadam te słowa bez przekąsu. Widzę w referacie Solarzowej potwierdzenie dobrych stron regionalizmu (mam na myśli postępowy), bez którego wieś byłaby dzisiaj bezpostaciowa psychosocjologicznie.

Wśród dalszych referatów natrafiamy na tytuł *Rzeczywistość chłopska a literatura* S. Lichańskiego. Autor reprezentuje inne niż *sercowe* ujęcie problemu. Wypowiada słuszny pogląd, że oblicze kultury, a z nią literatury ludowej zależy od rozwoju życia społeczno-ekonomicznego. Stosowanie zdobyczy cywilizacyjnych, technizacja rolnictwa, upodabnia do miasta typ pracy na roli i tego procesu nie da się odwrócić. Stąd wstecznictwem jest zamknięty w sobie ortodoksyzm ludowy — zrozumiały w czasach przewagi szlacheckiej, dziś jest absurdem. Ale ta skłonność do zaszywania się w przeszłość jest usprawiedliwiona tendencjami *likwidatorów*, którzy w ogóle kulturze ludowej nie przyznają żadnej odrębności i wywołują tym przesadny sprzeciw ludzi związanych ze wsią. Lichański występuje przeciwko *likwidatorskim zapędom pewnych grupek mieszczańskiej inteligencji, zaprzeczających prawa bytu odrębnej kulturze i literaturze ludowej* i wskazuje, że jeszcze przedwcześnie mówić o jednolitej kulturze narodowej, na rzecz której można by kulturze ludowej odmawiać samodzielności. Kultura narodowa, tak jak ją pojmuje L. Kruczkowski, jest dopiero zadaniem. Kultury podobnej jeszcze w Polsce nie ma — dopiero następne pokolenie będzie mogło o niej mówić.

Organizacja życia literackiego na wsi (J. A. Król) to idealny przykład umieszczania dobrego planu na lichej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Oparcie wiejskiego życia literackiego o dochody z resztówek, to, przynajmniej przy dzisiejszym stanie rzeczy muzyka bardzo dalekiej przyszłości. Dzisiaj plan taki będzie się wcielać w życie, lecz jak przezorność wskazuje, tylko na drobnych odcinkach.

Zjazd dobiega końca. Postanowiono zaniechać tworzenia odrębnego związku pisarzy chłopskich. Czasopismo *Wieś* rozszerza komitet redakcyjny, stając się tygodnikiem społeczno-literackim. Zapada uchwała o konieczności zorganizowania chłopskiej spółdzielni wydawniczej. Były to najważniejsze z wielu uchwał końcowych.

Literatura chłopska istnieje lecz nie została należycie zbadana i omówiona. Pionierstwo Fr. Bujaka i jego współpracowników, polegające na wyławianiu pamiętnikarzy i omawianiu twórczości wsi — to chwalebny początek. Prace te należy prowadzić szerzej i ze zdwojoną energią. Pisarz chłopski słusznie nosi ów przymiotnik. Nie jest on pisarzem robotniczym, ani mieszczańskim, ani innym. Specyficzne właściwości w pojmowaniu życia wsi, oryginalna

składnia, styl, gwara i forma, to przywilej, jaki inteligencki pisarz rzadko posiada.

Z tym kapitałem właściwości może pisarz chłopski wejść do literatury narodowej, lub nie. Decyduje o tym siła talentu. Obserwując zjazd, lękałem się przez kilka chwil, że pisarze chłopscy pragną własnego związku spodziewając się pobłażliwej oceny miernoty. Gdyby tak być miało, zaprawdę nie warto nosić tego przymiotnika. Autentyczny pisarz chłopski rzadko kiedy będzie pisarzem zawodowym. Twórczość literacką uprawiać będzie w wolnych od pracy fizycznej chwilach. Nie mając warunków na klubowe dyskusje, żyjąc w rozproszeniu, chętnie skorzysta z literackich lekcyj korespondencyjnych, chętnie się dowie u ludzi lepiej poinformowanych o lekturze do przetrawienia. Tego pisarza kształcili dotąd przypadkowi redaktorzy, księża, nauczyciele, pomoc była dobrowolna i przypadkowa. Jedynie naprawdę mocne talenty wyszły z niej bez szram na oryginalności. Powinno być inaczej i ten jest główny sens współpracy nadchodzących pisarzy wsi z pisarzami zawodowymi. Nie z dobrej woli, lecz z obowiązku winni oni udzielać obiektywnej wiedzy literackiej.

Odbył się i zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich. Znalazł się w nowym statucie Związku punkt odpowiedni, który będzie zapewne obowiązywał w pracy. Przebieg dyskusji nad tym właśnie punktem dowodzi, że miał rację Lichański mówiąc o skłonności do przechodzenia ponad rzeczywistością. Chłopscy pisarze mieli dzisiaj przed sobą dwie drogi: albo tworzyć własny związek, albo wejść do Związku Zawodowego Literatów jako zespół. W obydwu wypadkach literatura narodowa będzie się bogacić, a lepiej, jeśli się bogaci przez współpracę.

Edward Marzec.

ZJAZD LITERATÓW POLSKICH

Po raz pierwszy od sześciu lat zjechali się pisarze całej Polski w Krakowie — żeby wspomnieć przeszłość bliższą i dalszą, żeby skontrolować swój stosunek do teraźniejszości, żeby obradować na temat przyszłości. Ocalało wielu. Ale straty są także wielkie. Odeszło z zespołu piszących poprzez śmierć bohaterską, okrutną lub zwykłą około trzydziestu członków z samego tylko środowiska warszawskiego. Warszawa i w tym ucierpiała najwięcej. Usunęli się na drugą stronę pamięci nie tylko zasłużeni, zostawiający dorobek bezwzględny: Boy i Irzykowski, Sieroszewski i Kaden Bandrowski, Korczak z drużyną swoich dzieci — symbol także innej pamięci — ale i Czechowicz, Karpiński, Straszewicz — pokolenie średnie najbardziej obiecujące, najwięcej potrzebne — ale i pokolenie najmłodsze z puścizną odbijaną na powielaczach, pokolenie tragiczne u wschodu życia i twórczości zrąbane odłamkami pocisków, ścięte kulami rozpylaczy, bojowe nie tylko w piórze, ale i w czynie, któremu za dużą przyznali wartość — za późno i za wcześnie.

Ustępujący prezes Julian Przyboś wezwał obecnych, aby minutą ciszy uczcili pamięć Nieobecnych. Tak rozpoczął się Zjazd jeszcze jednym rachunkiem — smutny i pełen nadziei.

Zebrani przedstawiciele myśli i słowa, nie rzadko jeszcze w mundurach, analizowali cywilnie i rzeczowo przeszłość, analizując siebie.

Literatura polska powinna zwiększyć czujność samoobronną. Człowiek musi z całą świadomością uważać na siły anonimowe, które — niehamowane i zostawione samopas — wybuchnąć mogą znowu z furią już największą. Postęp u początku swej drogi nie kontrolował dostatecznie stron, które drogę otaczają. Problem, w czyim ręku będzie władza, wobec rewelacyjnych możliwości wiedzy jest dziś stokroć ważniejszy aniżeli w okresie, gdy odkrycie prężności pary było rewelacją. Bardzo sugestywnie na ten temat mówił wybitny pisarz i mówca Jerzy Putrament. Ludzie kultury nie mogą odchodzić w głąb peryferii osobniczych. Z mocy ich dzieła korzystać mogą w czas ich abnegacji ludzie nie to — złej woli, po prostu — barbarzyńcy. A drugiej takiej nocy, jak co dopiero miniona, nie przeżyje nie tylko nasza kultura ale i ludzkość tej kultury.

—O—

Na przewodniczącego Zjazdu ustępujący prezes Julian Przyboś zaproponował Jana Wiktora. Zebrani przyjęli projekt przez aklamację. Obok Wiktora za stołem prezydialnym zasiedli: Leon Kruczkowski, Jan Nepomucen Miller, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Czachowski i Edward Kozikowski — generalny sekretarz Zjazdu. Jan Wik-

tor wygłosił żarliwe przemówienie wzywające pisarzy do obrony godności człowieka.

Rozpoczął się cykl odczytów. Były to wyznania ideologiczne ustępujących członków Zarządu Głównego. Złożyło się tak, że były to wyznania czterech czołowych poetów pokolenia średniego, dysponującego największym zasobem sił intelektualnych i talentu. Przemawiali więc Adam Ważyk, Mieczysław Jastrun i Julian Przyboś; Jerzy Putrament zrzekł się na razie głosu na korzyść Adama Polewki, sam rezerwując sobie czas w toku dalszych obrad. Tegoż dnia po południu wystąpił z przemówieniem, którego sens zanotowaliśmy już na wstępie.

A więc Adam Ważyk. Ważyk w mundurze kapitana. Znany był zawsze z lakonicznego sposobu wyrażania jasnych choć nie najłatwiejszych myśli. Kiedyś w Warszawie, gdy marksizm był w Polsce wiarą prawie nieznaną, obcą nawet światłej inteligencji, nazywano Ważyka talmudystą. Czasy się zmieniły. Dziś uszom słuchaczy zdania Ważyka nie wydawały się dziwne. Miały sens bezpośredni. Można się godzić albo nie godzić z jego dialektyką, ale jest to dialektyka w Polsce potrzebna — chaos wymaga przede wszystkim ujęcia. Bez racjonalnej, rzeczowej metody nie wyszlibyśmy ze świata, który burzy się jeszcze nie tylko ostatnimi falami obcego barbarzyństwa, ale i nurtem anarchii własnej, która jeszcze przed dwoma laty mogła mieć swój sens.

Jastrun wygłosił treściwy odczyt literacki o podkładzie porównawczo-historycznym. Z uwag przede wszystkim słusznych trzeba zanotować: o łączności romantyzmu z psychologizmem — o krytyce poezji Leśmiana, „poety jednej struny, małej metafory". Rzutem żarliwego życzenia chce Jastrun wprowadzić w tok poezji polskiej „metaforę dużą". Tak od Chopina chciał Mickiewicz wielkiej symfonii, narodowej opery.

Przyboś jest bliższy racji Chopina, broniącego się przed życzeniami i warunkami. Przyboś mówił o wielkiej poezji narodowej, dla której za wzór stawiał Chopina. Nie wystarczy wysiłek dobrej woli społecznej — dopiero wielka twórcza indywidualność wydobywa ze społecznego narodowe, dopiero wielki talent zbliża świat do świata narodów nawet małych. Czynnikiem unarodowienia jest także oddalenie. Nie był przez współczesnych uważany za narodowego ani Kochanowski, ani Krasicki, ani Norwid. — Przyboś zastrzega się przed narzucaniem wzoru. Wielki romantyzm może być przykładem a nie wzorem poezji rewolucyjnej.

Przemawiał Polewka już nie słowami stylu pisarskiego — ale gromami; w wypowiedzi jego były zdania naprawdę zastanawiające: „idą czasy większe nie tylko od ludzi — większe od narodów".

Po referatach zaczął dyskusję prof. Borowy. Choć innym stylem i inną metodą, ale z troską o dobro tej samej sprawy — humanizmu. Humanizmu, który zarówno z przymiotnikiem „realistyczny", jak „społeczny", czy „nowy" — zawsze będzie godnym współtwórcą prawdziwej demokracji.

Autor niniejszego sprawozdania — drugi z kolei mówca — próbował bronić przymiotnika: psychologiczny, którego nie powinno braknąć w zestawieniu, i który nie tylko obwaruje ale i ugruntuje znowu racje człowieka — sprawę zgubioną w powodzi faszystowskiego barbarzyństwa. Psychologia, która w latach 34—39 odeszła w peryferie analizy, musi teraz pomóc przy rachunku i oskarżeniu zbrodniarzy niemieckich i niszczycieli nie tylko ciał ale i psychik ludzkich, niszczycieli stosunków między narodami, trucicieli atmosfery w której człowiek czuł się przecież kiedyś bezpieczny i w której człowiek znowu musi czuć się sobą.

Kazimierz Wyka rzeczowym wywodem polemizował z projektami i życzeniami przedmówców i na własny sposób próbował kreślić możliwy obraz rozwoju literatury. Nie można się urzekać chęciami i postulatami. Przychówek literacki jest ubogi: zupełny brak młodych krytyków, młodych poetów, — prozaicy idą raczej drogą swoich poprzedników — a więc nurt i typ przedwojennej noweli, powieści, opowiadania nie uległ większej zmianie. Absolutnie krytyczna ocena ostatniego dziesięciolecia przed wojną może się okazać zbyt pochopna. Jej walor broni się także perspektywami, siłą, która bądź co bądź zmusza do kontynuacji. Naród, który w swym języku nie ma słowa kontynuować (zdanie z Duhamela) nie może lekceważyć treści pojęcia.

—O—

Wiele czasu i sił delegatów (zwłaszcza głównego referenta Wyki) pochłonęła dyskusja nad nowym statutem. Wyszła na jaw prawda stara jak świat ludzki, że pisarze nie bywają mistrzami zdania żywego i świadomości prawniczej. Mimo tych organicznych, indywidualnych przeszkód statut uchwalony został w myśl nowych potrzeb kultury społecznej. Związek roztaczać będzie specjalną opiekę przede wszystkim nad młodzieżą literacką. Ustanawia się coś w rodzaju aplikantury (kandydat na członka), ale czas wstępny będzie już kontaktem z doświadczeniem pisarzy starszych. Związki wspólnie z Min. Kultury i Sztuki rozszerzą

Kluby Literackie, zorganizują studia ważne dla wszelkiego rodzaju utalentowanych samouków. Zespoły pisarzy chłopskich pozostawać będą odtąd w stałym porozumieniu z filiami Związku w większych miastach. Rzeczywiści członkowie Związku pochodzenia chłopskiego staną się najlepszymi łącznikami między pisarzami kultury istniejącej i pisarzami kultury przychodzącej.

Organizacja pisarzy przestała być towarzystwem wzajemnej adoracji, komórką piękna poza organizmem społecznym, a staje się już wzrastającą siłą — systemem nerwowym nowego porządku. Wszystkie organizacje społeczne potwierdziły swą łączność z ruchem literackim, przysyłając swoich delegatów na Zjazd. Był po raz pierwszy wśród artystów piszących zwykły robotnik, przedstawiciel Związku Związków Zawodowych (najwięcej oklaskiwany), był przedstawiciel Tow. TUR, był przedstawiciel żołnierzy, byli przedstawiciele kultury chłopskiej.

—O—

Wybory nowych władz dzięki sprawnie działającej komisji skrutacyjnej dały następujące wyniki: prezesem Zarządu Głównego został Jarosław Iwaszkiewicz, sekretarzem generalnym Ryszard Dobrowolski, wiceprezesami Adam Polewka i Mieczysław Jastrun, członkami Zarządu Edward Kozikowski, Stanisław Piętak i Tadeusz Breza. Do komisji rewizyjnej wybrano przez aklamację Dzikowskiego, Truchanowskiego i Natansona, do sądu koleżeńskiego Czachowskiego, Boguszewską i Rogowicza. Powołane zostały dwie komisje kwalifikacyjne. Zwykła — na okres kadencji Zarządu Głównego — i nadzwyczajna: dla jednorazowego zbadania kwalifikacji zawodowych dotychczasowych członków. Do pierwszej komisji weszli: Andrzejewski, Miłosz, Rogowicz, Zawieyski i Wyka; do drugiej: Iwaszkiewicz, Kołoniecki, Kozikowski, Maśliński, Otwinowski, Parandowski, Putrament, Wołoszynowski, Wyka, Zagórski, Andrzejewski i Breza.

Rezultatem Zjazdu były między innymi ważne uchwały potępiające ekscesy antysemickie oraz pisarzy kollaboracjonistów: Emila Skiwskiego, Feliksa Burdeckiego, Stanisława Wasylewskiego. Z uchwał dotyczących poprawy warunków bytu pisarzy polskich wymienić trzeba uchwałę zobowiązującą Zarząd Główny do czuwania nad normami honorariów i tantiem, do poczynienia odpowiednich kroków w Min. Kultury i Sztuki, Min. Skarbu i Sprawiedliwości, zmierzających do obniżenia skali podatku dochodowego dla literatów, i ewentualne zwolnienie ich od podatku na przeciąg lat trzech. Zjazd postanowił powołać do życia komisję prawniczą dla opracowania podstawowych tez prawa autorskiego. W sprawie gospodarki papierem postanowiono wystąpić o przyznanie Min. Kultury i Sztuki stałych przydziałów papieru, który by następnie rozdzielany był między poszczególne oddziały Związku na cele wydawnicze i do zawodowego użytku członków Związku. Zjazd wezwał pisarzy posłów Krajowej Rady Narodowej o wniesienie i czuwanie nad wnioskiem o ustawie bibliotecznej. Zjazd delegatów Związku Zawodowego postanawia domagać się przywrócenia pisowni dawnej z okresu poprzedzającego ostatnio przyjęte zmiany. W końcu odczytana została i przyjęta przez aklamację deklaracja ideowa, do redakcji której delegowani zostali Zofia Nałkowska, Helena Boguszewska i Jarosław Iwaszkiewicz. Deklaracja ideowa:

„My pisarze polscy zgromadzeni na pierwszym zjeździe w wyzwolonej, niepodległej i demokratycznej Polsce, w szóstą rocznicę wybuchu wojny, składamy hołd bohaterom, którzy przelali krew na wszystkich frontach walki z faszyzmem.

Głęboko jesteśmy przeświadczeni, że tylko całkowite powalenie faszyzmu, który niósł zagładę kulturze świata, otwiera nową, lepszą epokę w dziejach ludzkości i ratuje dobro kultury od zniszczenia.

W sojuszu twórczej polskiej myśli z mocami postępu i demokracji, które podjęły ciężar przebudowy świata, pragniemy, aby słowo „ludzkość" istotnie zawierało w sobie najszlachetniejsze człowiecze wartości. Biorąc rozbrat z ideami wstecznictwa, oparci o najlepsze tradycje polskiej i europejskiej myśli humanistycznej, pragniemy również, aby pióra nasze sprostały przetworzeniu w artystyczny kształt wszystkich dążeń i przeżyć naszego Odrodzonego Narodu i Odrodzonej Ludzkości.

Postanawiamy twórczością naszą współdziałać przy kształtowaniu takiej psychiki nowego człowieka, aby stanowiła ona gwarancję, że zbrodnie straszliwej wojny nie powtórzą się nigdy.

Jesteśmy przekonani, że pogłębienie stosunku naszego do zagadnień społecznych i kulturalnych pozwoli nam na rozszerzenie zasięgu naszego działania. Wierzymy, że tą drogą literatura przeniknie do mas, nie tylko nie obniżona w swoim poziomie, lecz realizująca swoje najwyższe możliwości. W szczególności kładziemy nacisk na odbudowę moralnych podstaw społeczeństwa i uważamy wysoki poziom etyczny

twórczości literackiej za najbardziej akcentowany przez nas postulat.

Wierzymy, że odtąd rozpocznie się nowy etap odrodzonej literatury polskiej, dążącej do wielkości przez służbę dla Narodu i dla Człowieka."

W czasie dyskusji nad wnioskami okazało się jeszcze raz, że najlepiej zorganizowany, najpraktyczniej działający jest oddział łódzki; że Kraków jest najbogatszy w indywidualności, czasami zgoła fantastyczne, czasami zgoła reakcyjne; okazało się że Warszawa jest jeszcze ciągle nawet przez stan myśli swych twórców miastem własnego życia; okazało się, że Poznań nie lubi mówić, a do słów koniecznych używa warszawiaka Kołonieckiego; okazało się, że Śląsk ma dużo do powiedzenia, choć ludzi ma bardzo niewielu. A więc usłyszeliśmy znowu głos niemal wszystkich wybitnych przedstawicieli pisarstwa polskiego. Rzeczowy: Przybosia, Wyki, racjonalny: Ważyka, Kotta, Jastruna, Kornackiego, intelektualny: Nałkowskiej, Miłosza, Brandysa, frapujący: Putramenta, Polewki, gromki: Dobrowolskiego, ważki: Piętaka i Kobieli, prawniczy: Brzechwy, przewlekły: Zagórskiego i Króla, lakoniczny: Brezy, kobiecy: Melcer i Kowalskiej. Zdaje się, że przez cały czas obrad nie wydali ze siebie publicznego głosu tylko dwaj najwybitniejsi prozaicy średniego pokolenia: Andrzejewski i Rudnicki. Najwłaściwszym sprawozdawcą byłby świetny obserwator i pracowity wice-przewodniczący Zjazdu Jan Nepomucen Miller. Pomoc praktyczną mógłby mu okazać sekretarzujący — cichy Kozikowski. Enigmatyczny był Jerzy Zawieyski. Czyżby z myśli i replik układał kontrapunkt dramatyczny? Czekamy. Dobry dramat i dialog pozostają w związku (niezawodowym) z dobrym parlamentem. Może zobaczymy i w ten sposób kiedyś, czy był to naprawdę dobry i płodny sejm. Sztuka rośnie wolno, jak przypomniał Jastrun i skutki reform nie są widoczne od razu. Ale nadzieja jest ważna od początku dzieła.

Stefan Otwinowski

WALNY ZJAZD ARTYSTÓW PLASTYKÓW

Dnia 2 września 1945 r. zakończył swe sześciodniowe obrady pierwszy Walny Zjazd Delegatów Zawodowego Związku Polskich Artystów Plastyków w Krakowie.

W Zjeździe uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych z wicemin. Kult. i Szt. Leonem Kruczkowskim na czele, oraz delegaci bratnich Zw. Zaw.: Artystów teatralnych, Literatów, Muzyków i Architektów.

Obradom przewodniczył Prezes Krakowskiego Związku P. A. P. prof. Czesław Rzepiński.

Po uczczeniu pamięci zamordowanych przez Niemców plastyków i ustaleniu tekstów telegramów do przedstawicieli Rządu, uchwalono rezolucję w sprawie zajść antyżydowskich w Krakowie potępiając zdecydowanie *krwawą prowokację hitlerowskiej reakcji i ciemnoty.*

Sprawozdanie Prezesa Głównego Zarządu ob. Teisseyre'a stwierdziło, że zorganizowanie Związku Plastyków w Lublinie 3. 8. 1944 jest charakterystycznym objawem żywotności artystów plastyków w Polsce. Związek nawiązał ścisłą współpracę z Ministerstwem Kultury i Sztuki, ściślej z Dyrektorem Departamentu ob. Rafałowskim.

W tej chwili istnieje na terenie Polski sześć okręgów, w których jest zarejestrowanych około 2.000 plastyków.

Do najważniejszych zagadnień, nad którymi pracowano dotychczas było organizowanie możliwości pracy dla członków Związku, zdobywanie domów, oraz ośrodków pracy (Łańcuchów, Łuczanowice) i zakładanie stołówek.

Drugą czynnością było urządzanie wystaw sztuki, z których należy wymienić wystawę *Polonia* w Lublinie, wystawę prac plastyków pomordowanych w Oświęcimiu, wystawę pośmiertną Kamockiego i Sichulskiego w Zakopanem, oraz pierwszą wystawę członków Związku Plastyków w Krakowie.

Z kolei przystąpiono do wysłuchania i przedyskutowania referatów. Myślą przewodnią pierwszego referatu Krajewskiego na temat: *Zagadnienie plastyki na tle sytuacji społecznej w Polsce* było stwierdzenie, że produkcja artystyczna jest w pierwszym rzędzie sprawą moralności i poczucia artystycznego każdego artysty, którego rozwój jest jedynie dokumentacją życia; temu rozwojowi w naszej plastyce powinniśmy służyć, torować mu drogę i usuwać zapory. Z tego wynika konieczność ochrony tych kierunków i twórców, których cechuje duża

świadomość budowania obrazu i odpowiedzialność za jakość dzieła sztuki. To stanowisko trudne jest do uzgodnienia z potrzebami jedynego dziś konsumenta, jakim jest państwo, którego potrzeby związane są z plastyką o charakterze monumentalnym i tematycznym, nie mającym u nas tradycji. Przystosowanie się do potrzeb takiego konsumenta grozi obawą obniżenia poziomu i zatraty zdobytych już wartości. — Referat zakończony został wnioskiem:

Walny Zjazd Delegatów P. A. P. stwierdzając, że rozwój sztuki polskiej wiąże się nierozdzielnie z demokratyzacją życia społecznego, oceniając rolę plastyki w rozwoju kulturalnym narodu, wyraża pewność, że zmiany nadchodzące w życiu naszego kraju znajdą swój wyraz w plastyce.

Najważniejszym był referat St. Teisseyre'a: *Rola i zagadnienia Związku i program Związku na najbliższą przyszłość* (zmiany statutu).

Po scharakteryzowaniu stanu rzeczy wytworzonego przez zniszczenia dokonane przez okupanta w zakresie sztuki (a więc wymordowanie całego szeregu artystów, zniszczenie tysięcy dzieł sztuki, oraz zerwanie kontaktu artystów ze społeczeństwem), referent wyraża zdanie, że najważniejszą akcją przed jaką stoi Związek jest wciągnięcie jak najszerszych warstw społecznych w orbitę oddziaływania sztuki przez odpowiednio zorganizowane nauczanie, wystawy, odczyty itd.

Aby to uskutecznić konieczną jest współpraca Związku z czynnikami państwowymi, dla których Związek ma stać się instytucją doradczą i opiniodawczą w sprawach dotyczących sztuki i jej popularyzacji. Dalszą rolą Związku jest stworzenie takich warunków, by talenty się nie marnowały. Jest bowiem zbrodnią społeczną zmarnowanie takich talentów jak Gierymskiego oraz wielu innych, których życie upłynęło na walce o byt, zamiast na pracy twórczej.

Dlatego działalność Związku powinna zmierzać do tego, by byt materialny artystów został zabezpieczony przez zatrudnianie ich jako kierowników artystycznych w fabrykach odpowiednich działów, oraz przy wyposażeniu artystycznym nowych budynków. Poza tym należałoby utworzyć Galerię Sztuki Współczesnej oraz zorganizować system stałych zakupów i zamówień, które łączyłyby się z polityką wystawową Związku.

Wielki nacisk kładzie referent na organizowanie Spółdzielni Artystycznych przy Związkach, które muszą być jednym z czynników popularyzowania sztuki dnia codziennego. — Wystawy organizowałyby Związki Okręgowe, zaś Zarząd Główny organizowałby wystawy o znaczeniu ogólnopolskim, oraz wystawy zagraniczne.

Wydawnictwa spełniać mają rolę popularyzowania sztuki, dlatego należy wznowić wydawanie *Głosu Plastyków*, organu, który w czasie swej krótkiej działalności udowodnił, co można w tej dziedzinie zrobić. Niemniej ważną sprawą są wydawnictwa z dziedziny kultury i sztuki i wydawnictwa monograficzne, tłumaczone na obce języki.

W zakresie kontaktów z zagranicą pożądane byłoby urządzanie wyjazdów artystów na studia do ważniejszych centrów sztuki.

Wielką wagę przywiązuje referent do organizowania „Galerii reprodukcji i obrazów". Zniszczenie jakim dotknięte zostały nasze miasta, a z nimi i zabytki sztuki, zniewala nas ponadto do zorganizowania działania nad ochroną zabytków.

Ścisłą współpracę z Ministerstwem Kultury i Sztuki i Ministerstwem oświaty przewiduje się w organizowaniu: a) szkolnictwa artystycznego, b) kursów wakacyjnych, c) pracowni wakacyjnych dla członków.

Przesunięcie granicy państwa na Zachód stawia Związek przed koniecznością dania pomocy tym plastykom, którzy chcieliby się tam przenieść.

Specjalne znaczenie przywiązuje się do współpracy z narodami słowiańskimi na terenie sztuki w dziedzinach:

1. Urządzanie wymiennych wystaw z bogato ilustrowanymi katalogami, zawierającymi monograficznie opracowane wiadomości o wystawach. 2. Wydanie Antologii sztuki słowiańskiej. 3. Wymienne stypendia do dyspozycji Akademii Sztuk Pięknych. 4. Ambasady sztuki w stolicach państw słowiańskich pomyślane jako salony stałe z wszystkich działów sztuki.

Aby Związek mógł wypełnić te zadania musi nastąpić przebudowa wewnętrznej struktury, a co za tym idzie zmiana statutu Związku. Zmiana ta polega na tym, że wszyscy plastycy, którzy wykażą się odpowiednimi studiami artystycznymi i aktywnością w zakresie pracy artystycznej stają się automatycznie członkami Związku.

Z łona tych członków utworzono Radę Artystyczną, której zadaniem jest zrealizowanie postulatów wyłonionych przez Walny Zjazd Delegatów. Nowy statut odczytany przez kol. Teisseyre'a został przyjęty przez aklamację.

Projekt organizacji Sztuk Plastycznych w Polsce referowany przez ob. Rafałowskiego, Dyrektora Departamentu Kultury i Sztu-

ki, streszcza się w czterech punktach głównych: 1. Rola państwa (opieka nad sztuką i artystą), 2. Rola sztuki w gospodarce narodowej, 3. Rola Związków zawodowych, 4. Rola argumentu politycznego i społecznego.

Wychodząc z założenia, że najlepszym sposobem scementowania mas jest oświata, kultura i sztuka, że przez te czynniki wychowamy nowego obywatela Polski — państwo winno zapewnić polskiemu artyście poparcie w jego pracy — choćby takie, jakie mają wszyscy pracownicy państwowi. Sprawę tę należałoby uregulować drogą dekretów obejmujących następujące punkty: 1. Opodatkowanie świadectw przemysłowych i patentów na rzecz sztuki. 2. Opodatkowanie wszelkich kosztorysów nowopowstających budowli. 3. Przekazanie budżetu b. Funduszu Kultury Narodowej Ministerstwu Kultury i Sztuki. 4. Ubezpieczenie i emerytury. 5. Zabezpieczenie wdów, sierót i rodzin po zamordowanych, a zasłużonych artystach. 6. Subwencjonowanie Związku Polskich Artystów Plastyków. 7. Budżet Departamentu Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki winien odpowiadać istotnym potrzebom. 8. Państwo winno subwencjonować dwie ogólnopolskie wystawy rocznie. — Tezy zawarte w powyższym referacie znalazły całkowite zrozumienie i poparcie Zjazdu, na skutek czego wniosek o wyrażenie pełnego zaufania kol. Rafałowskiemu jako Dyrektorowi Departamentu został przyjęty ogólną zgodą. Podobnie przeszedł wniosek o utrzymanie Ministerstwa Kultury i Sztuki, z uwagi na dotychczasową pracę i osiągnięcia tyczące realizacji postulatów stawianych przez Związek Zaw. Pol. Artystów Plastyków oraz ze względu na tak cenną i pożyteczną dla krzewienia polskiej kultury i sztuki działalność.

Referat kol. Telakowskiej nawiązywał do jednego z punktów poruszanych przez kol. Rafałowskiego, a mianowicie do włączenia sztuki w gospodarkę państwową. Zagadnienie to wiąże się z zagadnieniem stosunku twórczości do życia społecznego z punktu widzenia: 1. Interesów gospodarczych kraju. 2. Zagadnień sprawiedliwości społecznej. 3. Problemów kultury.

Podając liczne przykłady referentka udowadnia, że sztuka włączona w przemysł może przynieść państwu ogromne zyski, nie tylko gospodarcze, ale społeczne i kulturalne; potrzeba tylko, i to zaraz, programu zasilania twórczością odpowiednich działów rękodzieła, rzemiosła i przemysłu. Program ten musi być ściśle związany z organizacją całego życia artystycznego a mianowicie: 1. Z organizacją szkolnictwa artystycznego plastyki. 2. Z organizacją dokształcenia zespołów dojrzałych plastyków do bezpośrednich zadań w rzemiośle i przemyśle (praktyki, kursy). 3. Z akcją racjonalnej produkcji surowców (np. suszarnie drzewa, chów owiec o wysoko wartościowej wełnie, farbowanie lnu, konopi, wełny, obróbka łyka, wikliny, połów bursztynu itp.). 4. Z akcją wydawniczą (wzorniki, kolekcje modeli, żurnale, samouczki, podręczniki). 5. Z odpowiednią akcją propagandową.

Przed artystami wychowanymi w nowej szkole staje nowe, pionierskie zadanie, a mianowicie: 1. Stosowanie sztuki monumentalnej, dostępnej dla mas, na codzień, w budowlach użyteczności publicznej. 2. Uaktywnienie swym talentem produkcji przemysłowej, rzemieślniczej i rękodzielniczej. 3. Praca nad wydawnictwem książek, podręczników, poradników, czasopism itd. 4. Podniesienie form plastycznych reklamy handlowej. 5. Uszlachetnienie barw wszelkiej propagandy. 6. Praca w szkolnictwie i upowszechnianie sztuki, praca pionierska nad krzewieniem twórczości na każdym szczeblu kultury i w każdym środowisku.

W czwartym dniu Zjazdu uczestniczył Wiceminister Kult. i Sztuki ob. Leon Kruczkowski, który podkreśliwszy nie tylko liczebność, ale i prężność organizacji Zw. Plastyków zwrócił uwagę na szeroki zakres zagadnień otwierających się przed działalnością Związku. Oto niektóre z nich: Konieczność ujęcia całości zjawisk kultury plastycznej i objęcia opieką wszystkich pracowników sztuki. Drugi problem to zajęcie postawy wobec nowej rzeczywistości, gdyż artysta nie może być osobowością oderwaną od całokształtu formujących się zjawisk ogólnospołecznych. Sztuka ma dla państwa dwa aspekty: kulturalny i gospodarczy. Państwo stoi na straży upowszechnienia kultury i sztuki i dba o przeniknięcie jej w najszersze masy.

Pod aspektem gospodarczym rozumiemy stworzenie szerokiej bazy ekonomicznej dla twórców, w pierwszym rzędzie dla twórców czystej sztuki. Państwo zdaje sobie sprawę z ważności pracy artystów sztuki czystej (w odróżnieniu od sztuki stosowanej), gdyż jest to praca laboratoryjna, która daje początek wszelkim innym poczynaniom artystycznym.

Państwo zdaje sobie sprawę, że o ile sztuka użytkowa zamykać się powinna w ramach pierwiastków rodzimych, lub ludowych, o tyle w postępie sztuki wielkiej decydują kontakty w skali ogólnoświatowej. Stąd wynika konkluzja stworzenia jak najszerszej bazy dla rozpowszechnienia sztuki,

otoczenia artystów (laboratoryjnych) jak największą opieką, oraz dania im głosu decydującego w całokształcie zagadnień artystycznych, przy czym jednak nie należy stwarzać przedziału między jedną a drugą, gdyż cel końcowy jest ten sam. Właściwym więc zagadnieniem jest znalezienie miejsca dla jednych i drugich.

Po zorganizowaniu Komitetu Organizacyjnego Rady Artystycznej wybrano 88 członków tejże Rady Art. pochodzących z całej Polski.

W referacie *Ramowy program szkolnictwa artystycznego w Polsce* przedstawił kol. Tomorowicz projekt wychowywania społeczeństwa już od najmłodszego wieku w kierunku uwrażliwienia na zagadnienia artystyczne, w celu stworzenia przyszłych konsumentów sztuki.

Poza tym przedłożył plan szkolnictwa artystycznego, streszczający się w zakładaniu Liceów Plastycznych, Liceów Rzemiosł i Przemysłu Artystycznego, Instytutów Sztuk Plastycznych i Akademii Sztuk Pięknych.

Oprócz wymienionych szkół Z. P. A. P. przewiduje organizowanie: 1. Kursów rysunków i malarstwa dla dzieci do lat 12. 2. Kursów rysunków i malarstwa dla młodzieży do lat 18-tu. 3. Wolne szkoły malarskie i rzeźbiarskie dla osób pracujących w innych zawodach. 4. Ognisk kultury plastycznej mających na celu rozbudzenie zamiłowania do sztuk plastycznych w społeczeństwie. 5. Kursy wakacyjne dla nauczycieli plastyków. 6. Wyższe kursy nauczycielskie. 7. Państwowe szkoły przeszkolenia nauczycieli. 8. Jednoroczne kursy w Instytutach Sztuk Plastycznych dla absolwentów Akademii Sztuk Pięknych w celu zapoznania ich z daną specjalnością użytkową. 9. Ognisk wakacyjnych pod kierunkiem wybitnych artystów. 10. Publiczno-prywatnych pracowni wybitnych artystów plastyków.

Poza tym zgłoszono i uchwalono cały szereg wniosków tyczących: malarstwa religijnego, opieki nad sztuką ludową, utworzenia wydziałów pedagogicznych przy Akad. Sztuk Pięknych, utworzenia sekcji teatralnej z kompetencjami wglądu i decyzji w kwestii poziomu dekoracyj, konieczności współudziału plastyków w dziedzinie odbudowy kraju, współpracy z bratnimi Związkami artystycznymi.

Wreszcie Walny Zjazd Delegatów wybrał władze Zarządu Głównego Z. P. A. P. w osobach:

Kol. Teisseyre St. Prezes
„ Cybis Jan, Wc.-Prezes
„ Krajewski, Wc.-Prezes
„ Tchorek K., Sekretarz
„ Strynkiewicz, Skarbnik
„ Tomorowicz
„ Gerżabek
„ Eibisch
„ Daszewski

Komisja Rewizyjna:

Kol. kol. Geppert, Radnicki, Chrostowski.

Sąd Koleżeński:

Kol. kol. Wolff, Pronaszko Andrzej, Wasilkowski.

Na zakończenie Zjazdu Delegaci zwiedzili Muzeum Narodowe, oraz pierwszą Wystawę Sztuki członków Zawodowego Związku P. A. P.

Leon Dołżycki

ZJAZD KOMPOZYTORÓW

Jeżelibyśmy kulturę muzyczną jakiegoś narodu mierzyli wyłącznie wiekowym dorobkiem jego w dziedzinie pierwotnej „nieartystycznej", bezimiennej a najgłębiej zawsze ducha narodu wyrażającej pieśni ludowej, to musielibyśmy niezawodnie uznać naród polski za jeden z najbardziej rozwiniętych muzycznie, za jeden z najdojrzalszych w tej dziedzinie sztuki, która w Polsce bogactwem, oryginalnością i tężyzną folkloru bije niemal wszystkie inne narody europejskie. Jeżeli natomiast za miernik istotnej kultury muzycznej uznalibyśmy zespół faktów i procesów, które potocznie nazywamy „życiem muzycznym", a których istotną treścią jest organizacja konsumpcji muzyki, to sąd nasz wypadłby diametralnie przeciwnie: okazałoby się, że stoimy — ilościowo i jakościowo — na szarym końcu w dziedzinie upowszechnienia muzyki i znów, jak w tylu innych wypadkach, musielibyśmy wzywać imienia Albanii, aby uchronić się od ostatniego miejsca w rodzinie narodów naszego kontynentu.

Kulało u nas zawsze życie muzyczne i nie szczędziło jak najbardziej rażących dysproporcyj. Kiedy przechodzimy myślą dzieje naszej kultury muzycznej w XIX w., przy-

pomina się nam balzakowski opis Ukrainy: olbrzymia, ciemna, na najniższym stopniu rozwoju stojąca masa, a na tym tle olśniewające meteory poszczególnych „kwiatów" kultury. Klasyczny przykład w tej dziedzinie, Chopin, zdawał sobie — jak to z jego listów wynika — jasno sprawę, że nie mógłby rozwinąć się w ramach ówczesnego życia muzycznego w kraju, a skądinąd wiemy w jak przykry i bolesny sposób zaciążyły warunki tego życia na twórczości Moniuszki. Sprzyjało natomiast nasze życie muzyczne zawsze produkcji miernot wszelkiego rodzaju, miernot, które jedynie w prowincjonalnie bezkrytycznym stosunku społeczeństwa do muzyki mogły znaleźć warunki mniej lub więcej znośnego bytowania.

Wiek XIX doprowadził do ostatecznego apogeum metodę apercepcji muzyki za pomocą publicznego, płatnego koncertu, czy równie publicznego przedstawienia operowego. Umożliwienie dostępu do sal koncertowych każdemu, kto miał na to pieniądze (podczas kiedy wiek XVIII jest raczej epoką „kapel książęcych") było oczywiście zwycięstwem liberalnej burżuazji i podniosło walnie kulturę muzyczną warstw mieszczańskich. Ponieważ jednak układ stosunków socjalnych w Polsce (ściśle biorąc w Kongresówce i Galicji) był inny, ponieważ nie mieszczaństwo, a dwory w dalszym ciągu reprezentowały kulturę polską, więc w rezultacie nie mogło być i nie było u nas tego rozkwitu życia koncertowego, jakie cechowało szczególnie w drugiej połowie zeszłego stulecia społeczeństwa o mocnej i przodującej warstwie mieszczańskiej. Nader kruche podstawy ekonomiczne kilku wegetujących instytucyj koncertowych z jednej, a kompletny brak krytycyzmu i wyrobienia artystycznego u nielicznej publiczności z drugiej strony, dają właściwy obraz naszego życia muzycznego na przełomie XIX i XX wieku, obraz, upiększony pewną ilością nazwisk wybitnych artystów-wykonawców, którzy niemal wszyscy talenty swe i umiejętności ze zrozumiałych względów złożyli w ofierze zagranicy.

W pierwszych latach naszego wieku występuje na arenę naszego życia muzycznego garstka kompozytorów, których dziś obejmujemy (niesłusznie zresztą) mianem „Młodej Polski w muzyce". Prócz wybitnych talentów twórczych, które ich cechowały, łączył rozbieżne skądinąd dążności tych muzyków jeden wspólny postulat: walki z zaśniedziałym prowincjonalizmem naszego życia muzycznego, dążność do szerokiego otwarcia drzwi współczesnym prądom europejskim, dogonienia Europy w naszych półwiekowych zaległościach. Dzieje tej grupy były normalnymi dziejami każdej takiej komórki: grupa się rozpadła, zostały nazwiska. Karol Szymanowski, światowej miary kompozytor, kontynuator Chopina i przewodnik całej dzisiejszej, tak bogatej twórczości muzycznej polskiej, oraz Grzegorz Fitelberg, równie wielkiej miary kapelmistrz, człowiek, który wieloletnią systematyczną pracą zapoznał społeczeństwo polskie z całą nowszą i współczesną muzyką europejską, artysta, który dla upowszechnienia i podniesienia poziomu muzyki polskiej zrobił więcej, niż wszystkie organizacje muzyczne polskie razem wzięte. W cieniu tych ludzi i pod ich opieką wyrosła i doszła do głosu w okresie międzywojennym generacja muzyków, wyposażona — niezależnie od większego lub mniejszego talentu osobistego — po raz pierwszy w Polsce w europejskie rzemiosło muzyczne, świadoma dokładnie wszystkich bolączek naszego życia muzycznego i pełna poczucia odpowiedzialności społecznej i społecznego znaczenia swej pracy. Ich to dziełem był *Ormuz*, organizacja muzyczna, która w latach międzywojennych urządzała setkami koncerty w najmniejszych nawet miasteczkach, docierając wśród największych trudności do najbardziej oddalonego konsumenta, oni też ruszyli z miejsca sprawę polskich wydawnictw muzycznych, sprawę drukowania polskiej muzyki, która w zasadzie istniała tylko w rękopisach i kopiach odręcznych, a czym to grozi, przekonaliśmy się przecież ostatnio! Oni też potworzyli młode i ruchliwe organizacje w rodzaju Towarzystwa Miłośników Dawnej Muzyki lub Towarzystwa Muzyki Współczesnej, których działalność pięknie się rozwinęła na tle marazmu czcigodnych, mało ruchliwych dawniejszych Towarzystw Muzycznych.

Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że nad całą tą działalnością leżała kamieniem połowiczność, brak środków, a przede wszystkim brak zdrowych podstaw społecznych, tak charakterystyczny dla okresu międzywojennego, ale tym niemniej przyznać trzeba, że muzycy nasi młodszego pokolenia zdali egzamin ze swego uspołecznienia i okazali troskę serdeczną o poszerzenie i pogłębienie zasięgu kultury muzycznej w Polsce.

—O—

Jest cechą charakterystyczną, że w młodej generacji muzyków naszych największą aktywność, największe zainteresowanie wszystkimi — nawet nie dotyczącymi ich bezpośrednio — sprawami życia muzycznego wykazują kompozytorzy. O ile bowiem cechą poprzednich generacyj muzyków pol-

skich był niemal absolutny brak kompozytorów stojących talentem i umiejętnościami na obowiązującym poziomie europejskim w przeciwieństwie do sporej ilości wirtuozów i śpiewaków, których eksportowaliśmy na „szeroki świat", o tyle w okresie drugiej niepodległości i w chwili obecnej sytuacja wygląda przeciwnie. Na arenę międzynarodową wystąpił kompozytor polski, a liczba ofiarowanych światu wybitnych wykonawców polskich przerzedziła się znacznie. Ten stan rzeczy nie mógł pozostać bez wpływu na nasze krajowe życie muzyczne. W rezultacie w stosunku do sytuacji jaka panowała jeszcze przed dwudziestu czy trzydziestu laty postęp ogromny! Wykonywanie współczesnej muzyki polskiej wchodzi coraz bardziej w codzienną praktykę naszego skromnego życia muzycznego, a trudności z jakimi walczył jeszcze Karłowicz, są dla dzisiejszego kompozytora polskiego niemal nieznane. Równocześnie jednak z tym uznaniem, z jakim współczesna twórczość polska niewątpliwie coraz częściej się spotyka, rosną i obciążenia. Anomalią jest objaw, że kompozytorzy nasi, w rezultacie swej dużej aktywności odbiegają dość daleko od normalnej drogi pracy twórczej i mnóstwo swego czasu i energii poświęcają dziedzinom, które nie są ich specjalnością. Uczą, organizują życie koncertowe i zawodowe i mnóstwo czasu poświęcają działalności ogólno-organizacyjnej. Jakkolwiek ta hypertrofia zajęć ubocznych wypływa nie tylko z braku ludzi (nasze życie muzyczne zawsze chorowało na brak ludzi obdarzonych prawdziwym talentem organizacyjnym) ale też z głęboko pojętych i odczutych zainteresowań i obowiązków społecznych, tym niemniej dopiero przyszłość okaże, czy polska twórczość muzyczna nie poniosła w tym wszystkim dużej szkody. W każdym razie w chwili obecnej z pomiędzy wszystkich muzyków naszych kompozytorzy wywierają największy wpływ na kształtowanie się podstaw naszego przyszłego życia muzycznego.

—O—

W ostatnich dniach sierpnia odbył się w Krakowie pierwszy powojenny Zjazd Związku Kompozytorów Polskich. Zważywszy okres głębokich i istotnych przemian, jakie przeżywamy, było rzeczą oczywistą, że zjazd ten będzie ważnym etapem dla dalszego rozwoju naszej kultury muzycznej i kierunku w jakim pójdzie w nadchodzących latach jej krzewienie.

Związek Kompozytorów Polskich jest pomiędzy wszystkimi stowarzyszeniami artystów w Polsce związkiem najmniej licznym — obejmuje zaledwie około pół setki nazwisk artystów, którzy są — *sensu stricto* — kompozytorami poważnej muzyki czy to symfonicznej, czy kameralnej, czy operowej. Wszyscy inni muzycy tj. wirtuozi, kapelmistrze, śpiewacy, pedagodzy i instrumentaliści należą do Związku Muzyków, który jest stowarzyszeniem ściśle zawodowym, liczebnie i organizacyjnie bogato rozrośniętym. Z natury rzeczy Związek Muzyków jest organem, powołanym do praktycznego organizowania i wykonywania życia muzycznego, podczas gdy Związek kompozytorów, jako związek twórczy może tylko w pewnych, bardzo zresztą nieokreślonych granicach prowadzić politykę kulturalną oraz wpływać na ogólny kierunek życia muzycznego. Było jednak życzeniem zarówno Ministerstwa Kultury i Sztuki jak i całego naszego świata muzycznego, aby Związek Kompozytorów wypowiedział się na temat zasadniczej organizacji naszego życia muzycznego i rozmaitych jego bolączek. Życzeniu temu uczynili kompozytorzy nasi zadość w deklaracji programowej i w szeregu uchwał, które przynoszą zaszczyt ich zainteresowaniom społecznym i które tchną gorącą troską o przyszłość polskiej kultury muzycznej.

Abstrahując od spraw drobniejszej wagi, oto zasadnicza deklaracja Związku, dotycząca zarówno postawy społeczno-politycznej, jak i ujmująca najogólniej wytyczne organizacji polskiego życia muzycznego:

„Kompozytorzy polscy, zebrani na pierwszym w odrodzonej, niepodległej Ojczyźnie ogólnopolskim Zjeździe w Krakowie, deklarują niniejszym całkowitą zgodność z wszystkimi podstawowymi zasadami demokracji oraz zgłaszają swój aktywny wkład do dzieła odbudowy i upowszechnienia kultury polskiej. Zadania, jakie w obecnym czasie bierze na siebie artysta polski wypływają ze zrozumienia, że sztuka polska może zakwitnąć tylko w oparciu o najszersze, demokratyczne masy i że podstawą jej winien być związek duchowy z najidealniej pojętymi i realizowanymi hasłami humanitaryzmu.

Należy zdać sobie sprawę, że twórczość muzyczna polska nie była dotychczas należycie doceniana jako zagadnienie kulturalne, jakkolwiek szeroka platforma działania i wysoki poziom aktywności kompozytorów polskich nie ustępował w niczym osiągnięciom innych narodów w tej dziedzinie. To ostatnie predysponuje twórczość muzyczną polską do odegrania jak największej roli w dziele ekspansji kulturalnej Polski za granicą.

Obecnie nadeszła chwila właściwego zrozumienia istotnych zadań muzyki polskiej. Upowszechnienie kultury muzycznej stawia

przed kompozytorem polskim nowe zagadnienia i aspekty. Zjazd staje na stanowisku nie różniczkowania muzyki na elitarną i popularną, a wyznaje zasadę dostarczania konsumentowi w każdym wypadku muzyki jakościowo najlepszej.

W związku z tym powstaje konieczność przeorganizowania życia muzycznego na wielu odcinkach. Solidarną odpowiedzialność za to przeorganizowanie przyjąć winno tak Ministerstwo Kultury i Sztuki, jak i organizacje społeczne, a w szczególności Związek Zawodowy Muzyków R. P. oraz Związek Kompozytorów Polskich.

Zjazd opowiada się za następującymi formami organizacji polskiego życia muzycznego:

a) Jak najaktywniejszy udział twórców muzycznych w odbudowie Państwa Polskiego, a w szczególności wyzyskanie ich wpływu na wychowanie i kształtowanie nowego typu człowieka i obywatela w duchu ideałów prawdziwej wolności, demokracji i humanitaryzmu,
b) stworzenie materialnych i życiowych podstaw egzystencji dla polskiego twórcy muzycznego, który dotychczas był zmuszony w najcięższych warunkach realizować szczytne hasła swego powołania,
c) otoczenie najtroskliwszą opieką młodych talentów muzycznych i dopomaganie w ich pracy i studiach; dotyczy to w szczególności młodzieży wiejskiej i robotniczej,
d) troska o los polskiego muzyka (wykonawcy, pedagoga itd.) jako realizatora i pośrednika między twórcą, a masą odbiorców, aby uniknąć częstych jeszcze dziś wypadków marnowania zdolności artystycznych,
e) konieczność stworzenia jak najlepszych warunków rozwoju dla orkiestr symfonicznych i zespołów kameralnych, stojących na najwyższym poziomie artystycznym; należyte zorganizowanie ruchu koncertowego zarówno w większych, jak i w mniejszych ośrodkach w celu udostępnienia wartościowej muzyki jak najszerszym rzeszom słuchaczy,
f) stworzenie teatru i studia operowego na podstawach, które by gwarantowały należyty rozwój polskiej muzyki operowej,
g) rozłożenie na przeciąg dłuższego czasu przeprowadzanej obecnie reformy szkolnictwa muzycznego, a to ze względu na konieczność dokładnego rozważenia całości zagadnienia, a następnie stopniowego dostosowania nowego systemu do możliwości i warunków polskiego życia muzycznego,
h) wprowadzenie obowiązkowego nauczania muzyki i śpiewu w szkołach ogólnokształcących, jako niezbędnego czynnika wychowawczego,
i) spożytkowanie ogromnych możliwości jakimi rozporządza radiofonia w celu istotnego szerzenia kultury muzycznej. Radio winno stać się m. in. czynnikiem pogłębiającym zdolności odbiorcze szerokich rzesz słuchaczy. Należy dążyć do zagwarantowania odpowiednich ram dla odbioru audycyj radiowych, tak, aby najpoważniejsze dzieła muzyczne nie były reprodukowane w warunkach dla powagi sztuki nieodpowiednich, jak np. przez głośniki uliczne,
j) otoczenie troskliwą opieką poczynań chórów i zespołów amatorskich, które są podstawą szeroko pojętej akcji upowszechnienia muzyki i podniesienia kultury muzycznej warstwy robotniczej i chłopskiej.

Zjazd staje na stanowisku, że wszystkie wymienione powyżej reformy dadzą się przeprowadzić jedynie w atmosferze całkowicie szczerej i lojalnej współpracy między zainteresowanymi Związkami z jednej, a Rządem Jedności Narodowej z drugiej strony. Zjazd potępia warcholskie próby przeszkadzania Rządowi Jedności Narodowej w jego dziele odbudowy kultury polskiej, a w szczególności potępia pożałowania godne i haniebne ekscesy antysemickie. Zjazd wyraża niezachwianą wiarę, że właśnie sztuka jest czynnikiem łączącym całą ludzkość w ogólnym dążeniu ku pięknu i prawdzie."

—O—

Jak wynika z powyższej deklaracji, zasadniczą troską naszych kompozytorów jest chęć nawiązania jak najbliższego kontaktu z szerokimi masami niewyrobionych jeszcze muzycznie słuchaczy i wyzyskanie olbrzymiego wpływu wychowawczego muzyki dla kształcenia nowego konsumenta. Zjazd uważa za zgubny wpływ muzyki jazzbandowej, tych wszystkich tang i fokstrottów, którymi karmi się normalnie i dziś jeszcze szerokie masy, uważając, że muzyka „poważna" jest niedostępna dla słuchacza spoza warstwy inteligenckiej. Jest to, jak wykazały dotychczasowe doświadczenia u nas i gdzie indziej, najfałszywszy punkt widzenia. Kompozytorzy nasi z całkowitą słusznością stanęli na pragmatycznie uzasadnionym stanowisku istnienia zamówienia społecznego, którego rezultatem jest dzisiejszy ilościowy i jakościowy rozwój twórczości muzycznej polskiej. Tej twórczości winna być utorowana droga do jak najszerszych warstw słuchaczy

i to utorowanie jest jednym z najpilniejszych i najważniejszych celów, jakie stoją przed organizatorami naszego życia muzycznego.

Że ten punkt widzenia nie wszędzie zdobył sobie pełne prawo obywatelstwa, tego dowodem było przemówienie przedstawiciela miasta Krakowa na zorganizowanej z okazji zjazdu herbatce. Zgodnie z trwającą bodaj od czasów Wyspiańskiego tradycją ojców tego miasta, wyrażone zostało przekonanie, że kompozytor nasz pracuje *sub specie aeternitatis*, że to, co robi, będzie zrozumiane i oceniane dopiero przez przyszłe pokolenia i że w rezultacie nie powinien się spodziewać, aby już za życia dzieło jego było dla społeczeństwa należycie docenioną codzienną strawą i pożywką. Punkt widzenia nie nowy, raczej aż za dobrze nam znany! Ale właśnie czasy jakie przeżywamy obecnie nadają się najlepiej do ostatecznego przezwyciężenia go, do wbicia w umysły zasady, że dokładna znajomość i bliski kontakt z twórczością rodzimą jest nie tylko obowiązkiem ale i korzyścią, której wagi w tej chwili nawet docenić dostatecznie nie jesteśmy w stanie!

Zjazd w dezyderatach swoich świadomie pragnął uniknąć głębszego rewolucjonizowania naszego — tak przecież niebogatego — życia muzycznego. Stąd też brak wypowiedzi na temat zasadniczych sposobów dystrybucji muzyki i brak głębszej krytyki sposobów dziś praktykowanych. Kompozytorzy nasi uważają, że przedwczesną rzeczą byłoby stwierdzanie czy dotychczasowy tryb życia koncertowego jest przeżytkiem i czy należy dążyć do tworzenia nowych form konsumpcji muzyki. Najbliższe lata niewątpliwie okażą czy zwycięży system publicznych, afiszowanych, za opłatą każdemu dostępnych koncertów, czy też ciężar konsumpcji muzyki rozłożyć trzeba będzie z jednej strony na koncerty „zamknięte", organizowane dla Związków Zawodowych, stowarzyszeń, klubów, a z drugiej strony na muzykę „domową" tzn. wykonywaną przez laików dla swojej osobistej i małego kółka słuchaczy przyjemności. System uprawiania muzyki w sposób „domowy" jest na pewno najidealniejszym rozwiązaniem problemu upowszechnienia muzyki wśród najszerszych mas. Oto w wolnych chwilach zbiera się nieduża grupa ludzi i muzykują wspólnie, są nie tylko słuchaczami, ale i wykonawcami, czyli osiągają najbliższy i najistotniejszy kontakt z dziełem muzycznym! Aby problem ten należycie rozwiązać, potrzebna jest oczywiście dostateczna ilość ludzi nie tylko muzykalnych ale znających grę na poszczególnych instrumentach i ogólne zasady muzyki. Takich melomanów a amatorów kształcić będą organizowane obecnie u nas po raz pierwszy a skądinąd dość niefortunnie nazwane „Szkoły Umuzykalnienia". Szkoły te we względnie krótkim kursie nauczania kształcić będą bez ograniczenia wieku słuchacza muzyki, ewentualnie „domowego" wykonawcę-amatora i w miarę swego ilościowego rozrastania się mogą całkowicie zmienić obraz naszego życia muzycznego i nasz uświęcony tradycją sposób apercepcji muzyki. Oczywista, że z wydaniem ostatecznego sądu w tej sprawie należy poczekać parę lat i stąd pewna rezerwa, jaką w tej materii okazał zjazd kompozytorów.

Niezależnie od tego w całym szeregu innych spraw dezyderaty zjazdu są już realizowane i to w tempie dość szybkim. Jeśli chodzi o „normalne" życie koncertowe w dotychczasowym tego słowa rozumieniu, to pierwsze pół roku niepodległości doprowadziło do niemal kompletnego uporządkowania stosunków w tej dziedzinie. Związek Muzyków stworzył Centralne Biuro Koncertowe, które obejmuje siecią swych agentur całą Polskę, które pracuje na zasadach społecznych i które całkowicie wyeliminowało dawne agentury koncertowe, dla których nie sprawa poziomu artystycznego ale sprawa kasy była pierwszym i najważniejszym przedmiotem zainteresowania.

Natomiast wiele pozostaje jeszcze do zrobienia w kwestii poziomu naszych orkiestr symfonicznych i teatrów operowych. W tej dziedzinie wojna wyrządziła nam szkody niepowetowane i trzeba szeregu lat abyśmy wrócili bodaj do poziomu przedwojennego. Nie stać nas w chwili obecnej na więcej niż dwie dobre orkiestry symfoniczne i jeden teatr operowy w Polsce. Nie stać nas z powodu braku śpiewaków i instrumentalistów odpowiedniej klasy, z powodu braku materiału nutowego, kostiumowego itp. Tymczasem w chwalebnych skądinąd zabiegach o poszerzenie zasięgu kultury muzycznej uważa każde wojewódzkie miasto za swój obowiązek zorganizowanie „Filharmonii" a nierzadko i opery — oczywiście „reprezentacyjnej"! W rezultacie istnienie Filharmonii w Kielcach, Częstochowie czy Rzeszowie raduje wprawdzie serce statystyka kultury, ale biada temu, kto na własne uszy miał okazję przekonać się o rezultacie pracy tych instytucyj! Podobnie rzecz się ma z imprezami operowymi, kleconymi *ad hoc* od premiery do premiery a czasem nawet dla jednego tylko spektaklu o poziomie skandalicznym a — co gorsza — przeważnie firmowanym przez nazwiska

śpiewacze o dużej przeszłości i zasługach! W tej dziedzinie potrzebne nam jest postępowanie drakońskie: musimy mieć plan powolnej i systematycznej rozbudowy instytucyj symfonicznych i operowych i musimy niestety skasować te wszystkie imprezy i przedsięwzięcia, które z tym planem kolidują. Oto niewdzięczne ale konieczne zadanie dla Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Związku Muzyków.

—o—

Te i tym podobne bolączki szeroko wentylowane i dyskutowane wypełniły pierwszy powojenny zjazd kompozytorów polskich. Na plus uczestników zaliczyć należy gorącą pasję i zainteresowanie, z jakim zanurzali się w gęstwinę problematyki chwili bieżącej. Wieczory były poświęcone wyłącznie muzyce i to współczesnej polskiej a w tym przeważnie dziełom powstałym podczas wojny. I tu nasuwa się najbardziej optymistyczny akcent, któremu wszyscy uczestnicy dawali radosny wyraz: oto sale na koncertach organizowanych z okazji zjazdu były nabite publicznością pełną głębokiego zainteresowania wykonywanymi dziełami, publicznością niezblazowaną, łaknącą świeżej i dobrej muzyki. Był to obraz, do którego muzycy nasi nie mieli okazji się przyzwyczaić, obraz diametralnie różny od znanej nam tak dobrze sytuacji przedwojennej. Rozważania na temat przyczyn tej zmiany zaprowadziłyby nas oczywiście zbyt daleko.

Nie przeceniając zresztą w niczym faktu większego zapotrzebowania i większej popularności muzyki w chwili obecnej należy jednak podkreślić, że jest to właśnie ten najdodatniejszy, najbardziej krzepiący objaw, który nam muzykom pozwala z największą nadzieją i otuchą patrzeć w przyszłość muzyki polskiej.

Roman Palester

ZAMIAST KONGRESU

Bezpośrednio po omówionych wyżej zjazdach pisarzy, plastyków i kompozytorów miał obradować I Ogólnopolski Kongres Pracowników Sztuki. Kongres ten został odwołany. Kiedy dzisiaj tę decyzję oceniać, okazuje się, że była słuszna. Bo wśród tego nawału pracy, jaki zjazdy krakowskie musiały odrobić, nawału większego niż się przypuszczało, albo ta konkretna i najbardziej obchodząca dane związki praca musiałaby być odbyta na kolanie, albo też sam kongres obradowałby na podstawach zupełnie jeszcze niegotowych.

Pisarze zamiast dwóch przewidzianych obradowali cztery dni, a Nadzwyczajna Komisja Kwalifikacyjna biedziła się jeszcze dwa dalsze dni. Plastycy radzili coś z tydzień. Kompozytorzy rozpoczęli obrady w Krakowie, kończyli w Warszawie. Z programu festiwalu, który miał towarzyszyć kongresowi, ostały się tylko koncerty współczesnej muzyki polskiej, a i tak mało kto z uczestników pozostałych zjazdów miał możność je usłyszeć, zaabsorbowany własnymi obradami. Jednym słowem kongres byłby się nie pogodził ze swymi wstępnymi ogniwami ani w czasie, ani też — rzecz ważniejsza — rzeczowo. Bo dopiero obrady krakowskie ujawniły, jak różną jest sytuacja w różnych dziedzinach sztuki i uczestnicy niedoszłego kongresu byliby wprawdzie zasiadali w tej samej sali, ale na pewno nie wokół tych samych problemów.

Dlatego to nie w formie kongresu, ale *zamiast kongresu* należy się szkicowo zastanowić nad wnioskami, wyłaniającymi się ze zjazdów. Nie będziemy powtarzać problemów wewnętrzno-organizacyjnych, które widnieją w podanych sprawozdaniach. Chodzi o sprawy bardziej istotne, te, które z konfrontacji toczonych na zjazdach dyskusji ideologiczno-artystycznych wyłaniają się jaśniej, aniżeli je dostrzegamy na dniu codziennym. Jakie jest miejsce obecnej twórczości literackiej, plastycznej i muzycznej w dzisiejszej rzeczywistości polskiej, jak wygląda odczucie, świadomość tego miejsca u artystów tych dziedzin, którym z nich jest bliżej do przemian społecznych i ideowych, a którzy przede wszystkim o sobie mogą i muszą pamiętać?

Nie ulega bowiem wątpliwości, że najbardziej konkretne i najbliższe sercu każdego artysty sprawy literatury, plastyki i sztuki kompozytorskiej nie przebiegają dzisiaj w sposób równoległy. Wnioski i nakazy, które są słuszne na terenie plastyki, prowadziłyby do przewidywań i sądów dosyć opacznych, gdyby je chcieć żywcem przenieść do literatury. Problemy znów, które najsilniej się wybijają w dziedzinie literackiej, niewiele mają znaczenia w zain-

teresowaniach muzycznych. Pracujemy bardziej odrębnie, niż się sądzi. Stopień tej odrębności równie mocno zależy od postulatów odbiorców i rzeczywistości, jak skądinąd zależy od zadań wewnętrznych, od stopnia ewolucji, który dana sfera sztuki zdołała osiągnąć na polskim gruncie.

Mówmy przykładami: jeżeli dla pisarza sprawą dzisiaj najważniejszą jest nie tyle wypracowanie wspólnego stylu w sensie wspólnego kanonu czysto artystycznego, albowiem w miejsce kanonu tego typu raczej się narzuca pewna wspólna postawa moralna, humanistyczna i realistyczna, jeżeli tak jest u pisarzy, zgoła inaczej przedstawia się sytuacja u plastyków. Jesteśmy u nich świadkami faktu bardziej zależnego od stopnia ewolucji, który plastyka polska osiągnęła, a właściwie o który stale i ciągle walczy, i może dopiero teraz — wywalczy. Oto wywodzący się z tradycji postimpresjonizmu, a poprzez nią z najczystszych plastycznie, najbardziej malarskich nurtów sztuki zachodniej i polskiej, pewien wspólny kanon czysto artystyczny zwycięża i zwycięża słusznie. Sztuka, która tylko o tyle może być nazwana laboratoryjną, o ile laboratorium jest najbardziej postępową wylęgarnią nowych form i wyobrażeń, przoduje w postulatach, w organizacji praktycznej życia malarskiego, znajdując potwierdzenie w otwartej równocześnie ze zjazdem pierwszorzędnej wystawie.

Wśród kompozytorów zjawisko znacznie bliższe temu, co u plastyków, niż u pisarzy. Rewia całej generacji muzycznej, pierwszej u nas w ogóle w tej liczbie, w tym przygotowaniu fachowym, w tej wreszcie świadomej próbie stworzenia stylu równie nowoczesnego co polskiego. Rewia podparta takimi samymi dowodami z twórczości co u plastyków. U malarzy i kompozytorów to samo bogactwo i pomysłowość czysto praktyczna, ta sama zapobiegliwość o podniesienie plastycznej i muzycznej kultury masowej, tych wycinków najwięcej u nas zaniedbanych. Zapobiegliwość obliczona na długą i cierpliwą metę — ciekawe pomysły, już realizowane, przygotowawczego szkolnictwa artystycznego.

Jednym słowem tak się sytuacja przedstawia, że najmniej czysto artystycznego luzu posiadają pisarze, że na nich to przede wszystkim ciąży konieczność wyrazu dla przemian dokonanych w latach wojny i miesiącach wolności. Znacznie więcej tego luzu posiadają plastycy i kompozytorzy, ba, w jego imię sięgają do organizowania odbiorców, rozumiejących prawo ich swobody artystycznej. Układ może się wydać paradoksalny. U niejednego z literatów towarzyszy mu westchnienie zazdrości, a tymczasem jest to zjawisko całkowicie normalne. Tymczasem byłoby źle, gdyby kompozytorzy wyskoczyli z postulatem realizmu, a jeszcze gorzej, gdyby pisarze udali, że nic się nie zmieniło w świecie społecznym i moralnym, że żadnych rewelacji nie dała psychologia człowieka w latach wojny, gdyby udali przynajmniej to, że narzędzia i formy innych sztuk są bardziej od ich narzędzi przystosowane do zarejestrowania i odtworzenia tych przemian.

W tym bowiem sensie powiadamy, że przy pozorach paradoksu ta rozbieżność bezpośrednich postulatów właśnie jest na miejscu. Nacisk bowiem przeżyć zbiorowych, domagających się wypowiedzi, jest przede wszystkim charakteru społecznego i moralnego, a trzeba długiej destylacji i rozległego czasu, by z takiego nacisku mogły wyrobić swój styl sztuki, które w bezpośrednim wyrazie mniej się posługują względem moralnym czy psychologicznym. Tak jest z malarstwem, tak jest z muzyką. Tych procesów przyśpieszyć się nie da — co najwyżej można je przekrzywić. Natomiast w piśmiennictwie od tak stawianych postulatów do ich wyrazu zawsze było bliżej, proces destylacji zawsze był prostszy. Te prawdy z całą ostrością rysują się dzisiaj i one to sprawiają, że paradoks sytuacji jest tylko pozorny.

Pogłębia sprawę fakt, że zaniedbania artystyczne szerszego odbiorcy były u nas zawsze najdotkliwsze w sferze plastyki i muzyki. Bywały w literaturze pomyłki i prześlepienia, ale nigdy nie było ich tyle i tak karygodnych, co w dziejach naszego malarstwa XIX wieku. I dlatego jest rzeczą słuszną, że cały wysiłek musi być skierowany, by wśród szerokiego odbiorcy możliwość przyszłych pomyłek jak najbardziej wykluczyć. Sprawa jest tu więcej w uprawie gruntu wokół korzeni, niż w prowadzeniu drzewa już wyrośniętego.

Te i inne zagadnienia omówi zapewne w przyszłości kongres pracowników sztuki. Omówi, kiedy uchwalone w Krakowie dezyderaty i statuty poczną się sprawdzać i kiedy przyjdzie pora na konfrontację mniej gorączkową, niż musiałoby to mieć miejsce w pierwszych dniach września. Na razie jeden wniosek wydaje się niewątpliwy: *nie ma jakiejś stylowej, czysto artystycznej jedności współczesnej sztuki polskiej.* Na pociechę można stwierdzić, że nie ma jej w całej Europie. Rysuje się natomiast jedność inna: długiej i żmudnej pracy tam,

gdzie trzeba dopiero uczyć. Podniesienie poziomu ogólnej wrażliwości plastycznej. Uczestnictwo świadomej myśli plastycznej w tych dziedzinach wytwórczości, w których ta myśl powinna mieć prawo ingerencji. Stworzenie norm technicznych i organizacyjnych, by muzyka polska docierała przynajmniej tak jak przed wojną. Nadrzędna społecznie funkcja pisarza, jego odpowiedzialność moralna za prawdę obrazu, za uświadomienie potrzeb, których żadna inna sztuka nie uświadomi, jeżeli pisarz tego obowiązku nie spełni. Jedność w podziale zadań, ale nie znajdziesz innej, jeżeli sytuację obecnej sztuki polskiej przemyśleć bez uprzedzeń i bez narzucania jednym artystom wniosków z cudzego, choćby bliskiego, podwórka.

Nie sądzimy wszakże, by ta wyjściowa rozbieżność raz na zawsze miała decydować o tym, jaki styl wspólny artyści polscy zdołają wypracować, bo nie ma prawdziwej jedności danej epoki bez jednolitego odblasku w sztukach. Fakt, że malarstwo dzisiejsze nie posiada w swoim wyrazie składniku Daumiera czy Goyi, gdy ten byłby najbliższy postulatom niedawnych przeżyć, jeszcze nie oznacza, by tak na zawsze pozostać miało. Oznacza tylko, że Topolskiego nie da się przeflancować na Daumiera. Oznacza wreszcie, że ta rozbieżność dążeń jest pierwszym ogniwem dialektycznym, od którego każe rozpocząć zmysł prawdy i cierpliwości, by budować na podstawach jasnych i zgodnych z rzeczywistością.

RED.

WYKAZ TREŚCI

	Str.
ANTONI SŁONIMSKI: Drzewa, Wiosna londyńska, Wiosna warszawska	5
KSAWERY PRUSZYŃSKI: Odejścia i powroty	8
MARIA PAWLIKOWSKA: ***, Światło w ciemnościach	32
STANISŁAW DYGAT: Susanne	34
KAZIMIERZ BRANDYS: Drewniany koń	50
KOLUMNA POEZJI ROSYJSKIEJ	74
KAZIMIERZ WYKA: Tragiczność, drwina i realizm	101
GEORG LUKACS: „Chłopi" Balzaca	120
ZDZISŁAW P. KOZŁOWSKI: Problematyka gospodarki planowej	139
SPRAWY I TROSKI: PROZA AUTENTYCZNA	
JÓZEF POGAN: Niedołężne małżeństwo	154
ANDRZEJ WRÓBLEWSKI: Gra	160
JADWIGA KOZŁOWSKA: Weronka	172
SPRAWOZDANIA	
EDWARD MARZEC: O zjeździe pisarzy chłopskich	178
STEFAN OTWINOWSKI: Zjazd literatów polskich	181
LEON DOŁŻYCKI: Walny zjazd artystów plastyków	184
ROMAN PALESTER: Zjazd kompozytorów	187
RED.: Zamiast kongresu	192

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski i Jan Wiktor.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 40 zł. Prenumerata kwartalna 120 zł, półroczna 240 zł.

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA"

Biblioteka społeczno-polityczna

STEFAN LITAUER: Zmierzch Londynu . . . . . zł 15.—
Chłopska reforma rolna . . . . . „ 12.—
A. HORAK: Wojna polsko-niemiecka 1939, II wyd. . . . „ 12.—
Kpt. Z. ORANOWSKI: Materiały z dziejów powstania warszawskiego. I. W oczach Londynu . . . . . „ 10.—

Dla dzieci i młodzieży

L. KRZEMIENIECKA: Kariera Franka Żyrafy . . . . „ 50.—
E. ZAREMBINA, H. OŻOGOWSKA, Z. BATOROWICZ: Czytamy I . . . . . „ 5.—

Teki graficzne

Z. TOŁKACZEW: Majdanek . . . . . wyczerpane
M. RYGER: Dni wyzwolenia . . . . . „ 75.—

Różne

ST. ŁEMPICKI: Słowo o Grunwaldzie . . . . . „ 30.—
Majdanek — Rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie . . . . . wyczerpane
T. OSTROWSKI: „Więźniowie czapki zdjąć" . wyczerpane

Literatura piękna

J. PRZYBOŚ: Miejsce na ziemi . . . . . „ 95.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach i sklepach „CZYTELNIKA"

NOWOŚCI „CZYTELNIKA"

wrzesień — październik 1945 r.

Biblioteka społeczno-polityczna

STANISŁAW EHRLICH: Strategia zwycięstwa . . . . zł 12.—
WIKTOR GROSZ: Na drogach powrotu . . . . . „ 15.—

Prawo

J. SAWICKI i B. WALAWSKI: Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu . „ 45.—
Kodeks postępowania karnego . . . . . „ 100.—
Ustawa o prawie autorskim . . . . . „ 20.—

Biblioteka Błękitna

KAROL MAŁCUŻYŃSKI: Od atomu do bomby . . . . „ 5.—

Literatura piękna

HENRYK SIENKIEWICZ: Krzyżacy . . . . . „ 120.—

Różne

Z. DRÓŻDŻ i WŁ. MILCZAREK: Zakochani w Pomorzu . . „ 15.—
J. DOMINKO: Z minionych lat . . . . . „ 15.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

0374608

CZYTELNIK